

P. 9786 Chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 1/183 - 2/184 1963



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

J. WITTLIN :

PISMA POŚMIERTNE

G. HERLING-GRUDZIŃSKI :

OD BURGOS

DO BARCELONY

NOWY ARTYKUŁ Z KRAJU : **SZACHOWNICA**

NAGRODY "KULTURY" ZA ROK 1962

SPIS RZECZY

Józef Wittlin:	<i>Pisma pośmiertne</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Od Burgos do Barcelony</i>	13
Czesław Miłosz:	<i>Brogna</i>	25
Györgi Gömöri:	<i>Węgierska i polska poezja w do- bie Zdanowa</i>	36
Marek Hlasko:	<i>Amor 43</i>	57
Ernst Bornstein:	<i>Leonberg po latach</i>	64
Danuta Mostwin:	<i>513 Chesnut Avenue</i>	72
Bolesław Pomian:	<i>Wakacje w kraju 1960</i>	83
Kazimierz Wierzyński:	<i>Wiersze</i>	127

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Prawdzie w oczy</i>	135
St. K.:	<i>Sobór Watykański II</i>	144
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	153

KRAJ

—	<i>Szachownica</i>	161
---	--------------------------	-----

SĄSIEDZI

Borys Lewickij:	<i>Sytuacja na Ukrainie sowieckiej</i> ..	171
-----------------	---	-----

ROK 1863

Stanisław Kościalkowski:	<i>W rocznicę Styczniową</i>	184
Henryk Przyborowski:	<i>Nurt Wiernej Rzeki</i>	188

KRONIKA KULTURALNA

P.H.:	<i>Nagroda literacka „Kultury” za r. 1962 — Zygmunt Haupt</i> ..	195
Felicja Krancowa:	<i>Nagroda plastyczna „Kultury” za r. 1962 — Rafał Malczewski</i> ..	196
Józef Czapski:	<i>O Brzozowskim</i>	199
Zygmunt Turkiewicz:	<i>Wystawy polskie w Londynie</i> ..	212

STRATY KULTURY POLSKIEJ

Aleksander Kawalkowski:	<i>Władysław Pobóg-Malinowski</i> ..	216
-------------------------	--------------------------------------	-----

KSIĄŻKI

Tymon Terlecki:	<i>Nareszcie Norwid</i>	223
Jan Kowalik:	<i>Nowe wydawnictwa bibliograficzne</i>	227
S.:	<i>Księga pamiątkowa ku czci Wacła- wa Lednickiego</i>	233
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ..	234

A. Berlstein, W.T. Drymmer, Zb. Grabowski, K. Hrabyk, A. Polakiewicz, E. Turski:	<i>Listy do Redakcji</i>	235
--	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń-Luty – Janvier-Février 1963

INSTYTUT



LITERACKI

NOTY BIOGRAFICZNE

György GÖMÖRI ur. w 1934. Studiował literaturę polską na Uniwersytecie Eotvosa Loranda (Budapeszt) w latach 1953-1956. Brał udział w rewolucji 1956 i po drugiej interwencji sowieckiej znalazł się na Zachodzie. Mieszka stale w Oxfordzie zajmując się literaturą wschodnio-europejską. W r. 1962 otrzymał stopień naukowy B. Lit. za pracę pt. „The development of post war poetry in Poland and Hungary 1945-1956”. Tłumaczył na węgierski wiersze prawie wszystkich współczesnych poetów polskich.

Dr Ernst BORNSTEIN, ur. w r. 1922 w Zawierciu, lekarz-stomatolog, zam. w Monachium. Od 1941 do 1945 więziony w różnych hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Prezes Byłych Kacetowców Żydowskich w Monachium.

DARY DO BIBLIOTEKI «KULTURY»

Dziękujemy serdecznie p. Marii Wasung z Genewy za 17 numerów „Słowa” wychodzącego w Paryżu w r. 1940 oraz p. Tadeuszowi Święcickiemu z Paryża za trzeci dar — 5 książek i broszur i 8 druków.

WPLĄTY NA FUNDUSZ KULTURY

Janusz Laskowski, Paryż, po raz drugi	25,00 NF
Helena Perlitsch, Paryż	50,00 „
Jan Piórkowski, Passaic, N.J. (USA) po raz szósty	12,30 „
Z. Sikorski, Darlighthurst, NSW (Australia) po raz drugi	13,75 „
Janusz Laskowski, Paryż, zamiast kwiatów na trumnę śp. Władysława Pobóg-Malinowskiego	20,00 „
Wiktor Skiba, Korea, po raz drugi	33,00 „
Jerzy Gintel, Caracas, Venezuela po raz drugi	53,90 „
Bezimiennie po raz trzeci	98,00 „

DZIEKUJEMY

NA NAGROBEK DLA A. BOBKOWSKIEGO

K. Sowiński, Monachium (Niemcy)

24,00 NF



Imprimerie en France

1963 N 517

Pisma pośmiertne

Lat temu — co najmniej trzydzieści — w warszawskiej kawiarni Europejskiej autor tych słów siedział w złym towarzystwie. Siedział sam przy stoliku, a jako rzeczce Paul Valéry *un homme seul est toujours dans la mauvaise compagnie*. Niedaleko była ulica Mazowiecka i „Mała Ziemiańska” i ta atmosfera, która wydawała mi się zabójcza dla młodego, jakim podówczas byłem — pisarza. Uciekłem więc od tej atmosfery i siedziałem w Europejskiej — sam. Zbuntowałem się przeciw targowisku, gdzie ustalano ceny na produkty umysłu i wyobraźni i gdzie nadawano rangi pracownikom pióra. Nade wszystko obrzydła mi własna rola w mniej lub więcej znajomej społeczności, obmierzło mi uganie się po wydawnictwach oraz nieuniknione współzawodnictwo z innymi pisarzami. Niesmakiem przejmowała mnie próżność, też będąca, zwłaszcza w młodych latach, bodźcem twórczości. Przypomniały się słowa Nietzschego: „Kto zna czytelnika, ten dla niego nic robić nie będzie. Jeszcze jedno stulecie czytelników i duch nawet śmierdzieć zacznie”. („Tako rzeczce Zaratus-tra: O czytaniu i pisaniu”).

Obrzydły mi nawet słowa. Widziałem w nich jedynie aparaturę kompromisu prawdy z fałszem. Żadne wszak słowo w żadnym z ludzkich języków nie jest narzędziem doskonałej szczerości. Dla samego siebie nie myślimy przy pomocy słów. Czysta myśl ludzka posługuje się innymi, nieokreślonymi dotąd instrumentami. Dopiero gdy naszą myśl pragniemy przekazać innym, sięgamy po słowa. Im bardziej zaś te słowa, zwłaszcza w poezji, są zrozumiałe, tym więcej zatracają się ich dziewicza czystość. Już komunałem stały się wersety: „Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie”. Ale z językiem, a więc ze słowami żaden pisarz

zerwać nie może. Co najwyżej, gwoli szczerości i czystości, może je zdeformować.

I naraz, w przypływie zniechęcenia i goryczy, postanowiłem: nie ogłaszać więcej za życia swych utworów. Odtąd chciałem pisać wyłącznie dla tzw. potomności, której istnienie nie stało jeszcze w owych latach, tak jak dziś, pod znakiem zapytania. Wszyscy twórcy zarówno z powodzeniem, jak i bez powodzenia, liczyli na potomność. Pragnąłem więc uwolnić się od tego, co każe autorowi liczyć się z panującą modą, z przyjaciółmi i wrogami, i z wszystkim, co w owych latach zaczęło już w Warszawie nazywać „zamówieniem społecznym”. Jak błogo będzie: nie czekać na poklask publiczności, ale i nie narażać się ani sferom rządzącym, ani opozycji, ani klerowi wszelkich wyznań, ani bardziej może nietolerancyjnym kapłanom tzw. „wolnej myśli”. Gwizdać na prasę wszelkich odcieni, na antysemitów i na Żydów, na wojsko i na pacyfistów, na finansjerę i na snobów antykapitalizmu! Nie być świadkiem swych sukcesów, ani porażek! W ogóle zrezygnować z obecności przy tym, jak nasze dzieło robi na kimś wrażenie.

I zacząłem w kawiarni Europejskiej rozważać korzyści płynące z usunięcia się z „pola obstrzału”. *Non veder, non sentir m'é gran ventura* — moc powtórzyć za Michałaniolową „Nocą”. Tak powstał we mnie zamiar produkowania samych pism pośmiertnych. Już w wyobraźni egzaltowałem czytelnika tych pism: nie był podobny do żadnego ze znajomych. Nie miał twarzy, nie miał głosu, stał się abstrakcją, przez co nabierał patetycznych, prawie monumentalnych wymiarów. O, dla takiego, nieurodzonego jeszcze czytelnika, warto męczyć się przy pisaniu, gdyż tylko on jest sędzią sprawiedliwym i nie ulega żadnym fascynacjom ani uprzedzeniom do naszej osoby. A jakże często ta osoba jedynie wpływa na stosunek publiczności do naszego dzieła. Z chwilą gdy ta osoba znika ze świata, zamiera również wszelka atrakcyjność tego co stworzyła. Niewielu chyba z piszących życzy sobie, żeby ich dzieła były tylko dodatkiem do ich osoby. Może nawet egzystencjaliści chcą być czytani po śmierci?

Autor „pism pośmiertnych” nie tylko nie zna domniemanego czytelnika, ale i rzadko potrafi przewidzieć okoliczności, tudzież historyczno-społeczne warunki, w jakich nastąpi odbiór tego, co stworzył. Rodzajem swej pracy może przeto zbliżyć się do tzw. absolutu. Czyściejszy, szlachetniejszy, bo nieskrępowany żadnymi względami oportunistycznym, autor „pism pośmiertnych” czerpie ze spotęgowanego życia, własnego i cudzego, nie musząc bojaźliwie przymykać oczu na zjawiska drażliwe. Może je kształtować naprawdę jak zapragnie jego dusza. Ale takich świadomości

mych „pośmiertników” — o ile wiemy — nie zna dotąd literatura żadnego narodu.

Nazwą „pism pośmiertnych” obejmowaliśmy do tej pory przeważnie te dzieła, których autor nie mógł lub nie zdążył już za życia ogłosić. Może by je ogłosił, gdyby dłużej żył, lub gdyby ich ogłoszeniu sprzyjały zewnętrzne, od autora niezależne warunki. Mamy tu na myśli przede wszystkim Słowackiego i Norwida. Istnieli też tacy pisarze, co za życia nic albo prawie nic nie chcieli ogłaszać, a bogatą ich twórczość poznaliśmy wyłącznie z tzw. teki pośmiertnej. Wymienić tu należy chociażby fenomenalną poetkę amerykańską, Emily Dickinson. Inni pisarze zastrzegają sobie wyraźną datę, kiedy po ich śmierci będzie można ogłosić utwory, których publikacji przed tą datą z różnych przyczyn sobie nie życzą. Rzadkim okazem, jeśli nie unikatem w dziejach piśmiennictwa jest Samuel Pepys, sekretarz Admiralicji brytyjskiej w czasie restauracji Stuartów. Jego słynny „Dziennik”, pisany w latach 1660-1669 ujrzał tzw. światło dzienne dopiero w roku 1825, i to po odcyfrowaniu i rozszyfrowaniu tekstów, spisanych nie tylko systemem „tachygraficznym” Sheltona, ale i przy pomocy szyfrów, znanych jedynie autorowi. Do innej już kategorii „pism pośmiertnych”, zaliczyć trzeba utwory, których autor nie tylko nie chciał ogłaszać, ale polecił je zniszczyć wykonawcom swej ostatniej woli. Jeśli dziś mimo to utwory te znamy, stało się to dzięki nielojalności owych wykonawców testamentu autora. Uważali oni za rzecz ważniejszą, żeby świat czytający dzieła te poznał, niż aby życzenie testatora zostało uszanowane. Nie trudno się domyśleć, o kim mówimy. Klasyczny, a tak dla nas cenny przykład zlekceważenia ostatniej woli Franza Kafki, jest dziełem jego przyjaciela, również niemieckiego pisarza z Pragi, Maxa Broda. To jemu polecił Kafka spalić całą swą rękopiśmienną spuściznę.

Kto zna pisma Kafki, a zwłaszcza kto je czytał w czasie ostatniej wojny, zdumieć się musiał, nie tylko ich tematyką, symboliką, obrazowaniem czy stylizacją, lecz nade wszystko ich straszliwie aktualną dzisiaj „filozofią”, tak proroczo wybiegającą naprzód czasom, kiedy żył i pisał autor „W kolonii karnej” i „Procesu”. Czytając dziś te dzieła, ale również i najbardziej osobiste zwierzenia Kafki w jego listach czy w „Dzienniku”, odczuwamy niemal dotykalnie patos wyrzeczenia się autora wszelkich przywilejów, będących udziałem modnych za jego życia pisarzy niemieckich i nie tylko niemieckich. Czujemy w tych utworach jakąś majestatyczną ponadczasowość, nie mówiąc już o zdumiewającym jasnowidzeniu spraw, które dopiero dzisiaj uświadamiamy sobie w pełni.

Różne mogą być przyczyny, dla których jasnowidzący gruźlik z Pragi żądał spalenia swych najważniejszych dzieł. Może ulitował się nad czytelnikami, z których niejeden zginął w „kolumnie karnej”, lub spłonął w piecach krematoryjnych kacetów? Może chciał im Kafka oszczędzić świadomości tego, co ich spotka? Od śmierci Dostojewskiego do śmierci Kafki upłynęły zaledwie czterdzieści trzy lata, a jednak wieki dzieł procesy, przedstawione w powieściach autora „Zbrodni i Kary” i „Braci Karamazow” od „Procesu” Kafki. Wieki, wypełnione kataklizmami. Ci, co wyszli z nich żywi, stali się innymi ludźmi. U Dostojewskiego sądzono i skazywano istotnych zbrodniarzy lub duchowych współuczestników zbrodni. W każdym razie skazywano ludzi, których zarówno prawo Boskie, jak i ludzkie mogło o coś obwinąć. Kafka, w swych niesamowicie spokojnych, harmonijnie skomponowanych wizjach tortur moralnych i fizycznych oraz w wizjach zagłady, antycypuje naciągający koszmar *historycznej rzeczywistości*, kiedy to w Europie skazywano bez sądu i masowo uśmiercano ludzi niewinnych. Wydaje mi się, że tego rodzaju proctwa nie miały precedensu w beletrystyce. I kto wie, czy ostatni prorok żydowski ze złotej Pragi XX w., przez spalenie swych książek, w których z precyzją zegarmistrza obnażył mechanizm absurdu i grozy, — nie chciał złożyć ofiary milionom ludzi, spalonym przez ludzi — w niespełna dwadzieścia lat po swojej śmierci. Są to nasze prywatne przypuszczenia. Faktem wszakże pozostaje, że zarówno zawartość jak i forma „pism pośmiertnych” Kafki mogą służyć za ilustrację naszej tezy o czystości, niewinności i szlachetności utworów, *nie* przeznaczonych do druku za życia autora.



Mówiąc o Kafce i jego proroczych widzeniach, wkroczyliśmy w rewiry męczeństwa. Tak więc do omówionych tu rodzajów „pism pośmiertnych” przybývá nowy, który nam stworzyli męczennicy i bohaterowie ostatniej wojny. W przeciwieństwie do autorów, nie życzących sobie, aby ich pisma były ogłaszane i czytane po śmierci, pisarzom — więźniom kacetów, łagrów i gett, skazańcom, idącym na śmierć w komorach gazowych czy na placach egzekucji, bardzo zależało na tym, aby tzw. świat dowiedział się z ich pism, co przcierpeli, zanim ich zgładzono. Pisma męczenników i bohaterów, to już nie tylko „pisma pośmiertne”, ale dokumenty krzywdy, krzyki lub śpiewne lamenty utrwalone wierszem lub prozą na skrawkach często przemycanego papieru — w tzw. obliczu śmierci. Jakie było to „oblicze”,

w które musieli spoglądać, o tym nie mogą dać należytego pojęcia nawet ich własne, najbardziej przejmujące, utwory. Grozę tego „oblicza” mógłby tylko Goya wyrazić i to Goya z ponurego okresu swej twórczości, utrwalonego w tzw. „czarnych obrazach”, wiszących w Prado. Polscy i żydowscy poeci z warszawskiego getta oraz z powstania 1944 r. spoglądali w „oblicze” śmierci męczeńskiej *świadomie*. Toteż ich „pisma pośmiertne”, nawet o tematyce dalekiej temu, co przeżywali w getcie czy na barykadach, oblewa i nobilituje nieziemskie światło. Młodzi poeci, którzy zginęli, walcząc w Powstaniu Warszawskim: Krzysztof Baczyński, Tadeusz Gaycy, Zdzisław Stroiński, — byłiby zapewne wybitnymi poetami, nawet gdyby przeżyli powstanie i wojnę, ale niestety pozostały po nich jedynie „pisma pośmiertne”, aż zadziwiająco spokojne, gdy zważymy, w jakich powstały warunkach.

Znamy jeszcze inną twórczość, może mniej dojrzałą artystycznie, ale nie mniej wstrząsającą, jako dokument. Znakomity historyk okupacji niemieckiej w Polsce, powstania warszawskiego i powstania w getcie, Władysław Bartoszewski, ogłosił niedawno w „Twórczości” artykuł pt. „Polskie judaica literackie w publikacjach konspiracyjnych lat 1939-1944”. Dowiadujemy się z tego artykułu, że w piśmie konspiracyjnym „Kultura Jutra” (nr 8/9 za sierpień-wrzesień 1943) ukazał się wiersz pt. „Rzeczy” — „porzucony na ulicy przez młodą Żydówkę, prowadzoną przez Niemców z małego do dużego getta, w którym masakrowano wówczas ludność żydowską. „W ten sposób” — pisze Bartoszewski — „ogłoszono w polskim piśmie literackim jedyny bodaj utwór poety gettowego, który uzyskał tą drogą znaczny rozgłos. Autorem „Rzeczy” był bowiem faktycznie Władysław Szlengel, który zginął w getcie warszawskim podczas walk kwietniowych”.

Podobnych utworów, o nierównej wartości literackiej, znajdujemy więcej w cennej antologii wierszy o Żydach pod okupacją niemiecką, którą to antologię pieczęlowicie opracował i w roku 1947 wydał zasłużony badacz tego odcinka literatury, żołnierz polskiego podziemia, Maksymilian M. Borwicz pt. „...Pieśń ujdzie cało”. Ten sam pisarz ogłosił w Paryżu, w roku 1955, po francusku, obszerne studium socjologiczne pt. „Ecrits des condamnés à mort sous l'occupation allemande (1939-1945)”, na podstawie którego uzyskał w Sorbonie doktorat.

Nie tylko Polska dostarczyła piśmiennictwu smutnego pokłosa z terenów, zżętych tzw. eksterminacjami. Nawet naród eksterminatorów może się poszczycić literackim pomnikiem, wystawionym własnym ofiarom hitlerowskiego terroru. Właśnie w

krakowskim „Tygodniku Powszechnym” z 7 października 1962 przeczytaliśmy kilkanaście wierszy niemieckich pióra ofiar hitleryzmu. Wiersze te wybrał z antologii pt. „An den Wind geschrieben” („Pisane na wiatr”) i pięknie spolszczył Piotr Lachmann, Niemiec, piszący po polsku, a zamieszkały w Republice Federalnej. Oto, co oznajmia nam Lachmann na marginesie wstrząsającej książki: „Ta książka nie jest antologią liryki. Jest modlitewnikiem, powstałym w chwili pożaru świata. Poeci nie żyją... Ta antologia jest nagrobkiem”. A dalej: „Euterpe nie potrafiła zgasić ognia pod paleniskami śmierci. Poezja okazała się niczym wobec śmierci, wobec ogromu przemocy”. Nie mogę oprzeć się przytoczeniu krótkiego utworu z antologii wierszy „Pisanych na wiatr”. Piotr Lachmann nie podaje nazwisk autorów ani autorek, nie wiemy więc, kto w roku 1942 napisał wierszyk pt. „Módlmy się”:

*„Jesteśmy zmarłymi
ponad światem
Nie mamy ostatniej woli,
tylko o jedno prosimy:
Módlcie się, módlcie
byśmy byli zbawieni”.*

Módlmy się więc i za niemieckich poetów-męczenników.

Wróćmy jednak do „pokojowego” trybu życia i do śmierci „naturalnej”.

Podobnie jak miłość, może i śmierć, a raczej świadomość śmierci, stać się podniecią twórczości. Niejeden piękny utwór wyrósł na drożdżach śmierci. W młodych latach ulegamy przeważnie ziemskim pasjom, które nas zaślepiają, a niekiedy i zwiężają widnokrąg. Życie wypełniają nam wtedy walki, marzenia i nadzieje. Dążymy do spełnienia marzeń i czasem nam się to udaje. Z tych marzeń, spełnionych lub niespełnionych, z fantastycznych iluzji i snów na jawie, powstają dzieła sztuki. Miłość zmysłowa ostrymi biczami smaga nasze ambicje i zmusza do szukania piękna, czasem kosztem prawdy, nb. o ile prawdziwe piękno też nie jest prawdą. Bez miłości czy też, jak to szpetnie dziś mówią, bez „sexu”, nie byłoby zapewne sonetów Szekspira, ani Petrarki ani Mickiewicza. Ale przychodzi chwila, gdy poe-

przestają rozmarzać ziemskie rozkosze, i już nie spodziewa się on tzw. sercowych zwycięstw. Miłość przestaje zapładniać jego wyobraźnię, najwyżej staje się wspomnieniem. Wtedy zjawia się śmierć, jako najwyższy autorytet w zakresie twórczych ambicji, często nawet jako ich rywal. — I już do końca życia, choćby ono miało trwać jeszcze długo i być płodne, artysta tworzy w zimnym, krystalicznym blasku śmierci. Ogarnia go fascynacja śmierci, którą pragnie przezwyciężyć. Wszystkie sprawy życia rozpatruje on już z perspektywy przemijalności, ocenia je na podstawie tego, co z tych spraw może się ostać. Blask śmierci, wciąż dojrzewającej w nas i zawsze obecnej, niezależnie od tego, co sobie wyobrażamy po jej spełnieniu, obdarza artystę niezmaconym spojrzeniem na świat i na jego tajemnicze sprawy. Prawie każde dzieło literackie, noszące na sobie (nie zawsze dostrzegalne) ślady tego blasku, można zaliczyć do „pism pośmiertnych”. Obecność śmierci poleruje strofy poezji lirycznej, wpływa na jej tonację i zabarwienie, nawet jeśli to jest poezja sielankowa. Istnieją poeci tak bardzo „życi” z śmiercią, iż z tej koegzystencji właśnie czerpią siłę do walki z otaczającym ich chaosem. Jak gdyby tylko dzięki wzmożonej świadomości śmierci mogli osiągnąć wiedzę o życiu. Rzeczy ostateczne, których kształtowanie zawsze nęciło artystów wszelkiego autoramentu, wpływają nawet na wybór środków wyrazu. Można pisać o uciechach życia, malować Arkadie i Cytery, a mimo to znajdować się pod ciśnieniem rzeczy ostatecznych, a więc śmierci i wszystkiego, co po niej ma lub nie ma nastąpić.

Znów musimy wspomnieć Kafkę. Maurice Blanchot w swej kapitałnej, ale nie dość znanej książce pt. „L'Espace littéraire” przytacza z dziennika Kafki takie, w grudniu 1914 roku zanotowane refleksje:

„Po powrocie do domu oznajmiłem Maxowi że jeśli bóle nie będą zbyt duże, będę na łożu śmierci bardzo zadowolony. Zapomniałem tylko nadmienić, a później rozmyślnie to pominąłem, że najlepsze rzeczy, jakie napisałem, powstały z tej właśnie zdolności umierania z zadowoleniem”. Znamienne to oświadczenie komentuje Blanchot w ten sposób: „Nie można pisać, jeśli nie jest się panem siebie w obliczu śmierci, jeśli nie ułożyło się stosunków z nią na zasadzie suwerenności”. (Podkr. moje). A dalej: „Kafka odczuwa tutaj głęboko, że sztuka to jest stosunek do śmierci. Dlaczego do śmierci? Ponieważ jest ona ostatecznością”. Następnie stwierdza Blanchot, iż „geniusz stawia czoło śmierci, jego dzieło zaś — to śmierć udaremniiona, lub, jak powiada Proust — to śmierć mniej gorzka, mniej haniebna, a może nawet mniej prawdopodobna”.

Jakąż to śmierć nazywał Proust haniebną? Nie przeczuwał jak Kafka „kolonii karnych”. Miał chyba na myśli tchórzliwe umieranie. Ale wszyscy pisarze i artyści lepiej lub gorzej „życi” z śmiercią — przed nastaniem „czasów pogardy” — oczekiwali albo też bali się śmierci „normalnej”, w każdym razie czegoś, co można było sobie wyobrazić. Na śmierć „normalną” można było przygotowywać się latami, nawet wewnętrznie kostiumować się na jej przyjęcie. Śmierć, którą Kafka chciał przyjąć „z zadowoleniem” lub ta, która, pozwoleńszy mu łaskawie ukończyć jego wielkie dzieło, zabrała, przez długie lata mocującego się z nią Prousta, taka śmierć mogła być marzeniem niejednego poety w Polsce w latach 1939-1945.

Mieczysław Jastrun w swym pięknym „Micie Śródziemnomorskim” opisuje jak siedział „w alei kwitnących kasztanów na kolonii małych jednorodzinnych domków w niedalekiej stosunkowo odległości od muru, za którym płonęło getto warszawskie. Obok mały chłopiec śledził wesołymi oczami lot bombowca, zrzucającego śmiercionośny ładunek na zamkniętą dzielnicę, gdzie bez żadnej nadziei umierali ludzie. Moje dawne odczucie obcości bytu, owa trwoga i nuda, które ogarniały mnie nagle wśród gwaru i jaskrawości przyrody, albo w miejscu, gdzie było dużo ludzi, wśród brzęczenia muzyki i zaduchu, teraz ukazywały swoje niespodziewane spełnienia, swoje sąsiedztwo gwałtownej śmierci, wobec której to, co nazywamy umieraniem było *krajem spokoju i nieomal pomyślności*”. (Podkr. moje).

Tak jest: pomyślności. O ile słowo: pomyślność oznacza to dzieje się *po myśli* człowieka. Nagła i gwałtowna śmierć nigdy nie była *po myśli* człowieka. Ale czasy, w których wypadło nam żyć i umierać odczyły nas zarówno życia jak i umierania *po naszej myśli*. A jeśli jesteśmy pisarzami, piszemy nieomal zawsze *in articulo mortis*. Pogodziliśmy się już z myślą, że w każdej chwili może nas owa *mors* zaskoczyć: nie tylko nas samych, ale wraz z nami miliony zdrowych ludzi. To ustawiczne śmiertelne pogotowie nie musi być źródłem chronicznej paniki. Przeciwnie: może nas zahartować moralnie, a u pisarza, godnego tej nazwy, może stać się źródłem nowej siły i godności. Wszystko, co ma do powiedzenia, może w tej sytuacji zyskać ciężar słów, powiedzianych na odchodnym. Na odchodnym — na zawsze. Niezależnie od świadomości czy nieświadomości, dokąd odchodzi. W takich warunkach każda poważna pieśń stać się może śpiewem łabędzim. A już święty Hieronim, którego malarze wszystkich czasów przedstawiają jako wielkiego starca, sławił słodycz łabędzich śpiewów:

Nescio quid cygneum et solito dulcius vicina morte cecinit
(Epistola 52, 3, ad Nepotianum)

Poblże śmierci może więc uintensywnić i uszlachetnić pieśń, napędzając ją transcendentalnym natężeniem i promieniowaniem. I choćbyśmy w poezji, jak Dante, ciskali inwektywy i przekleństwa, będą to inwektywy i przekleństwa nie tylko pod adresem współczesnych.

Piszmy więc, i już za życia ogłaszajmy nasze utwory „na zasadzie” pism pośmiertnych. Nawet siedząc w kawiarniach, „Europejskich,” czy „Ziemiańskich”, piszmy *in articulo mortis*. (Tym bardziej że te kawiarnie przedwojennej Warszawy należą już do świata umarłych). A jeśli dzieło literackie istotnie ukazuje twarz autora, niechże to będzie jego prawdziwa twarz, a nie gęba zniekształcona grymasem pychy, próżności lub samoubóstwienia.

Podobno tylko maska pośmiertna może ukazać prawdziwą twarz człowieka. Często maska ta bywa jedynym dowodem, iż człowiek ów miał własną twarz. Toteż każde uczciwe dzieło literackie jest właściwie pośmiertną maską autora, zrobioną już za życia.

Nie przeceniajmy jednak wagi naszych pism, nawet pośmiertnych, wobec spraw ostatecznych. Piękną naukę dał nam w tej materii umierający Bernanos. Ksiądz Daniel Pezeril, obecny przy śmierci pisarza, tak opisuje jedną z ostatnich z nim rozmów: „Rozmawialiśmy o Bogu, który może już wkrótce przyjmie go do Siebie. Kiedy wspomniałem Bernanosowi, że jego dzieło przyczyni się za nim u Stwórcy. Bernanos odparł: „Nie jestem odpowiedzialny za to co stworzyłem... *Virtus de illo exibat*... Jestem odpowiedzialny tylko za to, czym *nie* byłem”.



P.S.: — Dobrze — powie łaskawy Czytelnik, — ale co się stało z twoim postanowieniem, powziętym w młodości, w kawiarni Europejskiej? Jak każdy „zawodowy” pisarz nadal ogłaszałeś swe utwory, w Polsce i zagranicą, i normalnie, po ludzku, reagowałeś na ich przyjęcie u publiczności.

To prawda: nie wytrwałem w młodzieńczym, dziwacznym, jak dziś wydaje mi się, postanowieniu. Ale coś z tego zostało we mnie na resztę życia. Zostały pewne, działające po dziś dzień, hamulce. Pod wpływem idei „pism pośmiertnych” wyhodowa-

łem w ciągu tylu lat dość hardy imperatyw, nakazujący ostrożność w kształtowaniu opinii, nawet przy budowie zdań i komponowaniu obrazów. Tak, jakby te opinie, zdania i obrazy miały istnieć niezależnie od mego losu na ziemi i niezależnie od moich stosunków z ludźmi. Tak, jakby zaraz po napisaniu mych utworów, moje życie miało się skończyć.

1962

Józef WITTLIN

Każdy kto wysyła leki do Polski powinien przestudiować nasze katalogi

KATALOG MEDYCZNY TAZABA

z a w i e r a

- 1) Wszystkie najnowsze leki przodujących światowych producentów, ze specjalnym uwzględnieniem najbardziej poszukiwanych i potrzebnych w kraju.
- 2) Przepisy celne, oraz podaje dokładną wagę każdego leku, co umożliwia wysyłkę **W O L N A Ǿ D C Ł A**
- 3) TAZAB jest jedyną światową firmą posiadającą poza Anglią własne biura i przedstawicielstwa w Ameryce, Francji, Niemczech i Szwajcarii i dzięki temu może wysłać natychmiast i z pierwszej ręki tamtejsze leki
- 4) Recepty są wykonane przez doświadczonych farmaceutów.
- 5) Klienci nasi są obsługiwani NATYCHMIAST, bez oczekiwania na nadejście należności

Największy Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB OF LONDON

Tazab House

LONDON, S.W.7.
22, Roland Gdns.,
Tel. FRE 3175-6

TAZAB & Co. Ltd

36, Third Avenue,
NEW YORK, 3
ALgenquin 4-4161

Od Burgos do Barcelony

W Irunie wysadzają nas rano z pociągu idącego z Paryża. Przekraczanie granic w Europie zachodniej jest coraz bardziej czynnością niezauważalną, tutaj jednak trzeba zmienić pociąg ze względu na inną szerokość torów kolei hiszpańskich. Być może, jest to mimowolne ostrzeżenie dla podróżnych że zwykłą uwagę turystyczną muszą wzbogacić o dodatkowe elementy, nieobecne w zaleceniach i wskazówkach przewodników.

Stacja jest biedna, brudna, zaspana. Żołnierze w długich szynelach i czapkach z czerwonymi otokami uwijają się energicznie, z pewnością siebie i kanciastością „prawdziwej władzy”, pilnując ogonka przed kasą, złożonego głównie z robotników-reemigrantów lub śpieszących w odwiedzinach do rodzin. Nasze bilety wystawione są do Madrytu, ale okazuje się że czekający na pasażerów z Francji pociąg hiszpański otrzymał nie wiadomo dla czego rangę „expressu” i wymaga dopłaty. W kiosku z gazetami, choć jest wtorek, można kupić tylko pisma niedzielne. Sam ich widok zniechęca. Istnieje związek układu graficznego gazet z kontrolą prasy: wygląd tych artykułów i artykułików, drukowanych niechlujnie jeden za drugim brzydką czcionką i na złym papierze, jak obwieszczenia i dekrety w cyrkularzach urzędowych, mówi sporo o lekceważącym stosunku do czytelnika który i tak nie ma w czym wybierać. Pozostaje zatem stać cierpliwie w ogonku i wpatrywać się w wiszącą nad okienkami kasy okrągłą, w miarę namaszczoną twarz z wąsikami na postumencie munduru generalskiego. Ten portret w różnych wersjach, to odmłodzonych i podretuszowanych, to zbliżonych bardziej do wieku portretowanego, będzie nam odtąd towarzyszył dość często. Następnie z nim spotkanie odbywa się już po godzinie, na porannej kawie w wagonie restauracyjnym. Patrząc nań, przypominam so-

bie nędzny pokoik hotelowy w Belgradzie, gdzie nad moim łóżkiem wisił tamtejszy portret o rozmiarach większych od otworu okiennego.

Jest smutnym przywilejem dyktatur, że krytycznie do nich usposobiony podróżny zdradza gorączkową ciekawość wszędzie, niczego nie prześlępiając i nie puszczając mimo uszu. W przedziale wagonu, zamiast wyciągnąć jak zwykle z walizki romans kryminalny i odgrodzić się nim od reszty pasażerów, śledzi czujnie bieg rozmowy i stara się nie uronić z niej ani słowa. W naszym przedziale rozmowa zaczyna się od dopłaty do biletu kolejowego.

— Ledwie się przejedzie granicę, już kradną — daje sygnał stara, tęga Hiszpanka, przyciskając rękami do brzucha zniszczoną torbę i tanią chustkę z perkalu. Jej twarz jest równie zniszczona i pomarszczona jak torba, w jej wypłowiałych oczach świeci gwiazdka gniewu. Nie, nie przyjechałaby tutaj z Paryża za nic na świecie, gdyby nie chora siostra w Madrycie! Siedzący obok niej dwaj młodzi ludzie, robotnicy z saksów w Holandii, potakują najpierw w milczeniu głowami zwróconymi ku oknu, a potem ożywają się stopniowo. Wybuchają naraz i gaśnie szybko płomień gorzkich żalów, taki sam zapewne we wszystkich pociągach, tramwajach i autobusach krajów obwieszonych tysiącami portretów.

— Biedna Hiszpania! — ucina w końcu stara kobieta.

— Biedna Hiszpania? — wzrusza ramionami jej sąsiad. — Biedni Hiszpanie!

Nie wiemy jeszcze że umykający za oknami pejzaż Starej Kastylii, niemal bez horyzontów, na pozór jałowy i monotony, jest zapowiedzią wspaniałego piękna tego kraju, które odwija się wolno i niechętnie, żądając od turysty większego wysiłku wyobraźni i subtelniejszej wrażliwości niż we Włoszech. Ale *Espana eterna*, Hiszpania krajobrazów, muzeów, kościołów, pałaców i zamków, Hiszpania El Greca, Velazqueza i Goyi, nie jest przedmiotem tych notatek pisanych na krótkich postojach dziesięciodniowej zaledwie podróży.



W Burgos zatrzymujemy się nie tylko dla katedry. Tutaj znajduje się największe w Hiszpanii więzienie polityczne. Wolno sądzić, że nie przypadkowo. Stąd, 1 kwietnia 1939 roku, *El Generalísimo* ogłosił swój *Comunicado de la Victoria*, wryty teraz na fasadach urzędów w wielu miastach i miasteczkach hiszpańskich: *En el día de hoy, cautivo y disarmado el ejército rojo, han alcanzando las tropas nacionales sus últimos objetivos mili-*

tares. La guerra ha terminado. Wojna skończyła się przeszło dwadzieścia lat temu, ale grób Republiki w Burgos jest nadal więzieniem jej pogrobowców.

O więzieniu w Burgos słyszeliśmy i czytaliśmy przed podróżą do Hiszpanii. Głośnym uczynił je świeżo czterdziestodwuletni poeta Marcos Ana, który spędził za jego murami dwadzieścia dwa lata, znalazł się niedawno na liście amnestyjnej i natychmiast po zwolnieniu wyjechał czy uciekł zagranicę. Ana, syn chłopski, został wzięty do niewoli jako żołnierz batalionu *Liberdad* przez Włochów z dywizji Littorio i przekazany nacjonalistom, gdy miał osiemnaście lat i był analfabetą. Skazano go na rozstrzelanie, ale z uwagi na młody wiek zamieniono mu karę śmierci na trzydzieści lat więzienia. W roku 1944 stanął znowu przed trybunałem wojskowym za kolportaż nielegalnej gazетки więziennej, znowu czekał go pluton egzekucyjny i znowu złagodzone mu wyrok do trzydziestu lat więzienia. Przy systemie „potrąceń”, stosowanym w więzieniach hiszpańskich za dnię pracy, miał wyjść na wolność około roku 1980. Amnestia, ogłoszona dla więźniów którzy odsiedzieli powyżej dwudziestu lat, otworzyła przed nim świat pożegnany zdawałoby się na zawsze w młodości. W ciągu dwudziestu dwóch lat spędzonych w Burgos przeszedł pod okiem swych uczonych towarzyszy więziennych, w tym kilku profesorów uniwersytetu w Salamance, wszystkie stopnie wykształcenia i stał się poetą.

Jego konferencje prasowe i odczyty ujawniły, że w więzieniu w Burgos „przygotowują się kadry kierownicze nowej, nadchodzącej niechrońnie Hiszpanii”; i że przebywa w nim ponad czterystu więźniów politycznych. Ten drugi punkt jest dość istotny. Hiszpańskie „czynniki miarodajne” zapewniają, że nie ma już dziś w Burgos więźniów politycznych. Nie ma ich na papierze: sędziowie hiszpańscy włączają przestępstwa typowo polityczne w ramy paragrafów karzących za przestępstwa pospolite. Jako przestępców pospolitych sądzono, na przykład, organizatorów wrześniowego strajku górników w Asturii. Kim są ci sędziowie? Członkami trybunałów wojskowych, które w ćwierć wieku po zakończeniu wojny domowej działały według procedury zbliżonej do procedury sowieckich „sądów ludowych” (z tą tylko różnicą że stalinowska „filozofia prawa”, w przeciwieństwie do frankistowskiej, wolała raczej „upolitycznić” przestępstwa pospolite niż na odwrót). Książę Filippo Caracciolo, O. Alexandre Glassberg i profesor Carazol Dieste, znawcy przedmiotu i świadkowie obrony w procesie grupy studentów włoskich oskarżonych o porwanie wicekonsula hiszpańskiego w Mediolanie, potwierdzili to w całej rozciągłości.

Pewien rozgłos więzieniu w Burgos nadał również prze-mycony do Rzymu przez Paryż list, jaki 422 jego więźniów politycznych, ośmielonych przypuszczalnie interwencją kardynała Montini w obronie skazanego studenta katalońskiego Jorge Conilla, wystosowało do Jana XXIII. Autorzy tej supliki prosili Papieża wyznaczenie komisji międzynarodowej, złożonej z sędziów, lekarzy i dziennikarzy, i upoważnionej (oczywiście za zgodą Caudilla) do zbadania sytuacji w więzieniach w Burgos, Carabanchel, El Dueso i Alcalá de Henares. List mówił o torturach w więzieniu w Burgos i dodawał: „Jest nas tu 422, odsiedzieliśmy już 4150 lat, mamy jeszcze do odsiedzenia 6568 lat... Niektórzy z nas zostali skazani na 15 lat za zwykłą przynależność do partii politycznej”.

W krajach policyjnych nie jest rzeczą roztropną i bezpieczną pytać o więzienie. Na szczęście znajdujemy jego adres w książce telefonicznej: *Prison Central, Camino Villanon*. Ale z planu miasta widać, że Camino Villanon jest szosą prowadzącą z Burgos do Valladolid. Należy wyjść daleko za rogatki, w puste zapewne pole, co nie sprzyja zbyt zachowaniu aparycji mimowolnego i nieświadomego przechodnia.

Droga wytyczona na planie prowadzi z naszego hotelu przez *Calle del Generalísimo*, śliczną aleję wzdłuż rzeki wysadzaną klonami. Tablica na jednej z kamienic przypomina nam od razu na wstępie że jesteśmy w mieście, w którym zatriumfowała ostatecznie *Espana vencedora del comunismo*. Jest późne popołudnie, godzina przechadzki. Kobiety z dziećmi wolnym krokiem przemierzają tam i z powrotem deptak, w staroświeckich kawiarniach siedzą samotnie starsi panowie nad gazetami, parami maszerują *guardias civiles* z przewieszonymi przez ramię karabinami i w czarnych ceratowych kapeluszach, czasem przemyka się chyłkiem gromadka kleryków z pobliskiego seminarium, na dnie wyschniętego koryta ślimaczą się fale Arlanzónu.

Zapada niebawem zmrok, na ulicach wybiegających z miasta latarnie palą się rzadko. Krążymy długo i po omacku, zanim udaje nam się znaleźć szosę która prawdopodobnie nosi nazwę Villanon. Ale jest już za ciemno by kontynuować wędrówkę, przed nami rozpościera się noc bez światła. Wracamy więc do Burgos dzielnicą robotniczą, gdzie w wąskich zaułkach gnieździ się hiszpańska bieda: milcząca, nie nagabująca, pełna godności, na swój sposób schludna, rozpoznawalna tylko po mdło oświetlonych okienkach, po wybojach w nagiej ziemi jezdni, po sklepikach ziejących wilgocią i zapachem karbidówek, po mizernych dzieciach, po twarzach których nie widuje się podczas przechadzki na *Calle del Generalísimo*.

Dopiero nazajutrz, na godzinę przed odejściem pociągu do Madrytu, decydujemy się zaproponować taksówkarzowi żeby nas zawiózł do więzienia, a stamtąd prosto po spakowane walizki do hotelu i na dworzec. Godzi się, choć nie bez pewnej konsternacji. Po drodze opowiada nam, że w więzieniu siedzi już mało politycznych, że właśnie niedawno wypuszczono zeń studenta medycyny skazanego w okresie wojny domowej, który przez kilka jeszcze miesięcy po zwolnieniu mieszkał w Burgos i bywał często wzywany do szpitala więziennego w wypadkach cięższych operacji. Potem zapewnia nas że życie stało się ostatnio znośniejsze, że Franco otacza szczególną opieką miłe jego sercu Burgos, że z zarobków łatwiej teraz wykroić sumę potrzebną na kupno ubrania. Gdy dojeżdżamy do więzienia, dużego czworoboku w opustoszałej okolicy żółcącej się rżyskami i płatami kamienia, zakręca bez zatrzymania się na okrągłym placu przed bramą i nie patrząc na nieruchomych strażników, dodaje gazu. Przed nami, na tle czystego i pogodnego nieba jesiennego, wieżyczki gotyckie katedry w Burgos; za nami — znikające szybko wieżyczki strażnicze więzienia w Burgos.



W miastach hiszpańskich, szczególnie w Madrycie, widuje się duże ilości ślepców. Stoją przeważnie na rogach i sprzedają losy na loterię, wykrzykując cierpliwie obietnicę miliona ukrytego w rozpedzonym kole Fortuny. Gdy zmieniają miejsce lub wracają późnym wieczorem do domów, ich krok jest śmiały, stukot lasek pewny, i rzadko proszą o pomoc przy przechodzeniu ulic. Prawie nigdy też nie korzystają z usług młodocianych przewodników. Ich wiek waha się na ogół od czterdziestu do pięćdziesięciu lat. Nie popęlnia się chyba omyłki sądząc, że większości z nich zamknęła na zawsze oczy wojna domowa. Są więc ciągłym przypomnieniem, że milionem z lat 1936-1939 był milion poległych.

Nawet jeśli nie wszyscy rozmówcy przyznają się do tego otwarcie, pamięć wojny domowej jest w Hiszpanii obsesją, cieniem towarzyszącym nieodstępnie każdej ocenie politycznej, każdemu przewidywaniu na przyszłość.

W Prado przykuwa uwagę niewielki obraz Goyi *Panico y Caos*, który przedstawia ogromne i ciemne widmo o ludzkich kształtach, ścigające przerażony i rozsypany w popłochu tłum. O tym widmie myśli się często, słuchając objaśnień na temat sytuacji w Hiszpanii. To widmo jest obecne dniem i nocą w hiszpańskiej podświadomości zbiorowej. Temu widmu zawdzię-

cza swoje istnienie ogródek Małej Stabilizacji, uprawiany na stokach niewygasłego wulkanu. Tym widmem *El Caudillo* podpierają najskuteczniej swoją władzę. Wnioski takie nasuwa również pogawędka z profesorem L. w jego madryckim mieszkaniu w okolicach Plaza Mayor. Miarą anachronizmu reżymu jest fakt, że Franco interesuje wszystkich głównie jako nieboszczyk. Potem, co potem? Bezkrwawe przejście do nowej formy rządów, czy nowa wojna domowa? Powrót do Europy, czy Panika i Chaos? Uzgodniona zawczasu sukcesja, czy *après moi le déluge*? W Madrycie kursuje następujący dialog:

- Hurra! Franco sobie poszedł!
- Nareszcie! Kto przyszedł na jego miejsce?
- Franco.
- Chwała Bogu!

Profesor L. jest sceptykiem z domieszką umiarkowanego optymizmu. Nie wierzy, że Franco wypuści dobrowolnie z rąk ster przed oddaniem Bogu sfatygowanego ducha. Coraz natarczywsze pogłoski o pertraktacjach z Don Juanem uważa nasz madrycki mentor za grę na zwłokę: nikt, nawet Republika, nie skompromitował w Hiszpanii monarchii w sposób równie nieodwołalny jak Franco; apanaż dwunastu tysięcy funtów rocznie, wypłacany pretendentowi z funduszków *Santos Lugares*, jest tyleż tanim gestem na odczepne w stronę przysięgłych monarchistów i niecierpliwych, co nadaniem Don Juanowi formatu króla kieszonkowego. Wyznaczenie generała Munoz Grandesa (szefa sztabu i b. dowódcy Błękitnej Dywizji, która była jedynym wkładem Caudilla do „świętej krucjaty przeciw bolszewizmowi”) na stanowisko wicepremiera ma charakter podobnie taktyczny, bez istotnego znaczenia dla problemu sukcesji: po pierwsze, następca *in pectore* jest dość stary i chory; po drugie, nie cieszy się pełnym poparciem Armii, czego nie tai np. wcale generał Garcia Valino. Wszystko to są drobne posunięcia w partii szachów, które pozwalają graczowi z inicjatywą zachować pozycję superarbitra i odwlec wynik do chwili, gdy śmierć i tak wytrąci mu figury z dłoni. A potem, co potem?

Domieszka optymizmu w rozumowaniu profesora L. bierze się z lekcji, jaką był wrześnieowy strajk górników w Asturii. Zauważono w nim dwa nowe symptomy: osłabienie reżymu; oraz niespodziana i prawie spontaniczną reakcję Kościoła, która zdaje się wskazywać na chęć zeskoczenia przy lepszej okazji z rydwanu zwycięskiego niegdyś Wodza. Czynniki drugi jest zwykłą pochodną pierwszego i posiada naturalnie w sytuacji hiszpańskiej większą wagę doraźną. Odbywa się zatem powolne i ostrożne składanie reżymu do grobu? Być może. Jeśli tak, to nie jest plodem

fantazji perspektywa sojuszu postępowych odłamów *Opus Dei*, zadowolonych już w wielu ministerstwach, z wojskiem. Nie wiele, ale dość by uniknąć jatki w okresie przejściowym. A potem, co potem? Rząd złożony z techników za którymi stoi Kościół i z generałów, lecz pozbawiony cech dyktatury osobistej, nie ma przed sobą innej drogi jak przejść z kolei do referendum instytucjonalnego i rozpiścić wybory do parlamentu. Za sobą będzie już jednak miał pierwszy najgroźniejszy moment *vacuum*, chwilę zawieszenia rozstrzygającą o tym czy zacznie się Noc Długich Noży i czy z mroków wynurzy się widmo Paniki i Chaosu. Reszty dokonają pokusy za ścianą: Wspólny Rynek, europejski „cud gospodarczy”, Ameryka.

Wróciwszy przed rokiem do kraju po kilkunastoletnim pobycie na emigracji, profesor L. opowiada sporo o kłopotach swojej akomodacji w państwie policyjnym. Słuchając go uważnie, widzę że nawet pod tym względem Hiszpania jest czymś anachronicznym, zbliżonym bardziej do Rosji jaką znamy z *Byłoję i dumy* lub z pamiętników pisanych u progu 1905 i 1917 roku, niż do nowoczesnego systemu totalitarnego. Słuchacza mojego pokroju uderza (i napełnia niekiedy zazdrością) przestronny margines, jaki dyktantyzm i niekompetencja nadzorców pozostawiają przedsiębiorczości nadzorowanych.



Niepodobieństwem jest odtworzyć nieoficjalną, a tym bardziej podziemną mapę polityczną Hiszpanii. Notowania i rachuby starych partii, odstawionych do lamusa bez postawienia poza prawem, musiały zapewne podskoczyć o kilka kresek, skoro przywódca chadeków Gil Robles i przywódca liberałów Dionisio Ridruejo (ex-falangista) przedsięwzięli wyprawę na zlot Ruchu Europejskiego w Monachium i podpisali tam wraz z emigrantami uchwałę, która brzmi jak instrukcja pogrzebowa nad łóżem śmierci Franca: „Znakomita większość narodu żywi nadzieję, że zmiana nastąpi według reguł przezorności politycznej. Jest rzeczą konieczną by przed, po i w czasie procesu ewolucyjnego zaniechana została wszelka forma gwałtu”. Robles wyładował po tej podróży na wygnaniu w Paryżu, co (jak mnie zapewniano) nie wyjdzie na zdrowie jego formacji opartej z konieczności na kontaktach osobistych i polityce kameralnej. Franco zawiesił dodatkowo na dwa lata artykuł konstytucji, gwarantujący obywatelom prawo swobodnego obierania miejsca pobytu na całym terytorium państwa.

W podziemiu najsilniejsi są podobno socjaliści w dwóch swoich rozgałęzieniach: *Partido Socialista Obrero Espanol* i *Movimiento Socialista de Catalunya*. Wydawany w Tuluzie organ PSOE, *Nouvelle Espagne*, dociera ponoć bez większych przeszkód do upatrzonych odbiorców w Hiszpanii. Pięćdziesięciu czterech socjalistów stanęło ostatnio przed trybunałem w Madrycie po czterech latach oczekiwania na rozprawę. Odroczone rozprawę natychmiast po odczytaniu aktu oskarżenia.

W czasie naszego pobytu w Madrycie wszystkie gazety podały jednobrzmiącą wiadomość, że członek Centralnego Komitetu hiszpańskiej partii komunistycznej Julien Grimau Garcia wyskoczył przez okno pod koniec przesłuchania w centralnej komendzie policji; ciężko rannego, odwieziono go do szpitala. Z tej notatki petitem czytelnicy gazet madryckich dowiedzieli się, że *Espana vencedora del comunismo* nie zakończyła jeszcze po dwudziestu trzech latach swego dzieła. Ja zaś, czytając ją nazajutrz po wizycie u profesora L., pomyślałem że nie we wszystkim policja hiszpańska jest tak przestarzała jakby się wydawało, jeśli się zważy że przesłuchiwanie mają na ogół zwyczaj wyskakiwać przez okno u kresu wytrzymałości fizycznej lub psychicznej. Co nie przeszkadza w oddaniu i jej i cenzurze hiszpańskiej tego, co im się słusznym tytułem należy: daleki towarzysz Juliana Grimau Garcia, Henryk Holland, zasłużył sobie w Warszawie tylko na krótką wzmiankę o „tragicznej śmierci”, bez dokładniejszego wnikania w towarzyszące jej okoliczności.

Uczestnicy wycieczki do Toledo, organizowanej przez madryckie biuro podróży, mają w itinerarium obowiązkową godzinę historii współczesnej: Alcazar. Oglądają tam pamiątki oblężenia, podobizny najmężniejszych obrońców, hołdy nadesłane z zagranicy (m.in. ukraińskie *Słowo o złotym pułku Antonycza*, ogłoszone we Lwowie w 39 roku). Gwoździem programu dla przewodnika jest opowieść, ilustrująca rozwieszony na ścianie stenogram krótkiej rozmowy telefonicznej między dowódcą oblężonych pułkownikiem Moscardo i dowódcą oddziałów republikańskich: Moscardo odmawia poddania twierdzy, mimo że *los rojos* dyktują mu ultimatum z pistoletem przyłożonym do skroni jego syna. Stenogram kończy się wymianą kilku pożegnalnych zdań między ojcem i synem. Ta cudnej prostoty synteza wojny domowej — z krwiożerczością czerwonych z jednej, a śnieżnobiałością białych z drugiej strony — nie zdaje się trafiać zbytnio do przekonania słuchającym jej grzecznie turystom.

Także wycieczka do Escorialu związana jest z lekcją historii współczesnej: wizytą w pobliskiej Dolinie Poległych — *Valle de los Caidos*. Wyrąbano tu z ogromnym nakładem środków i pracy kościół w skale, który ma łączyć w ostatecznym pojednaniu cienie miliona ofiar bratobójczej walki. Nad doliną góruje gigantyczny krzyż z kamienia. Kościół jest brzydki i jak wszystkie na świecie mauzolea ma w sobie coś z monumentalnej hipokryzji. Przed ołtarzem znajduje się płyta grobowa Jose Antonio Primo de Rivera, miejsce uznane widać przez projektodawców za idealny punkt spotkania dwóch korowodów śpieszących ku sobie z zaświatów przy dźwiękach nie surm bojowych, lecz muzyki anielskiej i chórów głoszących wieczystą zgodę. Leży na niej właśnie wieniec z napisem: *A Jose Antonio la vieja guardia de Vizcaya*.

Nie zapomnę nigdy chwili przed odjazdem z Toledo. Wyszedszy z domu El Greca w dawnej synagodze, staje się na małym *belvedere* poświęconym pamięci malarza. W dole Tago wije się wężowymi skrętami, jakby werżnięta głęboko w ostrą skałę, jakby uwieczona siłą i zamurowana w wysokich brzegach, a równocześnie dziwnie spokojna, pokorna, prawie martwa. Jest w tym poskromiona dramatyczność linii, która musiała zachwycać oko Mistrza. Wznoszące się łagodnie wzgórza za rzeką, nagie i tylko gdzieniegdzie przetykane oliwkami, zamyka krajobraz nietknięty, jeden z tych krajobrazów jakie we Włoszech spotyka się czasem w niektórych zakątkach Umbrii.

W Seville odwiedzamy pisarza katolickiego R., autora kilku powieści historycznych znanych również poza granicami Hiszpanii. Nie jest — jak wyjaśnia od razu na wstępie — powieściopisarzem historycznym z powołania i swobodnego wyboru; woli po prostu, dla świętego spokoju, poruszać się w rejonach jak najodleglejszych od bieżącej rzeczywistości z jej wszystkimi zdradliwymi kolcami.

W ustach hiszpańskiego pisarza katolickiego taka deklaracja zastanawia. Jeszcze bardziej zastanawiające są dalsze wywody R. Pokrywają się one z oceną profesora L. tylko w części dotyczącej polityki Caudilla. Znowu padają te same argumenty przemawiające za przywiązaniem Franca do władzy, za jego zręcznym kluczeniem i rozgrywaniem konkurentów, za trzymaniem przezeń za gardło Hiszpanii w zaułku bez wyjścia. Różnica pojawia się dopiero u progu sakramentalnego pytania: co potem? R. nie przeczy, że strajk w Asturii odsłonił gotowość Kościoła do porzucenia Franca. Ale według niego jest już za późno; grubo za późno, na wy-

cofanie się ze współodpowiedzialności. Nadchodzi *hora de la verdad*. Kościół otrzymał tu z woli Franca przywileje, jakich nie posiadał nawet za czasów *los reyes catolicos*. Co z nimi zrobił? Użył ich dla oplątania i zduszenia kraju siecią monopoli. Każdy drobiazg wymaga wstawiennictwa kleru. Każde wstawiennictwo kleru wymaga zapłaty. Nikt i nic nie wymaże pamięci tych lat. A już na pewno nie *Opus Dei*, wyhodowany w tradycji wyłączności przez swoich mocodawców i założycieli, niemniej od biskupów i księży czynny w codziennym stosowaniu integralizmu katolickiego. Za późno na małe koncesje i gesty opiekuńcze! Nastanie tu kiedyś, z naruszeniem chwiejnej równowagi którą Franco utrzymuje jak żongler piramidę przedmiotów na czubku nosa, Sądny Dzień przejmujący zgrozą wszystkich dobrych i czystych synów Kościoła! Poleje się krew, której nie zatamują żadne koniunkturalne sojusze! Jak z tego widać, R. jest pisarzem z naturalną skłonnością do tonów kassandrycznych i apokaliptycznych. Jego głos, jeśli się pamięta z jakiego pochodzi środowiska, zasługuje jednak na uwagę po założeniu nań odpowiedniego tłumika.

Pożegnawszy nas, R. wychyla się jeszcze zza drzwi swego mieszkania w czarującej dzielnicy Santa Cruz i mówi półszepem: — Żyje się źle, ale chwalić Boga że się żyje.

W drodze autobusem z Seville do Granady zatrzymujemy się kilkakrotnie w małych miasteczkach i wsiach. Nędza jest tu podobna do sycylijskiej, moneta pięciopesowa wciśnięta do ręki zebrzącej kobiecie z dzieckiem budzi osłupienie. Potęgę Kościoła wyrażają księża o solidnym ciężarze bezspornych i uznanych notabłów, w każdym calu odmienni od typu ubogiego proboszcza z południa Włoch. Potęgę Reżymu — koszary wojskowe lub komisariaty *guardias civiles* z napisami *todos per la patria*, oraz pęki pięciu strzał Falangi na rogatkach, zmywane powoli deszczem zanim zmyją je ludzkie ręce jak pęki różg liktorskich we Włoszech.

A przecież nie wszędzie przeważa to uczucie izolacji, zafiania, stojącej sadzawki. Na peryferiach większych miast widuje się bloki mieszkaniowe w budowie, słyhać o ożywieniu się przemysłu, o zastrzykach dolarów, o milionach turystów. Ale przeciętne płace są niskie, przeciętny koszt życia wysoki, a turyści (nawet z kulejących niegdyś Włoch) szerzą samym swym wyglądem i zachowaniem zaraźliwą nowinę o rosnącym za łańcuchem Pirenejów dobrobycie. Wzywa się więc do wzrostu wydajności i ofiar, obiecuje się poprawę za węglem, minister Ullastres z *Opus Dei* dogląda osobiście punktualnego stawiania się w urzędach (nazywają go w Madrycie *el abominable hombre de las*

nueve), zapewnia się w gazetach i w telewizji że Hiszpania pędzi naprzód pełną parą. Pędzi istotnie: jak rozklekotany i wysłużony pociąg, przemianowany zwykłym zarządzeniem władz na „expres” do którego obowiązuje specjalna dopłata.



Zauważyliśmy go jeszcze na dworcu w Walencji, w ogonku do kasy biletowej. Posuwał się otoczony gromadką odprowadzających, z zaczerwienionymi lekko oczami, wyrzucając z siebie gorączkowe i poszarpane zdania. Gromadka słuchała go w milczeniu, tylko niekiedy ktoś dotykał ukradkowo jego ramienia lub pleców jakby chciał w tym dotyku przechować pamięć trwalszą od obrazu. Opodal, na uboczu, stała jego towarzyszka. Do niej zwracał się od czasu do czasu po francusku.

O północy odnajdujemy się w tym samym przedziale pociągu idącego do Barcelony. Siada obok mnie i mówi dalej, nie panując nad wzruszeniem i podnieceniem, teraz już wyłącznie po francusku. Jego towarzyszka przerywa mu jedynie potakującymi monosylabami, raz czy dwa ujmując w obie ręce jego dłoni i gładzi ją pieszczotliwym ruchem jakim wzywa się dzieci do uspokojenia. Wkrótce potem gasimy w przedziale światło i próbujemy usnąć ciała rytmem kół podskakujących gwałtownie na spojeniach szyn. On jeden wierci się nerwowo, zmienia wciąż pozycję, wzdycha ciężko.

Wytrąca nas z pierwszej drzemki szarpnięcie drzwi, połączone z trzaskiem kontaktu: stojący w progu niski i krępy cywil odchyła bez słowa klapę marynarki z ukrytą pod nią dużą gwiazdą. Sięgamy po paszporty. Mój sąsiad wyciąga swój, francuski, i podaje go nie podnosząc głowy. Niski i krępy cywil przekartkuje uważnie książeczkę, zapisuje coś w notesie i gasi światło.

Przed świtem budzi mnie nieznośne pragnienie. Miejsce obok mnie jest puste. Wychodzę także na korytarz. Oparty ramionami o poręcz okienną, nie zauważając mojej obecności, patrzy z napięciem na mijaną okolicę. Dojeżdżamy już do Barcelony, bo na polach błyszczą zalewy po powodzi, a z rozrzedzonej ciemności sterczą szkielety chałup i stodół. Nigdy nie widziałem wzroku tak pełnego miłości i nienawiści.



W Barcelonie nie mamy żadnych adresów i skierowań, toteż większość czasu spędzamy w muzeum katalońskiej sztuki romańskiej.

Barcelona jest ładnym miastem, niesłusznie porównywanym do Neapolu. Odczuwa się w niej raczej tętno hiszpańskiego Mediolanu, większą niż gdzie indziej energię i żywość, silniejszy zrost z Europą.

Zegnamy ją ostatnim spacerem na Plaza de Cataluna. Kilkunastu przechodniów stoi przed telewizorem obok kiosku z gazetami. Rozchodzą się wszyscy wolno nim po skończonym programie pojawia się na ekranie najpierw Portret Generała, potem Krzyż i wreszcie Znak Falangi.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

“DOKUMENTY CHWILI”

Zeszyt I wyszedł spod prasy. 290 stron druku,

Cena 22 sh., \$ 3, NF 15 — wraz z przesyłką

Dwadzieścia starannie zebranych dokumentów daje czytelnikowi wgląd w istotę zatargów, wstrząsających jednością bloku komunistycznego. W zatargach tych Mao Tse-tung przemawia głosem komunistów albańskich, Chruszczow — głosem komunistów włoskich, a do polemik tych dołącza się postronny komentarz jugosłowiański. Pełne teksty przemówień i artykułów prasowych chińskich, albańskich, włoskich i jugosłowiańskich po raz pierwszy wprowadzają czytelnika polskiego w gąszcz sporów ideologicznych, dzielących różne odmiany komunizmu współczesnego. Na dnie tych sporów kryją się sprzeczne interesy, dążenia i ambicje rywalizujących ośrodków. Zamiast słowa wstępnego — wnikliwy komentarz „Od Marksa do Chruszczowa”, pióra Adama Ciołkasa.

Do nabycia w spółce wydawniczej „GRYF”,

171 Battersea Church Road, London, S.W.11

Broggart

OPOWIEŚĆ PRZY SZKLANCE

— Dość dawno, w latach pięćdziesiątych, byłem raz w Marles-Mines. To jest miasteczko w Pas-de-Calais, czarny kraj górniczy. Mokra zima, jaskrawo zielona ruń na polach, atramentowe hałdy, i w powietrzu ruch, to kręcą się koła wyciągów. Lało niemal bez przerwy, w Marles mury poliszajone wilgocią, błoto między kamieniami bruku, szkieletowe drzewa. Pierwszy przechodzień zapytany o drogę, górnik ze skórą tatuowaną węglowym pyłem, wracał z pracy, niósł lampę, odpowiedział w języku w jakim do niego się zwróciłem, bo mam oko, Polak, w ogóle tam po polsku chyba z połową mieszkańców można się było porozumieć. Koloryt światła tam mętny, mglisty, kiedy otworzyło się drzwi kafejki buchał stamtąd kłęb pary, może niesłusznie na całe światło tamtejsze te dymy i pary przenoszę. Przed kafejkami rowery, a we wszystkich kafejkach ludzie za kieliszkiem calvadosu gadali wtedy o sprawie Brognarta. I w Marles, na miejscu, ta sprawa mnie przejęła i poruszyła. Nie mnie sądzić jak ustawić się moje szale, mojego zła i dobra, czasem mi się zdaje, że jedno mogłoby przeważyć, te chwile kiedy rządził mną mus, żeby bić, wołać, bo to niemożliwe, bo nikt, nikt, więc ja powinienem, na mnie to ciąży. Postanowiłem, że ja przynajmniej nie przemilczę, wypytywałem tubylców, poszedłem do sąsiedniego Bruay, tuż obok, dwa miasteczka są przedzielone tylko rodzajem wąwozu, i od młodego nauczyciela dostałem zeszyty szkolne Brognarta: rozbiory Cyda, Iliady, patykowatym pismem pilnego ucznia. Ten nauczyciel do dziś sądzi, że byłem oszustem czy podesłanym, bo nic z moim mocnym postanowieniem nie zrobiłem. Jeżeli dobrymi chęciami piekło brukowane, to tutaj szala przechyla się przeciwko mnie. Tym bardziej, że z mojej strony to nie był zamiar latania

z wywieszonym językiem po całej ziemi i brania wszędzie w obronę torturowanych, nawet w takich krajach jak Francja, gdzie jest dość pisarzy i dziennikarzy wrażliwych na ogół na losy swoich współplemieńców. Nikt z Francuzów nie miał pojęcia o tym co przypało Brognartowi w udziale, nikt nie potrafiłby się z nim zidentyfikować, ich wyobraźnia tak daleko nie sięgała, potrzebny był tutaj inny trening wyobraźni, mój, ze wschodu Europy, i dobrze wiedziałem, że jestem jedyny.

— Kilka razy próbowałem i zawsze znajdowałem pretekst, różne zajęcia, żeby Brognarta odsunąć. Jakież więc były te przeszkody? Przede wszystkim, Brognart już nie żył. Czyli był zrównany z tłumem nieobjętym cyfrą, tłumem bitych, deptanych, kaleczonych, w ósmym wieku przed Chrystusem czy w dwudziestym po, nic tu nie ma do czynienia czas. Dlaczego więc on, właśnie on, o niego żal, o niego pretensja? Nawet gdyby ograniczyć się do czasu mojego życia, zaraz niedostateczna racja, bo takich jak on zginęło miliony, a bliższa koszula niż kaftan, jest takie polskie przysłowie, raczej bym wziął kogoś z lepiej mi znanych niż Francuza. Co prawda była zagadkowość w moim nagłym uczuciowym odzwieku na te rozmowy w Marles-les-Mines, prawie odgadywałem, że Brognart mnie tak obchodził bo jakby zastępca, różnymi nienazwanymi nitkami połączony z tym i owym człowiekiem dla mnie dotykającym. Niemniej brak racji, tym bardziej że samochody, teatry, kwiaty, pociągi wypchane narciarzami, ludzkie wirowisko, które zasklepiło ubytki szczelnie i nie chciało dowiadywać się rzeczy niepocholebnych o sobie, więc co tam znał jeden Brognart. Występować na forum, przypominać, po to żeby odwrócili się z ziewaniem od nudziarza albo mrugali porozumiewawczo: jeszcze jeden spryciarz, nawet zręczny, mnoży swój polityczny kapitałik.

— Bo sprawa Brognarta była już polityczna, nie z jego woli, co tam na polityce może znać się podrostek ze swoimi rozbioremami Corneille'a i Racine'a. W Pas-de-Calais lokalna, używana w rozgrywce wyborczej, ale gdzie indziej wkraczała już w filozofię, w literackie salony, gdzie wyleźć z nią inaczej niż z kpina byłoby nietaktem. I choć nie troszczyłem się o taktowność, ten zakaz paraliżował mnie w pośredni, szczególnie sposób. Znadto zaangażowałem się uczuciowo w tę historię, więc z samego szacunku dla głównej postaci wolałem raczej milczeć, żeby nawet w swoich tylko oczach nie narażać się na przypuszczenie, że posługuję się Brognartem jako jeszcze jednym argumentem dla swego usprawiedliwienia czy dla obrony własnej cnoty. Owszem, dość jasno rysowała mi się książka jaką umiałbym przyrzadzić, nawet jej plan, poszczególne rozdziały. Ale wyobraźmy sobie że

się ukazała, nikomu nie byłaby potrzebna. Jedni wyszydzą ją, podając za przykład „zafałszowanej świadomości” jej autora, drudzy zbyliby ją grzecznie, pochwalili zdawkowo, bo co dla mnie jest czeluścią, widzeniem czeluści, dla nich jest tylko bronią w politycznej hecy, uprawianej z innych niż jacykolwiek Brognartowie powodów. A przyznaję, że ta cała historia jest fantastyczna, absurdalna, nietypowa, toteż i ci drudzy omijaliby ją, zażenowani.

— Ale nie będę dłużej krążyć. Brognart, na imię Gilbert, był synem sztygara, urodził się w Marles. I rodzina jego ojca i rodzina matki to były rodziny chłopskie, tamtejsze, grzebały się w ziemi od pokoleń, kiedy jeszcze nie podejrzewano że pod spodem jest węgiel. Potem ich ziemia, a nie uszczuplali jej przez podziały, nabrała ceny, rolnictwo zarzucili, imali się nowych zajęć, przy kopalniach, zawsze jednak z tym zapleczem w rejentalnych księgach, więc mówiono w Marles że te rodziny to hoho, i ten dom ich, i drugi, i ta i owa działka. Ale jak to we Francji, żadnego pokazywania, sknerstwo, raczej jęki że nie starcza na chleb i wino. Ojciec Gilberta porzucił matkę kiedy Gilbert był mały, uzyskał rozwód, ożenił się po raz trzeci, chłopak widywał go rzadko, bo rósł w Marles przy matce, z babką i ciotkami, a ojciec mieszkał w Auchel i tam umarł. Matka trzęsa się nad jedynakiem, może nawet bardziej niż zwykle matki trzęsą się nad jedynakami, jakby desperacka miłość, i z przyczyny tego rozvodu i, kto wie, dramatów w rodzinie, jakby wygasającej. Na przykład jedna jej siostra była pomieszana, zgwałcili ją angielscy Tommies kiedy tam stacjonowali podczas pierwszej wojny i wtedy jej w głowie coś się przekreśliło. Ale nie wygląda na to żeby Gilbert był szczególnie psuty i rozpieszczany. Całkiem normalny chłopak, pilny, rzeczowy, poważny, lubiany przez kolegów, dobry w sportach. Ani żadnych skłonności do ekstrawagancji, do zbyt wybujałych marzeń, ponad potrzeby najbliższego otoczenia. Nie piął się, po Ecole Primaire dalej chodził do tej samej, w wyższym stopniu, według francuskiej nomenklatury Ecole Primaire Supérieure, potem College Moderne, przygotowywał się do szkoły górniczej, że zrobi tam dyplom inżyniera, powróci do Marles. Był mocny w matematyce i fizyce. Z tego co mi opowiadał jego nauczyciel wyrobiłem sobie o nim dokładne, myślę, pojęcie. Typowy chłop z północy Francji, flegmatyczny, ironiczny z cicha pęk, nie ujawniający swoich uczuć, a przy tym upór, silna wola, niezależność. Nigdy nie uprawiał podwójnej gry, zawsze mówił co myślał — to specjalnie podkreślał nauczyciel. W zespole, w klasie czy na boisku, dynamiczny. Do szkoły w Bruay jeździł najpierw na rowerze, kiedy skończył szesnaście lat matka

kupiła mu motocykl, jedyny ślad rozpieszczania, choć też nie bardzo, bo tam rower albo motocykl konieczny. Wypadek motocyklowy dowiódł jego zimnej krwi, pękła mu przednia opona, ale nie stracił się. Jeżeli dostawał od matki kieszonkowe pieniądze, największą jego przyjemnością było zrobić przyjemność innym, kiedy widział że jego kolega ma na coś ochotę, zaraz kupował. Społeczny w miarę, należał do jednej organizacji — Jeunesse Etudiante Chrétienne.

— Fotografie Brognarta zgadzały się z relacją nauczyciela. Twarz miła, statecznego podrostka, silny podbródek, delikatny wykrój ust, nos wydatny, trochę po dziecinnemu kartofelkowaty, spojrzenie śmiałe, uważne, nieco liryczne. I właśnie, jak przypuszczam, jego usta i oczy we mnie ugodziły, bo przypominały oczy i usta kogoś mnie bliskiego, z mojej rodziny. Na niektórych co prawda zdjęciach Brognart był w okularach, takich o cienkiej metalowej oprawie, i tam już podobieństwo się zacierało.

— Ale przy całej stateczności nie byłby szczeniakiem gdyby nie pociągało go hasanie, obwąchiwanie świata, zwiedzanie. Naturalnie szalał za turystyką, wyprawami w nieznane okolice. W Marles miał po temu kompana, przyjaźnił się z synem rzeźnika, to była rodzina polska, rodem z miasta Torunia. Zdarzyło się, że krewni zaprosili polskiego chłopca do siebie do Torunia na wakacje i ten zaraz zaproponował Gilbertowi żeby pojechał z nim razem. Okazja wyjątkowa, Gilbert nigdzie dotychczas nie był poza Francją, a tak naprawdę, poza Nordem. Więc uprosił matki żeby mu pozwoliła. Pewnie nie chciała, jest ta francuska nieufność do nieokreślonych krajów, ale odmówić trudno, zdał właśnie egzaminy bachot i miał w jesieni jechać do szkoły górniczej. Działo się to w roku 1939. Brognart właśnie skończył osiemnaście lat — urodził się 1 czerwca 1921. Czy tam w Marles orientowano się w polityce międzynarodowej, nie wiem, Marles to nie Paryż, jest prawdopodobne, że matka miała obawy, bo postawił na swoim nie tak od razu, wyjechał do Polski dopiero w drugiej połowie sierpnia.

— Toruń jest pięknym miastem, a tam w rodzinie swego przyjaciela zastał gromadę chłopców w swoim wieku, wszystko nowe, architektura, rzeka, kajaki, więc czas im upływał rozkosznie i tak wojna Brognarta w Polsce zaskoczyła. Wymawiam to słowo wojna ale ono jest drętwe, niedokładne, bo wojna oznaczać może i Greków pod Troją, i wielkie nagłówki w gazetach czytanych przy kawie, kiedy nas to bezpośrednio nie dotyczy, i zniżki albo zwwyżki na giełdzie. Tam jednak nie była tym wszystkim, tradycyjnym, tylko niszczącym ogniem z nieba, niebo bżykało i drżało od przesuwających się maszyn a w dole, na polnej

plaszczyźnie, migwały w dymie czerwone centra pożarów i jedna społeczność ludzka rozprzęgała się, obnażała się, pokazując to, co jest pod każdą społecznością ludzką, niech będą zadowoleni ci co tego nie znają. Brognart ruszył piechotą z trzema swoimi toruńskimi rówieśnikami na południe, uciekając przed niemiecką armią, szli bombardowanymi drogami, jego towarzysze wkrótce zawrócili, bo czołgi niemieckie były wszędzie, okrążyły Warszawę, on jednak po kilku dniach i nocach, bez znajomości języka ani kraju, do Warszawy doznał, dążył do francuskiej ambasady, pewnie wyrzuty sumienia, myśl o matce. Powiedziałem, że ta historia układała mi się w książkę, a w niej byłyby przygody nie tylko Brognarta, także tych jego trzech towarzyszy wędrówki, dla niektórych ludzi pouczające, dla większości nieciekawe. Bo w Marles wypytywałem także rodzinę rzeźnika, odpowiadali niechętnie, ale coś niecoś z nich wycisnąłem i tknęło mnie żeby zadać też pytanie co się dalej z tymi trzema stało. Wrócili do domu, do okupowanego miasta, jeden z nich, najbardziej widocznie awanturniczy, długo tam nie został, znów wybrał się na południe, do Warszawy i dalej, w góry między Polską i Słowacją. Pierwszej wojennej zimy młodzi ludzie przekradali się tamtędy na nartach. Dostał się do Węgier, stamtąd do Francji, gdzie wstąpił do tworzącego się polskiego wojska, wywakuowany ze swoim oddziałem do Anglii wyszkolił się tam na lotnika i latał na bombowcach nad Niemcy, on teraz był karzącym ogniem. Umarł przy końcu wojny od wstrząsu przy lądowaniu uszkodzonej maszyny. Drugi całkiem inaczej, zmobilizowany i wcielony do Wehrmachtu, Niemcy miasto Toruń, wyjaśniam, uważali za niemieckie a jego obywateli za Niemców. Znalazł okazję żeby poddać się Aliantom w Italii, potem nosił polski mundur i kiedy po wojnie przewieziono tę armię z Italii do Anglii, mógłby tam zostać, ale nie chciał, wrócił do Polski i uczył się, już zdawał końcowe egzaminy, inżynierskie bodaj, kiedy wsadzono go do więzienia, nowe władze dość starannie wyaresztowywały tych co kiedyś byli w polskim wojsku na Zachodzie, więc niekoniecznie za Wehrmacht, co do tego były bardziej pobłażliwe. Trzeci, ten przyjaciel Brognarta z Marles, ugrzązł w Toruniu, tęsknił za rodzicami i za Francją, pracował w fabryce, Gestapo go aresztowało za przynależność do konspiracyjnej organizacji i wyładował w obozie koncentracyjnym Stuthof, koło Gdańska. Był tam niedługo, bo wpadł kiedy już germańskie imperium dobiegało kresu, ale wrócił nadłamany od środka, zapisał się na uniwersytet, niby nic, zdrów, ale kiedyś wchodząc na schody przewrócił się i umarł, na serce. Dygresja, trzy odmiany losów jednego pokolenia, w jednym kraju, nie muszę nic zmyślać, dodawać. A jednak

nikogo z tych trzech nie spotkało takie nieszczęście jak Brognarta. Ten pierwszy miał swoje męskie triumfy, swoją radość, drugi, jeżeli nie zgnoili go za prędko, pewnie wyszedł z więzienia po paru latach, a nawet trzeci, jeżeli cierpiał bardzo, to krótko.

— Brognart w Warszawie dowiedział się, że ambasady francuskiej już nie ma, że ewakuowana na wschód. Jak tam sobie radził, gdzie obracał się, co jadł, gdzie spał, w tym obcym, nieznanym mieście chaosu, sprzecznych pogłosek i paniki, wiatr tam nosił po ciemnych ulicach papiery nieistniejących już biur i urzędów, nie wiem, długo tam przebywał, przeżył obłędzenie, i niezłe obłędzenie, całe ulice tam tryskały w powietrze fontannami cegły, i końskie trupy na jezdni z których wykraja się nożykiem befsztyk i tak dalej. Następnie, w zdobytej już stolicy, schwyciła go w październiku policja niemiecka, ale potrzymana trochę, wypuściła, prawdopodobnie nie miała czasu zajmować się takimi drobiazgami jak obywatele innych państw, i tak już zamknięci w worku. Brognart, logicznie chyba, musiał rozumować, że zamiast czekać aż wsadzą go do jakiegoś obozu internowanych, powinien przedostać się do neutralnego państwa gdzie są jego konsulaty. A z dwóch państw które podzieliły pomiędzy siebie terytorium Polski jedno było neutralne, otrzymało co otrzymało jako zapłatę, procent od swojej neutralności. Granica na mocy układu pomiędzy nimi przebiegała niedaleko Warszawy i w listopadzie tę granicę Brognart przekroczył, omijając strażę, jak to wtedy robiło wielu.

Podobno człowiek wszystkiego się uczy, tylko że nie od razu, jego wyobraźnia jest spętana przyzwyczajeniami. Brognart pewnie sądził, że zaraz znajdzie francuski konsul, albo, jeżeli nie, że wsiądzie w pociąg i pojedzie do Moskwy, jak jeździło się z Marles do Paryża. Kiedy się okazało, że nie wolno, całkiem naturalnie zwrócił się do władz żeby mu to ułatwiły. Z biurokracją w swoim kraju, kraju najstarszej biurokracji w Europie, był obznajmiony, nie wiedział jednak, że ta biurokracja nawet przed Francuską Rewolucją była w porównaniu z innymi dość demokratyczna, nigdy się nad tym nie zastanawiał. Teraz musiał się przekonać, co się dzieje, kiedy nikt nie kiwnie palcem, bo jednostka nie ma tzw. praw przyrodzonych. Był wściekły i powiedział sobie, że jeżeli tak, to obejdzie się bez niczyjej pomocy. Tu i ówdzie pozbiierał informacje, wynikało z nich, że konsulaty francuskie są w sąsiednich państwach bałtyckich, wtedy jeszcze niepodległych. Więc po prostu poszedł. Trudno mu nawet zarzucać lekkomyślność. Wyprawa z Warszawy go ośmieliła, nie powinna była, dużo łatwiejsza. Poza tym Polacy, zdawałoby się powołani do tego żeby znać obyczaje swoich sąsiadów, też

byli naiwni, ruszali całymi gromadami, jak Brognart, byle wydość się spod władzy którą narzucono nie pytając nikogo o zdanie. Jednemu się udawało, drugiemu nie. Może bym tam w Marles-les-Mines cały casus Brognarta puścił mimo uszu, gdyby z takim przekraczaniem granic nie łączyły się dla mnie żadne konkretne wyobrażenia. Ale łączyły się, jak najbardziej, i zapewniam, że doświadczyć tego to jest coś, potem upływają lata a życie ciągle cudowne, każdy dzień jak darowany. No, Brognart wpadł, na granicy Łotwy. Trzymali go w różnych więzieniach wypchanych zawieszoną ludzką masą, takimi jak on młodymi, którzy chcieli na Zachód, do wojska, i starymi, i kobietami, Polakami Żydami, Litwinami, Białorusinami, siedzieli za różną niewłaściwość, głównie za przynależność do niewłaściwych grup społecznych.

— W takiej sytuacji zaradny i uparty młodzieniec naturalnie pamięta, że rozbitek powinien przekazać wieść o sobie w butelce powierzonej morzu, nie powinien tracić nadziei, zawsze jest szansa, że ktoś butelkę wyłowí. Więc Brognart, i tu widać jego systematyczność, na ścianie każdej celi w jakiej się znalazł wypisywał starannie swoje imię, nazwisko i prośbę o zawiadomienie rodziny. I nie pomylił się w swoich rachubach. Tylko że prądy nosiły jego butelkę długo, z sześć lat, nie tyle butelkę, ile tych co ją wyłowili. Dopiero po wojnie przysły do Marles listy od polskich oficerów i żołnierzy tej armii co była w Italii, kiedyś lokatorów tych samych więzień. Albo czytali napis albo, niektórzy mieli Francuza za sąsiada w celi.

— Po miesiącach więzienia odczytano Brognartowi wyrok. Niech nikt nie mówi, że nie szanowano tam prawa, bardzo szanowano, praworządność to atrybut kultury i tam została wynaleziona gdzie i inne sprytne sztuczki, jak mycie zębów, maszyna parowa, elektryczność i parlamentaryzm. Żeby robić zwykły użytek z prawa czy z wyborów, to już nie, ale fikcyjność przymnażała nawet ochoty do celebracji. Brognart z tego obrzędu nie rozumiał pewnie nic, dla niego pomiędzy karą i winą ustalony był jakiś związek czy proporcja, przeniknęło to w niego przez szkołę, literaturę, otoczenie. Nie rozumiał zresztą i języka w jakim do niego się zwracano i jeżeli pokazano mu na palcach ile dostał, że osiem, nie od razu połapał się w sensie, że osiem lat. A jeżeli rozpaczał, to też się mylił, bo czy pięć czy osiem wszystko jedno skoro celem było utrzymywanie tej samej ilości rąk do pracy w obozach koncentracyjnych, w miarę jak wymierali słabsi więźniowie. Wywieziono go do jednego z takich obozów, pod Archangielsk.

— Ten potomek skrzętnych i pracowitych pokoleń chłopskich był wytrzymały. Przeżyć tam cztery zimy to już wielka

sztuka, nawet dla ludzi od dziecka przyzwyczajonych do ostrego klimatu, i taka była przeciętna wymierania zdrowych mężczyzn, ale sezony szły i szły a Brognart się nie dawał. I ciągle puszczał w morze swoje butelki, wierząc w ratunek. Po wojnie nie tylko matka już wiedziała, że jest gdzieś w Rosji, także francuska ambasada otrzymała od niego jakoś przemycony list, w którym dokładnie podawał co i gdzie. Zaczęły się starania i kiedy już znano jego miejsce pobytu, u ujścia Peczory, władze rosyjskie przestały odpowiadać, że takiego w ogóle nie ma, potrwało to co prawda długo, ale wreszcie przyznały że jest, skazany prawomocnym wyrokiem, z dodatkowym wyrokiem dziesięciu lat „za szerzenie prowokacyjnych pogłosek”, i że rewizja procesu jest niemożliwa. Czyli że tam w obozach północy Brognart nie nauczył się potulności i tak jak poprzednio w szkole zawsze mówił co myślał. A na inne starania, żeby pozwolono mu przynajmniej korespondować z rodziną, odpowiedź zawsze była: nie.

— Co przeżywała matka, nie będę próbował zgadywać. Kiedy co dzień wysyła się listy, podania, jeździ się od urzędu do urzędu, także do Thoreza, padając mu, dosłownie, do nóg, błagając żeby ratował, kiedy takie zabiegi trwają latami, można się załamać. I potem, wtedy kiedy byłem w Marles, matka rezydowała w psychiatrycznym zakładzie, zresztą umieszczona tam na własną prośbę.

— Brognart zmarł w 1951 roku. Niezłe osiągnięcie, jedenaście lat, również rodziny rosyjskich czy polskich więźniów tutaj by przytaknęły, mało kto włożył nogami w łągach aż tyle czasu, niemal wieczność. Oficjalne zawiadomienie o jego śmierci przekazano francuskiej ambasadzie z należytą zwłoką, w jakiś rok później, i wtedy sensacyjne dzienniki we Francji relacjonowały wypadek Brognarta w dziale *faits divers*. Tylko w Marles i okolicach rzecz nabrała dużego rozgłosu. Tam w Nordzie o głosy wyborcze walczyli ze sobą głównie socjaliści i komuniści, socjaliści z Brognarta ukuli argument i bardzo to było dla komunistów niewygodne. Bo przecie zależało im na odpięciu wszelkich oszczerstw, w Rosji, tak, były obozy poprawcze dla politycznych przestępców, faszystów, hitlerowców, ale kto mógł litować się nad zbrodniarzami, chyba agent amerykańskiego imperializmu. I mieli mocny punkt, bo czy we Francji nie trzeba było *collabos* ukarać, więc każdy kto nawet żywił niejasne wątpliwości stulał uszy po sobie. Zresztą daleko, kto tam sprawdzi, i kraje i ludzie bez twarzy. Teraz, niestety, był jeden, konkretny człowiek, z twarzą, a to działa silniej niż dziesięć milionów ale abstrakcyjnych. Brognart? Gdzie mu było do polityki, szczeniak, toż go wszyscy w Marles znali. Dlatego trzeba było wyszukać sposób. Prasa

komunistyczna wywlekała tę ciotkę pomieszaną, skombinowała z chorobą matki i gotowa już teza: że Brognart był dziedzicznie obciążony i że owe rzekome wieści o sobie jakie przekazał to były urojenia wariata. Myślę, że te artykuły odniosły skutek, w każdym razie wiem, że wkrótce, kiedy wróciłem do Paryża, rozmowy o Brognarcie zaczęły wygasać, aż wygasły na zawsze.

— Teraz przyznam się do emocjonalnej więzi. Brognart na fotografii był podobny do mojego kuzyna, a chwile jakie spędziłem w domu tych moich krewnych są dla mnie dotychczas ważne. Ów kuzyn, też jedyne dziecko, jest dla mnie dość enigmatyczny, nieraz myślę jaki byłby gdyby dorósł. Wrażliwy, liryczny, muzyczny, przy tym bardzo sprzeczne cechy jego rodziców, i trochę jak bohaterowie wczesnych opowiadań Tomasza Manna. Miał piętnaście lat kiedy Nazi wywieźli go z Polski do obozu koncentracyjnego w Niemczech a siedemnaście kiedy tam zmarł. Nie mogę o tym mówić. Gdyby go rozstrzelali. Ale ta treść czasu, jemu, właśnie jemu narzucona.

— Chcę jednak podrażnić jeszcze trochę tę zasadniczą trudność, która sprawiała, że o różnych Brognartach należało milczeć. Pewnie, wolno było opłakiwać ofiary hitlerowskich obozów, to nie obniżało niczyjego literackiego prestiżu, a jeżeli czytelnik się nudził, to z szacunkiem. Niemniej przeszłość, mojemu kuzynowi i innym jak on nic by to już nie pomogło, więc brak podnięty, a masy takich jak Brognart wystarczające do zaludnienia średniego zachodnio-europejskiego państwa wychodziły nadal co rano do roboty i to samo nam świeciło słońce. Jest śmieszność, zgoda, w braniu na siebie wszystkich klęsk, obcych. Zali jestem stróżem brata mego? Tak, ale dlaczego w takim razie paryskie kawiarnie poczuwały się do odpowiedzialności uniwersalnej, dlaczego oni w stałym podnieceniu przerzucali się od „sprawy” do „sprawy”: w Mississippi męczą Murzynów, Madagaskar nie dostaje niepodległości, palą się wioski w Indochinach? Tutaj sentymentalizmu się nie wstydzili. Więc inne działały kryteria, inne sprężyny ustawiały nierówno szale. Przed mitycznym Wschodem „aa” z przydechem, jak przed bardzo wielką górą. Tam postępek, kierunek historii, a jemu nie trzeba się narażać, imię swoje trzeba wobec potomności ubezpieczyć. Natomiast sprawy jakich się imali szlachetne i przez przyszłość zagwarantowane. Jak te inne, których imali się Lamennais czy Victor Hugo czy Zola, zawsze potem u potomnych ciepła wzmianka. Skoro nie ma Nieba, niech będzie przynajmniej niebo dobrej sławy. A zresztą w Europie uwijało się dużo takich, co z anty-komunizmu robili profesję, żeby wyciskać pieniądze od Amerykanów, wyłączano ich

na ogół z przyzwoitego intelektualnego towarzystwa, czyli u innych obawa żeby nie strędownać.

— Nic tu nie jest proste, racjonalizm francuski to legenda, chyba że sprowadzanie wszystkiego do elokwencji bierze się za racjonalizm. Raczej rytuał, jak u mrówek obmacujących się różkami. Ale choć mogłem odnosić się do niego ironicznie, nie traktowałem lekko wysokiego sprytu i wrażliwości na konwencję, która ustala mody dla oświeconych na wiecznym obiedzie u Madame Verdurin, i potem te mody zarażają Japonię czy Amerykę. Kierunek historii z którym się obnosili nie był dla mnie tylko głupstwem, co prawda podejrzewałem, że nie jest z nim całkiem tak, jak sobie bezpiecznie, na wyrost, planują. Jakkolwiek było, cierpiała moja ambicja. Jeżeli nie Brognart, to poruszałem jednak pokrewne tematy i niszczyłem swoje dobre imię. Czyli moja praca była podszyta nie tyle zwykłym tchórzostwem, co ciągłym ranieniem własnej ambicji, odgadywałem jak wyglądam w ich oczach: maniak, emigrant czyli reakcjonista, i ton mój nabierał odcieni desperackich. Teraz, kiedy to wszystko poza mną, wiem tylko, że za żadne skarby nie chciałbym podobnych przygód powtarzać. Lepiłem sobie maskę deformującą moje rysy, polityczną, choć nigdy nie miałem mocnych politycznych zainteresowań i nie zgłęszałem do znawstwa w tej dziedzinie żadnych pretensji. Raczej dziwiłem się tylko, że nie wolno dziwić się ludzkiej lekkomyślności. Naokoło mnie pływali w mgiełkach, bredzili, jakby nie chodziło o sprawy śmiertelnie poważne, leżące głębiej niż jakakolwiek polityka. A już moje zdziwienie dosięgło chyba szczytu trochę później, kiedy nagle zakaz został zdjęty, bo wszystkim zbrodniom był rzekomo winien jeden brzydki człowiek. Skąd załamania, skąd rozczarowania, skąd udana naiwność, niby dwuletnich dzieci? Albo się uważa państwo za instytucję której jednostki delegują część swoich uprawnień i sprawują kontrolę, albo się wierzy w państwo mesjaniczne i wtedy, wobec wielkości celu, łyż ronie nad zepsuciem iluś tam ludzkich maszynek są zaiste łyżami krokodyla. Choć co prawda kapłani meksykańscy, którzy składali ofiary z ludzi żeby utrzymać słońce w ruchu i zapewnić urodzaje, też byliby przygnębieni gdyby im udowodniono, że ofiary były niekonieczne, bo na ruch słońca wpływu nie miały. Co do mnie, po prostu nie lubiłem państwa-monopolu, państwa-Mesjasza i to całkiem niezależnie od pytania czy ma ono przed sobą wspaniałą przyszłość, więc się dziwiłem, nie, nieprawda, najbardziej nie ich załamaniom i rozczarowaniom, ale łatwości z jaką swoją wiarę w mądry ruch historii zaraz posklejali, nie wyciągając żadnych konsekwencji.

— Te problemy to jednak była dla mnie tylko powierzchnia

i wyrzucałem sobie, że zatrzymując się na niej popadam w fałsz, przedstawiam się nie takim jakim jestem. Należało powrócić do siebie, nauczyć się obrysowywać swoje skryte przekonania, swoją prawdziwą wiarę, i przez to świadczyć. Długa to praca, jeszcze się nie nauczyłem. Skoro ją jednak zacząłem, Brognart był mało przydatny, bo kierowałby mnie ku temu co przez swoją jaskrawość za nadto przyciągałoby uwagę, przesłaniając i rzeczy dla mnie trudniejsze i bardziej istotne. Niektórzy zresztą, nieliczni, ci przeciwni modzie, widzący we mnie cennego sojusznika, krzywili się na mnie, bo świat podzielony na dwa bloki, kiedy już jest się w jednym, trzeba w drugi walić jak w bęben, a ja się coraz bardziej wyslizgiwałem, uchylałem. Ale jakież ze mnie polityk, taka maska nie na moją miarę, nieautentyczność, niewola okoliczności, w ludzkim losie szukałem źródeł a nie rzek które z tych źródeł się rozlały.

— Więc pogrzebałem Brognarta, co nie znaczy, że mnie nie nawiedzał, nawiedza dotychczas, coraz bardziej zrosnięty z moim kuzynem, tak że nie bardzo już ich umiem odróżnić. Nawet nie twarze, te uwydatniają się słabo, bardziej ich wewnętrzność, wyobrażenie takiej i takiej ich chwili za drutami. Pokój ich biednej duszy.

Czesław MIŁOSZ

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O.

**PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI**

CENTRALA WYSYŁKOWA

HASKOBA LTD

121 Earls Court Rd, London S. W. 5



Węgierska i polska poezja w dobie Żdanowa

Aby zarysować ideologiczne tło okresu żdanowizmu na Węgrzech (1949-53) i w Polsce (1949-54), musimy cofnąć się do źródeł komunistycznej teorii sztuki, a więc do różnych sformułowań Marksa i Engelsa. Co prawda, jak zwrócił już uwagę Georg Lukacs (1), ojcowie naukowego socjalizmu nie pozostawili żadnej zaokrąglonej teorii sztuki; niemniej pisma ich ustaliły pewne zasady, których badacz marksizmu nie może pominąć. Główną cechą ich uwag na temat sztuki jest głęboki szacunek dla „obiektywnej rzeczywistości”. Patrzyli oni z niechęcią za idealistyczny subiektywizm niektórych romantyków, odczuwając podziw dla „wielkiego realizmu” takich „reakcyjnych” pisarzy jak Balzac. Posługiwanie się postaciami w dramacie czy powieści po prostu jako *porte-parole* autora, uważali za rzecz niedopuszczalną, za naruszenie prawideł obiektywnej rzeczywistości.

Jak jednak zauważył Lukacs (2) nie oznaczało to, że twórca, stojący przed problemami społecznymi, ma być bezstronny. Wszyscy wielcy artyści dążą do dialektycznego *poznania* świata, a „samo pojęcie poznania zakłada już punkt widzenia; nie ma wielkiego artysty, który by przedstawiając rzeczywistość, nie wyrażał równocześnie swoich własnych opinii, pragnień i aspiracji” (3). Chociaż Marks i Engels wolą pisarzy postępowych od pisarzy wstecznych, niemniej pozostawiają oni pisarzowi prawie całkowicie wolną rękę w zdobywaniu i wyrażaniu własnej postawy, gdyż, nawet jeśli nie jest ona „postępowa”, sama fabu-

(1) Lukacs György, *Adalékok az sztétika történetéhez*, Budapest, 1956.

(2) *Ibid.*, str. 202.

(3) *Ibid.*

ła — o ile tylko pisarz ma talent — stanie się rzeczywista pod przemożnym wpływem rzeczywistości społecznej. Tak właśnie było w wypadku Balzaca; Engels, a po nim Lukacs, nazywają to „triumfem realizmu” (4).

W umyśle Lenina to liberalne podejście Marksa i Engelsa nabrało zupełnie innego charakteru. Podczas gdy oni podkreślali dialektyczną stronę twórczości artystycznej, to znaczy pełną sprzeczności walkę między osobistą prawdą pisarza a społeczną i historyczną koniecznością, Lenin położył nacisk na materialistyczny aspekt problemu. Uważał on sztukę za nadbudowę odbijającą rzeczywistość swej epoki i zaprzeczał możliwości istnienia „niezależnej” sztuki. Wprowadził pojęcie „partyjnictwa”, najpierw w filozofii; „...materializm, żeby tak rzec, zakłada partyjnictwo, zasadę która każe nam zajmować w ocenianiu każdego wypadku otwarte i zdecydowane stanowisko po stronie pewnej określonej grupy społecznej” (5). Twierdzenie to dzieli już tylko krok od idei kontrolowania artysty przez klasę; a ponieważ klasę najlepiej reprezentuje jej czołówka, w wypadku proletariatu rola ta przypada Partii. Podporządkowanie twórczej umyślności Partii znalazło teoretyczne uzasadnienie na Pierwszym Zjeździe Pisarzy Sowieckich w 1934 roku, kiedy po raz pierwszy ogłoszone zostały zasady socjalistycznego realizmu. Zasad tych nie sformułował sam Lenin, ale można je było przedstawić jako logiczną interpretację jego myśli. Pierwszy Zjazd dokonał przeobrażenia komunistycznej teorii sztuki w myśl wymagań Stalina: zasadę twórczego poznania obiektywnej rzeczywistości porzucono na rzecz świadomego jej odtwarzania zgodnie z linią partyjną. Powstaje problem: jak można zastąpić twórcze, organiczne poznanie przez świadomy, sztuczny zamysł? Twórczość artystyczna pozbawiona pasji poznania świata dla samego poznania, traci swój główny cel gdyż nie ma poznania bez tworzenia i tworzenia bez poznania. Przedtem chodziło o zrozumienie świata i roli jaką odgrywa w nim człowiek; teraz chodzi o zrozumienie linii politycznej partii, i *to* jest jedyna droga, według żdanowskiego dogmatu, aby prawidłowo rozumieć świat i człowieka.

Żdanowizm, który nadawał ton sowieckiemu życiu kulturalnemu po drugiej wojnie światowej, dotarł do Polski i na Węgry w latach 1948 i 1949, równocześnie z początkami kampanii anty-titoistycznej w obu krajach. Pierwszy Zjazd Związku Literatów Węgierskich poprzedzony został czystką w szeregach piszących: wielu katolików i liberałów, „populistów” i „urbanis-

(4) *Ibid.*, str. 205.

(5) Cytowane za Lukacs'em, *ibid.*, str. 126.

tów” przestało ukazywać się regularnie w druku, a prawie wszystkich tych, co podczas wojny byli na emigracji na Zachodzie, aresztowano (Ignotus, Faludy, Palóczy-Horvath). Tolerowano jedynie tych pisarzy niekomunistycznych, którzy wykazali jakiś stopień aprobaty dla nowej rzeczywistości i których można było uważać za fellow-travellerów.

W Polsce rzeczy miały się podobnie, z tą tylko różnicą, że znajdując się dalej od ideologicznie wrogiej Jugosławii, Polska była w tym momencie w szczęśliwszym położeniu geopolitycznym. Ideologiczna ofensywa na rzecz realizmu socjalistycznego rozpoczęła się na dobre na Czwartym Zjeździe Związku Literatów Polskich w Szczecinie (20-24 stycznia, 1949) (6). W porównaniu z Trzecim Zjazdem (1947) zasadniczą różnicę stanowiło dokładniejsze określenie zadań pisarza w społeczeństwie socjalistycznym. Na Trzecim Zjeździe ogólne hasło „humanizmu” zadawało jeszcze partię; teraz jednak przestało już wystarczać. Niemniej, delikatna sprawa narzucenia pisarzom w pełni doktryny soc-realizmu wciąż jeszcze traktowana była w rękawiczkach. W wywiadzie udzielonym tuż przed zjazdem, Leon Kruczkowski oświadczył: „Oczywiście nikt nie stawia postulatu realizmu socjalistycznego w Polsce, jako jedyne go kierunku w którym wolno wypowiadać się pisarzowi...” (7), a w trakcie zjazdu Włodzimierz Sokorski, wówczas minister kultury, chociaż twierdził, że „realizm socjalistyczny otwiera sztuce nowe możliwości...”, pośpiesznie dodawał, że nowa polityka kulturalna ma być i będzie zgodna z „bezsportnym postulatem wolności twórczej” (8). Ta ostrożność w wypowiedzianiu się urzędników partyjnych, która znikła już wkrótce, miała zdaje się dwa powody. Po pierwsze, zadanie re-edukacji starszych pisarzy, posiadających wyrobiony styl ale równocześnie gotowych w pewnym stopniu do popierania partii, było całkiem niełatwe, z praktycznego zaś punktu widzenia mniej warte zachodu niż indoktrynacja pisarzy młodszych. Po drugie, w zjeździe brała również udział nieliczna ale zwarta grupa pisarzy katolickich pod przywództwem Jerzego Zawieyskiego. Ci literaci, podobnie jak wielu ich niekomunistycznych kolegów, byli demokratycznymi sojusznikami w dziele odbudowy kraju, sprzeciwiając się jednak i odrzucając postulat literatury kierowanej przez partię. W rezultacie taktyki komunistycznej, grupa Zawieyskiego znalazła się

(6) Roman Szydłowski, 'Nowe drogi polskiej literatury', *Trybuna Ludu*, 29.I.1949, str. 6.

(7) *Trybuna Ludu*, 20.I.1949, str. 3.

(8) *Trybuna Ludu*, 22.I.1949, str. 4.

odosobniona już na Zjeździe Szczecińskim, a w dalszych latach powoli utraciła wszelkie możliwości druku.

Podczas gdy w Polsce oficjalne ataki skupiały się na „misticzynie, irracjonalizmie, filozofii katastroficznej bezradności” (9), na Węgrzech zaatakowano głównie ociągających się fellow-travellerów. Na Pierwszym Zjeździe Związku Literatów Węgierskich w Budapeszcie (27-29 kwietnia, 1951), József Darvas, węgierski odpowiednik Sokorskiego stanowczo oświadczył: „Nasi fellow-travellerzy muszą wziąć pod uwagę, że już wkrótce na Węgrzech nie można będzie być pisarzem innym, niż soc-realistą” (10). Według Darvasa, „w realizmie socjalistycznym ideologiczna treść leninowsko-marksistowskiego *Weltanschauung* jest czynnikiem zasadniczym” (11). To oświadczenie rozwiąło resztki złudzeń, jakie mogły jeszcze istnieć w umysłach niekomunistycznych pisarzy co do stopnia w jakim soc-realizm oznaczać będzie bezwarunkowe podporządkowanie się reżymowi. Do grupy fellow-travellerów, do której zarówno Revai jak i Darvas przywiązywali dużą wagę, należeli przede wszystkim „lewicowi populiści, wśród nich Gyula Illyés. Illyésowi powiedziano, że partia walczy o niego, nie przeciwko niemu, że chce mu pomóc w odcięciu się od starych lojalności, porzuceniu jego populistycznych złudzeń i oddaniu się, duszą i ciałem, służbie partii. Illyés wymknął się tym „przyjacielskim namowom” w zręczny sposób. Partia wymaga, aby poeta podjął wyzwanie rzucone mu przez rzeczywistość i przedstawiał wszystko co jest aktualne. Ale, dowodził Illyés, przecież jedynie przyszłość może nam pokazać, co w naszej teraźniejszości było istotnie aktualne. Dobry pisarz pisze dla przyszłości instynktownie, wyłuskując zarysy jutra z życia współczesnego. Illyés bronił tu, ostrożnie ale nie bez powodzenia, autonomii pisarza przeciwko wzrastającej ingerencji partii. Revai nie pragnął zerwania z lewicowymi populistami, mimo więc jego gróźb, Illyés wyszedł z opresji cało. W ważnym dokumencie partyjnym, ogłoszonym osiem lat później, sytuacja przedstawiona została bez obsłonek: „Pewne zatarcie ideologicznej granicy oddzielającej komunistów od ich sojuszników... mogło spowodować wrażenie, że Związek Literatów na swym pierwszym zjeździe w 1951 roku reprezentował 'demokratyczną i socjalistyczną jedność wszystkich naszych pisarzy i całej naszej literatury narodowej' ” (12). (*podkreślenia autora G.G.*)

(9) *ibid.*

(10) *A Magyar Irók Első Kongresszusa*, Budapeszt, 1951, str. 25.

(11) *ibid.*, str. 33.

(12) 'A felszabadulás utáni magyar irodalom néhány kérdéséről', *Kortárs*, 1959, Marczius.

Ta zewnętrzna jedność miała również i swoje dobre strony. Z chwilą gdy się raz zostało przyjętym do obozu komunistycznego, można było krytykować niektóre „błędy” w sposób bardziej otwarty niż pozwalano tym, co stali z boku. To tłumaczy jak mogło dojść do powstania opozycji wśród pisarzy komunistycznych już w 1952 roku, chociaż dotyczyła ona tylko jednej sprawy i przeciwstawiła się partii w istotnych punktach nie bez wahania (13).

Naszkicowaliśmy filozoficzne źródła realizmu socjalistycznego w Polsce i na Węgrzech. Możemy obecnie przejść do pytania dlaczego ta zasadniczo anty-realistyczna metoda pisarska nazwana została „realizmem”? Przyczyna tkwi w tym, że zarówno Marks jak i Engels żyli w XIX wieku, w okresie gdy realizm krytyczny był najbardziej zaawansowaną metodą literacką. Teoretycy marksistowskie byli zaś zgodni co do tego, że literatura socjalistyczna winna rozwijać się po tych właśnie liniach. Innymi słowy, winna przedstawiać społeczeństwo jakim ono jest, podkreślając jego możliwości rozwojowe w przyszłości.

Z reguły literatura rewolucyjna jest wysoce krytyczna wobec zastanego ładu społecznego, i to nie w sposób analityczny, „realistyczny”, lecz impulsywnie, „romantycznie”. Dotychczas znalazł się tylko jeden pisarz rosyjski, któremu udało się stopić realizm krytyczny — w przedstawianiu starego społeczeństwa — z rewolucyjnym romantyzmem (pokazującym zarodki przyszłości w teraźniejszości) — pisarzem tym był Maksym Gorkij. Ten dwuliniowy rodzaj literatury mógł jednak istnieć tylko przed rewolucją, a co najwyżej jeszcze w parę lat po 1917 roku. Równoległe z usztywnieniem społecznego i politycznego porządku w Rosji sowieckiej, prawdziwy romantyzm powoli zanikał a „realizm krytyczny” znajdował zastosowanie tylko w powieściach przedstawiających zdyskredytowany ład przedrewolucyjny. W latach trzydziestych, literatura sowiecka otrzymała bardzo trudne zadanie: miała przedstawiać stalinizm jako najlepszy z istniejących systemów, rodzaj ultra-leibnitzowskiego raj. Żeby zaś to wykonać, posłużyła się metodą XVIII-wiecznego klasycyzmu, stosując ją do współczesnej rzeczywistości sowieckiej. Rezultat tego mariażu, czysta parodia klasycyzmu, nazwano sowieckim realizmem socjalistycznym, który był „...*ni du classicisme, ni du réalisme. C'est le demi-art semi-classique d'un demi-réalisme pas trop socialiste...*” (14). Oto werdykt pisarza sowieckiego, który za jedyne groźnego wroga sztuki uważał eklektyzm. Pisarz ten

(13) Omawiam to na innym miejscu.

(14) *Esprit*, Février 1959, str. 365.

dochodzi do wniosku, że soc-realizm, tak jak go do tej pory rozumiano, jest z samej swojej natury eklektyczny.

Dotyczy to nawet bardziej poezji, niż prozy. W dalszej części tych rozważań, kiedy omówimy kilka węgierskich i polskich wierszy napisanych w tym okresie, stanie się jasne, że chociaż zawierają one czasami elementy autentycznego romantyzmu, pełno w nich typowych cech pseudo-renesansowości, pseudo-baroku i pseudo-sentymentalizmu. W antologiach drukowanych w Polsce i na Węgrzech w latach 1949-53, można znaleźć wszelkiego rodzaju pseudo-style, oraz jedną cechę wspólną: partyjniactwo. Barok partyjny i sentymentalizm partyjny krytycy określali jednym i tym samym mianem — soc-realizmu. Krótko mówiąc, realizm socjalistyczny jest jak na razie sztucznym zlepkiem naśladownictw literackich stylów, poczętych w duchu partyjniactwa, dydaktycznym, lecz powierzchownym eklektyzmem, lub jeszcze krócej — *eklektyzmem w służbie partii*.

Ten wszechobejmujący eklektyzm spowodował katastrofalne obniżenie wartości utworów literackich produkowanych w Polsce i na Węgrzech. Nie można jednak było nazwać choroby otwarcie, gdyż partia chciała odwrócić uwagę od swojej za nią odpowiedzialności. Tak doszło do postawienia diagnozy „schematyzmu”.



Z chwilą gdy poeta daje się pozbawić swojego własnego zrozumienia rzeczywistości na rzecz tego, które poddaje mu partia, kiedy zaczyna pisać w kategoriach partyjnej mitologii i martyrologii, jego moc twórcza zazwyczaj słabnie. Dzieje się tak niekoniecznie dlatego, że nie chce on służyć partii, lecz dlatego, że poświęca swoje własne ja na rzecz oficjalnego *super-ego*. A jednak, jeśli jest prawdziwym artystą, nie może przyjąć całkowicie mitu rzeczywistości jakim obdarowywuje go partia, gdyż nie przestaje pozostawać częścią realnego świata, z którym kontakt oddziaływyje w kierunku odzyskania utraconego „ja”. Napełnia to pisarza poczuciem winy, niepełnej akceptacji. Poza tym, jest coś bardzo irytującego w fakcie, że pisarz z góry wie, co napisze i że ciągle stara się spełniać nie swoje własne, ale cudze oczekiwania, oczekiwania władzy. Poeta schwyty w to błędne koło traci moc twórczą: wiarę we własną siłę magiczną, która jest źródłem jego artystycznej twórczości (15). Z początku nie jest w stanie tego pojąć; widzi się jako współ-twórcę w służbie

(15) cf. Czesław Miłosz, 'Nie', *Kultura*, maj 1951.

Wielkiej Sprawy, podczas gdy jego prawdziwa osobowość zostaje zastąpiona jakąś pseudoosobowością. Powielając instrukcje i slogany Ośrodka Dyspozycyjnego, rozwija w sobie autorytatywne sumienie w miejsce własnego, humanistycznego (16). Pseudo-osobowość tworzy złe wiersze, pseudo-poezję, — i to właśnie nazywamy „schematyzmem”. Mówimy „pseudo-poezję”, gdyż wiersz „schematyczny” ma wszystkie zewnętrzne cechy prawdziwego wiersza — rytm, rym, obrazy, a jednak jest martwy; jest mumią wiersza, brak mu duszy. Jest bardziej polityką niż poezją, bardziej *quasi*-religią niż polityką. „Schematyczny” utwór artystyczny jest ubocznym produktem komunistycznej wiary (17).

„Schematyczna poezja” wyprodukowała pięć różnych wzorców. Pierwszy związany był z tzw. „kultem jednostki”, który był logicznym skutkiem piramidalnej struktury społeczeństwa komunistycznego. Jeżeli partia jest najwyższym dobrem, obowiązkiem poety jest podkreślać to jak najczęściej i jak najmocniej. Ale dla większości ludzi partia jest abstrakcją i stąd trudno ją gloryfikować. Dużo łatwiej jest pisać ody na cześć Wodza Partii. Aby posłużyć się porównaniem historycznym: średnio-wiecznemu poecie było dużo łatwiej napisać wiersz o Chrystusie lub o Niepokalanej Marii niż o Kościele. Względy podobnej natury wytworzyły nowy typ poezji: *komunistyczny panegiryk*. Zarówno w Polsce jak i na Węgrzech całe antologie poświęcano wychwalaniu Stalina, generała „Waltera” Świerczewskiego (który został zabity w 1946 roku) czy Matyasa Rakosiego, pierwszego sekretarza Robotniczej Partii Węgierskiej. Antologia ku czci Stalina ogłoszona w Polsce w 1949 roku, zawiera czternaście nazwisk poetów polskich, wśród nich najpopularniejszych, jak Tuwim, Jastrun i Przyboś. Panegiryki tego zbioru utożsamiają Stalina ze szczęśliwą przyszłością ludzkości, z pokojem światowym, z radością i szczęściem ludzkim, i epitet w rodzaju „inżynier naszych marzeń” musiał brzmieć niejasno i skromnie wśród tych kroczy superlatywów. Ważyk, na przykład, przyrównał mądrość Stalina do rzeki mądrości i dobroci (18). Współcześni poeci węgierscy pisali o Stalinie w podobnym tonie, używając podobnie kwiecistego stylu. Zelk poświęcił Stalinowi cały poemat, pod tytułem „Pieśń lojalności i wdzięczności”, do której czerpał natchnienie z „Krótkiego Kursu Historii KPZR” (19). Jego

(16) Wyrażenia tego użył Erich Fromm w *Man for Himself*, Londyn, 1956.

(17) „Comme toute notre culture et tout notre système, notre art est entièrement théologique”, *Esprit*, Février 1959, str. 337.

(18) Cytowane w *Kulturze* 1952 (Numer krajowy), t. III, str. 188.

(19) Informacja ta pochodzi od autora, patrz: *Irodalmi Ujsag*, 1953, I, 15, str. 4.

entuzjazm dla Stalina doszedł do czegoś w rodzaju religijnej ekstazy, gdy pisał o nim jako o „bastionie naszego pokoju”, o „opoce przyszłości” (20). Przypominają się od razu Psalmi Dawida. Wymienienie nazwiska Stalina w tych czasach bez opatrzenia go nieomal boskimi przymiotnikami było nie do pomyślenia, a zwracanie się do niego jak do zwykłego śmiertelnika byłoby niezwykle odważnym i zdumiewającym czynem. Były naturalnie wyjątki. Na przykład poeta węgierski Faludy, gdy otrzymał zamówienie na napisanie ody do Stalina z okazji jego 70-tych urodzin, napisał wybuchową, gryzącą anty-odę. Szybko też znalazł się w więzieniu, chociaż nie za ten wiersz, który i tak zresztą nie ukazał się w tym czasie.

Niektórzy poeci łączyli swój pseudo-chrześcijański słownik z *quasi*-muzułmańskimi zwyczajami religijnymi. Moskwa stała się Mekką wszystkich wiernych, z mauzoleum Lenina jako kamieniem Kaaby. Świeżoupieczeni komuniści o mieszczańskiej przeszłości, lub gorliwi fellow-travellerzy pielgrzymowali do tej świątyni aby wypowiedzieć się z dawnych grzechów i błędów. Takim wyrazem skruchy za przewiny był wiersz Gałczyńskiego „Przed mauzoleum Lenina” i Zelka „W mauzoleum Lenina” (22).

Obok wywyższonych, prawie boskich przywódców, mitologia komunistyczna miała i swoich pomniejszych bohaterów. Niekiedy byli to bohaterowie sowieccy obojga płci, którzy walczyli z Niemcami aż do śmierci; innym razem, i dużo częściej, byli to „bohaterzy pracy”, stachanowcy i stachanowki, działacze kołchozowi, górnicy którzy przekroczyli normy. Na temat tych osobistości napisano setki wierszy, czasami pod tak barokowymi tytułami, jak „Rozmowa z towarzyszem Zielińskim, przodownikiem i bohaterem Pracy Socjalistycznej, obecnie wicedyrektorem kopalni 'Wieczorek' ” (23). Takie tytuły często były fasadą dla zupełnie nieudanych wierszy, zarówno z estetycznego jak i propagandowego punktu widzenia.

Gdy komunistyczny poeta szukał natchnienia dla swojego panegiryku, wystarczało aby spojrzeć na portret wodza wiszący w jego pokoju. Prototypem był tu słynny wiersz Majakowskiego „Rozmowa z Towarzyszem Leninem”, tocząca się między poetą a portretem Lenina. Ten wzorzec dawał się zastoso-

(20) *Hét évszázad magyar versei*, N. Szépirodalmi, 1954, str. 564.

(21) Po raz pierwszy ogłoszone w *Latóhatar*, Monachium, 1956, XI-XII.

(22) *Irodalmi Ujsag*, 1951, I, 18, str. 1, i K.I. Gałczyński, *Wiersze*, Czytelnik, 1956, str. 330.

(23) Autorem był Tadeusz Urgacz. Cytowane za *Kulturą*, 1952 (Numer krajowy), t. III, str. 189.

wać do każdego przywódcy w każdym kraju komunistycznym; lubili go szczególnie mniejsi poeci schematyczni (24). W wierszach tych dana osobistość nie tylko była wychwalana, lecz dawała rady itp.

W obozie kapitalistycznym naturalnie też nie brak było ludzi, którzy poświęcali wolność, a nawet i życie, w służbie idei uważanych przez komunistów za słuszne. Ludzi tych, zarówno komunistów jak i „bojowników o pokój” poeci schematyczni wychwalali za odwagę i wytrwałość. Hikmet i Beloiannis, Duclos i Henry Martin, Max Reimann i Rosenbergowie (25), wszyscy oni byli opiewani w tym samym, romantyczno-retorycznym tonie. Była jednak bardzo ważna, wybitna różnica między panegyrykami na cześć Stalina i innych przywódców, a odami i balladami poświęcanymi tym pół-mitycznym bohaterom na Zachodzie. Chociaż wierszy tych komuniści używali do podtrzymywania napięcia zimnej wojny i stawiania wszystkim coraz to większych wymagań w budowie socjalizmu, niemniej z punktu widzenia poety ludzie tego typu stanowili bardziej interesujący temat niż bohaterzy rodzimi, z których wielu zmarło już dawno temu. W wypadku bohaterów zachodnich poeta mógł sobie pozwolić na swobodniejszą grę wyobraźni, mógł nawet wprowadzić ukryte aluzje do sytuacji we własnym kraju. Ten rodzaj poezji dwuznacznej uprawiali tylko nieliczni młodszy poeci, a ich aluzje przeszły niezauważone.

Drugi rodzaj poezji schematycznej można by określić mianem *panegyryku instytucjonalnego* lub *ustrojowego*. Opiewał on różne aspekty nowego ładu, wychwalając szczegółowo wspaniałe instytucje, niezwykłe wojsko, doskonałą konstytucję itp. Większość przykładów tego typu była pseudo-poezją, gdyż chociaż nie jest absolutną niemożliwością napisanie dobrego wiersza na zadany temat, niemniej jest to rzecz bardzo trudna. Ponieważ zaś każdy pisał o tym samym, poeta miał tylko dwie drogi: albo pisać to co czuł, i ryzykować herezję i ekskomunikę, lub też pisać to, czego od niego oczekiwano i co *powinien* był czuć. Poeci, którym zależało na drukowaniu, wybierali drugą drogę. Powstały więc całe stosy wierszy o Armii Czerwonej, o polsko-(wę-

(24) Patrz np. „Bruchstedt” Kónya’i w *Hét évszázad magyar versei*, IV, Szépirodalmi, 1954, str. 705.

(25) Hikmet jest poetą tureckim, którego władze tureckie więziły przez pewien okres czasu. Żyje obecnie w Moskwie. Beloiannis był przywódcą Komunistycznej Partii Greckiej; stracony w 1952 r. Duclos jest znanym przywódcą komunistów francuskich. Henry Martin był Francuzem więzionym przez pewien okres z powodu odmowy służenia w wojsku walczącym w Wietnamie. Max Reimann jest pierwszym sekretarzem zakazanej partii komunistycznej w Niemczech Zachodnich.

giersko-)radzieckiej przyjaźni, nawet o policji bezpieczeństwa; inne wiersze opiewały błogosławieństwa nowej konstytucji, pięcioletnich sześcioletki, stachanowców, by nie wymieniać budowy nowych miast, takich jak Nowa Huta czy Komló na Węgrzech. Wspomnieliśmy już, że łatwiej jest napisać odę do osoby niż do abstrakcji; nie przeszkadzało to jednak poetom podsumować swego uwielbienia dla Stalina w takich oto linijkach:

*Pokój to Partia. To życie, to wolność,
moc niezgłębiona, niezniszczalna wielkość,
serce i rozum, przyszłość szczęśliwa i zdrowie —
tym wszystkim jest Partia: energią, pięknem samym w sobie* (26).

Nie będziemy tu niezgodni z teoretykami sztuki, gdy powiemy, że tak manichejska teoria sztuki jak żdanowizm, posiadając swoją stronę gloryfikującą, musi mieć także stronę „potępiającą”. Komuniści, przynajmniej w teorii, walcząc o Socjalizm, zwalczają wszystkie wsteczne siły na świecie, a szczególnie zachodnich imperialistów i ich „agentów”. Aby przyczynić się do zwycięstwa Socjalizmu, nie wystarczy tylko aprobować linii partii, trzeba również sprzeciwiać się wszystkim wrogom, więcej — trzeba ich potępiać. Ta zasada, mająca pierwszorzędne znaczenie ideologiczne, stworzyła podatną glebę dla powstania trzeciego i czwartego rodzaju poezji „schematycznej”; mowa o filipikach przeciwko „wrogim” osobistościom i wrogiej polityce.

Wiersze pisane przeciwko czołowym postaciom politycznym na Zachodzie nie były po prostu satyrami i chociaż podkreślały absurdalne (absurdalne z komunistycznego punktu widzenia) postępowanie tych postaci, ich ironię zabarwiało dziwne oburzenie i groźny patos. Było to szczególnie wyraźne podczas wojny koreańskiej, kiedy prasa roiła się od wierszy „przeciw jednostkom”, takim jak Prezydent Truman, gen. MacArthur, gen. Ridgway, Jules Moch, Scelba, Winston Churchill. Po zerwaniu Tity ze Stalinem, Tito stał się ulubionym celem ataków, w których nie przebierano w słowach. Jarosław Iwaszkiewicz wymieniał również w wierszu Laszlo Rajka, zgładzonego jako „agent titoizmu”. W wierszu tym, zatytułowanym „Oda do Francji” (27) Iwasz-

(26) Kónya Lajos, „Szamadas”, *Irodalmi Ujsag*, 1951, II.15.

(27) *Poezja Polskiej Ludowej*, Warszawa, 1955, str. 49. We współczesnej literaturze polskiej mamy wielu autorów, których kariera polityczna jest, najdelikatniej mówiąc, co najmniej kontrowersyjna. Iwaszkiewicz należy do tej grupy. Chociaż późniejszy okres zasługuje na bardziej przychylną uwagę, musieliśmy się ograniczyć, ze względu na charakter pracy, do jego wcześniejszej działalności.

kiewicz postawił Rajka w tej samej kategorii co... kolaborantów nazistowskich jak Pétain i Sacha Guitry, co stanowiło już szczyt komunistycznego fideizmu.

Poezja „anty-reakcyjna” zajmowała się z samej swojej definicji konfliktami międzynarodowymi, anty-sowieckimi czy anty-komunistycznymi ugrupowaniami na Zachodzie, sojuszami lub posunięciami Zachodu, które uważano za anty-komunistyczne (jak np. Plan Marshalla). Czasami brano pod obrząb grupy wewnętrzne, „reakcjonistów”, kułaków, sabotażystów, których zazwyczaj potępiano jako „przeżytki przeszłości” lub „obiektywnych sprzymierzeńców” Trumana i Mac-Arthura. „Poezja anty-reakcyjna” nie ograniczała się do ogólnego potępienia faszyzmu czy kapitalizmu, w większości wypadków dotyczyła ona poszczególnych spraw, czy raczej grzechów wrogiego obozu, takich jak akcja wojskowa w Grecji, Wietnamie czy na Korei, lub zjawisk w rodzaju masowego bezrobocia, wyzysku kolonialnego lub dyskryminacji rasowej. Niektórzy polscy i węgierscy poeci uważali „demaskowanie” nieprawości zachodnich za swój święty obowiązek, ciesząc się gdy mogli wskazać na rozbieżności między teoretycznym humanizmem i sprzeczną z nim praktyką zachodniej polityki; trudno też twierdzić, by wszystko co mieli do powiedzenia na ten temat było nieprawdziwe. Niewielu ludzi, jeśli w ogóle ktokolwiek, wierzy w bajeczkę o wojnie bakteriologicznej prowadzonej rzekomo przez Amerykanów na Korei, która odbiła się tak szerokim echem w prasie komunistycznej, ale nikt, łącznie z demokratycznie nastawionymi anty-komunistami, nie aprobeował okrutnego traktowania greckich komunistów i ich sympatyków w osławionym obozie koncentracyjnym w Makronissos. Poeci piszący o takim obozie jak Makronissos, mogli mieć również na myśli Oświęcim czy Dachau. Można było powątpiewać w ścisłość ich informacji, lub drwić z jednostronności (ciż sami poeci pomijali milczeniem istnienie obozów koncentracyjnych na Węgrzech i w Rosji), ale trudno było nie przyznać, że ten rodzaj poezji „schematycznej” wywierał dużo większy wpływ na anty-faszystowskich intelektualistów, niż jakikolwiek inny. Wiersze te wyolbrzymiały, a nawet prawdopodobnie fałszowały pewne fakty, ale przesada miała bardziej *poetycki* niż *polityczny* charakter i wiersz o okrucieństwach obozu w Makronissos zawierał więcej elementów prawdy, niż panegiryk ku czci komunistycznej konstytucji, która istniała wyłącznie na papierze i była martwą literą.

Nawiasem mówiąc, „poezja anty-reakcyjna” miała swą wcześniejszą tradycję w Europie Wschodniej; również kilku wybitnych poetów lewicowych rozwijało ją w Europie Zachodniej (Eluard, Aragon, Spender). Istnieje jednak zasadnicza różnica

między poetą zaangażowanym wewnątrz, zakorzenionym w życiu jakiegoś społeczeństwa, a poetą zaangażowanym po stronie... władzy. Jeżeli poetę angażują mniej jego własne przeżycia niż sprawa podporządkowania się władzy, nawet gdy nie brak mu jakichś własnych, wartościowych przeżyć, jest nieprawdopodobne by udało mu się przetransponować je na dobrą poezję. Jak można, dla przykładu, napisać dobry wiersz o wojnie koreańskiej, jeśli nigdy przedtem nie słyszało się o takim kraju, i nie ma się najmniejszego pojęcia o istotnych przyczynach i atmosferze wojny. Porównując wiersze dotyczące hiszpańskiej wojny domowej z wierszami o Korei, uderza nas ogromna różnica na korzyść tych pierwszych. Wiersze koreańskie są „schematyczne”, brak im dokładnie tego, co uczyniło wiersze „hiszpańskie” żywymi: brak im *pasji osobistej prawdy*, wpływającej z intensywności poetyckiego przeżycia. Nie mając możliwości osobistego wyboru i własnych przeżyć, nawet zdolni poeci nie są w stanie stworzyć niczego, co wykraczałoby poza bezosobowe echa gotowych sloganów.

Oprócz wymienionych już rodzajów „poezji schematycznej”, istniał jeszcze i rodzaj piąty, który jest mieszaniną lub odmianą, czy zakamuflowaną wersją tych czterech pierwszych — *poezja pacyfistyczna*, lub *poezja pokoju*. Rodzaj ten stał się najwygodniejszym wzorcem „poezji schematycznej”. Słowo „pokój” odmienniano w towarzystwie wszystkich tradycyjnych motywów poetyckich (miłość, przyroda, śmierć), tak że poezja pokoju mogła w zasadzie obejmować wszystko: rodzinę, piękno, dom, dzieci, słońce, łącznie z białym gołębkiem Picassa. Pozwalano nawet na dobre rymy, o ile tylko przyczyniały się do „walki o pokój” (28). Wyłoniły się wreszcie trzy wzorce tej poezji w Polsce i na Węgrzech: łagodny, bojowy, oraz mieszany, zawierający oba te elementy. „Pokoju” — chociaż na pewno nie pacyfistyczne — wiersze o pokoju należą do kategorii „liryki instytucjonalnej”. Z reguły argument tych wierszy był następujący: mamy pokój i budujemy socjalizm dzięki potędze Związku Sowieckiego, który nas broni — niech żyje Związek Sowiecki! „Bojowe” wiersze o pokoju były z zasady wściekle anty-zachodnie i podpadają pod czwartą kategorię „poezji schematycznej”, kategorię „anty-reakcyjną”. Sprzeczność zawarta w „bojowej” poezji pokoju daje się wyjaśnić, o ile przyjmujemy dialektykę komunistyczną, według której: 1) Zachód przygotowuje się do wojny, 2) zbrojenia komunistów pozwolą im walczyć z Zachodem skutecznie, 3) Zachód przestraszy się ich potęgi, i w ten sposób 4) jeśli

(28) Patrz wiersz pacyfistyczny Zelka w *Irodalmi Ujsag*, 1950, XI. 2., str. 1.

komuniści będą ciągle podkreślali, że to Zachód chce wojny i zbroili się sami, pokój zostanie utrzymany. „Walka o pokój” w tym kontekście oznaczała walkę o pokój przy pomocy każdego dostępnego środka, łącznie z wojną (29).

Zarysowawszy wzorce „schematycznej” poezji soc-realistycznej, możemy obecnie przejść do opisu jej typowych produktów. Składniki przeciętnego „schematycznego” wiersza były zazwyczaj następujące: dowód komunistycznej potęgi, zdemaskowanie podstępnych intencji wroga i jego wewnętrznych słabości społecznych, zakończenie optymistyczne, wyrażające niewzruszoną wiarę poety w końcowe zwycięstwo komunizmu. Liczbowa siła bloku sowieckiego była ulubionym motywem „schematycznych” wierszy. „Osiemset milionów ludzi mówi to samo co ja”, pisał starszy wiekiem poeta węgierski (30), pomijając to, czy te osiemset milionów rzeczywiście mówi to co myśli. Kiedy się już raz jest pod wrażeniem obszaru i liczb, łatwo popaść w podziw dla marszu czasu; to znaczy dla konieczności historycznej, pracującej przy pomocy czasu. W porównywaniu siły militarnej obu obozów, sugerowano, że ideologiczna słabość Zachodu z biegiem czasu doprowadzi do jego upadku. Większość komunistów szczerze wierzyła wówczas, że czas pracuje na korzyść zwycięstwa proletariatu na całym świecie. Dopiero śmierć Stalina i następujące po niej zmiany w Związku Sowieckim, zachwiały tym przekonaniem, gdy ci co oczekiwali millenium zrozumieli, że czas pracować może dwojako: na korzyść zwycięstwa idei socjalistycznej, ale przeciw komunistycznej autokracji. Wypadki w latach 1953-56 zniszczyły magię stalinizmu, zarówno w teorii jak i w praktyce; odtąd komunizm przestał być monolitem wiary, projekcją gigantycznej obsesji.

Ograniczenia tematyczne, formalne i językowe, zakaz „burżuazyjnego” eksperymentowania i spontaniczności artystycznej, miały rozpaczliwe skutki dla poezji. Wielu artystów wypracowało rodzaj dziwnej „cenzury wewnętrznej”. Można to wyjaśnić na przykładzie przechodnia, któremu w dzieciństwie wbijano w głowę, że nie wolno mu przechodzić przez ulicę, gdy ma na przeciw siebie czerwone światła. U przechodnia powstał odruch warunkowy: gdy widzi czerwone światło, natychmiast zatrzymuje się. Istnienie tego umysłowego czerwonego światła kaleczyło większość poetów węgierskich i polskich w tym czasie. Przez nie przemawiał głos władzy, ostrzeżenie: dalej nie wolno. Poeci przyjmujący założenia partyjne nauczyli się stosować taką cenzurę

(29) Na Węgrzech powstał na ten temat gorzki dowcip: „Będziemy mieli taką walkę o pokój, że nie zostanie kamień na kamieniu”.

(30) Gellért Oszkar w *Irodalmi Ujsag*, 1950, XII, 21, str. 7.

wewnętrzna, która na ogół była bardziej skuteczna, niż cenzura oficjalna. Poeta, służąc tyranii „sam stawał się tyranią” (31).



Połączenie metod administracyjnych z wewnętrzną cenzurą niezwykle obniżyło kryteria poetyckie w Polsce i na Węgrzech. Na początku lat pięćdziesiątych schematyzm stał się poważnym problemem w obu krajach. Na Węgrzech sami poeci zaczęli dyskutować na ten temat, wśród nich często tacy, co zauważyli symptomy choroby we własnych wierszach.

Naszej poezji grozi niebezpieczeństwo „schematyzmu”. Szablonowe wiersze powstają w wielkich ilościach — jeden podobny do drugiego, jak jajka. Czytasz je i nic ci nie pozostaje w pamięci (32).

Dyskusję kontynuowano na Pierwszym Zjeździe Literatów Węgierskich, gdzie József Darvas wygłosił pochwałę współczesnej poezji: „To przede wszystkim nasza poezja poszła najdalej w kształtowaniu naszego nowego życia... i ona też odzwierciedla nasz nowy świat najwyraźniej” (33). Ta opinia spotkała się ze sprzeciwem innych uczestników zjazdu. Benjamin, na przykład, oświadczył bez ogródek: „Nasza poezja jest jedyną dziedziną, w której nastąpił zastój” (34). Nie mógł jednak wskazać na sedno problemu, dopóki podtrzymywał mit o jedności partii i ludu, oraz poety i partii. Mógł jedynie winić symptomy, zamiast przyczyn. Ferenc Juhasz *enfant terrible* nowego pokolenia, był dokładniejszy w swojej krytyce. Przede wszystkim krytykował służalczość kontrolowanej przez partię prasy: „gazety nie drukują prawie w ogóle, lub co najwyżej bardzo niechętnie, tych wierszy, w których słowa takie jak Partia, Pięćdziesiątka, czy Wolność nie występują co najmniej dwukrotnie” (35). Juhasz sarkastycznie prosił redaktorów, aby wybaczyli poetom fakt posiadania własnych osobowości. Zaatakował poza tym schematyczne wiersze Benjamin, Konya’i i Zelka, oskarżając ich autorów o „przesadny entuzjazm” i „bezbarwne, mdłe” przedstawianie rzeczywistości (36). Za ten odważny atak Juhasz otrzymał nagane

(31) Illyés Gyula „Egy mondat a zsarnakságról”, *Irodalmi Ujsag*.

(32) *Irodalmi Ujsag*, 1950, XI, 2, str. 6.

(33) *A Magyar Irók Llsö Kongresszusa*, Budapeszt, 1951, str. 18-19.

(34) *Ibid.*, str. 76.

(35) *Ibid.* Str. 168.

(36) *Ibid.*

od ideologa partyjnego, Marton Horvatha, który utrzymywał, że schematyzm jest wynikiem zbyt małego, a nie zbyt wielkiego entuzjazmu. Z punktu widzenia stalinistów właśnie ci co przyjmowali linię partyjną winni byli pisać lepszą poezję. Benjamin i Zelk należeli do grupy „wierzących”, ale musieli być „przesadnie entuzjastyczni”, aby zagłuszyć w sobie zepchnięte w podświadomość i niepokojące obrazy rzeczywistości. „Przesadny entuzjazm” prowadził ich jedynie do jeszcze bardziej ślepego aprobowania partyjnej wersji rzeczywistości. Było to dokładnie to, czego partia wymagała zgodnie z teologicznym charakterem stalinizmu. Więcej *partyjności* — oto jedyne lekarstwo jakie teoretycy partyjni byli w stanie przepisać na schematyzm. Nie pozostawiali wątpliwości, że „każdy poeta węgierski winien jeszcze mocniej zagłębić się w studiowanie twórczego światopoglądu marksizmu-leninizmu, jeszcze mocniej uświadomić sobie wielką walkę naszego narodu i całej ludzkości, obok specyficznych problemów swojej sztuki” (37).

A więc nacisk szedł przede wszystkim na studiowanie marksizmu-leninizmu, a dopiero potem na znajomość rzemiosła, techniczną umiejętność przedstawiania pewnych faktów w atrakcyjny sposób. Oto wszystko, czego partia żądała od swych poetów na Węgrzech. W Polsce podobne rozwiązania proponowano dla tych samych problemów. Schematyzm, czyli lakiernictwo, fakt, że pisarze nie potrafili przedstawiać rzeczywistości „prawidłowo”, przypisywano ich ideologicznej niedojrzałości i wiotkości przekonań. Tak wyjaśniał to Grzegorz Lasota, jeden z młodych apologetów żdanowizmu, zarzucając poezji polskiej, że jest niedostatecznie „przepolityczniona”, ideologicznie płytka, a tym samym jedynie „pozornie upolityczniona” (38). Termin Lasoty: „przepolitycznienie” implikował całkowitą wiarę w partię, pełne podporządkowanie własnych myśli, uczuć i snów „przedniej straży proletariatu”. Żądanie Lasoty było identyczne z żądaniem „zwiększenia entuzjazmu”, jakie wysunął Horvath. Inne jest tylko sformułowanie, może bardziej inteligentne w wypadku polskiego krytyka, ale terapia stalinowska jest ta sama. Rzekoma krytyka schematyzmu zwracała się w ustach Lasoty przeciwko jego prawdziwym krytykom, powtarzając stare żądanie *partyjności*.

(37) *Irodalmi Ujsag*, 1951, I, 4, str. 7.

(38) *Nowa Kultura*, 16. III, 1952, str. 9.

Za czasów rozpanoszenia się schematyzmu powstała pokaźna ilość literatury nielegalnej. Wiersze te i satyry krążyły co najwyżej w odpisach i były rzeczywiście pisane „do szuflady”, bez najmniejszej nadziei na druk, gdyż albo nie pasowały do dozwolonych wzorców schematycznych, lub były sprzeczne z polityką partii. W Budapeszcie w paru miejscach odbywały się spotkania na których odczytywano te wiersze; brali w nich udział młodzi poeci, których nazwiska dawno znikły ze szpalt czasopism. Sytuacja była prawie identyczna w Warszawie. Według ustnej relacji młodego polskiego artysty, autora i czytelnika „szufladowej” literatury, wyglądało to w następujący sposób:

„Wiersze” pisane do szuflady „krążyły w odpisach... Zżyliśmy w kręgu przyjaciół, którzy organizowali wieczory literackie dla każdego autora osobno. Później, przepisywali na maszynie te wiersze, które im się podobały. Wkrótce doszło do tego, co jest w Rosji zjawiskiem zupełnie zwykłym; zaczęły krążyć pisane na maszynie kopie powieści i zbiorów poetyckich. Wydawaliśmy nawet nasze książki w ograniczonej ilości egzemplarzy (np. 5) i posyłałyśmy je naszym przyjaciołom”.

Na Węgrzech w latach 1949-53 nawet ta nielegalna literatura była ograniczona; wiersze wyraźnie polityczne zaczęły krążyć w odpisach dopiero po rozpoczęciu się Odwilży. Jest to zrozumiałe, gdy się pamięta jakie konsekwencje groziły za rozpowszechnianie anty-komunistycznych wierszy w roku, powiedzmy, 1952.

W dobie Żdanowa poezja węgierska dzieliła się na trzy kategorie: wiersze pisane zgodnie z receptą partyjną, wiersze pisane wbrew soc-realizmowi i dzięki temu nie mogące się ukazać, gdyż autorzy woleli nie ryzykować utraty fizycznej swobody i środków do życia, oraz wiersze pisane, a raczej zapamiętywane, w więzieniach, celach tortur i obozach koncentracyjnych. Najwybitniejszym przedstawicielem tego ostatniego gatunku był Byörgy Faludy. Podczas wojny mieszkał on w Stanach Zjednoczonych i służył w amerykańskim wojsku. Po wojnie wrócił na Węgry, ale został aresztowany w pierwszej obławie jaka nastąpiła po aresztowaniu Rajka i skazany za rzekome szpiegostwo. Najpierw w więzieniu, a następnie w osławionym obozie koncentracyjnym w Recsk, potrafił zachować siłę ducha i wyobraźnię artystyczną. Uwolniony po latach straszliwej próby, wyszedł z niej zwycięsko ze wzmocnioną wiarą w ludzkość, napisawszy szereg przepięknych

wierszy w Reck, z których może najlepiej znanym jest *Nyugat-Ausztralia* (Zachodnia Australia) (39).

Oprócz Faludy'ego i modernistycznego poety Hatara, który przesiedział trzy lata w więzieniu, warto wspomnieć o grupie młodych skazańców z więzienia w Vac. Dzięki polepszeniu się sytuacji po roku 1953, mogli oni zdobyć skrawki papieru i kawałki ołówków i zaczęli rozprowadzać (jak mówili: „drukować”) małą antologię wierszy i tłumaczeń z poetów obcych. Antologia, zatytułowana „Ogród ziół”, posiada dużą wartość dokumentalną, ale jej zawartości nie da się mierzyć literackimi kryteriami, jako że jest to w dużej mierze praca amatorów.



Mówiąc o zapanowaniu schematyzmu w literaturze polskiej i węgierskiej w latach 1949-53, nie chcemy przez to powiedzieć, że wszystko co ukazywało się w tym czasie było absolutnie bezwartościowe. Powstawały i wówczas dobre wiersze, które nawet w latach 1950 i 1951 były drukowane, chociaż jedynie w wypadku kilku poetów. Lista znośnych wierszy z okresu żdanowizmu w Polsce nie jest jednak długa: można by na niej umieścić jakieś pół tuzina wierszy Różewicza, po jednym czy dwa wiersze Tuwima, Iwaszkiewicza, Jastruna, parę fragmentów lirycznych pochodzących z obu poematów opisowych Broniewskiego „Wisła” i „Mazowsze” i około jedną trzecią produkcji poetyckiej Gałczyńskiego. Gałczyński jest więc rzucającym się w oczy wyjątkiem od reguły.

Na czym polegała tajemnica Gałczyńskiego? Być może była to kwestia wrażliwości, jego wrażliwości jako poety i artysty. Nie uniknął on schematyzmu, ale ponieważ nie brał go zbyt poważnie, znalazł z niego wyjście szybciej niż wielu jego mniej subtelnych kolegów. Dylemat Gałczyńskiego brzmiał: jak pogodzić piękno z tym co jest społecznie i politycznie użyteczne, nie zanudzając równocześnie czytelników na śmierć? Już w „Niobe” (1950) — poemacie opisowym, pasującym do wzorca „poezji pokoju”, chociaż jest on równocześnie czymś więcej — gloryfikacją rzeczy wiecznie pięknych stworzonych przez sztukę — Gałczyński znalazł pewien kompromis między obowiązkiem wobec poezji a polityki. W późniejszych utworach wypracował on szlachetny styl, który w sposób zręczny i udany łączył humanizm z tradycjami narodowymi („Wit Stworz”), z umiłowaniem polskiego krajobrazu i rzeczy prostych, oczywistych, takich

(39) *Latóhatar*, 1956, XI-XII, str. 316.

jak życie rodzinne, muzyka, zmienne pory roku. Z politycznego punktu widzenia, motyw pokoju w poezji Gałczyńskiego stał się silniejszy i prawie wyparł motyw „anty-imperialistycznego” wyrażania pięścią. Polityka coraz bardziej znikła z jego poezji, roztopiając się w całości życia. To właśnie czyni ostatni okres twórczości Gałczyńskiego (lata 1952-53) czymś tak zadziwiającym — końcowa akceptacja przez poetę *pełni życia*. Po raz pierwszy Gałczyński wyraził nieograniczoną radość życiem; radość ta przenika spokojne, majestatyczne wiersze cyklu „Pieśni” i rozbrzmiewa w lirycznym poemacie „Dzikie wino” (oba utwory ukazały się w 1953 roku). Świat ostatnich utworów Gałczyńskiego wart jest tego, by w nim żyć, chociaż pełno w nim nostalgii za pięknem rzeczy przemijających: smutnym księżycem w niebie, rzeką mrugającą jak latarnia gazowa, Brandenburskim koncertem Bacha, wronami siedzącymi na pokrytym śniegiem moście.

Gałczyński nie walczył ze schematyzmem świadomie, to znaczy, nie miał programu; przewycięził go dzięki swojemu wiecznie młodemu talentowi, dzięki wysiłkom by dać czytelnikom coś solidnego, dobrze zrobionego, a równocześnie prostego; by dać im literacki „towar” o istotnej wartości. Wczesna poezja Gałczyńskiego była żartem, rodzajem „poetyckiej szarlatanerii” (40). Ale wtedy, kiedy cała prawie polska poezja stała się szarlatańska, czyli schematyczna, dojrzały poetycko Gałczyński porzucił pozę swej młodości i przystosował się do potrzeb nowej, zdrowszej i poważniejszej publiczności. Ostatnia faza twórcza Gałczyńskiego oznaczała, że odniósł on zwycięstwo nad samym sobą, nad swą wcześniejszą manierą, i w rezultacie nad schematyzmem.

Na Węgrzech początki ery żdanowizmu przyniosły lata milczenia dla jednych, a wzrost szansy sukcesu dla innych. Jak już wspomnieliśmy znalazło się paru młodszych poetów, pełnych demokratycznych i socjalistycznych iluzji, którzy w roku „zwrotu” energicznie wystąpili po stronie polityki partii. Ich najwybitniejszym przedstawicielem był Ferenc Juhasz, który po oficjalnie przechwalonym poemacie epickim *A Santha-csalad* („Rodzina Santhów”, 1950), napisał inny poemat, bardziej nierówny, ale i szczywszy, miejscami zaś rzeczywiście dobry, zatytułowany *Apam* („Mój ojciec”, 1950). Bohaterem poematu jest ojciec poety, murarz chory na gruźlicę, na którą przy końcu poematu umiera. Umiera jednak z nadzieją, że dla Węgier jaśnieje lepsza przyszłość. „Mój ojciec” jest apoteozą ojca-proletariusza i nowego

(40) Artur Sandauer, *Poeci trzech pokoleń*, PIW, 1955.

społeczeństwa. „Rośnij piękny, przeczysty kraju /Niech ci mój los błogosławi” — pisał Juhasz w 1950 roku (41). Poemat ten jest interesujący dlatego, że jest on mniej schematyczny niż cała reszta utworów poetyckich napisanych w tym okresie. Niektóre z jego partii opisowych wskazują na większą wyobraźnię językową, niż widać to we wcześniejszych utworach Juhasza, a w tonie przebija niepokój, który mógł być znaleźć ujście w eksperymencie artystycznym. Eksperymentalny charakter poezji Juhasza stał się wyraźny nieco później i z Juhasza zrobiono kozła ofiarnego tak zwanego niebezpieczeństwa „anty-schematyzmu”, czyli walki ze schematyzmem metodami których nie aprobowała partia.

Jedynym poetą komunistycznym na Węgrzech, któremu udało się napisać trochę dobrych wierszy nawet w tak bezpłodnych latach jak okres 1951-52, był Benjamin. Choć wyprodukował on wiersze, które służyły za pokazowe wzory poezji schematycznej, niemniej jego talent zmusił go równocześnie do pisania wierszy, które można uznać za jedyne poetyckie osiągnięcie tego okresu (mam na myśli jedynie poezję drukowaną w tym czasie). Wiersze takie jak *Hajnali karenek* („Chór o świcie”) i *Szamadas* („Rachunek sumienia”) mogą służyć jako przykłady. W tym drugim wierszu, mocno udratyzowanym, Benjamin zastanawia się nad tym, co by się stało, gdyby wrogowie socjalizmu mieli zwyciężyć, biorąc go do niewoli, i stwierdza, że wytrzymałby tortury wroga. Autor kończy wiersz przysięgą, że nie boi się męczeństwa w imię Sprawy: „Jeśli ma być śmierć, będę wśród pierwszych umarłych, by zginąć za ciebie, kraju mój, mój najpiękniejszy, najukochańszy” (42).

Partii wiersz ten się nie podobał. Dlaczego zakładać, że wróg będzie torturował komunistów? Prawda, robili to naziści podczas ostatniej wojny, ale wydawało się dziwne, że Benjamin jest takim pesymistą teraz, że dopuszcza tak czarne przypuszczenia, nawet zakładając, że miałyby dojść do nowej wojny światowej. Benjamin miał pewnie na myśli doniesienia prasowe, opisujące jak Amerykanie torturowali więźniów i komunistów na Korei; ale Węgry to nie Korea. Stosunek poety, orzekła Partia, jest nieprawidłowy, szerzy defetyzm. Powinien zwracać on więcej uwagi na coraz piękniejsze życie węgierskie i w mniejszym stopniu zajmować się „sztucznymi” problemami moralnymi.

„Rachunek sumienia” jest w zasadzie wierszem anty-faszystowskim, z podkreśleniem humanizmu socjalistycznego i możli-

(41) Juhasz Ferenc. *A tenyészet orszaga, Szépirodalmi*, 1956, str. 156.

(42) *Hét évszázad magyar versei*, IV, str. 668.

wości męczeństwa komunistów. Wyraża on w sposób pośredni zagłuszane jeszcze wówczas przez Benjamina podejrzenie, że nowy ustroj *nie* działa całkiem gładko, że budowanie socjalizmu jest niezwykle trudną sprawą, oraz że wszystkie osiągnięcia komunistów są nieco niepewne. Aby przeprowadzić prawdziwy rachunek sumienia, poeta musiał zignorować propagandowy optymizm oficjalów i znaleźć drogę powrotu do moralnego jądra swej wiary — udało mu się to tylko dzięki ewokacji nastroju komunistycznego heroizmu, który istniał jedynie w ruchu podziemnym podczas wojny. Musiał stworzyć hipotetyczną sytuację, aby zaznaczyć swą moralną wyższość komunisty; jedynie w takiej wyobrażonej sytuacji mógł postawić znak równania między swym „ja” moralnym a swym „ja” lojalnym. Reval w tym wypadku wykazał ostrość widzenia: dostrzegł odchylenie Benjamina od linii partyjnej, potencjalny „rewizjonizm” w jego postawie; dlatego też pomijając artystyczne piękno utworu, udzielił pocie nagany za pesymizm.

Perypetie z „Rachunkiem sumienia” Benjamina stanowią dobry przykład tego, że każdy dobry wiersz, nawet napisany przez niezłomnych komunistów, musiał być w tych latach pisany *wbrew* partii (43). Poezję a-polityczną potępiano jako eskapizm i „intymizm” i każdy wiersz nieschematyczny podlegał potępieniu jako odchylenie w tę czy inną stronę. Sytuacja poety w Polsce i na Węgrzech w erze Żdanowa, była na pewno nie lepsza niż na Węgrzech w okresie przedwojennym, kiedy — według słów Déry’ego — pisarz musiał żyć „albo w niezgodzie ze swoimi przekonaniem, lub w niezgodzie ze swoimi interesami życiowymi” (44).

W chwili osiągnięcia dna tej duchowej przepaści, w 1951 czy 1952 roku, niektórzy krytycy w Polsce i na Węgrzech zaczęli formułować pogląd, który głosił, że poezja, szczególnie poezja liryczna, jest anachronizmem, a przyszłość należy do „kolektywnej poezji epickiej i 'produkcyjniaków'”. Teorie takie nie powstawały przypadkowo — sama istota stalinizmu była antytwórcza, anty-indywidualistyczna, dobitnie anty-poetycka. Poeci liryczni, z całym swym „burżuazyjnym indywidualizmem”; należeli do innej epoki i, jeśli nie powinno się ich zlikwidować, jako niepotrzebnych nowemu społeczeństwu, to przynajmniej winno się z nich zrobić epików lub prozaików. Każdy praw-

(43) Tamas Aczél pisze w *The Review*, 1, 1959, str. 78, że nawet w 1950 r., kiedy był przekonany komunistą i naznaczony przez partię redaktorem czasopisma literackiego „Csillag”, jego smak literacki był bez przerwy w niezgodzie z oficjalną linią partyjną.

(44) Déry Tibor. *Utáparó, Magvető*, 1956, str. 37.

dziwy poeta, już z samej definicji, był potencjalną ofiarą, a tym samym potencjalnym wrogiem stalinizmu i jego odgałęzienia w kulturze — żdanowizmu.

A jednak, mimo wszystko, poezja nie umarła ani na Węgrzech ani w Polsce. Ona tylko usnęła. Zbudziła się z tego snu natychmiast z chwilą, gdy cała budowla stalinowskiego systemu zaczęła się walić. Poezja skutecznie dopomogła do zwalenia jej i roztrzaskania na kawałki.

György GÖMÖRI

(Tłumaczył: Bogdan Czaykowski)

Plakietka bibliofilska

nakładem i drukiem

Oficyny *Stanisława GLIWY*

SAMUEL TYSZKIEWICZ

artysta-typograf

pod redakcją *Tymona TERLECKIEGO*

Zawiera: poemat *Bronisława Przyluskiego*, wspomnienia i eseje *Gliwy, Aleksandra Janty, Kazimierza Smogorzewskiego, Terleckiego, Józefa Andrzeja Teslary*, spis prac *Tyszkiewicza* oraz streszczenia w języku angielskim, francuskim i włoskim.

120 stron ręcznie składanych „polską antyką” Połtawskiego i ręcznie tłoczonych dwunastu kolorami na czerpanym, żeberkowym papierze, 25 podobizn druków Tyszkiewiczowskich, jego drzeworytów i linorytów, odbitych z oryginalnych klocków, fotografii na osobnych wklejkach kredowych, ozdóbek kompozycji Gliwy.

Do nabycia tylko u wydawcy: 52 Porters Grange Avenue, Southend-on-Sea (Essex, G. Britain). — Nakład ograniczony. Cena egzemplarza oprawnego w płótno 40 sh. (wraz z przesyłką w specjalnym opakowaniu).

Amor 43

Chłopiec miał dziewięć lat, był zakochany i wiedział już, że zakochany jest na całe życie. Powiedział to zresztą swojemu ojcu poprosiwszy uprzednio o dochowanie tajemnicy, ale później za namową ojca zgodził się, aby wtajemniczyć w to także i matkę chociaż wątpił, aby matka umiała go zrozumieć. Dziewczynka, którą kochał nazywała się Ewa, była młodsza od niego o jeden miesiąc i dwanaście dni. Mieszkała z rodzicami w sąsiednim domu i przychodziła do chłopca wieczorami.

— Czy nie możesz przyjść wcześniej? — zapytał któregoś dnia.

— Nie — powiedziała.

— Dlaczego?

— Ojciec mi nie pozwala. Mogę wyjść z domu dopiero kiedy jest ciemno.

— Porozmawiam z twoim ojcem — powiedział chłopiec.

— Nie zgodzi się.

— Zobaczymy.

Siedzieli w szopie w której chłopiec hodował niegdyś króliki dopóki ktoś nieznamy nie wdarł się w nocy i nie zabrał ich. Potem nie chciał już hodować królików; poprosił tylko ojca aby mógł urządzić sobie tę szopę i zachować ją dla siebie i aby nikt nigdy tu nie wchodził i ojciec jego zgodził się na to, poprosiwszy tylko, aby jesienią chłopiec pozwolił na zwalenie drzewa które mieli razem piłować. Tak zostało. Siedział teraz z dziewczynką na kupie trocin — sypkich, jasnych i pachnących; był wieczór, cicho, i słyszał bicie własnego serca i słyszał jak bije jej serce. Kiedy ma się dziewięć lat, to nie wie się jeszcze czym jest pożądanie, bo wtedy pożądanie zastępuje ciekawość i zdziwie-

nie, którego dostarcza drugie ciało i wtedy właśnie gardło staje się suche, serce bije szybko a włosy jeżą się na głowie niby szerszeń psa. Ale o tym, iż ta ciekawość silniejsza jest od pożądania chłopiec nie wiedział. Siedział na kupie trocin obok dziewczynki, wodził rękami po jej ciele i wiedział tylko, że jest zakochany na całe życie.

— Przyjdź jutro wcześniej — powiedział.

— Spróbuję.

— Naprawdę nie chcesz, żebym pomógł z twoim ojcem?

— Ojciec jest chory — powiedziała. — Może kiedy indziej.

— Jutro już będę wiedzieć — powiedział.

— Od kogo?

— Od takiego jednego, który chodził ze mną do szkoły — powiedział. — Umówił się ze mną na jutro. Mam mu za to dać klatki. — Chłopiec westchnął. — Nie chciał mi niczego powiedzieć, dopóki nie zobaczy klatek.

— Myślisz, że on wie?

— Wie na pewno — powiedział. — Wiesz kto to jest? Nadera.

— Nadera — powtórzyła dziewczynka.

— Tak — powiedział szeptem. — To jest brat tego właśnie Nadery, wiesz. Jego ojciec jest kolejarzem; kiedy wychodzi z domu, to zamyka tamtego w piwnicy, albo przywiązuje go łańcuchem za nogę. On ma już siedemnaście lat, ten większy Nadera. A to właśnie jego brat. I on mi powie.

— Myślisz, że będziemy to mogli robić?

— Jeśli nam tylko powie, — jak? A powie nam na pewno. Widzisz te klatki? Robiłem je z ojcem; trzeba tylko pociągnąć za sznurek i otwierają się. — Odwrócił się nagle i popatrzył na nią ale nie widział jej twarzy; widział tylko w ciemności błysk piły stojącej w kącie. — Będziesz się bać? — zapytał.

— Nie wiem — powiedziała.

— Jak będziesz mieć dziecko to muszą cię puszczać w dzień — powiedział. — Twój starzy... Nie będą mieli nic do gadania. Będziesz dorosła i będziesz mogła robić co chcesz.

— Muszę już iść — powiedziała.

— Tak — powiedział. — Odprowadzę cię.

Czekał następnego dnia; był zniecierpliwiony, zły, ale kolega nie nadchodził. Był znowu wieczór, ciemno, siedział z Ewą na kupie trocin, które były ciepłe przejąwszy ciepło ich ciała, a wtedy usłyszał gwizd. — Wstał wtedy i wyszedł na podwórko.

— Dlaczego tak późno? — zapytał.

— Nie mogłem przyjść wcześniej — powiedział tamten.

— Ojciec się upił i robił awantury w domu. Teraz śpi. Gdzie masz te klatki?

— Chodź — powiedział chłopiec.

Weszli do szopy.

— To jest właśnie brat Nadery — powiedział chłopiec do Ewy. — Tego, którego ojciec przywiązuje łańcuchem. Przeszedł po klatki.

— Ale ja muszę już iść — powiedziała dziewczynka.

— Nie chcesz poczekać?

Pokręciła głową.

— Przepraszam cię — powiedział chłopiec do kolegi. — Mamy tajemnicę. To tylko chwila.

— Popatrzę se na te klatki — powiedział tamten.

— Dobrze.

Odszedł z dziewczynką w kącie.

— Dlaczego nie chcesz poczekać? — zapytał. — Przecież on właśnie po to przyszedł, żeby nam powiedzieć.

— Jeśli nie wrócę do domu, to jutro w ogóle mnie nie puszcza — powiedziała szeptem. — Ty nie znasz mojego ojca.

Uściskał jej dłoń.

— Tak — powiedział. — Idź. Ja tu przez ten czas wszystko załatwię. Ale przyjdź jutro wcześniej.

— To zajmie nam dużo czasu? — zapytała.

— Nie wiem — powiedział. — Nie robiłem przecież tego nigdy. Ale dziecko jest dzieckiem. To chyba nie idzie tak raz dwa.

Dziewczynka wyszła. Młody Nadera patrzył za nią dopóki nie weszła do domu i nie zamknęła drzwi.

— Co to za frajerka? — zapytał.

— Taka jedna — powiedział chłopiec.

— Z Warszawy?

— Tak.

— Czarna — powiedział kolega w zamyśleniu. — I włosy ma czarne, i oczy ma czarne.

Chłopiec wystawił lewą nogę do przodu, podbródek przycisnął do piersi.

— Nie podoba ci się? — zapytał. — Powiedz, że ci się nie podoba.

Tamten uderzył go nagle głową w brzuch, ale chłopiec znał go już, był przygotowany. Ojciec uczył go trochę jak bić; podskoczył teraz do tamtego, uderzył go silnie dwa razy i znów odskoczył w tył pamiętając o tym, aby nogi pracowały równo i aby noga szła za ciosem ręki.

— Powiem bratu — zaszlochał tamten.

— Nie boję się twojego brata — krzyknął chłopiec; wierzył teraz w to co mówi; trzymał tamtego za klapy marynarki i potrząsał nim. — Nie boję się nikogo, nikogo. — A potem odepchnął go i tamten pobiegł przez podwórko.

Wszedł do domu oglądając w świetle swoje pokrwawione ręce.

— Upadłeś? — zapytał ojciec.

— Nie — powiedział. — Pobiłem się z bratem Nadery.

— O co?

— Proszę?

— Ty już dobrze wiesz. Pytam: o co wam poszło?

— Nie mogę ci powiedzieć — powiedział cicho chłopiec.

— Mnie nie możesz powiedzieć?

Wskazał błagalnie na matkę.

— Nie mogę — powiedział.

— To co innego — powiedział ojciec. — Kładź się spać. —

A potem, kiedy chłopiec leżał już w łóżku przysiadł i pochylił się nad nim. — Czy powiedziałaś mu gdzie mieszka Ewa? — zapytał.

— On wie — powiedział chłopiec.

— A czy ty wiesz?

— Co, tato?

— Czy ty wiesz kim jest Ewa?

— Ewa? — powtórzył chłopiec. — Co chciałeś powiedzieć, tato?

— To nic — powiedział ojciec. — To dobrze. Ale ten Nadera. On chyba pracuje dla Niemców. Przynajmniej ludzie tak mówią. — Wstał nagle, podszedł do szafy; wyciągnął stamtąd plecak, kozuch i czapkę narciarską. — Wam nic nie zrobią — powiedział. — Ale ja wolę się ulotnić na parę dni. — I powiedział do matki: — Idź tam do nich i powiedz im, że będzie lepiej jeśli znikną stąd na parę dni. Ja się boję tych Naderów. Może się mylę, ale wolę odczekać.

Matka wyszła.

— Czy wiesz, tato — powiedział chłopiec zasypiając — że tego Naderę ojciec przywiązuje łańcuchem jak wychodzi? A kiedyś nawet zamknął go w piwnicy i ten Nadera siedział tam trzy dni? — A potem zapomniał już Naderę; pomyślał tylko że żałował, że nie dowiedział się tego czego chciał się dowiedzieć; i że Ewa będzie musiała poczekać jeszcze jakiś czas i wychodzić z domu dopiero o zmroku. Nie słyszał już kiedy wróciła jego matka.

— No i co? — zapytał ojciec.

— Nie chcą odejść — powiedziała. — Mówią, że nie mają dokąd iść. I że tak musi się stać wcześniej czy później. — Patrzyła na jego grube, ciemne dłonie szarpiące się ze sznurowaniem plecaka. — I ty chcesz teraz odejść? — powiedziała.

— I tak nie potrafiłbym was obronić — powiedział. — Nic wam nie zrobią. Wierzę w to. Ale rozwalą tamtych.

— Czy nic nie można zrobić?

— Teraz za wcześnie o tym mówić — powiedział. — Będziemy o tym myśleć kiedy skończy się wojna. Może Bóg zachowa Niemców a zachowa ich na pewno. Ja myślę, że ze wszystkich narodów oni właśnie są najbardziej potrzebni Bogu i dlatego ich zachowa. Żeby wszyscy ludzie wiedzieli i czuli jak wygląda zło. Tylko po to, aby można było wybierać dobroć.

— Nie powinieneś tak mówić — powiedziała. — Jeśli jeszcze raz będziesz mógł nauczać, to chyba nie tego.

— Byłem złym nauczycielem — powiedział. — Ale nauczyłem się chyba czegoś. Kiedy skończy się wojna będę o tym mówić. A teraz pójdę aby ich zabijać i będę się modlić do Boga, aby ich zachował. Dam wam znać. — Zrzucił plecak na ramię, podszedł do łóżka i pocałował chłopca. Potem podszedł do pieca, ostrożnie wysunął jeden z kafli i wyjął owinięty w tłustą szmatę pistolet. — Weź jutro trochę gipsu i zaszmaruj ten kafel — powiedział.

— Idź z Bogiem.

— Ż Bogiem — powiedział. — I powiedz mu, żeby dobrze patrzył jak będą ich zabijać. Niech patrzy i niech się uczy. I niech ich pamięta przez całe swoje życie.

Ojciec wyszedł zamknawszy cicho drzwi za sobą. Ale chłopiec spał twardo i nie słyszał wychodzącego ojca. Nie słyszał nawet ich, kiedy podjechali pod dom o godzinie czwartej rano; nie słyszał nawet ich głosów i walenia do drzwi, i szczekania psa; spał dalej nie wiedząc nic o ich obecności i o hałasie, który wnieśli z sobą o godzinie czwartej rano postępując w myśl zasady, że dla zwycięzców każda godzina jest dobra. Obudził się dopiero wtedy, kiedy potrząsnęła nim matka i usiadł na łóżku: czujny i wypoczęty, jak młode zwierzę.

— Ubieraj się — powiedziała matka.

— Przecież jest niedziela — powiedział chłopiec.

— Tak — powiedziała matka. — Potem znowu położysz się spać, ale teraz wstawaj.

Włożył ubranie i wyszedł przed dom. Chciał podbiec do samochodu ale matka złapała go za rękę. Stała na ganku drewnianego, starego domu i oddychała głośno, a on czuł ciepło jej dłoni.

— Co to będzie? — zapytał. — Czy coś się stało, mamó? — Nie odpowiedziała mu, więc jeszcze raz powtórzył: — Czy coś się stało?

Patrzył na maskę samochodu lśniąca od rosy, na psa leżącego z wywieszonym ozorem i na lufy karabinów — potem zagwizdał cicho i pies uniósł czujnie spiczaste uszy. Policjant, który stał z boku wystąpił teraz naprzód i powiedział:

— Idźcie za nami.

— Dokąd nas prowadzicie? — zapytała matka chłopca.

— To tylko kawałek — powiedział policjant. — Popatrzcie sobie i wróćcie do domu.

— Pójdę sama — powiedziała matka. — Nie trzeba, żeby dziecko patrzyło na takie rzeczy. Pan to chyba zrozumie.

Policjant wahał się przez chwilę.

— Taki jest rozkaz — powiedział niechętnie. — Powiedziane było, że wszyscy mają patrzeć. Dla przykładu.

Poszli za policjantem i Niemcami. Matka wciąż trzymała jego rękę i chłopiec wstydził się; próbował uwolnić się raz i drugi ale matka trzymała go mocno. Żałował, że nie ma ojca: ojciec nigdy nie robiłby czegoś takiego. Najwyżej położyłby mu rękę na ramieniu i wtedy wyglądałoby po prostu jak dwaj koledzy wracający po pracy do domu.

Stali potem i patrzyli jak ojciec Ewy i chłop u którego mieszkał kopali dół pracując szybko i w milczeniu. Widział Ewę, którą jej matka trzymała za rękę tak samo jak i jego matka i wtedy szarpnął się ku niej, ale matka była silniejsza. Stał więc i patrzył. Widział jak któryś z Niemców podszedł do płaczącej Ewy i pogłaskał ją po głowie.

— Przynieście jej lalkę — powiedział do policjanta.

— Lalkę? — zdziwił się policjant.

— Tak — powiedział Niemiec. — Coś do zabawy.

Policjant wszedł do domu i wyszedł stamtąd po chwili trzymając pluszowego niedźwiedzia.

— Ile ona ma lat? — zapytał Niemiec matkę Ewy.

— Osiem.

Niemiec podał jej niedźwiedzia i Ewa stała teraz z niedźwiedziem w ręku.

— No — powiedział. — Nie bój się. Znasz bajkę o wilku i siedmiu kozłatkach? Nie? Pewnego razu Mama-koza powiedziała do swoich dzieci: „Nie otwierajcie teraz nikomu kiedy mnie nie będzie” i poszła. Wtedy pod dom przyszedł wilk i zapukał łapą do drzwi. „Kto tam” — zapytały kozłeta. A on na to: „To ja, wasza babcia”. „A dlaczego masz taki gruby głos, babciu?” — zapytały kozłeta...

Policjant podszedł do niego i powiedział:

— Gotowe. Czy mają się rozebrać?

— Nie — powiedział Niemiec.

Policjant wyciągnął rękę do Ewy.

— Daj tego niedźwiedzia, mała — powiedział.

— Dlaczego jej to odbieracie? — zapytał Niemiec.

— Chciałem dla dziecka — powiedział policjant.

— Przecież widzicie, że to też jest dziecko — powiedział Niemiec. — Dziwny z pana ale człowiek. Niech pan się wstydzi.

Wracali potem do domu i chłopiec płacząc cieszył się, że to jednak matka była razem z nim a nie ojciec. Bo przy ojcu wstydziłby się płakać, a musiał płakać i nic nie umiał na to poradzić. W ciągu następnych dni partyzanci zabili Naderę i jego najstarszego syna; jakiś młody człowiek w biały dzień zastrzelił Niemca na peronie stacji, a jakaś rodzina żydowska popełniła samobójstwo kładąc się nocą na szynach kolejowych — chłopiec wiedział to wszystko, słyszał o tym wszystkim i po mału zapominał. Płakał jednak od czasu do czasu; wtedy właśnie, kiedy przypominał sobie, że nigdy już nie będzie mógł mieć żony i dzieci, bo przysiągł już wierność; i że zakochany jest przecież na całe życie.

Marek HŁASKO

GRYF PUBLICATIONS LIMITED

PRZEDSTAWICIELSTWO „KULTURY”
I WYDAWNICTW KSIĄŻKOWYCH „KULTURY”
NA WIELKĄ BRYTANIĘ

zaopatruje w książki polskie mając na składzie ponad
3.000 tytułów. Wysyła natychmiast po otrzymaniu
z a m ó w i e n i a.

Katalogi bezpłatnie na żądanie.

WYSYŁAMY BEZPOSREDNIO DO W. BRYTANII,
ST. ZJEDNOCZONYCH, AUSTRALII, BRAZYLII
I I N N Y C H K R A J Ó W.

Na terenie Francji przedstawicielstwo:
„Libella”, 12, Rue St. Louis-en-l’Ile, Paris 4°

BOGATY DZIAŁ NOWOŚCI

Leonberg po latach

Gdy po raz pierwszy przybyłem do Leonbergu był marzec 1945 roku. Gdy wyładowywano nas z bydłych wagonów, padał śnieg pomieszany z deszczem. Przywieziono nas transportem z obozu śmierci w Flossenbürgu.

Flossenbürg, w którym spędziłem kilka tygodni, opuściłem z cieniem nadziei, że uda mi się wyjść żywym z kacetów; w owym czasie w Flossenbürgu ludzie umierali jak muchy. W krematorium piętrzyły się całe stosy ciał, poukładanych jedne na drugie jak drewniane kłody i czekały na spalenie. W najniższej części łagru wykopano dodatkowo głęboki dół, gdzie również palono trupy oblawszy je uprzednio smołą. Odór palonych zwłok rozprzestrzeniał się po całym obozie, w tych oparach i w dymie niesposób było oddychać. Gdy wyznaczono mnie, jako elektrotechnika, wraz z kilkuset innymi fachowcami na transport do Leonbergu zacząłem mocniej wierzyć w to, że po czterech ciężkich latach, które ja, teraz 19-letni, spędziłem w kaciecie, uda mi się dożyć upadku moich oprawców i dnia, który przyniesie wolność.

Z tą nadzieją w sercu maszerowałem na chwiejnych nogach z dworca do łagru Leonberg. Śnieg i deszcz padały nieustannie, gdy nocą, otuleni w derki, dotarliśmy do obozu. Rychło zostały uspokojone nasze obawy i wątpliwości, czy aby jednak nie przywieziono nas tu na śmierć, jak to często miało miejsce z transportami „fachowców”. Gdy zapytaliśmy, czy jest tu krematorium, odpowiedziano nam, że nie ma. Wówczas odetchnęliśmy.

Obejrzelśmy łagier. Plac na apele był mały. Obóz składał się nie z baraków, lecz z murowanych domów, wypełnionych wielopiętrowymi pryzkami, na które i nas, nowoprzybyłych, wepchnięto.

Paliło nas pragnienie, ale nie wolno było pić wody, ponieważ w łagrze szerzyła się biegunka i tyfus.

Kierownictwo obozu i esmani pragnęli przeszkodzić ujawnieniu się epidemii. Opowiedziano nam, że chcą oni zapobiec likwidacji obozu, aby zachować swoje dotychczasowe stanowiska, z dala od frontu i wojny, która dla wszystkich trzeźwo patrzących była już przegrana.

Do głodu przyzwyczajony byłem z Flossenbürga, ale męczarnia pragnienia była czymś nie do wytrzymania. Nie pozwoliło mi to usnąć, leżałem na pryczy i przysłuchiwałem się pertraktacjom mego sąsiada ze starym häftlingiem. Ten ostatni był gotów zaprowadzić nowoprzybyłego do miejsca, gdzie była woda, ostrzegając jednak z góry, że gdy go złapią na picciu lub przenoszeniu wody, zostanie tak pobity, że woda mu już nigdy nie będzie potrzebna. Za pokazanie tego zabronionego i ukrytego miejsca żądał kilku papierosów. Po jakimś czasie wrócił mój sąsiad w pełni zaspokojony. Opowiedział mi, że napił się do syta, a prócz tego przyniósł jeszcze pełną menażkę wody i gotów był ją odstąpić, za całego lub za połówkę papierosa. Niestety nie miałem nic do zaoferowania. Obok mnie leżał mój stryj Leo spragniony tak samo jak i ja odrobiny zbawczego płynu. Nasz sąsiad zlitował się nad nami. Kazał mi się przysunąć i wyszeptał mi w ucho:

„Rzykowałem, że będę pobity, a prócz tego zapłaciłem papierosami. Mam jeszcze trochę wody, ale chcę ją zatrzymać dla siebie, bo boję się, że znów przyjdzie pragnienie. Jeśli chcesz, powiem ci, jak się idzie po wodę. Weź ze sobą menażkę, żebyś mógł przynieść trochę wody i dla stryja. Musisz wziąć to ryzyko na siebie!”.

Następnie opisał mi dokładnie drogę i wytłumaczył, jak mam się orientować w ciemności: więc najpierw schody, kilka stopni w dół, później wzdłuż ściany określona ilość kroków, po czym w ciemności wymacać ręką kran na ścianie. Wróciłem na swoją pryczę i opowiedziałem wszystko stryjowi.

„Nie — rzekł mi na to — to jest zbyt niebezpieczne. Jesteś już bardzo osłabiony. Jeśli cię złapią, nie przeżyjesz bicia. Mogłoby się to skończyć twoją śmiercią”.

Leżałem przez jakiś czas, ale myśl, że w piwnicy jest woda nie dawała mi spokoju. Gdy stwierdziłem, że stryj drzemie, powoli zsunąłem się z pryczy i jak lunatyk posuwałem się w kierunku kranu z wodą. Serce waliło mi jak młotem, w głowie kotłowało się.

„Jeśli mnie złapią — zostanę bezlitośnie i okrutnie pobity. To byłby mój koniec, koniec mojej egzystencji, jeszcze zanim

nastąpi koniec tej strasznej zmory, który według opowiadań był już tak bliski”.

Pogrążony w tych myślach wędrowałem poprzez ciemności. Schodami doszedłem do opisanej ściany, dłonią szukałem na ścianie miejsca, gdzie miał być kran i nagle miałem go w palcach. Powoli go otworzyłem, zaczęła płynąć woda, przytknąłem do niej wargi. Piłem bez tchu tak długo, aż już więcej nie mogłem. Potem ostrożnie napełniłem aż po brzeg menażkę dla stryja. Szybko przytknąłem raz jeszcze usta do kranu, gdy nagle posłyszałem kroki i spostrzegłem, że coś posuwa się w moim kierunku. Jak skamieniały przywarłem do ściany, ale kroki umilkły znowu.

Nie słyszałem już nic więcej poza biciem mego serca. Ostrożnie trzymając menażkę z drogocenną wodą szybko powróciłem schodami na górę. Zaraz ujrzałem stryja, który podniesiony na przycy szukał mnie wzrokiem. Z uczuciem zwycięzcy wręczyłem mu wodę. Taka była pierwsza noc w Leonbergu.

Po porannym apelu zostałem, wraz z większością nowoprzybyłych z transportem, przydzielony na nocną zmianę do montowania części samolotowych. Niektórzy opowiadali, że są tu w montażu części rakiety V 2. Praca odbywała się w zamurowanym tunelu. Jedzenie było skąpe, ale obchodzenie się z ludźmi łagodniejsze, niż myśleliśmy. Bicie nie było takie straszne. Prawie co dzień było kilka alarmów lotniczych. Samoloty przelatywały w wielkich grupach nad obozem, co umacniało naszą odwagę. Tyfus i biegunka rozprzestrzeniły się coraz bardziej. Chorzy i umierający leżeli wszędzie: w tzw. „toaletach”, w korytarzach, na schodach. Gdy ktoś wycieńczony lub chory przysiadł na chwilę — rozpoczynał wkrótce rzeź w agonii. Pracowano z wysiłkiem, aby nadążyć w usuwaniu trupów. W owych tygodniach Leonberg przestał być obozem pracy a stał się obozem śmierci. Masowe wymieranie stało się głównym problemem, którym zajmować się musieli wszyscy: kierownictwo łagru, wachmani i sami więźniowie.

Oslabiony maszerowałem na nocną zmianę, ale o wydajnej pracy nie mogło być mowy. Tak wlokły się dni aż do połowy kwietnia. Pewnego ranka, gdy właśnie wróciliśmy z nocnej zmiany, kazano nam się ustawić na placu apelów. Policzone nas kilka razy, dano po 200 gramów chleba i rozkaz opuszczenia obozu. Oznaczało to, że obóz będzie ewakuowany. Dokąd? — nie wiadomo.

Dla wielu była to ostatnia droga! Maszerowaliśmy w kierunku Stuttgartu. Na długo przed dotarciem do miasta odrzuciłem koc, który chronił mnie przed zimnem. Byłem po prostu zbyt

słaby, żeby go nieść. Kilku spośród nas, nie mogąc już dłużej iść, usiadło w rowie, zabito ich strzałem w głowę. Wkrótce musiałem zrzucić także płaszcz, który dostałem od umierającego współwięźnia, bo nie mogłem go już udźwignąć. Był to piękny ciepły płaszcz, otrzymywali go w łagrach tylko nieliczni więźniowie w drodze wyjątku. Ostatkiem sił dowlokłem się do Stuttgartu. Szliśmy ulicami wzdłuż zbombardowanych domów. Jakiś tramwaj stał w poprzek ulicy. Panujący chaos wskazywał wyraźnie, że reżym śmierci zbliża się ku końcowi. Ludzie na ulicach patrzyli na nas też jakoś inaczej: nie było w ich wzroku pogardy, do której byliśmy przyzwyczajeni. Patrzyli trochę jakby zamyśleni, trochę smutni, czasem nawet ze współczuciem. To też dodało nam odwagi i sił do dalszego marszu, który zawiódł nas do przedmieścia Stuttgartu, gdzie załadowano nas do wagonów towarowych.



Jako zaproszony lekarz przyglądałem się niezwykle interesującej operacji, którą przeprowadzał lekarz naczelny jednego ze znanych szpitali w Stuttgarcie. Wczesnym popołudniem pożegnałem się z kolegami, którzy przyjęli mnie naprawdę gościnnie i przyjaźnie.

Byłem po raz drugi w Stuttgarcie! Po upływie 17 lat siedziałem w samochodzie wyładowanym walizkami, ze sporą sumką pieniędzy w portfelu — jako syty obywatel kraju, będącego ojczyzną cudu gospodarczego. Miałem akurat wolny dzień ijechałem do Kolonii na międzynarodowy kongres lekarzy dentytów. Mimowoli musiałem wspominać ów dzień, gdy chwiejnym krokiem maszerowaliśmy tymi drogami, gdy niektórzy z nas, wyczerpani, przysiadali na skraju drogi, w oczekiwaniu na strzał w głowę, który wybawi ich od męki dalszego marszu. Nie czułem się bynajmniej dumny z tego, że znalazłem się pośród nielicznych, którym dane było przeżyć tę krwawą łaźnię, że mogłem studiować i że głowę moją zdobią dwa birety doktorskie. Byłem smutny i przygnębiony.

Jakże obojętnie odnoszą się wszyscy do tych dawnych wydarzeń. My, dawni kacetowcy, oczekiwaliśmy od świata nie takiego stosunku do przeszłości. Kto chce dziś o niej słyszeć? Nasi rodzeni bracia mają mało zrozumienia dla tych rzeczy, dla lat spędzonych oko w oko ze śmiercią.

Tak, chcę Wam to opowiedzieć, moi towarzysze z kacetu, którzyście tu, w Stuttgarcie, stracili życie. Do Was zwracam się teraz i w myślach łączę się z Wami, zmarłymi z głodu i bie-

gunki, rzuconymi bezimiennie do masowych grobów i przysypanymi ziemią, która pogrzebała wraz z Wami i Wasze marzenia. Marzenia ojca, który chciał raz jeszcze zobaczyć swe dzieci, marzenia dziecka, które tęskniło za matką i rodzeństwem. To wszystko przykrywa cienka warstwa ziemi, na jednym ze wzgórz Leonbergu.

Najpierw udałem się do siedziby gminy żydowskiej w Stuttgarcie. W pięknie urządzonych pokojach biurowych pracownice sekretarki stuknęły w maszyny do pisania. Na ścianach wisiały jakieś komunikaty dotyczące spraw odszkodowania płaconego byłym kacetowcom. Gdy spytałem, czy mogliby mi podać dokładną drogę do masowych grobów obozu w Leonbergu, spotkałem się z powszechnym zaskoczeniem:

„Obóz koncentracyjny w Leonbergu? Nigdy nie słyszeliśmy. I tam ma być grób masowy naszych braci? Nic nam o tym nie wiadomo”.

Ktoś podchodzi i powiada, że coś słyszał o obozie pracy przymusowej dla cudzoziemców w Leonbergu, „ale jako gmina żydowska nie interesujemy się tym zupełnie”. Kierownik biura gminy zaczyna mnie wypytywać, czy jestem stuprocentowym Żydem, czy może tylko pół-Żydem. Byłem przerażony tymi pytaniami. „Owszem byli i inni cudzoziemcy w Leonbergu, ale większość była Żydami”. Wystarczy przejrzeć „niekompletne listy”, które znajdują się w urzędzie stanu cywilnego w Leonbergu, aby zorientować się kim były ofiary. Spotykamy tam nazwiska żydowskie z Niemiec, Holandii, Polski, Rosji, Czechosłowacji, Węgier itd.

Gdy opowiedziałem po krótko o życiu i zagładzie setek Żydów i nie-Żydów w ostatnich tygodniach przed końcem wojny — kierownik biura gminy zadzwonił do burmistrza w Leonbergu. Od niego dowiedział się, że w Leonbergu są dwa groby zbiorowe dawnych kacetowców i że część zwłok została ekshumowana. Urząd w Leonbergu miał tego dnia przedłużone godziny pracy. Dowiedziałem się, że urzędnik stanu cywilnego, który sprawował pieczę nad grobami, będzie na mnie czekał, jeśli się pospieszę.

Rozgoryczony i zawstydzony opuściłem biuro gminy żydowskiej. Wstyd mi było za moich braci, którzy siedzieli tam w pokojach, pochłonięci troskami o podatek wyznaniowy, o odszkodowania. W tym nawale pracy zapomnieli zupełnie o innych, którzy oddaleni o kwadrans drogi samochodem leżeli pogrzebani bezimiennie, nieuczczeni nawet tablicą.

W prasie południowo-niemieckiej toczyła się przy tym niedawno polemika na temat położenia płyty dla uczczenia pamięci ofiar pochowanych w Leonbergu. Urzędnicy naszej gminy nie

czytają jednak najwidoczniej gazet. Z goryczą obejrzałem się na dom gminy, na którym umieszczono także szyldy Związku Żydów w Wirtembergii i rabina na Wirtembergię.

Według zwyczajów żydowskich za każdego zmarłego odwołują krewni raz do roku modlitwę. Jeśli chodzi o tych, którzy nie mają krewnych obowiązek ten ciąży na gminie żydowskiej i rabinie.

Jednak ani Związek, ani gmina, ani rabin nie interesują się Wami, moi zmarli towarzysze obozowi! Jakże czynić innym wyrzuty, jeśli własna gmina religijna nie wypełnia swych obowiązków.

Bardzo przyjaźnie przyjął mnie urzędnik stanu cywilnego w Leonbergu. Powiedział mi, że troskę o groby zbiorowe dawnych więźniów kacetu uważa nie tylko za swój obowiązek służbowy, ale i ludzki. Zaprosił mnie do swojego auta i zawiózł na cmentarz miejski, gdzie w zbiorowym grobie pochowano część ekshumowanych zwłok. Grób kryjący bezimiennie ofiary ma tylko kilka metrów kwadratowych powierzchni i sąsiaduje z innymi grobami. Grób kacetowców pokrywa jednak tylko dziko rosnąca trawa. Nieco zawstydzony mówił mi towarzyszący urzędnik, że właściwie powinna być tu deseczka z napisem, że jest to grób więźniów obozu koncentracyjnego. Daremnie szukaliśmy jej jednak. Okoliczne groby są pielęgnowane, obramowane kamieniami, rosną na nich kwiaty. Grób moich braci nie ma ani obramowania, ani tabliczki, ani kwiatów. Tylko dzika trawa rośnie na nim. Stałem z boku i odmówiłem modlitwę za zmarłych:

„...Obyście znaleźli pokój pod skrzydłami Boga. Ziemia nie powinna jednak zakrywać tej niewinnie przelanej krwi. Cześć Waszej pamięci”.

Z cmentarza urzędnik zawiózł mnie na wzgórze, do wielkiego grobu masowego. Droga wiodła pośród pięknych, nowo zbudowanych willi. Sam grób jest zapuszczony i wygląda jak kawałek nieuprawnionego pola. Całość zarośnięta jest chwastami, nieogrodzona i niezaopatrzona w tablice. Jakaś kobieta przyszła z psem, żeby mógł się tu wybiegać.

Urzędnik tłumaczył się, że miasto Leonberg chciało tu właściwie umieścić płytę, ale z powodu różnicy zdań sprawa została odłożona. Na moje pytanie, dlaczego nie posadzono tu przynajmniej kwiatów odpowiedział, że zdaniem architekta miejskiego klimat na wzgórzu jest zbyt niekorzystny. W tej ziemi, po której spacerują psy, leżycie więc moi towarzysze z obozu. Wokół Was wybudowano wille, otoczono kwitnącymi ogródkami. Tylko na Waszym grobie kwiaty nie będą rosnąć — tak

bowiem twierdzi architekt. W imię miłości bliźniego postawiono tu drewniany krzyż. Ale żaden napis nie mówi o tych, co leżą pod ziemią. Miłość bliźniego obowiązuje też chrześcijańskich właścicieli willi, ale żaden z nich nie posadził Wam kwiatka i nie okolił Waszego grobu kamieniami. Jesteście tu po prostu zawalidroga, grób Wasz psuje krajobraz, w którym tak harmonijnie umieszczone jest miasto i które tak pięknie wygląda ze wzgórza. Piękna panorama, ale w połowie wzgórza leży wielki grób masywny, pełen niewinnie rozlanej krwi. Ale tego nie chce się dostrzegać, to psuje obraz sytej zamożności tego miejsca. Nawet Wasi bracia, którzy w liczbie kilkuset żyją w Stuttgarcie zapomnieli o Was. Oni modlą się w synagodze, święcą dni święte, zabawiają się na balach gminnych i trudnią się opracowywaniem wniosków o odszkodowanie. O tym, że umęczonym należy się zwykły szacunek ludzki zapomnieli nasi bracia, inni zaś nie chcą w ogóle, żeby im o tych sprawach przypomniano.

Gdy otarłem łzy z oczu podszedł do mnie urzędnik i tonem usprawiedliwienia powiedział, że spodziewa się w przyszłym roku uporządkować to miejsce i urządzić tu cmentarz, zaś za dwa lata umieścić pamiątkową płytę.

Poprosiłem następnie urzędnika, żeby zechciał pokazać mi miejsce, gdzie dawniej znajdował się obóz. Zajechaliśmy tam samochodem. Okolica zmieniła się prawie nie do poznania. Wszystko zostało przebudowane, nowe ogrody i ulice są starannie utrzymane. Ale domy, w których był obóz, poznałem natychmiast. Z okien, ozdobionych firankami i kwiatami, wyglądali starzy ludzie. Urządzono tu obecnie osiedle dla starców. Chętnie zajrzałem za te firanki. Ciągle trudno mi sobie wyobrazić ile cierpienia ludzkiego pokryć można mieszczańskim blichtrzem. Ze zdziwieniem przypatrywali mi się dzisiejsi mieszkańcy domów, gdy fotografowałem mury, dziedziniec, dawny plac apelów, na którym stawaliśmy dwa razy dziennie, podczas gdy umierających kładziono na ziemi. Dziś zasadzono tu jakieś skromne kwiatki. Przez małe okienko piwniczne zaglądałem do pomieszczeń, w których przed 17 laty pod groźbą utraty życia kradłem wodę, aby nie skonać z pragnienia. Dziś urządzono tam pralnię dla mieszkańców. Chodziłem wzdłuż murów aż do bramy wejściowej w nadziei, że odkryję choć jakąś tablicę, na której będzie napisane, że więziono tu niewinnych ludzi, że bronili się oni przed śmiercią. „Cześć ich pamięci”! Ale ta pamięć została bez śladu zatarta. Tylko w urzędzie stanu cywilnego znajdują się „niekompletne listy” — tak się to nazywa w języku urzędowym — na których odnaleźć można ich nazwiska. Listy te leżą na niestrzeżonych półkach.

Uprzejmy urzędnik zaprowadził mnie potem do urzędu stanu cywilnego, który mieści się w starym ratuszu. Tam właśnie znajdują się wymienione listy z nazwiskami pochowanych kacetowców. Szukając znajomych nazwisk natykałem się na mnóstwo imion żydowskich. Próbowałem się opanować i skupić myśli, ale w spokojnej atmosferze tego biura nie udawało mi się to. W oczach moich palił się ból i gniew. Imiona na liście przeobrażały się w postacie, w żyjące trupy. Dziesiątki i setki stały przede mną z zapadniętymi policzkami i głęboko osadzonymi oczyma. Wpatrywali się we mnie pytająco. Szybko otworzyłem oczy, pożegnałem się z urzędnikiem, ale zapadłe twarze szły za mną i towarzyszyły mi jeszcze długo w dalszej drodze.

Ernst BORNSTEIN

UWAGA: Rzecz wyjątkowa!

Piękne wiersze w pięknej szacie

OPATOWA ANNA

Jana ROSTWOROWSKIEGO

w bibliofilskim wydaniu
Oficyny Stanisława Gliwy

Czerpany papier, wielobarwny ozdobny druk,
niedzienna ilustracja

Cena 12/6 d.

Do nabycia we wszystkich księgarniach polskich w Londynie.
Również pocztą (z należnością w czekach, postal orderach, gotówce)
na adres:

JAN ROSTWOROWSKI
Dacrelands LANCASTER, W. Brytania

513 Chesnut Avenue

— Keswicktown! — zawołał kierowca.

Doktor Ketler przybliżył twarz do szyby autobusu. Z *parkway* wjechali w aleję przedmieścia. Wysokie latarnie o szerokich twarzach biegły szybko ulicą. W oknach domów lampy-drogowskazy dla zbłąkanych, z daleka czerwony odbłask reklamy padał na jezdnię. Doktor Ketler podniósł się, stanął poza krzesłem motorniczego.

— Keswicktown?

Murzyn odwrócił się, spojrzął, kiwnął głową, powiedział:
Next stop.

Dr Ketler skłonił się, niewyraźny półukłon, uśmiech: *Thank you. Thank you very much. And... Chestnut Avenue?*

Kierowca zatrzymał autobus, drzwiczki otworzyły się automatycznie, kobieta przycisnęła się pomiędzy doktorem, a motorniczym, spytała: Keswicktown?

— *Yes mam.*

— *...and Chestnut Avenue?* — powtórzył doktor.

— *What?*

— *Si-ejcz-i-es-ti... Chest-nut A-venue.*

— *Oh, oh! Chestnut Avenue! Sorry! Pójdzie pan dwa bloki prosto, potem na lewo, cztery bloki prosto. Jaki numer?*

— *513.*

— *Skręci pan na prawo.*

— *Thank you, thank you very much.*

— *Teraz niech pan przejdzie na drugą stronę ulicy i dwa bloki prosto.*

— *Thank you. Thank you very much.*

— *Welcome* — mruknął kierowca. Przyglądał się pasażerowi, przechylił się, obserwował go poprzez szybę. Jego ciemna twarz ginęła w cieniach wieczoru tylko uśmiech był szeroki i biały, był to uśmiech zdumienia: *Widzieliście coś takiego? Gwizdnął przez zęby: Gee!*

Doktor Ketler miał na sobie czarny beret obcisłe przylegający do czaszki, jasny prochowiec zapięty na osiem wielkich guzików i poruszał się, jakby chodził na linie, jego język angielski był też poruszaniem się na linie. Autobus ruszył, kierowca żuł gumę, nie dostrzegł przyjacielskiego gestu doktora.

Doktor przeszedł jezdnię. Powtórzył: dwa bloki prosto, potem na lewo, cztery bloki prosto, skrócić na prawo. Powtórzył to jakby dla kogoś innego, kto siedział w głębi niego, na brzegu jego samego i zajmował się sprawami drugorzędnymi, sam natomiast popadł w swoje skomplikowane rozmyślenia. Była to dziwaczna, jemu tylko dostępna, drabina myślenia. Rozdzielał się będąc naraz na wszystkich szczeblach przerzucając tylko od czasu do czasu ciężar rozumowania kalkulował, planował, wyciągał wnioski.

Wieczór był ciepły, ale ciepłotą niepokojącą, z przyczajonym, groźącym dreszczem zimniejszego powiewu, niebo granatowe z jedyną gwiazdą tuż ponad reklamą rynku żywnościowego „A. and P. Market”.

Keswicktown, jedno z pomniejszych miasteczek, które w pośpiechu dołączały do głównego trzonu Monumental City stało się jego przedmieściem, odpryskiem wielkiej grzybni połączonej z nią kłaczami autostrad i nieudoszkalonymi jeszcze liniami autobusowymi. Samo miasteczko przejmując mieszkańców natłoczonego City rozwijało się w szaleńczym tempie na wszystkie kierunki przydając do starych, drewnianych *cottages* dzielnice budowane na prędce, bez planu i o wątpliwej architekturze.

Doktor rozglądał się, rejestrował sklepy większe i mniejsze dwa rynki żywnościowe, „5 and 10 cents” store, a wszystko stłoczone przy sobie w nierównych domkach, wciśnięte w przestrzeń zbyt skąpą, jak chłopak, który dorasta, w zbyt ciasno, połatane spodnie. Prześcigało się to w jaskrawości, napastliwości reklam cen produktów, nadzwyczajnych okazji, wysprzedaży ubrań, samochodów. Ulica rajcowała, a chociaż na cicho i pusto, bo przechodniów było niewiele, jej niemy jazgot był męczący i, jak myślał doktor Ketler, w złym tonie. Oceniał, że tu w Keswicktown wszystko jest raczej drugorzędne, gorsze, w złym stylu, ale może tańsze niż w City, że jest to jak gdyby polska prowincja z jednym *supersamem* na głównej ulicy w porównaniu do Warszawskiego MDMu, Marszałkowskiej i Aleji, ale prowincja na miarę

amerykańską krzykliwa i dosytna, podczas gdy w prowincjonalnym *supersamie* największą atrakcją była nazwa łącząca polską miłość do polskiej mowy z polskim snobizmem na zagranicę i cywilizację.

— Dwa bloki prosto — przypominał doktorowi nastawiony w mniej ważnych zwojach jego mózgu zegarek, a jednocześnie bardziej wykształcone centra kalkulowały:

25 centów autobus, 20 centów telefony, 75 centów kura, 19 centów sardynki, 25 centów chleb... razem dwa dolary, 37 centów. Dwa dolary! No a przecież jeszcze herbata, acha i znaczki. Razem. ...Przyjmując 72 złote za dolara, razem to w Polsce byłoby... Niesłychane! No, trudno. Na początek standartowy roztwór chloromycetyny, 80 gamma jednostek per miligram i *penasay broth*. Chodzi w tej chwili o najzwyczajszą sześciogodzinną kulturę organizmów z płynu mózgowo-rdzeniowego szczura. Probówki kontrolne przygotowane. Zaczęłam piąta piętnaście p.m., osiemnaście godzin upływa jutro przed południem. Potem będzie można postępować dużo szybciej, ale na początku wołę ostrożnie. Można pośliznąć się na prostej drodze, gdybym jeszcze nie musiał myśleć o obiadach! Dwa bloki prosto, potem na lewo... Tu już sięgała reklama kina, jej czerwone, zapraszająco ciepłe odbicie na chodniku, portyk kina chroniący przed deszczem i wiatrem, przytulny na obojętnej ulicy, obiecujący ciepło wnętrza i dwugodzinne odprężenie. Dziewczyna w oszklonej biletowej budce wysunięta ku przodowi ulicy, jak marynarz w bocianim gnieździe. Patrzyła sennie, oglądała już film, umiała go na pamięć, nie zmienił jej życia, ani krajobrazu w zasięgu jej wzroku: ulica pozostała ta sama wyprężona w betonie.

Obiady są najdroższe. Wczoraj nie wiadomo na co i dolar, sześćdziesiąt pięć centów. To w przeliczeniu na złote... ponad sto złotych. Mógłbym mieć za to w stołówce, a nawet w restauracji „B” trzy zupełnie przyzwoite obiady. Trzeba będzie pomyśleć, trzeba będzie wypracować metodę. Naukową metodę można zastosować do każdej sprawy, nie tylko do krętków błędnych.

Spróbujemy następnie uczulenie na streptomycynę. Oni tu używają króliki. Jutro zastrzyknę organizmy do jąder i krocza, mogę zakropić do spojówki. Na razie najprostsze metody. Trzeba będzie jeść inaczej, taniej, w inny sposób. Taka na przykład kolacja dzisiaj. Diabli zresztą wiedzą co to będzie za kolacja. Powiniennem oszczędzić dwieście dolarów miesięcznie. Tysiąc dwieście dolarów w ciągu 6 miesięcy — to się da zrobić, samochód we Francji nie powinien kosztować więcej... muszę się dowiedzieć. Dlaczego nie mógłbym oszczędzić dwustu dwudziestu dolarów miesięcznie?

Zatrzymał się przed kinem, patrzył na afisze nie widząc. Po strudze światła wypłynęła z kina para, otarła się o niego, potrafiła go niemal.

— *Excuse me*, cofnął się.

Nie odpowiedzieli, nie dosłyszeli go, przytuleni do siebie, zrośnięci z sobą.

Biodra dziewczyny falowały miękko, chłopak obejmował ją ostro ramieniem poprzez plecy. Ich elektryczność wstrząsnęła nim, poszedł za nimi, patrzył, jak skręcili w ulicę na lewo.

Dwa bloki prosto, potem na lewo. Skręcił na lewo. Małe domki w ogródkach mrugały sennie żółtymi oczami, po spadzi-
stych chodnikach płynął leniwy wodospad liści, pachniało opadłymi liśćmi, wczesnym, jesiennym wieczorem. Rzadkie latarnie patrzyły dyskretnie w górę nic nie widząc. Stali teraz przy drzewie, wtuleni w siebie pod słomianym parasolem klonu.

— Cztery bloki prosto — liczył doktor, ale wszystkie jego myśli zeskoczyły chyłkiem z drabiny i przycupnęły tuż przy całującej się parze. Przestały być myślami. Chłopak otworzył drzwi zaparkowanego pod drzewem samochodu. Doktor minął ich, zatrzymał się, pochylił, podniósł liść, żuł cierpki ogonek liścia. Odwrócił się, dyskretny półobrót. Nie zapuszczali motoru, wnętrze samochodu było ciemne, Doktor westchnął, odrzucił liść, zapalił papierosa.

Po raz pierwszy od czasu swego ślubu był sam ze swoim czasem i rozległością czasu, której nie potrzebował mierzyć dniami. Był sam na innej półkuli. Piętnaście lat opadało z niego krok za krokiem. Wdychał niepokojący zapach obcej jesieni.

Zatrzymał się przed drewnianym domem, *cottage*'m białym malowanym, dwupiętrowym. Weranda-ganek z galerijką powycinaną w serca obiegała dom z dwóch stron. Pod pułapem ganku zawieszona latarnia z giętego żelaza oświetla numer i pnącą jarzebinę, jej strzępiaste, sztywne liście i pomarańczowe korale tuliły się do ciemnego okna na pierwszym piętrze. Doktor wszedł po drewnianych schodach, wytarł nogi o gumową słomiankę z napisem *Welcome*. Dotknął ręką mosiężnej kołatki na drzwiach, zauważył dzwonek. W domu było ciemno i cicho, jakby wszyscy jego mieszkańcy usnęli, albo wyjechali, a tylko zostawili żelazną latarnię zapaloną na znak swojej do domu przynależności.

Zawahał się, zeszedł jeszcze raz do ogrodu. W parterowych oknach sąsiednich domów stały rozplamione, przysunięte blisko szyb lampy. Obszedł dom dookoła i zauważył teraz, że z boku, na pierwszym piętrze paliło się światło, że tył domu był oświetlony, chyba okna kuchenne. Ruszył już teraz szybko i pewnie, ślizgając się w pośpiechu na liściach, schody zaskrzypiały

trochę i zakołysała się latarnia, jakby kiwając głową w zdumieniu i dezaprobachie.

Doktor był dotychczas tylko w jednym domu amerykańskim, u profesora. Już w pierwszym tygodniu wszyscy stypendyści zostali zaproszeni na *party*.

Tamten dom żarzył się światłami, kapał światłem, szastał rozrzutnie światłem a rozwarne na oścież drzwi zapraszały i oczekiwały. Doktor wraz innymi urzeczonymi tym przepychem oczekującej ich jasności leciał w nią i wprost w wyciągnięte gościnnie ramiona żony profesora i ku wyciągniętej przyjacielsko dłoni profesorskiej. Łykał łakomie słówka *delighted* i *so happy to meet you*, jadł 'Chicken à la King' przytrzymując talerz na kolanach popijał Sherry i Manhatan i sam już nie wiedział co, sypał obficie *thank you, thank you very much*, sięgał raz po raz do półmiseczków z solonymi orzeszkami, z biskwiczkami, wysuszonymi krążkami bekonu, zapadał w miękki fotel, palił usłużnie podsuwane papierosy. Do diabła, czuł się wspaniale. Profesorowa pokazywała mu swoje hobby: gablotkę z egzotycznymi motylami, a profesor kolekcję starych strzelb. Wałęsali się po całym domu: stypendyści z Niemiec, Szwecji, z Danii, jeden z Afryki i on z Polski. Cały dom profesorski mieli dla siebie, oświetlony, usłużny. Nie zamykali ich w jednym salonie, jak profesorowa swoje okazy w gablotce. *Help yourself, feel at home*. No i koniec, kurtyna zapadła, zgasły światła, nawet by nie odnalazł domu, bo wiozł go kolega, Niemiec, swoim samochodem (już sobie zdążył kupić, spryciarz). Skończyło się dwa tygodnie temu i profesor nie wspominał o nowej *party*, ani o nawiązaniu życia towarzyskiego, wymianie kulturalnej. Był zajęty, szykował się na wyjazd z odczytami do Europy. Zona już dwa lata nie była w Europie — mówił — pojedzie ze mną. Teraz — laboratorium i pokój wynajęty po drugiej stronie szpitala w nowoczesnym gmachu dla studentów zagranicznych. Laboratorium i spacer wokół szpitala św. Marka, laboratorium i ślęczenie nad tomami bakteriologii, gotowanie kury na obiad i krojenie szczurów w laboratorium, listy do domu, oczekiwanie na nienadchodzące listy i laboratorium, badanie gruczołu zainfekowanego królika.

Przygoda, która podczas lotu jett'em tak zalotnie tuliła się do doktora, znikła. Zamiast obietnicy przygody — nuda. I to dręczące poczucie nieprzynależności w wielkim mieście o zamkniętych drzwiach, w którym przestaje się już być turystą, a nie jest się jeszcze mieszkańcem. Niespodziewanie szybko osaczyła go dojmująca samotność. Przylegało to z wszystkich stron do ciała, drażniący, zbyt ciasny kombinezon. Czuł się źle, odsunięty od czegoś, co powinno mu się należeć, niepewny, czy praca labora-

toryjna da pożądane rezultaty, hermetycznie zamknięty w swoim skąpym, naukowym języku angielskim, spragniony czerstwej uczciwej dyskusji w rodzimym języku, jak człowiek wygłodzony kwaskowatego kęsa razowego chleba.

Wyjeżdżał przecież przedtem zagranicę, był w Sztokholmie i w Moskwie, ale zawsze w małej grupie kolegów, na czas krótki, zwykle zbyt krótki. Tu było inaczej. Miał przed sobą pół roku pobytu w kraju, który z daleka wydawał się krajem najnieprawdziwszych możliwości, jedyną okazją zaoszczędzenia znaczniejszej sumy pieniędzy, kupienia samochodu. I kto wie, co mogło mu tu się wydarzyć? Co tu na niego czekało w tej wielkiej, bogatej rupieciarni, gdzie każdy coś sobie może wygrzebać, w tej ziemi przygód kończących się *happy end'em*? Życie pomiędzy małym pokoikiem a pracownią było monotonne, drogie. Kobiety uśmiechnięte uprzejmie, ale małe dostępne. Nie miał zresztą samochodu, nie miał pieniędzy na zbyteczne wydatki. Koledzy życzliwi, dowcipkujący, usłużni, ale poza pracą zamknięci w sobie, dla siebie, jakby dotykał ściany, która nie chciała się ugiąć, albo też nie znał znaku rozpuszczalnika rozmiękczającego ścianę.

W kartotece lekarzy szpitalnych doktor zaczął szukać nazwiska polskiego. Był jakiś doktor Sanoki (Sanocki?) wiecznie zajęty, rozbierany. Zostawił *message* sekretarce, aby przesłała do działu ginekologii, gdzie w pewnych godzinach ów doktor przebywał stale zajęty, stale *with a patient*, prosił, czy mógłby się skomunikować. Zaproszono go uprzejmie również poprzez *message* zostawione sekretarce, że doktor Sanocki prosi w środę wieczorem. Sekretarka przespeliwała mu adres, wskazówki co do transportu.

Ujął mosiężną kołatkę, zastukał. Czekał. Nacisnął dzwonek teraz już silniej, pewniej. Czekał. Okrągłe okienko u góry drzwi wejściowych spojrzało na niego nagle beznamiętnym elektrycznym wzrokiem — w hall'u zapaliło się światło. Usłyszał kroki drobne, kobiece. W otwartych drzwiach zobaczył twarz zapraszającą uśmiechniętą. Usta, rozchylone nieśmiało do powitania czy też odpowiedzi na powitanie, ściągały od kącików ku brodzie dwie fałdy, które mogłyby być już zmarszczkami. Była to twarz kwiatu, który zatrzymuje się w wazonie na jeszcze jeden dzień, aby już następnego ranka wyrzucić.

— Rączki całuję! — zawołał doktor Ketler. Głos miał głęboki, uśmiech śmiały, nie uznający sprzeciwu, głowę kształtną, włosy, mimo ciężającej na nim czterdziestki, ciemne, tylko na skroniach gdzieniegdzie siwawe, siwizną nie zmęczoną, a ożywiającą, ostatni *touch* obrazu na który spogląda się z przyjemną aprobatą. Był barczysty, nie za wysoki i gdy chciał w oczach zapalały mu się bardzo ciepłe, brunatne płomyki, a ramiona przygarbiał i wy-

suwał nieco ku przodowi, jakby pragnął nimi otulić i odgrodzić pacjenta. Była to jego wejściowa poza po której zwykle następowały przyciszone, troskliwe pytania: No jak się dziś mamy? Jak stołeczek? Był to też jeden z nawyków, który pozostał mu z prywatnej praktyki. Z prywatną praktyką bowiem doktor Ketler już zerwał. Odrzucił od siebie niepopłacające sentymenty omnibusa i dzięki poparciu, wpływom, namowom, życzliwości docenta Karola Piłata wszedł na drogę naukową. Była to droga usłana Spirochetami, Streptokokami, Mikrokokami, Diplokokami, Dwoinkami Neisser'a. Droga śliska od śluzu, wydzielin, ropy, ale też droga najpewniej prowadząca wzwyż: ku docenturze, profesurze, pewności jutra, lepszym dochodom, wyjazdom zagranicę, stypendiom Rockefellerowskim, Forda i innym. Na świat patrzył teraz doktor Ketler nie poprzez oczy pacjentów, ale lupę mikroskopu. A że łańcuszki Streptokoków, że grona Mikrokoków bardziej przypominały ciała niebieskie niż przyziemną nędzę choroby był doktor w siódmym niebie i powtarzał sobie, że lepiej tak, bo już go nikt po nocy nie woła, dyżury nocne go nie obowiązują, z kierownikami szpitali nie potrzebuje się użerać, pielęgniarcom prawić komplementów, nie potrzebuje wysiadywać na politycznych zebraniach dyskusyjnych personelu i że na prowincję zapadła go nie wysła. A teraz dzięki staraniom, popychaniom, listom polecającym gdzie trzeba no i własnej, upartej pracy w laboratorium zakładu przy uniwersytecie wylądował na drugiej półkuli.

— Rączki pani doktor całuję! — zdjął beret, skłonił się, ucałował podaną mu rękę szczupłą, suchą i chłodną. Myślał: tak, jak przypuszczałem starszawa babka. Ale czy to ona jest lekarzem czy jej mąż?

Twarz na wprost niego rozjaśniła się, Ruch ramion niezdecydowany, jakby chęć wyciągnięcia ich ku niemu i zażenowanie uświadomieniem sobie tej chęci.

— Ach to pan! — głos był drżący, trochę ochryply, ale zaraz wypełnił się i zadźwięczał. — Ja zaraz wiedziałem, że to pan! Ten beret! Proszę, bardzo proszę, prosimy, pan doktor pozwoli.

Cofała się, odbiegała wstecz, jakby rościelając przed nim dywan, po którym on nieco niezręcznie i jakby na palcach, obracając beret w jednej ręce, drugą przyglądając włosy, to poprawiając krawat wchodził do pokoju.

Nic tak nie zaskakiwało doktora Ketlera w mieszkaniach amerykańskich, jak przestrzeń. Bo trudno tu nawet myśleć o zazdrości. Zazdrość można stanowiska, dochodu, stypendium, można zieleniec z zazdrości, gdy taki fizjolog, Rutek, przywozi sobie z zagranicy samochód uciulany ze stypendium fordowskiego (zresztą kto go tam wie co on miał za kombinacje), ale jak można

zazdrościć przestrzeni, której przecież nie kupi się za złote, ani dolary w kraju gdzie tyle, a tyle kubików obliczone jest na jednego obywatela.

Przestrzeń amerykańska, szerokość dolin, wysoki pułap nieba, nici rzek, potoków, strumyków rzucone szczerą garścią, bogactwo jezior rozległych, jak morza i drobnych niby deszczowe kałuże, pasma gór, ogrom gór, niespodziewaność skał wytryskujących wśród zieleni łąk, jak oniemiałe wodospady, lasy ciągnące się tysiącami mil, pustynie i łąki, zatoki i morza, wydawała się malowana ręką utrudzonego Boga, który po delikatnych freskach, po żmudnym cyzelowaniu europejskich pejzaży zapragnął tu głęboko odetchnąć i malował pędzlem szerokim rozlewając zieloną, błękitną i złotą farbę.

— Pani doktor pozwoli, że się przedstawię. Adam Ketler.

— Bardzo mi bardzo przyjemnie... niech-że pan doktor... zaraz o tu! — Wyglądzała, poprawiła poduszki na kanapie. Jedną, zauważył, była cepeliowska, pewnie ktoś im przysłał z Polski, tę wygładziła staranniej i jakby ofiarowując mu miejsce honorowe wskazała na ową poduszkę z lnianego płótna. — O tu, proszę, niech pan siada. Zięc, widzi pan jeszcze nie... może go coś zatrzymało...

Pomyślał: To jej zięc jest tym doktorem Sanockim.

Usiadł, lubił siadywać wygodnie i do tego po długiej jeździe w autobusie czuł się znużony. Rozglądając się, powiedział:

— Jakie to duże mieszkanie.

Przyrównał natychmiast obszerny *hall*, *living room* do swoich trzech małych pokoików z kuchnią i łazienką, które zmieściłyby się tu z łatwością.

— Właściwie córka i zięc chcieliby się przenieść, sprzedać ten dom, oglądali parcelę, potem wybudować tam coś gdzieś za jakieś dwa lata.

— Parcelę! — uśmiechnął się. Starał się uśmiechnąć życzliwie. — Wie pani, u nas to taka rzecz brzmi trochę jak z Marsa, że tak można planować na kilka lat, najpierw parcela, potem dom.

— Jeżeli się planuje.

— U nas to takie rzeczy miewają miejsce z reguły w sposób katastroficzny. Wygra się w totka, albo ciocia zostawi kamienicę na prowincji i jakiś dureń, przepraszam, ją kupi.

— Ale ludzie u nas — poprawiła się — w Polsce mają przecież domki.

— W większych miastach już nikt nigdy nie kupuje nic poza domkami jednorodzinnymi. No albo mieszkania spółdziel-

dzielcze. Ja sam mam mieszkanie spółdzielcze. Czasem na prowincji ktoś jeszcze kupi kamienicę.

— Acha, no tak. Ja jeszcze nie powiedziałam panu mego nazwiska. Ja jestem Kołczanowa. Matka. Nazwiska się zapomina. Moje nazwisko jest trudne, co ja tu mam czasem... z tym nazwiskiem. Zresztą z Sanockiego, pan wie, zrobili Sanoki. Siedziała na brzegu fotela, jakby oczekując, wyglądając kogoś, rozmawiając może nie o tym, co by chciała. Wyczuwał jej podniecenie.

— Kiedy pan z Polski?

— Dwa tygodnie temu.

— Teraz dużo osób przyjeżdża z Polski. Dwa tygodnie! Wie pan, ja już przeszło dwadzieścia lat. Nas wywieźli.

Odwróciła się, spoglądała wyczekując na schody, zawołała: Haniu!

Pomyślał: Jest sympatyczna, zupełnie sympatyczna starsza pani.

Jej profil i wyczekujące spojrzenie wzbudzało sympatię. Musiała długo wyczekiwać jeszcze wtedy, gdy była przystojna i wtedy, gdy jej przystojność już nie miała znaczenia, ale wyczekiwanie pozostało. Była także nieśmiała i zażenowana. Pomyślał więc: Zrobiłem na niej wrażenie. Z Polski! Oni tu wszyscy płaczą i siusiąją pod siebie. Rutek miał rację.

Jej ręce oparte na kolanach nie brały udziału w wyczekiwaniu.

Ocenił je: Jestem pewien, że gotuje wspaniale.

Schody były puste, czerwony wąż dywanu leżał na nich uśpiony.

Uśmiechnęła się, szepnęła, jakby zwierając mu tajemnicę:

— Ona zaraz przyjdzie, pewnie przebiera się.

Przyjrzała mu się.

— Pan skąd?

— Kraków. Można zapalić?

— Proszę, no ale proszę.

— Czy pani? Polskiego na odmianę? Też nie?

— Ja tylko czasem. Teraz nie, dziękuję. Wie pan, ja urodziłam się w Krakowie.

— Ja dopiero przeniosłem się do Krakowa po wojnie.

Nie słuchała go. Poderwała się, stanęła u podnóża schodów, przyłożyła rękę do ust.

— Haniu, no, Haniu, doktor Ketler.

Na wprost kanapy okrągłe lustro. Uniósł się i gdy ona zajęta schodami i pustką na schodach nie patrzyła, przyjrzał się sobie, poprawił krawat.

— Pan z których Ketlerów?

Znów nie czekała odpowiedzi.

Stanął za nią, przyjmując jej wyczekującą pozycję, z głową zadartą, wpatrzony w schody. Drgnął. Schody ożyły, rozkwitły, czerwony wąż dywanu skręcił się, wyprężył. Miała smukłe nogi, pomarańczowy kielich spódnicy szeleścił. Szła jakby świadomie wolno. Czarny sweterek obejmował ją mocnym, ciepłym uściskiem. Podniosła ramiona, poprawiła włosy ujmując na chwilę w obie ręce twarz. Spojrzała na niego, dotknęła go wzrokiem i uśmiechem. Uśmiech na wpół kokieterystyczny, na wpół ironiczny. Czy już penetrujące, rozbawione nim i jego wyczekiwaniem, już wdzierające się w niego zanim miał czas schronić się w swojej uprzejmie powitalną pozę. Poczuł, że papieros pali mu palce, odwrócił się tylko na sekundę, zgasił papierosa w popielnicze. Dosięła go już jednak, wiedział, że się w głębi siebie czerwieni i że ona to dostrzegła nie dostrzegając, że aprobejuje jego wewnętrzny rumieniec i potęgujące się zmieszanie.

— Dobry wieczór panu — powiedziała — przepraszam, że nie zatelefonowałam sama. Mieliśmy niesamowite urwanie głowy w klinice. Doktor Hooper, mój boss, zachorował i nowa siostra operacyjna! Pan zresztą rozumie.

— Rączki pani doktor całuję — skłonił się Ketler.

— Haniu — powiedziała Kołczanowa — czy zaczekamy na Witka? Dzieci już jadły.

— Możemy poczekać.

Wsunęła się w fotel, wtuliła się w fotel.

Matka stała oparta o balustradę schodów. Ketler stał, widział jej włosy na tle żółtego fotela: ciemne, opadające nierównymi kosmykami na czoło, pomyślał: powinienem być głodny, nic nie jadłem od południa.

— To jak? — spytała Kołczanowa. — Czekamy na Witka? Powinien już być.

Myślał: Do diabła, zaczynam być głodny. Pomimo wszystko zaczynam być głodny.

— Jak chcesz mamó. Może Witek zatrzymał się u klienta. Przemawia do niego: drogi przyjacielu, nigdy nie wiadomo co następny dzień przyniesie! Mój mąż sprzedaje *insurances*, ubezpieczenia! Wie pan na czym zbudowana jest Ameryka? Na ubezpieczeniach! Zapewnianiu sobie jutra.

Myślał: Jestem cholernie głodny.

— To ja jednak idę do kuchni i zaraz będę podawała kolację.

Zostali sami. Usiadł na brzegu kanapy. Zwolna opanowywał się. No i cóż jest w niej nadzwyczajnego? Myślał. Powiedział:

— Pani doktor z którego uniwersytetu?

— Niech mnie pan na miłość boską nie tytułuje w moim własnym domu!

— Rozkaz.

— Zaczęłam we Włoszech, skończyłam w Irlandii. Nostryfikowałam w Chicago, potem specjalizacja w Nowym Jorku. Czego się pan napije? Gin? Whisky? Może wódka?

— Gin, poproszę.

Podniosła się. Znów rozkwitła przed nim. Patrzył, jak znikwała w sąsiednim pokoju. Przeszła przez pokój, stołowy, słyszał jej kroki w kuchni, jej głos: rozmawiała z matką. Na stoliku przy lampie pisma i książki. Sięgnął po książkę, przeczytał tytuł. Otworzył książkę.

Wróciła. Podając mu szklankę pochyliła się. Poczł zapach rozgrzanej wełny.

— Dziękuję uprzejmie. Wydawnictwa emigracyjne?

— Tak.

— Czy pani dużo czyta?

— Mąż.

Usiadła na poręczy fotela. Powiedziała:

— Dobry drink stawia mnie na nogi.

Uśmiechała się. Jej ostra, szczupła twarz miękła poddając się uśmiechowi. Na szklance pozostał czerwony ślad pomadki.

— No i jak Ameryka? — spytała. — Jak się panu podoba?

— Interesująca — powiedział. — Bardzo interesująca.

Spojrzała na dywan. Nie podnosząc głowy szepnęła:

— Jest pan głodny. Zaraz będzie obiad.

Danuta MOSTWIN

(Fragment większej całości)

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia:

Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Wakacje w Kraju 1960

Samolot *British European Airways* „Viscount” przelatywał linię wybrzeża.

Ten złocisty pas plaży — myślał Jerzy — te zielone lasy, te srebrne tafle jezior — to Polska.

Wśród pasażerów nastąpiło wybitne ożywienie. Co najmniej połowa, byli to lejący w odwiedziny do kraju Polacy z Anglii i ze Stanów. Słowo Polska podawano sobie z ust do ust. Pokazywano sobie wzajemnie podpływające pod skrzydła samolotu miasteczka, przrzucano się nazwami miast i wsi.

Siedząca obok Jerzego starsza pani, której ukwiecony kapełusz i nadmiar taniej biżuterii, wszem i wobec dokładnie obwieszczała, że właścicielka pochodzi z Detroit lub Chicago, zapytała:

— A pan dawno z Polski?

— Dawno, proszę pani, dwadzieścia lat.

— Dwadzieścia lat to nie tak dawno. Ja wyjechałam z Łomżyńskiej Gubernii w 1910 roku. Jadę do siostry, której nie widziałam już od pięćdziesięciu lat. Też w Łomżyńskiej Gubernii zamieszkuje.

Hell! — pomyślał Jerzy — jeśli babka operuje jeszcze pojęciami „gubernii”, to powinna przygotować się moralnie na nie liche szok.

Starsza pani skwapliwie korzystała ze znalazła słuchacza do podzielenia się swymi obawami i troskami:

— Taka jestem ciekawa jak siostra teraz żyje. Bo to po gazetach to różnie piszą o naszym kraju. Ja się już dwa razy wybierałam odwiedzić siostrę, ale zawsze coś wypadło. W 1914 to przyszła wojna. Potem to mieliśmy *depression* i mój stracił *job*

(Fragment większej całości.)

i musieliśmy wszystkie nasze oszczędności przejeść. A gdy znów zaczął pracować i odłożyło się na podróż nieco grosza, to przyszła druga wojna. Ale teraz to sobie powiedziałam, że muszę pojechać zobaczyć siostrę i sama dla siebie zobaczyć jaka jest prawda.

„Jaka jest prawda? — dzwoniły w uszach Jerzego słowa starej kobiety, dla której Polska jeszcze dzieliła się na gubernie.

Jaka jest prawda?

Długie lata wędrówki po świecie nauczyły Jerzego podchodzić bardzo ostrożnie i nieufnie do tak zwanych „oczywistych prawd”.



Gwar wesółych, podnieconych alkoholem głosów. Szczęk naczyń, krzątania kelnerów. W głównej sali Klubu Dziennikarskiego wszystkie stoły szczelnie obsadzone. *Maitre* bezradnym gestem rozkłada ręce — ani jednego wolnego stolika.

Jerzy przechodzi na taras. Ogródek również cieszy się dziś powodzeniem. Zdobiąca fontannę symboliczna kaczka, zdaje się być najzupełniej na miejscu. Od wszystkich stolików dobiega do uszu Jerzego hałaśliwe kwa-kwa-kwa rozmów. Jerzy spogląda na zegarek. Jest punktualnie godzina trzecia.

Do diabła! — myśli w naszym kapitalistycznym Montrealu o tej godzinie ludzie są jeszcze przy pracy. U nas tylko bezrobotni i milionerzy mogą sobie pozwolić na luksus przesiadywania w restauracji o godzinie trzeciej po południu.

Przy jednym ze stolików towarzystwo zaczyna się żegnać i Jerzy przezornie zajmuje „postawę wyjściową” do ataku na stolik. Staje się mimowolnym świadkiem płacenia rachunku. „Posiedzieli” stolika, z wyglądu urzędnik, wyjmując z kieszonki stułotowy banknot i podaje go kelnerowi. W zamian otrzymuje jakieś drobne, metalowe monety, które niedbałym ruchem wrzuca do kieszeni mocno wygniecionych spodni. Uśmiecha się do swej towarzyszki:

— Idziemy, Dziuniu? — pyta.

Jerzy zauważa, że uśmiech odsłania liczne braki uzębienia.

Dziunia wstaje i Jerzy staje się właścicielem stolika. Siada, posyłając w ślad za odchodzącą parą niezbyt pochlebne myśli.

Oczywiście, nie może sobie pozwolić na wstawienie brakujących zębów. Również nie stać go na odprasowanie tych skandalicznie wymiętych spodni. Na obiadek to się ta seteczka znajdzie, ale na dentystę, czy dbałość o ubranie — już go „nie stać”.

Wschód! Dostojewszczyzna! — myśli ze złością.

Sąsiednie stoliki są ustawione tak blisko, że Jerzy mimo woli słyszy toczące się przy nich rozmowy. Bawią go one niesłychanie. Chwilami wydaje mu się, że śni, że to wszystko, co go otacza, nie jest związane z życiem, że to wszystko jest jakimś dawkipem, jakimś głupim kawałem, zakrojonym na olbrzymią skalę.

Tu, w komunistycznym, bezklasowym społeczeństwie, taka szczerza, głęboka pogarda dla fizycznej pracy, takie wielkopańskie fupy, taka drobnomieszczańska kołtuneria.

Do diabła! — myśli, przecież nie siedzę w obywatelskiej rekursie, lecz w klubie dziennikarzy Polski Ludowej. Jeśli tutaj ludzie wokół mnie wygłaszają takie poglądy — cóż musi dziać się na prowincji.

Donośny głos przy sąsiednim stoliku rozprasza myśli, Jerzy chcąc nie chcąc musi słuchać:

...na nich można machnąć ręką. Nic nie wniosą do naszego dorobku. To wszystko *cowboye* i dolaroroby. Oni nawet nie rozumieją tego pojęcia: intelektualista. Gdy byłem w Montrealu, zdarzył mi się taki, charakterystyczny dla tamtejszych stosunków, wypadek: Jestem u jednego adwokata, to jest adwokata z wykształcenia, który obecnie pracuje jako stolarz. Oczywiście świetnie zarabia, ma własny dom, samochód i te wszystkie dodatki, bez których oni nie wyobrażają sobie życia. Przy stole, ot tak, z grzeczności chwale jego mieszkanie, a zwłaszcza czystość ścian. Były rzeczywiście bez jednej plamki. Nawiąsem wspomina, że moje warszawskie mieszkanie ma rozpaczliwie brudne ściany. Mój gospodarz uprzejmie zainteresował się — czy w Polsce brak farb? — pyta. Pospieszyłem mu wyjaśnić, że farby mamy poddostatkiem, a trudność polega na uzyskaniu nakazu malowania, gdyż brak jest malarzy. To mi ten *cowboy* powiada: A to czemu pan nie kupi farb i sam nie pomaluje? To wcale nie takie trudne. Te ściany ja sam malowałem. Powiada. Mnie, intelektualście, mnie krytykowi teatralnemu, proponuje, bym sam malował ściany.

Siedzące przy stoliku towarzystwo wybuchnęło śmiechem nad tym nietaktem nieokrzesanego kanadyjskiego stolarza.

Jerzy zapala fajkę, poprawiając się jednocześnie na krześle, tak, by móc swobodnie obserwować stolik, przy którym wodzi rej jakaś starsza, ale jeszcze bardzo przystojna pani. Twarz tej pani wydaje się Jerzemu znajoma. Ah, tak, przypomina sobie. W ostatnim numerze „Przekroju” widział jej fotografię. Znana, bardzo dobrze widziana, powieściopisarka. Jedna z czołowych podpór „rzeczywistości”. Jedna z tych, co gorącym, pełnym natchnienia słowem potrafi zachęcać młodzież do pracy dla dobra przy-

szłych (jeszcze nienarodzonych) pokoleń. Jerzy słucha, jak piękna pani zwierza się swej przyjaciółce:

— Ja Jankowi nic nie zarzucam. Porządny chłopak. Zrobił politechnikę, ma dobre stanowisko, kocha Wandzię. To wszystko prawda. Ale gdy sobie pomyślę, że moja córka ma się nazywać Chwaścik, wierz mi, po prostu robi mi się słabo.

Na jednym z otaczających stolik krzesel leży porzucony numer „Przekroju”. Na drugiej stronie widnieje fotografia „towarzysza Wiesława”. Jerzy przygląda się z lekką ascetycznej twarzy. *Well* — myśli — jeśli do budowy tego twojego wyśnionego rajy masz takich pomocników, jak ci, co mnie tu otaczają, to obawiam się, że ciężko się jeszcze napracujesz.

Od sąsiedniego stolika niósł się tubalny głos:

— I taki prosty robociarz, taki ciemny, nieokrzesany cham, śmie przychodzić do redakcji, nachodzić mnie w moim gabinecie i zwracać mi głowę swymi sprawami. Niesłychane.

Jerzy spogląda raz jeszcze na fotografię towarzysza Wiesława.



Jerzy minął nieruchomych, posagowych wartowników i wszedł w bramę okazałego gmachu. W bramie, przy małym stoliku siedziało dwóch podoficerów. Po telefonicznym sprawdzeniu, jeden z podoficerów zaczął wypisywać Jerzemu przepustkę, pouczając go:

— Gонец zaprowadzi pana do gabinetu pułkownika. Proszę przed wyjściem od pułkownika przypomnieć mu, żeby podpisał przepustkę, zaznaczając czas, przepustkę proszę zwrócić potem mnie.

Well, well — myśli Jerzy — Stefek wyrósł na dostojnika, aż tylu ludzi pilnuje dostępu do niego, aż takie ceremonie.

W okazałym, dostatnie umeblowanym gabinecie Stefana, pierwsze pół godziny rozmowy upłynęło na wzajemnym przerzucaniu wiadomości o losie wspólnych przyjaciół. Okazało się, że pozostało ich już bardzo niewiele. Mój Boże! Tyle lat. Dęblińską Szkołę oficerów lotnictwa ukończyli przeszło ćwierć wieku temu. Aż do czasu wojny szlaki ich często się krzyżowały, chociaż nigdy nie służyli w tym samym czasie w tym samym pułku. Były jednak przeloty, wspólna szkoła ognia, manewry, narciarskie kursy. Widywali się często.

Po raz ostatni we wrześniu 1939 roku, na lotnisku w Łucku. Potem los rozdzielił ich na długie dwadzieścia lat. Stefana zagarnęła „wyswabadzająca” wschodnie ziemie Rzeczypospolitej armia sowiecka. Po dokładnym zapoznaniu się z gospodarką leśną

na bardzo dalekiej Północy, Stefan znalazł się w 1943 roku nad piękną rzeką Oką. Do Polski wrócił jako dowódca eskadry w myśliwskim pułku „Warszawa”.

W pewnym momencie dyskretny dźwięk telefonu przerwał rozmowę. Stefan rzucił krótkie — przepraszam Cię — i podniósł słuchawkę. Jerzy, nie chcąc podsłuchiwać rozmowy, wstał, podszedł do ściany i zaczął przyglądać się wiszącym na niej fotografiom.

Rozmowa nie trwała zbyt długo.

— Przepraszam Cię, Jerzy.

— Ależ oczywiście — służba przede wszystkim.

— To właściwie nie była służbowa sprawa — wyjaśniał Stefan. Chcieli wiedzieć, czy będę na 17-toleciu Morskiego Lotnictwa.

— Siedemnaście Morskiego Lotnictwa — powtórzył zdziwiony Jerzy.

Stefan wyczuł nutę zdziwienia.

— Siedemnaście Morskiego Lotnictwa. Dziwi Cię że posiadamy Morskie Lotnictwo?

— Nie. Morskie Lotnictwo jest w porządku. Jak wiesz, ja sam służyłem dobrych kilka lat w Morskim Dywizjonie Lotniczym. Dziwi mnie tylko to „siedemnaście”. Morski Dywizjon Lotniczy powstał w lutym 1919 roku.

— Nasze, ludowe, Morskie Lotnictwo powstało w 1943 roku, więc obchodzimy siedemnaście. To jasne.

— Może i jasne, ale nie dla każdego. Jeśli obchodzicie Milenium Polski — to możecie równie dobrze obchodzić czterdzieście Morskiego Lotnictwa.

— Jerzy, czy nie rozumiesz, że my musimy wytworzyć swoją własną tradycję lotnictwa Polski Ludowej?

— Czy musicie, nie wiem. Inni inaczej podchodzą do tych spraw.

— Jacy inni?

— Pozwól Stefan, że ci opowiem epizod ze swych przygód. Zrozumiesz, dlaczego ja inaczej patrzę na te sprawy.

— W styczniu 1940 roku byłem gościem Lyońskiego pułku piechoty. O ile dobrze pamiętam 14-ty pułk piechoty obchodził swoją 173 rocznicę. W honorowej auli wisiały na ścianach portrety dowódców pułku i tych oficerów i żołnierzy, którzy swymi czynami rozślawili imię pułku. W rogach sali, w szklanych gablotkach, spoczywały pułkowe sztandary. Burbońskie lilie, Napoleońskie orły, „Trójkolory” drugiej Republiki, orły drugiego Cesarstwa, znów „trójkolory” trzeciej Republiki — spoczywały zgodnie obok siebie.

Z portretów patrzyły twarze oficerów króla Ludwika, sankiulotów Wielkiej Rewolucji, wiarusów Wielkiej Armii, weteranów Krymskiej wyprawy i *poilu* wojny światowej.

We Francji nikomu nie przyszło do głowy, że z każdą zmianą stroju należy przekreślić historię pułku, pozdejmować ze ścian portrety bohaterów poprzedniej epoki i zaczynać liczyć wszystko na nowo. A przecież były to zmiany nieraz bardzo gruntowne, zmiany, które kosztowały morze francuskiej krwi.

Portret pułkownika w królewskim mundurze, w białych pończochach i pudrowanej peruce wisi spokojnie obok portretu następnego dowódcy, młodego Jakobina o ognistym spojrzeniu, odzianego w skromny obcisły kubrak, młodzieńca o długich, spadających aż na ramiona włosach. Portrety wiszą obok siebie stanowiąc nieprzerwaną nić wspaniałej pułkowej tradycji. I ci wspaniali żołnierze Wielkiej Armii w kąpiących od złota mundurach i ci młodzi chłopcy w skromnych mundurach *bleu horizon* — to nierozwalny łańcuch świetnej tradycji Lyońskiego pułku piechoty.

— Czy u nas musi być inaczej?

— Czy ty, Stefanie uważasz, że lotnicy Morskiego Dywizjonu Lotniczego aż tak źle zapisali się w czasie drugiej wojny światowej, że należy o nich nie tylko zapomnieć, ale nawet zatrzeć wszelki po nich ślad, zaczynając liczyć historię Morskiego Lotnictwa od 1943 roku?

— Francja — mój drogi — to całkiem co innego.

— Czy uważasz, Stefanie, że rewolucje francuskie przyniosły Francji mniej zmian niż nasza zmiana stroju w Polsce?

— Nie wiem, nie znam Francji. Tu u nas bardzo wiele się zmieniło.

— Tak sądzisz?

— A ty nie?

— Wiesz, po dwudziestoletniej nieobecności oczekiwałem — to ci szczerze mówię — dużo większych zmian. I ze zdziwieniem stwierdzam, jak słuszne jest to stare powiedzonko francuskie: „im więcej wprowadza się zmian — tym bardziej niezmieniana się staje istota rzeczy”. Oprócz zmian czysto zewnętrznych że tak powiem narzuconych nam z zewnątrz, samo życie prawie się tu nie zmieniło.

Stefan przez chwilę bębnił palcami po lśniącej gładzi biurka.

— Widzisz, Jerzy, poruszasz sprawy zbyt ogólne. Sprawy nienależące do mojej ograniczonej działalności, którą jest budowa sił zbrojnych Polski Ludowej...

Jerzy nie wytrzymał, by nie przerwać:

— I tę budowę rozpoczynasz od niszczenia tego, co jest

podstawą siły moralnej każdego wojska, od odbierania dumnej tradycji.

— Stwarzamy własne tradycje.

— Daj ci Boże, Stefan, jak najlepiej.

— Jeśli twoje życzenie jest szczere — jeśli zgadzamy się co do ważności celu — dlaczego tracisz czas siedząc w Kanadzie?

— Ja ci powiem, Stefan, my możemy się zgodzić z sobą co do celu, ale obawiam się, że nigdy nie zgodzimy się co do dróg.

— Jak długo jeszcze zamierzasz stać na uboczu?

— Obawiam się, że jeszcze dość długo, w każdym razie aż do dnia, gdy Morskie Lotnictwo zamiast obchodzić swoje Siedemnaście, zacznie obchodzić Czterdziestolecie, aż do dnia gdy w Polsce będzie lotnisko imienia majora pilota Zbigniewa Szostaka.



To — jak Jerzy określał — „opuszczenie się”, było widoczne na każdym prawie kroku. Niedomyta szklanka w restauracji, brak lodu w barze pierwszorzędnego hotelu, rozdarta skóra na oparciu w taksówce. Ogólna atmosfera „gwizdę na wszystko”, tak pamiętna z dni wojennych klęsk. To tak charakterystyczne natężenie defetyzmu — gdy wszystko biorą diabli, ja mam dbać o czystość?

Jerzy próbował poruszać ten temat w rozmowie z przyjaciółmi. Odpowiedź była zawsze standardowa: Cóż chcesz, czy może być inaczej przy naszym systemie?

Jerzy cierpliwie przyjmował to wyjaśnienie. Zbuntował się dopiero w Fabrycznym Osiedlu, w dawnym C.O.P.-ie. Na obszernej, wyciętej wśród lasów polanie stało dwadzieścia trzy piętrowych bloków mieszkalnych. Bloki zostały ukończone tuż przed wojną, nie zdążono ich tylko potynkować. Wojna oszczędziła je i teraz stały czerwone, wstrętne, wyzywające. Stanowiły obrzydliwy, czerwony liszaj kalający zieleń otaczających bloki lasów. Po między blokami ani jednego klombu, ani jednego krzaczka róży czy bzu. Wysoka, nigdy nie strzyżona trawa obrastała placyki, pocięte krętaniną niebrukowanych, pełnych kurzu ścieżek. Jerzy mimowoli porównywał tę straszliwą brzydotę z tonącymi w zieleni ogródków blokami mieszkalnymi robotników Vickers'a.

Przyjaciel Jerzego był jednym z głównych inżynierów fabryki silników, w której pracowali zamieszkali w Fabrycznym Osiedlu robotnicy.

Jerzy nie wytrzymał, by nie zapytać:

— Czy nie uważasz, że wyglądałoby tu zupełnie inaczej, gdyby ta trawa była pięknie, równo strzyżona, gdyby te bloki

były oddzielone żywopłotami, gdyby na te wstrętne, czerwone mury puścić pnące się róże, gdyby na tych piaszczystych, pełnych kurzu placzykach założyć klomby kwiatów?

— Kto to ma robić? — zapytał inżynier. — Za czyje pieniądze?

— Mieszkańcy bloków, we własnym, wolnym od pracy czasie, a nasiona to chyba mogą kupić za własne pieniądze?

— W naszym systemie? Nikt nie zechce za darmo pracować. A ja nie mogę przecież nakazać.

— Nakazać nie, ale zachęcić możesz. Zamiast tych bzdurnych, propagandowych afiszy, wyznacz nagrodę za piękny klomb.

— Jesteś marzyciel. — W naszym systemie...

— System, system — zirytował się Jerzy — czy wy aby nie za dużo zwalacie na ten system?

— Cóż chcesz? Chyba nie zaprzeczysz, że u nas o wszystkim stanowi system?

— Zaprzeczę. Zarówno u was, jak i na całym zresztą świecie, o wszystkim stanowi Człowiek.

— Wybacz. Nie rozumiem.

— Pozwól, że wytłumaczę ci to na przykładzie lotniczym. Jak wiesz, system, czyli regulamin był wspólny dla całego lotnictwa. We wszystkich *squadronach* obowiązywały też same *Kings Regulation. Squadron*. Jakby małe społeczeństwo złożone z personelu latającego, który ma wszelkie możliwe wygody, wzmianki w prasie, odznaczenia, uśmiechy dziewcząt — i... krótkie życie, oraz z personelu ziemnego, który ma tylko ciężką pracę i... względne bezpieczeństwo. Rzeczą dobrego dowódcy jest tak ułożyć stosunki, by pilot szanował pracę mechanika i miał do niego pełne zaufanie, żeby mechanik szanował pilota i miał zaufanie, że ten potrafi jak najlepiej wykorzystać przygotowaną mu godzinami ciężkiej pracy maszynę. I tu nic nie pomoże system — tylko zaczyna grać działalność Człowieka. Przy tym samym *Kings Regulation* były eskadry dobre — i były eskadry złe.

— Rozumiem. W fabrykach też mamy ujednostajnione przepisy regulujące pracę — i właśnie tak jak mówisz, w różnych fabrykach, różnie się te stosunki układają.

— Przy słowie fabryka, pozwól, że zauważę, że w naszej kapitalistycznej Kanadzie stosunki pomiędzy inżynierem a robotnikiem są o niebo lepsze niż w komunistycznej Polsce. W fabryce w której pracuję, inżynier i robotnik mówią sobie po imieniu. W Kanadzie robotnik nie uważa się za coś niższego, ani też inżynierowi się nie zdaje, że jest ulepiony z lepszej glinki. Rozmawiałem trochę na ten temat tutaj. Stwierdzam, że nigdzie nie ma takiej pogardy dla pracy fizycznej jak właśnie w Polsce. Każdy „kierow-

ca pióra” uważa się za coś nieskończenie wyższego od robotnika. Dlaczego?

— Bóg raczy wiedzieć, ale tak niestety, już się tu ułożyło.

— Mechanik musi się uczyć przez całe swoje życie, gdyż co parę lat ukazują się nowe silniki. Urzędnik prowadzący w magistracie książkę meldunkową, może się w ciągu godziny nauczyć, co w którą rubrykę ma wpisać. A z jaką pogardą patrzy tu każdy urzędnik na „ciemnego” robociarza. I tu, mój drogi, nic nie zawinił „system”, tylko po prostu Człowiek.

Czy nie uważasz, że to wypływa z braku uświadomienia, z braku odpowiedniej lektury?

— Nie wiem. Być może, że właśnie jest tak, jak mówisz. Tylko wyjaśnij mi, proszę, kto ma społeczeństwu dać tę uświadamiającą lekturę?

— Jakto kto? Oczywiście: pisarze.

— Kto proszę? Polscy pisarze, którzy w swych „domach pisarza” odcięci od społeczeństwa, w zaciszu odludzia i słodkiej izolacji od spraw codziennego życia płodzą na „społeczne zamówienie”? Wolne żarty. Na ogół biorąc, to polski pisarz tyle zna fabrykę i życie robotnika, ile ujrzał podczas zwiedzania. Większość pisarzy w Polsce jest od samego początku pisarzami którzy żadnego fachu ani nigdy znali, ani nie mieli.

— A ty jak chciałeś?

— Zauważ, proszę, że większość dobrych pisarzy, zanim nimi zostali, posiadali zawód, wykonywali jakieś zajęcie, żyli wśród społeczeństwa życiem normalnych obywateli. W miarę jak rosło ich powodzenie jako pisarzy, coraz to mniej czasu mogli poświęcać na pracę zawodową. Zostawali tylko i wyłącznie pisarzami. Ale zanim zostali pisarzami, byli wpierw inżynierami, doktorami, kelnerami, marynarzami czy lotnikami, kolejarzami lub nauczycielami. Mieli sposobność poznać życie. Nie trzymano ich w osobnych domach, w cieplarnianej atmosferze, nie odcinano od codziennych trosk.

— Nie przypuszczałem, że aż tak krytycznie patrzysz na naszych pisarzy. Przyznaj się, czy ty ich w ogóle czytałeś?

— Szczerze. Zaczynałem czytać prawie wszystkich. Do końca doczytałem zaledwie część. Gdzieś pomiędzy 40-tą a 50-tą stroną załamywałem się moralnie i odkładałem książkę, by już nigdy do niej nie wrócić. Zbyt obrażała moje poczucie realizmu. Nie mam nic przeciwko powieściom, jak u nas mówią *fiction*, ale chcę, by autor mnie uprzedzał, że powieść jest fikcyjna i z rzeczywistością nie ma nic wspólnego. Ponosi mnie natomiast, gdy autor nie mogący odróżnić wiertarki od strugarki, szybkochnącej stali od żeliwa, autor który nie potrafiłby obsłużyć najprostszej

nawet obrabiarki, upiera się by koniecznie opisywać fabrykę, pracę i życie robotników. A znów inny, o którym wiem, że nie potrafi odróżnić pszenicy od owsa, umieszcza swych bohaterów na wsi i każe im mówić jakąś, przez siebie samego wymyśloną gwara, która w mniemaniu autora ma być mową polskiego chłopca. Potworność. Moje poczucie realizmu nie wytrzymuje tego. Nie posiadam aż tak anielskiej cierpliwości, by wytrzymać dialog: „Kachna, aby kochasz Ty mnie?”.

— Nie, Wojtusi, już Cię więcej nie kocham.

— A dlaczego, Kachno umiłowana?

— Bo nie wyrabiasz normy. Drzewiej serce moje biło na Twój widok jak to fabryczne dynamo”. Pozwolę sobie zauważyć, że dynamo nie powinno „bić”, jeśli „bije” należy zmienić kulkowe łożyska.

A inny znów autor zaczyna z innej beczki:

„Zaledwie zatrzymał samochód na skraju lasu, otoczyła go gromada żołnierzy. Powstał i zwracając się twarzą do wynędzniałych twarzy, powiedział im po prostu: Żołnierze, punkt nie może przysłać wam ani żywności, ani papierosów. Droga jest obsadzona przez faszystów. Ale przyjechał ze mną towarzysz Krępski, by wygłosić dla was propagandę o uświadczeniu klasowym. Wśród otaczających samochód żołnierzy odezwały się głosy: Jedzenie, głupstwo. Papierosy nie ważne. Uświadczenie ważniejsze od papierosów. Niech żyje tow. Krępski”.

— Jeśli to jest prawdą, co tu często słyszę, że w kraju nie ma cenzury, to na takich autorów powinniście jak najszybciej wprowadzić możliwie surową cenzurę.

— No i to umiłowanie blagi. Przecież dziś w kraju najpoczytniejszy jest autor, który opisywał szeroko i długo (gdym był jeszcze na emigracji) sowieckie łagry, których nigdy nie widział. Potem opisał sławną bitwę, w której nie brał udziału. Wróciwszy do kraju, opisuje dla rodaków Amerykę, zaludniając ją ryczącymi krokodylami. Nawet się nie pofatyguje by zajrzeć do encyklopedii, by się przekonać, czy krokodyl w ogóle może ryczeć. Tenże sam autor opisując Luizjanę, o Francuzach, którzy osiedlili się tam przeszło trzysta lat temu i zachowali swój język i obyczaje, — pisze po prostu: „zamieszkuje tam plemię dziwne, żadnej ludzkiej mowy nie znające”. Ot, bajdy godne opowiadacza z Ejszyszek — ale tu mają powodzenie.

— Powiedz mi szczerze, czy u was jest lepiej?

— Czy ja wiem? Literatura, ta najnowsza, przestała uznawać Człowieka. Przestała zajmować się jego walką z losem. Próżno dziś szukać bohatera, który by posiadał zdecydowane oblicze, który posiadałby takie czy inne przekonania i o tę swoją prawdę

stawał do walki ze światem, z Losem, czy Bogiem. Ten okres, gdy autorzy chcieli budzić w czytelniku wiarę w wartość człowieka już się skończył. Dziś już nikt nie przedstawia człowieka, który nawet pokonany przez los odchodził pozostawiając podziw dla odwiecznych, wrodzonych każdemu z nas wartości, podziw dla swego uporu w poszukiwaniu prawdy i sensu życia. Najnowsza literatura odwraca się od człowieka.

Autorzy, w poszukiwaniu nowości, zaczęli eksploatować możliwie brzydkie i niskie tematy. Gorliwie zajęli się tymi stronami życia, których dawniej nikt do literatury nie wprowadzał. Obecny bohater jest najczęściej psychopata, neurastenikiem lub pederastą. Najczęściej autor obdarza go możliwie zbrodniczymi skłonnościami. Nowoczesny bohater nie wielczy o swą prawdę — gdyż żadnej prawdy nie zna. On już nie upadnie w walce z losem, gdyż od samego początku autor ukazuje go nam w postaci leżącej, najczęściej leżącej w możliwie brudnym i cuchnącym rynsztoku. Możemy być spokojni, że w sytuacji bohatera nie będzie żadnej tragedii. Leżał — leży — i będzie leżał w rynsztoku.

Ale to jest prawdopodobnie sztuczną, chwilową modą. Mam nadzieję że wkrótce przeminie.



Nowocześnie zaprojektowane, pełne powietrza i światła biuro pocztowe niczym nie przypomina tych ciemnych, ponurych sal, które Jerzy pamiętał z przedwojennych czasów.

No — myślał radośnie Jerzy — jednak robi się coś nie dla wygody obywatela. W radosnym usposobieniu podszedł do okienka, nad którym widniał napis: przyjmowanie telegramów.

Młoda, przystojna dziewczyna zajęta była podliczaniem kolumny cyfr. Jerzy wiedział, że nie należy rozpraszać uwagi liczącej, czekał więc cierpliwie. Dziewczyna skończyła liczyć i nie zwracając na Jerzego najmniejszej nawet uwagi, zaczęła coś zapisywać.

Jerzy zdecydował się przerwać.

— Chciałbym nadać telegram. Proszę o...

Dziewczyna nie przerywając pisania burknęła:

— Widzi, że jestem zajęta? Niech czeka.

Dziewczyna była ładna. Było miło patrzeć na sposób, w jaki wypełniała swymi kształtami letnią sukienkę. Jerzy czekał więc cierpliwie. W pewnym momencie dziewczyna skończyła pisanie:

— Gdzie ten telegram?

— Właśnie chciałem prosić o blankiet — wyjaśniał Jerzy.

— O co?

— O blankiet, na którym mógłbym napisać treść telegramu.

— Aha, o formularz. Formularze sprzedaje się w okienku nr 3.

Przed okienkiem numer trzy stało kilkanaście osób. Jerzy zajął miejsce w kolejce, odczekał dobrych kilkanaście minut i zdobywszy wreszcie formularz wypełnił go i powrócił do poprzedniego okienka. Dziewczyna szybko przebiegła treść podanego jej formularza:

— To jest telegram do Londynu, zagraniczny?

— Tak, do Londynu.

— Nie mogę go przyjąć. Telegramy zagraniczne należy wypisywać na formularzu numer 38 B, a to jest formularz numer 38 A, wyłącznie na telegramy krajowe.

Po upływie następnych dziesięciu minut Jerzy doszedł do czoła kolejki przed okienkiem numer 3:

— Czy mogę prosić o formularz na zagraniczny telegram?

Dziewczyna przez chwilę szukała zawzięcie na zawałonym formularzami stole. Nie znalazła. Zaczęła przewracać w głębokich szufladach, by po chwili, z twarzą zarumienioną od tej nadprogramowej gimnastyki, zwrócić się do Jerzego:

— Formularzy na telegramy zagraniczne chwilowo zabrakło. Proszę przyjść po godzinie drugiej, lub jeśli się obywatelowi spieszy, to najbliższy urząd pocztowy jest na Starym Mieście.

— Dziękuję pani.

Na Starym Mieście nadanie telegramu poszło gładko. Jerzy miał już doświadczenie. Wiedział już, że przy innym okienku kupuje się formularze, przy innym okienku wręcza się telegram, a jeszcze przy innym płaci się (obliczoną przy poprzednim okienku) należność. Poszło tak gładko, że Jerzy postanowił spróbować szczęścia w Orbisie. Posiadał bilety linii B.O.A.C. opłacone w Montrealu, ale w związku ze zmianą trasy powrotu różnicę musiał zapłacić w Warszawie.

Na początku wszystkie szło sprawnie. Kanadyjski paszport łagodził ostrze rutyny. Po kilku minutach usłyszał:

— Pan dopłaci czternaście dolarów.

Połączony z tym, że jednak można być w Warszawie „panem”, Jerzy podał dwa dziesięciodolarowe banknoty. Urzędniczka już podawała mu wypełniony formularz biletu i 146 złotych, gdy Jerzy zorientował się, że chce mu dać resztę według urzędowego kursu to jest 24 złote za dolara. Taka zamiana nie uśmiechała mu się. Zauważył, że urzędniczka ma cały plik jedno dolarowych banknotów:

— Poproszę o resztę w dolarach, proszę pani.

— Niestety, proszę pana, nam nie wolno wydawać reszty w dolarach.

— W takim razie, jeżeli nie wolno wydawać reszty w dolarach, proszę mi zmienić tę dziesięciodolarówkę na pojedyncze dolary, a zapłacę pani dokładnie czternaście dolarów.

— Niestety, nam nie wolno zmieniać dolarów — upierała się urzędniczka.

Po chwili zjawił się kierownik biura:

— Proszę pana — ja doskonale rozumiem, że wobec zakazu wywozu z Polski polskiej waluty, chce pan mieć resztę w dolarach. Doskonale to rozumiem, że poza granicami Polski, polskie złote nie będą już panu potrzebne. Ale ja muszę się trzymać przepisów, które zabraniają mi wydawania reszty w dolarach i zmieniania dolarowych banknotów. Natomiast Bank Polski może zmieniać dolarowe banknoty.

— Gdzie mieści się najbliższy oddział Banku Polskiego? — zapytał Jerzy.

— O kilka kroków, niestety, żeby zmienić dolarowe banknoty, musi się pan udać do centrali Banku Polskiego, która mieści się na Placu Bankowym.

— Dziękuję Panu. — Jerzy wyszedł.



Tegoż popołudnia jeszcze, Jerzy zrozumiał tajemnicę, dlaczego warszawiacy, tak elegancy przed wojną, obecnie chodzą przeważnie w nieodprasowanych garniturach i mocno wypchanych spodniach. Przebierając się zauważył, że jedno z jego ubrań wymaga odprasowania. Sprawa wydawała się całkiem prosta. Należało wziąć książkę telefoniczną, zajrzeć pod literę „K”: Krawieckie pogotowie, lub pod literę „P”: Pogotowie krawieckie i poprosić o odprasowanie.

Przynajmniej w ten prosty sposób załatwił te sprawy we wszystkich miastach świata, od New Yorku po Rangoon. Nie w Warszawie.

Owszem, krawiecka usługa była, istniała, posiadała telefon, przyjmowała ubrania do odprasowania. Było jednak małe „ale”. Czynność, którą na całym świecie wykonują albo na poczekaniu, albo w ciągu paru godzin, warszawska usługa krawiecka podejmowała się wykonać w ciągu JEDENASTU dni.

Wieczorem, Jerzy opowiadał przyjacielowi swoje doświadczenie z usługą krawiecką. Przyjaciel śmiał się, nie wierzył, uważał to za doskonały dowcip: prasowanie ubrania w ciągu JEDENASTU dni. Stanął zakład. Następnego dnia przyjaciel Jerzego zaczął wydzwaniać do wszystkich możliwych usług, pralni, zakładów i punktów, warsztatów i spółek krawieckich.

Warunki zakładu wymagały, że ubranie musi być odprasowane w ciągu 24 godzin. Przyjaciel Jerzego był oficerem rezerwy i z tej racji miał prawo korzystać z niektórych „usług” pracowni wojskowych. Ale i wojsko, choć ofiarowywało najkrótszy czas, TRZY dni, nie dopomogło do wygrania zakładu.

Wieczorem, opijając wygrany zakład, Jerzy podniósł sprawę swego nieodprasowanego ubrania. W towarzystwie było paru dawnych przyjaciół Jerzego, niektórzy na wysokich i odpowiedzialnych stanowiskach. Wywiązała się gorąca dyskusja:

— Ja mogę zrozumieć — mówił Jerzy — że w istniejącym systemie należą do państwa fabryki, koleje, kopalnie, linie okrętowe i lotnicze, ziemia i domy. Doskonale. To mogę zrozumieć. Państwo planuje, daje zatrudnienie, rozdziela zasoby i zarobki. Rozumiem. W czasie wojny podobna sytuacja istniała w Anglii. Państwo decydowało o wszystkim.

Ale państwo nie może myć samochodów, czyścić butów, przyszywać oderwanych guzików i prasować spodni. Czy naprawdę nie możecie tego zrozumieć, że musi być gdzieś zakreślona granica? Te drobne rzeczy musi wykonywać człowiek, który by miał na uwadze dobro swojego klienta, gdyż ten klient daje mu zarobek. Wy upieracie się, że w waszym systemie WSZYSTKO MUSI BYĆ ROBIONE PRZEZ PAŃSTWO. Państwo według was musi robić WSZYSTKO i dlatego nie może nic zrobić DOBRZE. Po prostu nie ma czasu na dobre prowadzenie fabryk, bo musi zajmować się także i przyszywaniem guzików i czyszczeniem ubrań. Czy wy nie możecie zrozumieć, że właśnie w ten sposób sprowadzacie swój system do roli kaczk. Chciecie być uniwersalni jak kaczka, która może pływać, chodzić i latać. Zapominacie tylko, że kaczka wprawdzie to wszystko robi — ale bardzo nieudolnie i źle.

Zakrzyczano go, że nie rozumie istoty systemu, że nie zna zasad marksizmu, że przecież sam Marks...

Jerzy poczuł, że do oczu napływają mu łzy. Lubił tych ludzi. Niektórych nawet kochał. Kiedyś byli mu najbliższymi przyjaciółmi. Teraz nie mieli już nawet wspólnego języka. Ten ich beznadziejny fanatyzm, ta ich wiara, że tylko oni dostąpili w tajemniczenia w prawdę świata, że słuszność jest zawsze po ich stronie.

Za Rumią Jerzy wjechał w dobrze znaną mu okolicę. Czas jej nie zmienił. Ten sam kościółek, ten sam biały domek dróżnika. Po prawej stronie szosy rozległe dworskie łąny majątku Rzucewo, po lewej, wąskie, długie zagony. Dolinę zamykało obłe wzgórze.

Było ono porośnięte lasem; szosa, by pokonać wzniesienie, pięła się w ostrych zakosach.

Jerzy jechał powoli, pilnie lustrując las. Szukał małej kapliczki przybitej do drzewa, o które uderzył kiedyś porucznik Kownicki. Obok drzewa powinien być krzak leszczyny, którego młode, sprężyste gałęzie ocaliły wówczas życie Jerzego. Jest. Jest i drzewo i kapliczka i leszczynowy krzak.

Jerzy wziął to za pomyślną wróżbę dla swojej wyprawy. Tu, u brzegów morza, wśród falujących zbożem wzgórz, pragnął odnaleźć i podjąć nitkę, która doprowadziłaby go do kraju młodości.

Jerzy wciąż jeszcze oswajał się z faktem, że oto jest w Polsce. Po dwudziestu latach. Po dwudziestu latach walk, klęsk, zwycięstw i nieudanych prób zaaklimatyzowania się na różnych kontynentach. Wbrew wszystkim radom i ostrzeżeniom, teraz, po dwudziestu latach, jechał by odnaleźć tę zagubioną nić, która doprowadziłaby go do tego jednego, jedynego kraju w którym potrafiłby się zaaklimatyzować — do kraju Młodości.

Z doświadczenia swych licznych tułaczek wiedział, że po calutkim globie ziemskim są rozsiane oazy, które wymykają się spod władzy czasu. Są zakątki, nad którymi czas przechodzi, zupełnie ich nie zmieniając. Najczęściej są to drobne, zagubione osady, często podgórskie wsie, często małe, rybackie miasteczka. Jerzy miał nadzieję, że jego dawny, przedwojenny garnizon, Puck, należy właśnie do tej kategorii.

Wjazd do miasteczka zdawał się potwierdzać jego nadzieje. Nic się nie zmieniły nierówne „kocie łby” bruku. Te same wąskie, wysokie domy stały po obu stronach wąskich, krętych uliczek. Uliczki były te same. Zmieniły się jedynie ich nazwy. Ulica Marszałka Piłsudskiego była teraz ulicą Szczecińską. Na niektórych zmieniono tylko daty. Ulica Trzeciego Maja została ulicą Pierwszego Maja zaś ulica Dziesiątego Lutego ulicą Dwudziestego Drugiego Lipca.

— Hell! — zaklął Jerzy, rozbawiony znikomą ilością zmian, wartoż było robić aż rewolucję, żeby zamienić trójkę na jedynek albo luty na lipiec?

Na rynku, stare, odwieczne domy, które zdążyły powlec się patyną wieków, teraz były odnowione i lśniły świeżą farbą. Wielkie litery transparentów nawoływały do akcji, obiecywały wspólnym wysiłkiem „dogonić i przegonić”. Ale nieliczni przechodnie widocznie nie zamierzali brać udziału w gonitwie i snuli się tym samym powolnym, sennym krokiem, który ongiś (ćwierć wieku temu) tak irytował młodego lotnika. To miasteczko — myślał Jerzy — trwa już przeszło siedemset lat. Cóż dla tych murów

znaczy dwudziestolecie? Co dla nich te transparenty i hasła? Te mury widziały Łokietkowych rycerzy, widziały Krzyżaków, widziały kaprów i Prusaków. Przetrzymały okres niepodległości, zapewne przetrzymają i „wyswoblenie”.

Jerzy skręcił w ulicę Józefa Hallera, obecnie Józefa Stalina, i skierował się do Domu Kuracyjnego. Zatoka była szara i senna. Jerzy zostawił samochód na parkingu i obchodząc Dom Kuracyjny od strony zatoki szedł ku restauracji.

Jakżeż dobrze pamiętał tę salę. Dębowe obicia ścian, olbrzymie jelenie rogi, masywny piętrowy kredens gdański, staromodne, kryształowe żyrandole i dumę Jasia Boyarskiego, lustrzany krąg, na którym się tańczyło i w którym, gdy się umiało odpowiednio podprowadzić tancerkę, odbijały się najbardziej intymne szczegóły jej garderoby.

Jerzy szedł coraz wolniej wzdłuż Kuracyjnego Domu, odtwarzając sobie w myślach jego wnętrze:

— Ten stolik przy oknie, to stolik Szysta. Obok stolik Kryńskiego i Ciapcusiś Zawadzkiego. Dalej siadywali Borowiec i Wacięga, obok Walek Jasionowski i Heniek Kołodziejek. Przy środkowej ścianie Władek Osmołowski i ja. Obok Zieliński i „Kaszeba” Stempkowski.

Mocny Boże! — myślał Jerzy. — Mieliśmy bronić Bałtyku, a obroniliśmy Londyn i Kair. Rozsypaliśmy się po calutkim świecie od Kalifornii po Karachi. Ale przecież któryś musiał tu powrócić. Gdzieś tu można będzie podjąć ślad prowadzący do Kraju Młodości. Czyżby tuż za tymi drzwiami?

Gdy naciskał klamkę drzwi, serce Jerzego pracowało na najwyższych obrotach.

Czyżby tuż za tymi drzwiami otwierał się kraj młodości? Nacisnął klamkę. Wszedł.

W pierwszej chwili myślał, że się pomylił, że wszedł w niewłaściwe drzwi. Wszystko było inne. Poznał tylko rozstawienie okien i drzwi. Z dębowych obić ścian nie pozostało ani śladu. Znikł gmach-kredens i znikły jelenie rogi. Zniknęło lustrzane koło z parkietu. Znikł nawet i sam parkiet wraz ze stolikami i krzesłami.

Podłoga z desek, zwyczajnych, prostych, nawet jeszcze nie pokrytych farbą desek. Długie prostej roboty stoły oparte na krzyżakach. Przy stołach zwykłe, sosnowe ławy. Z bielonych świeżo ścian krzyczą jaskrawymi kolorami plakaty-hasła.

Jerzy machinalnie postąpił kilka kroków w kierunku ściany, pod którą ongiś stał jego stolik. Jeszcze nie zdążył dojść do połowy sali, gdy zabiegło mu drogę wypłowiałe zjawisko rodzaju żeń-

skiego, by poinformować go, że stołówka będzie czynna dopiero od godziny trzynastej.

Jerzy podziękował i wyszedł. Tuż za drzwiami opadło go uczucie strachu: Uciekać!

Już raz to przeżył. W palącym się Blenheimie: Uciekać!

Stał przed Domem Kuracyjnym, starając się nie patrzeć w kierunku, gdzie zostawił swój samochód. Wiedział, że jeśli teraz dobiegnie do samochodu, to żadna rozsądna myśl nie powstrzyma go od zawrócenia na kierunek zachodni. Wiedział, że raz skierowawszy samochód na Zachód, gnać będzie aż do Szczecina i nie zatrzyma się aż przy granicznych słupach...

Przecież przyjechałem tutaj, by odnaleźć i podjąć nić, która zaprowadziłaby mnie do Kraju Młodości — uspakajał się Jerzy — nie ma sensu uciekać. Puck nie kończy się na Domu Kuracyjnym.

Zataczając szerokie koło poprzez parkowe aleje Jerzy z daleka ominął pozostawiony na parkingu samochód i szedł ulicą Józefa Hallera czy Józefa Stalina, ku koszarom Morskiego Dywizjonu Lotniczego.

Przemierzył kwadrat rynku, dziwiąc się, że zupełnie nie widzi lotniczych mundurów. Za jego czasów, o każdej porze dnia i nocy lotnicy kręcili się po mieście. Z rynku skierował się na prowadzącą na lotnisko Swarzewską szosę.

Od bramy koszar dzieliło go jeszcze kilkaset metrów, ale już widział całe szaleństwo, całą niepoczytalność swej wyprawy. Tu na pewno nie uda się podjąć śladu wiodącego w kraj młodości. Było oczywiste, że Puck już nie posiada garnizonu, że lotnisko i koszary są opuszczone.

Główny budynek koszar był w ruinie. Olbrzymie hangary stały zamknięte na głucho. Tylko przed hangarem, ongiś mieszczącym warsztaty lotnicze stało kilka rolniczych maszyn, przy których kręcili się robotnicy. Nad bramą lotniska, dawny napis „Morski Dywizjon Lotniczy” zastąpiono szyldem: Puckie Zakłady Mechaniczne.

Wartownika oczywiście nie było i Jerzy przeszedł bramę nie nagabywany przez nikogo o cel swej wizyty. Wzdłuż betonowego pasa bieżni szedł w kierunku hangarów i stoczni. Lustrował pilnie mijane hangary, czy nie odnajdzie choćby najdrobniejszego śladu swojej wieloletniej tu pracy.

Na próżno. Na niektórych drzwiach widniały jeszcze napisy niemieckie, rosyjskie i polskie, wskazujące, że hangary były przejściową kwaterą rozmaitych oddziałów walczących tutaj armii. Ale z czasów Morskiego Dywizjonu Lotniczego nie pozostał najlichszy nawet ślad.

Well — myślał Jerzy — nasi kontrpartnerzy z Luftwaffe mieli dość czasu by zatrzeć tu wszelki po nas ślad.

Szedł coraz wolniej, coraz ciężiej było stawiać kroki. Potężne brzemie czasu waliło mu się na barki.

Czas. Sekundy, minuty, lata.

Sekundy były zawsze po mojej stronie — myśli Jerzy — ile razy akcja rozgrywała się w sekundach czy w ułamkach sekund, czas tawał po mojej stronie. Wiązka moich pocisków zawsze odnajdywała swój cel o ułamek sekundy wcześniej zanim ja sam zostałbym ogarnięty przez śmiertelny ogień kontrpartnera. Dlatego chodzę jeszcze po tej ziemi. Tak. Sekundy były zawsze po mojej stronie. Sekundy, ale nie lata. Lata były mi wrogie.

Nawet nie wiedział kiedy doszedł do skraju lotniska, do podnóża Swarzewskiej Góry. Tu, wyzyskując strome, wysokie brzegi, wybudowano ongiś strzelnice.

Jerzy już mijał wykop, chcąc wydostać się na okalającą lotnisko szosę, gdy uwagę jego przykuła gra słonecznych promieni odbijających się od szklanego dachu. Podeszedł bliżej. W osłonie wysokiego wału strzelnicy, do południowego jej stoku, ktoś przybudował niewielką oranżerię. Jerzy przystanął podziwiając piękne kwiaty. Usłyszał głos:

— Czołem, panie poruczniku!

Od 1940 roku nikt nie zwracał się doń przez „panie poruczniku”.

Jerzy ze zdziwieniem odwrócił głowę. Przed nim stał niski, krępy mężczyzna, odziany w niebieski wypłowiały kombinezon i wysokie, gumowe buty. Spod obszarpanego daszka okrągłej, wypłowiałej czapki śmiały się jasne, typowo kaszubskie oczy. Lewy policzek był przeorany głęboką blizną. Po tej bliznie Jerzy go poznał:

— Doetlaff! Jak się masz, Stary!

Bosman Doetlaff był szefem oddziału portowego. Z pierwszej wojny światowej wyniósł głęboką ranę i niemniej głęboki wstręt do wojny i do wszelkich spraw z wojną związanych. A jednak pozostał w wojsku. W Morskim Dywizjonie Lotniczym utrzymywał się głównie dlatego, że jego bezpośredni przełożony, kapitan Zieliński, znał go jeszcze z czasów dawnej, „cesarskiej” służby. Poza tym, nikt nie potrafiłby zastąpić bosmana Doetlaffa w dbałości o estetyczny wygląd lotniska. To właśnie bosman Doetlaff założył założył okalające hangary klomby. Jego dziełem była kotwica z kwiatów i litery M.D.L. No, a ten zegar słoneczny przy stoczni z czerwonych i białych goździków!

Więc chociaż przez całe „dwudziestolecie” bosman Doetlaff nie nauczył się salutować dwoma palcami, chociaż nieodmiennie

używał słowa „geschwader”, chociaż na stołach w kancelarii oddziału portowego łatwiej było znaleźć cenniki nasion i katalogi ogrodniczych firm niż wojskowe regulaminy, stanowisko bosmana Doetlaffa, jako szefa oddziału portowego było niezachwiane.

Teraz stał przed Jerzym w swym dawnym, ogrodniczym stroju. Niski, krępy, mocny, ze śmiejącymi się oczyma.

Jerzy wyciągnął rękę. Uczuł, że dłoń jego została ujęta jakby ptasimi szponami. Mimowoli spojrzął na rękę bosmana. Nic dziwnego. Z ręki pozostał tylko kciuk i mały palec. Środka dłoni i trzech środkowych palców nie było. Bosman zauważył spojrzenie Jerzego:

— Pierwszego września, panie poruczniku. Ten sam nalot, w którym zginął komandor Szystowski. Ja oberwałem po rękę — wyjaśniał rzeczowo.

Historia Doetlaffa była prosta. Wojnę spędził w stalagu. Nie chciał podpisać listy, choć proponowano mu nie tylko *Volks* — lecz nawet wysoko przez Niemców ceniony zaszczyt zostania *Reichsdeutsch'em*. Nie chciał. Odmówił i siedział do końca wojny w obozie. Po wojnie wrócił do Pucka i do hodowli kwiatów. Dostarcza przeważnie do Gdyni, choć czasem to nawet aż do Gdańska. A gdy były „Dni Gdańska” to wzywano go do wykonania z kwiatów herbu miasta. Szanują go tutaj i szanują jego pracę.

Przez przeszło godzinę dzielił się Jerzy z Doetlaffem wiadomościami o losie reszty dawnych kolegów. W Pucku, oprócz Doetlaffa nie pozostał nikt. Tego bosman był pewien. Przecież by wiedział!

Pożegnali się mocnym uściskiem.

Wzdłuż otaczającej lotnisko szosy, Jerzy wracał do pozostawionego przed Domem Kuracyjnym samochodu. Szedł bardzo powoli, na próżno starając się uporządkować natłok niepokojących myśli.

Tam, na dalekich lotniskach świata czuł się zawsze jakby odgrodzony grubą, kryształową taflą od życia czarnych, żółtych czy białych tubylców. Sprawy mieszkańców Gold Coast'u, Kairu czy Londynu były mu zawsze idealnie obojętne. Na wypieszczoonych przez tropikalne słońce plażach, na pachnących jak kwiaty i barwnych jak motyle Bahamskich Wyspach, Jerzy marzył o surowym, posępnym Bałtyku, o niskich piaszczystych brzegach Puckiej Zatoki. Prawdziwe, żywo obchodzące go sprawy nie rozgrywały się na szerokim świecie, choć przez długich pięć lat był czynnym współautorem tych krwawych, wojennych dzieł. Prawdziwe sprawy rozgrywały się tylko tu. W Kraju Młodości.

W poszukiwaniu tego kraju przebył cztery tysiące mil, aby

teraz przemierzać powolnym, zmęczonym krokiem okalającą lotnisko szosę. Na „swoje” lotnisko już wolał nie wstępować. W sercu czuł głęboki zawód. To przecież nie może być prawda!

Tu, na tym Puckim lotnisku, on i jego przyjaciele spędzili swoje najlepsze lata życia. Spędzili je przygotowując się do wojny. Mówiło się: „do obrony granic”. To przygotowywanie się stanowiło treść ich życia.

Zadaniem ich było wyspecjalizowanie się w trudnej, niebezpiecznej, a tak ukochanej Służbie. Opanowanie samolotu tak, by w jedną całość spłótła się nerwy załogi i przewody maszyny. By samolot i jego załoga stanowiły niezawodne, doskonałe narzędzie walki. By w ten sam, równy takt były męskie serca załogi i dziecinne serduszka motorów.

Przyszła wojna.

Przeegrali ją w kraju, zwyciężyli na Zachodzie.

Wynik?

Wczorajsi wrogowie są dzisiejszymi sprzymierzeńcami. Wczorajsi alianci dziś stali się wrogami. Więc po co rozwaliliśmy w gruzy tyle miast, które dziś pomagamy odbudowywać?

Jerzy mijał właśnie ruiny koszar. Tam, na pierwszym piętrze mieściła się ongiś sala wykładowa. Tam usłyszał — i zapamiętał — to zdanie:

Wartość człowieka mierzy się śladem jaki po sobie zostawia. To zdanie zasługiwało na wiarę.

A przecież było niewiarygodne, by z całego Morskiego Dywizjonu Lotniczego, jako jedyny ślad na tej ziemi, pozostał ten śmieszny ogródek kwiatowy, założony na zboczach strzelnicy przez dywizjonowego ofermę Doetlaffa.

Niewiarygodne — a jednak prawdziwe.



Jerzy i Stefan stali na wysokim, urwistym brzegu Jastrzębiej Góry. Był szary, pochmurny dzień. Po mokrych ścieżkach parku snuły się grupki odzianych w płaszcze turystów. Takie same grupki gromadziły się na mokrym piasku plaży, podnosząc co chwila oczy gu gorze, jakby w nadziei, że jednak słońce przedrze się przez chmury i umożliwi plażowanie i kąpiel. Morze było spienione i złe.

Stefan obserwował Jerzego, który uważnym, krytycznym spojrzeniem lustrował mijanych turystów. Na ustach Stefana igrał uśmiech:

— Ty, Jerzy, chyba pamiętasz gatunek letników, którzy

zaludniali Jastrzębią Górę w okresie dwudziestolecia? Różnica jest???

— Tak. To muszę wam przyznać, że umożliwiliście korzystanie z nadmorskich plaż ludziom, którzy dawniej mogli tylko marzyć o spędzeniu wakacji nad morzem. To jest wielki plus waszego systemu, że tam, gdzie dawniej panoszyły się bogate snoby, dziś naprawia swe zdrowie i nabiera nowych sił człowiek pracy.

— Więc jednak przyznajesz nam rację?

— Znasz mnie. Ja nawet diabłu przyznam rację, jeśli ją ma.

— Uprzejmie dziękuję za diabła — uśmiechnął się Stefan.

— Proszę bardzo. Za porównanie z aniołem obraziłbyś się bardziej. Ale wiesz, ten wiatr zaczyna przejmować mnie chłodem. Zaprowadź mnie gdzieś na szklankę gorącej kawy. Może być bez koniaku. Boyle gorąca.

Uśmiech znikł z twarzy Stefana:

— Obawiam się, że to będzie trudno. Tu są tylko stołówki, które są czynne wyłącznie w godzinach posiłków, no i obsługują wyłącznie tych, co są na „wczasach”. Ale możemy spróbować.

W godzinę później, oszczędzając wszystkie możliwe stołówki i pensjonaty i nigdzie nie dostawszy kawy, wrócili nad urwiste wybrzeże.

— To właśnie zarzucam wciąż waszemu systemowi — pieklił się Jerzy — to właśnie uważam za wasz wielki błąd, że nie umiecie, lub nie chcecie przeprowadzić linii podziału. Podobają mi się wielkie państwowe domy wypoczynkowe, podobają mi się obozy wypoczynkowe dla młodzieży. To bardzo pięknie. Ale zostawcie też trochę miejsca dla prywatnej inicjatywy. Pozwólcie tu w Jastrzębiej Górze, na wybudowanie prywatnej, eleganckiej kawiarni, czy nawet baru. Pozwólcie jakiemuś rzutkemu facetowi wybudować lokal, gdzie dbano by o klienta, bo klient przynosi zysk.

— Z czasem — pocieszał Stefan — gdy załatwimy ważniejsze rzeczy, pomyślimy i o państwowych kawiarniach.

— Państwo — zachnął się Jerzy — zawsze państwo. Dlaczego nie chcecie zrozumieć, że państwo nie może się bawić w organizowanie kawiarni i wypożyczalnie kajaków. To MUSI być pozostawione prywatnej inicjatywie. Nie chcecie tego zrozumieć — i jaki skutek? Pozbawiacie obywatela wielu wygod i udogodnień, które mu się należą. Powodujecie morze złej krwi. Uniemożliwiacie rzutkim ludziom stwarzanie pożytecznych dla społeczeństwa placówek. Poza tym zmniejszacie dochód państwa, bo gdyby tu istniała prywatna kawiarnia, to moglibyście obłożyć właściciela podatkiem. A tak, ani kawiarni, ani podatku. Rzekłem, a teraz

proszę o kawę! Pokaż mi, co działał wasz system w dziedzinie pojenia spragnionych turystów. KAWY!

— Mówisz poważnie?

— Najpoważniej w świecie. Proszę o szklankę kawy.

— Dobrze. Pojedziemy na Oksywie. Jestem pewien, że w oficerskim kasynie dostaniemy kawę.

— Nie. Nie będziemy wykorzystywali twojego pułkownika stopnia. Zaprowadź mnie w takie miejsce, gdzie bez uciekania się do pułkownikowskiej szarzy, ja, zwykły, szary turysta będę mógł zamówić sobie szklankę kawy. Chcę korzystać ze zwykłej, należytą każdemu człowiekowi wolności i zamówić sobie szklankę zwykłej kawy. Ze względu na naszą starą przyjaźń rezygnuję z koniak. Ale jeśli chcesz, bym uznał użyteczność waszego systemu, żądam, by system zdał egzamin i dał mi szklankę kawy.

— Jeśli tak stawiasz sprawę, muszę, jako bezstronny sędzia ogłosić wynik: Jeden zero na twoją korzyść. System nie jest w stanie napoić cię kawą. Wygrałeś.

Dopiero późnym popołudniem, w Sopotach, w Grand Hotelu dostał Jerzy kawę. Siedzieli w wielkiej natłoczonej sali. Na niskich stolikach piętrzyły się stopy ciastek i filiżanki napojów.

Jerzy zamówił drugą z kolei kawę.

— Powiedz Jerzy, jak znajdujesz naszą, państwową kawę? — widać było, że Stefan czeka na pochwałę.

— Świetna. Doprawdy świetna.



Jerzy rozglądał się po sali. Kawiarnia, która była pełna już godzinę temu, teraz wypełniła się po najdalsze granice pojemności. Przy stolikach przeważał typ kobiet, które już dawno, jak głosi piosenka, „przeszły wiosnę, lato, jesień już”.

Teraz, uzbierawszy w ciągu bogatego w doświadczenie życia nieco klejnotów i strojów, pragnęły za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę. Ostentacyjnie składały sobie, od stolika do stolika, wizyty i widać było, jak bardzo zazdroszczą pewnemu starszawemu już „maleństwu”, które przyszło do kawiarni z pieskiem.

Piesek co chwila wymykał się opiekunce, dając jej sposobność do biegania pomiędzy stolikami i do zwracania na siebie powszechnej uwagi. Kobiety zresztą były przeważnie typu nieszkodliwego, ich ambicje zamykały się w kręgu: przespacić się z jeszcze jednym mężczyzną, zdobyć jeszcze jedną błyskotkę.

Gorszy, znacznie gorszy, element przedstawiali mężczyźni. Jerzy znał dobrze ten międzynarodowy typ aferzystów. Byli wszę-

dzie i wszędzie byli tacy sami. W Bukareszcie sprzedawali fałszywe paszporty, w Paryżu na tydzień przed wejściem Niemców sprzedawali benzynę i kradzione wojsku samochody, w Kairze handlowali złotem i brylantami, a zawsze i wszędzie przeprowadzali jakieś ciemne machinacje obcymi walutami. Pełno ich było we wszystkich stolicach świata.

Jerzy przypuszczał, że w Polsce, w kraju gdzie wszystko należy do Państwa i gdzie Państwo o wszystkim decyduje i wszystkiego (w teorii) dostarcza, ten typ międzynarodowego aferzysty nie ma pola działania i że zapewne po prostu wyginął bez śladu, nie pozostawiając po sobie żalu.

Ku swemu zdziwieniu odkrył, że jednak aferzyści są, prosperują, że potrafili zająć najlepsze miejsca w tym najdroższym w Polsce hotelu.

Do uszu Jerzego dochodziły co chwila urywki rozmów, dochodziły pojedyncze, głośniejsze wypowiedziane słowa. Z tych fragmentów łatwo było odtworzyć sobie rodzaj interesów omawianych przy sąsiednich stolikach.

Jeszcze jedna dziedzina polskiego życia — myślał z goryczą Jerzy — która nie uległa najmniejszej zmianie. Po dawnemu, małych złodziei zamykają do kryminału, a wielkim złodziejom przydzielają pokoje w luksusowym Grand Hotelu.

Głos Stefana wyrwał go z niewesołych rozmyślań:

— Patrz! Słońce! Wiesz, wyjdźmy na deptak lub na molo, przespacerujemy się.

Idąc wzdłuż wybrzeża doszli do starej, na wpół rozwalonej przystani. Jerzy zatrzymał się.

Równo trzydzieści lat temu wodowałem przymusowo w Gdańskiej Zatoce. Motorówka wodnej policji przyholowała mego CAMS'a do tejże właśnie przystani. Spisano protokół, przyłecieli z Pucka mechanicy i jeszcze tego samego dnia wystartowałem. A zapamiętałem dobrze ten wypadek, gdyż protokół podpisali ze strony polskiej: Unrug, Morgenstern i Eibel, zaś ze strony niemieckiej: Szymansky, Jelsky i Grzeszkowiak. Wydawało mi się to wtedy bardzo zabawne.

Tuż za przystanią, grupka wyrostków mocowała się z ciężką szalupą na próżno usiłując zepchnąć ją z piasku na wodę.

— Pomożemy szczeniakom — zaproponował Jerzy.

— Daj spokój — zaproponował Stefan — jeszcze się mogą potopić. Nawet nie wiemy czy mają prawo do tej łodzi. Mam raczej wątpliwości co do tego.

— Nie bądź skrupulatnym nudziarzem. Wy też używacie wielu rzeczy, do których nie macie najmniejszego prawnego tytułu. Chodź, pomożemy im. Nic nie jest wiedzieć — jak mówią

w Poznaniu — czy wśród tych szczeniaków szukających przygody na morzu nie ma przyszłego dowódcy floty, lub wielkiego podróżnika, który zaniesie polską banderę na dalekie morza.

Pchnięta wspólnymi siłami szalupa zsunęła się z piasku i zakotyła się tanecznym ruchem na łagodnej fali zatoki. Jerzy i Stefan obserwowali młodocianą załogę. Na szalupie nie było zamieszania. Jakiś młody przejęty ważnością chwili głosik komenderował:

— Wiosła!

I w chwilę potem:

— Obie naprzód!

Jerzy uśmiechnął się:

— Mówiłem ci, Stefan, że w tej grupie na pewno jest jakiś przyszły leader.

— Tak — zgodził się Stefan — zachowują się zupełnie poprawnie. Mam nadzieję, że dadzą sobie radę.

— Dadzą, Stefan, na pewno dadzą. Tylko WY im nie przeszkadzajcie.

Stefan puścił mimo uszu przymówkę:

— Wiesz, Jerzy, ty z twoim entuzjastycznym podejściem do życia, z twoim ukochaniem i zrozumieniem młodzieży, ty się po prostu marnujesz w prywatnym życiu. Powinieneś wstąpić do partii i rozpocząć działalność na polu młodzieżowym.

Jerzy zatrzymał się. Spojrzał Stefanowi prosto w oczy:

— Nie ponawiaj, Stefan, tej propozycji, bo gotów jestem z niej skorzystać i będziesz miał kłopot z wprowadzeniem mnie w wasze szereg.

Twarz Stefana rozjaśniła się.

— Ten kłopot chętnie biorę na siebie. Ty się tylko zgódź, podpisz prośbę o przyjęcie, a resztę ja biorę na siebie.

— Doskonale. Ale stawiam jeden warunek — zastrzegaj się Jerzy.

— Jaki?

Stali naprzeciwko siebie, mierząc się oczyma. Łagodne fale gdańskiej zatoki z cichym szumem rozbijały się o pale przystani. Z wypełnionej chłopcami szalupy dochodziły gromkie komendy młodego sternika, wydawane takim głosem, jakby dotyczyły załogi wielkiej fregaty, a nie wiosłowej szalupy.

— Jaki? — powtórzył Stefan.

— Musielibyście mi zagwarantować, że zgadzacie się, że moją partyjną działalność rozpocznę od rozpędzenia i zamknięcia tych wszystkich szubrawców, których przed chwilą oglądaliśmy w Grand Hotelu.

Stefan roześmiał się.

— Przypuszczałem że ty tylko żartujesz. O takiej dział-

ności wielu z nas marzy. Ale o tym nawet mowy być nie może. Przecież co najmniej połowa tych szubrawców należy do partyjnego aktywu.



Rosnąca temperatura wody niepokoiła Jerzego. Nie wróżyła nic dobrego. Ale Jerzy był bezradny. Parę kilometrów szybszej jazdy od razu ochłodziłoby silnik, ale na tych straszliwych wybojach podkarpackiej drogi, nawet dziesięć kilometrów na godzinę było jazdą zbyt szybką, zbyt ryzykowną dla całości resorów. Do celu, do Dunajówki, było jeszcze dwanaście kilometrów, jeśli można było wierzyć mapie. Jeśli wierzyć, bo przecież ten straszliwy, pełen dziur i wybojów trakt, mapa wyraźnie określała jako „droga drugiej klasy, ulepszona”.

Well, zastanawiał się Jerzy, jeśli tak wygląda droga ulepszona, jak musi wyglądać droga nie ulepszona?

Nikła, szarawa smużka, nie większa niż dym z fajki, w porę ostrzegła Jerzego. Zjechał na skraj drogi i wyłączył motor. Spod maski zaczęły się wydobywać szare kłęby pary. Jerzy wysiadł z samochodu i zaczął rozglądać się w poszukiwaniu wody. Miał szczęście. O kilkanaście kroków zieleń łąk przecinała srebrna niteczka strumienia.

Trzeba odczekać, aż się woda przestanie gotować, aż motor się trochę ochłodzi. Wtedy uzupełnię wodę i może jakoś dociągnę do tej Dunajówki. A w ogóle to trzeba być idiotą, by wybrać się w tę wyprawę.

Leżał na miękkiej, pachnącej trawie. Ten zapach nic się nie zmienił. Był taki sam. Taki sam jak ćwierć wieku temu, gdy tak samo leżał na tych łąkach, czekając aż Aeroklub Krakowski przyśle mu mechanika i amortyzator.

Ponieważ do wieczora nie ukazał się żaden samolot, a Jerzy nie chciał zbyt daleko oddalać się swej R.W.D., postanowił spędzić noc w najbliższej chałupie. W ten sposób poznał się ze Stanisławem Sieczką. Jeśli w 1935 roku rozpisano by w województwie krakowskim konkurs na najbiedniejsze gospodarstwo, Staszek Sieczka wziąłby pierwszą nagrodę. Trzy morgi lichego, lekkiego pola, szmat łąki, dwuizbowa, kryta słomą chałupa, srebrna od hreczki szkapa i wychudzona krowina — to był pełen inwentarz dóbr ziemskich gospodarza Stanisława Sieczki.

Wieczorem siedzieli po ciemku, gdyż światła w chałupie nie było. Dochód gospodarstwa wykluczał luksus kupowania nafty. Chleba zresztą nie było również. Tylko w te rzadkie okazje, gdy rzeka podmyła drogę lub powódź zagrażała torom kolejowym,

miał Sieczka okazję zarobienia kilkunasztu złotych, najmując się ze swą furką i szkapą do wożenia ziemi. Ale takie okazje zdarzały się rzadko.

Więc i chleb nie często pojawiał się na stole Sieczków. Na co dzień były kartofle i kasza. Od święta była kasza i kartofle. Były wprawdzie w gospodarstwie jeszcze kury i jajka, ale były to jedyne produkty „eksportowe” gospodarstwa i pieniądze uzyskane z ich sprzedaży szły w całości na opłacanie podatków. Tak było w Dunajówce w 1935 roku.

Teraz, po dwudziestu pięciu latach, Jerzy znów wybrał się do Dunajówki. Ciekaw jestem, myślał, czy samochód wzbudzi taką samą sensację wśród mieszkańców wsi, jak ongiś wzbudziła R.W.D.?

W godzinę później, ochłodziwszy motor i uzupełniwszy wodę w chłodnicy, podjął przerwana podróż. Wkrótce wjechał w szeroką dolinę. Rozpoznał od razu rząd wysokich sosen, które pośrednio były przyczyną jego niefortunnego lądowania. Musiał przejść ponad nimi i potem już nie wystarczyłoby mu łąk na wybieg. Lądował z lekkim przepadnięciem, puścił zbyt silnie na lewe koło — amortyzator nie wytrzymał.

Rozpoznał wysoką wieżę kościoła i charakterystyczne „S” szosy prącej się z doliny na przełęcz. Wszystko było znajome. Wszystko, z wyjątkiem samej wsi. Znikły drewniane, „malownicze” chałupy kryte strzechą. Na ich miejsce wyrosły duże, murowane, kryte blachą domy.

Koła samochodu uderzyły o twarde, nierówny bruk.

Nie! Ja chyba śnię — myślał Jerzy.

Prowadząca przez Dunajówkę droga, niezmienna od piastowskich czasów, latem pełna kurzu a jesienią i wiosną pełna kałuż, doczekała się jednak bruku. Trochę nierównego, trochę zdradzającego amatorstwo twórców, ale przecież BRUKU!

Poprzez całą szerokość nowego, murowanego domu biegły litery szyldu: SPÓŁDZIELCZY PUNKT TOWAROWY I ŻYWNOŚCI.

Coś nie bardzo w zgodzie z gramatyką, ale trzeba ten punkt obejrzeć — postanowił Jerzy. Zapewne głównym produktem sprzedawanym w „punkcie” będą portrety Marksa przerobionego na świętego Józefa. Zatrzymał samochód i wszedł do obszernej, jasnej sali. Świeżo umyta podłoga pachniała jeszcze mydłem.

— Obywatel ma życzenie?

Życzeń miał Jerzy wiele, ale nie przypuszczał, by tęga, piersiasta góralka mogła je zaspokoić. Zresztą nie należało żądać zbyt wiele. Poprosił o butelkę chlebowego kwasu.

Wyniesiona z piwnicy butelka była chłodna. Szklanka czy-

sta. Popijając cierpki, musujący płyn, Jerzy pilnie lustrował wnętrza spółdzielni. Biegące wzdłuż ściany półki wypełnione były towaram, jakiego w zapadłej, góralskiej wsi nigdy by nie oczekiwano. Główną uwagę Jerzego przykuła wielka, oszklona szafa, na której półkach rozłożyły się kolorową tęczę ilustrowane pisma.

No — myślał złośliwie Jerzy — tutaj już przesolili z propagandą. Tych wychodzących w Warszawie, Krakowie i Włocławiu tygodników i pism chyba nikt tu nie używa do innych celów niż skręcanie machorkowych papierosów. Ciekaw jestem, czy ktokolwiek kupuje te pisma?

Nie czekał długo na odpowiedź. Drzwi spółdzielni otworzyły się i kilkunastoletni wyrostek podszedł do lady:

— Czy obywatelka zostawiła dla mnie „Skrzydlatą”?

— Mówiłam już Józiewi, że nie wolno nic dla nikogo zostawiać. Kto pierwszy, ten lepszy. Po „Skrzydlatą” trzeba przychodzić we środę, a nie czekać aż do piątku. Rozsprzedana.

Chłopak stał chwilę niezdecydowany, po czym poprosił o „Żołnierza”.

— Ty, Józek z księżycy dziś spadłeś? W piątek przychodzi kupować „Żołnierza”. A idźżeż, wariacie, idź i nie zabieraj mi czasu!

Więc jednak ludzie kupują. Jerzy nie wiedział, czy ma się cieszyć, czy martwić faktem, że w Dunajówce ludzie czytają warszawskie i krakowskie pisma. Ale to, że młody góralczuk czytywał „Skrzydlatą”, to było na pewno faktem dodatnim. To radowało lotnicze serce Jerzego.

Józek nie zamierzał widocznie korzystać z udzielonej mu przez sprzedawczynię rady i nie opuszczał spółdzielni. Podszedł do szafki i oczyma wodził po tytułach.

Jerzy podszedł do chłopaka.

— Mam ostatni numer „Skrzydlatej” w samochodzie. Już przeczytałem. Chętnie wam dam.

— Bardzo dziękuję, obywatelu — ucieszył się chłopak. — Proszę i wyciągnął rękę z pieniędzmi. Bo, widzicie, ja śledzę wyniki modelarskich zawodów. Nasze koło posłało model. Więc chcę znać wyniki.

Razem opuścili spółdzielnię i w chwilę potem młody góralczuk stał przy samochodzie Jerzego przeglądając podane mu pismo i komentując osiągnięte wyniki.

— Czy obywatel nie sądzi, że tych modeli z elektrycznymi motorkami nie powinni byli w ogóle dopuścić do zawodów?

— Dłaczego tak sądzicie? — Jerzy był ciemniakiem w modelarstwie.

— No, bo przecież prawdziwe samoloty nie używają elektrycznych motorów, a więc i modele nie powinny ich używać.

Hell! Gdyby oni nie przysyłali tu swej „propagandy” ten chłopak nie rozmawiałby ze mną jak równy z równym, nie krytykowałby spraw, o których ja sam nie mam zielonego pojęcia. Gdyby nie ta, tak przez nas wyśmiewana „propaganda”, ten chłopak stałby przede mną pół-dziki, nieufny, ciemny, patrzyłby na samochód tak, jak patrzył jego ojciec na moją, skraksowaną R.W.D.

Na filmie pamięci wyrasta scena sprzed ćwierć wieku:

Pochylona, mierzająca skrzydłem w niebo, maszyna. On, Jerzy, leży na miękkiej, pachnącej trawie i patrzy na tłum otaczający samolot. Zbliżali się ostrożnie, nieufnie. W każdej chwili gotowi do ucieczki. Tłum składał się przeważnie z kobiet i dzieci. Dzieci kurczowo trzymały się matczynych spódnic, tylko paru wyrostków stanęło odważnie w pierwszym szeregu kobiet.

Gdy Jerzy zwrócił się do któregoś z chłopaków z zapytaniem czy we wsi jest sklepik i czy pobiegłby po papierosy — chłopak nie odpowiedział, tylko pospiesznie skrył się za plecami kobiet. Jakiż kontrast z tym śmiałym, oblatanym w sprawach modeli Józkiem.

Józek wciąż trzymał w ręku pieniądze przeznaczone na „Skrzydlatą”.

— Schowajcie te pieniądze na następny numer — powiedział Jerzy. Ja już i tak przeczytałem, więc chętnie wam daję. Powiedzcie mi tylko, czy ten dom przy łąkach wciąż jeszcze należy do Stanisława Sieczki?

— Tak. A to wy go znacie?

— Tak, byłem tu kiedyś. Dawno temu. Do widzenia.

— Do widzenia. Dziękuję za „Skrzydlatą”.

W parę minut później, w obszernej izbie nowego domu, Jerzy zastanawiał się nad względnością pojęcia „czas”. Stanisław Sieczka, który ćwierć wieku temu miał 35 lat, wyglądał wtedy na lat sześćdziesiąt. Teraz, gdy rzeczywiście tę sześćdziesiątkę osiągnął, wyglądał dokładnie tak samo. Góralski, sępi profil, wydatny nos, głębokie bruzdy zmarszczek i gęste, krzaczaste brwi.

Ku wielkiemu zdumieniu i radości Jerzego, stary góral rozumiał go lepiej, niż Jerzy śmiał oczekiwać. W romantycznej, śmiesznej wyprawie Jerzego, Stanisław Sieczka nie widział nic niezwykłego. — Zbyt krótko długie i zawiłe wyjaśnienia Jerzego:

— Ja rozumiem. Nasze góry to już mają tę siłę, że kto tu raz żył, zawsze tu będzie powracał. Choćby myślami tylko.

I jakby chcąc potwierdzić prawdę, stary góral zaczął wylizywać nazwiska sąsiadów i sąsiadów, którzy odeszli w doliny,

a przecież wciąż powracają. Poszli do Krakowa, do Wrocławia, niektórzy aż do Warszawy — a przecież nie ma takiego roku. by choć na krótki czas nie powracali w swe góry.

Rozmowa przeciągnęła się poza granicę czasu, jaką sobie wyznaczył Jerzy na pobyt w Dunajówce. Nie miał najmniejszej ochoty na nocną jazdę po „ulepszonej drodze drugiej klasy”. Należało tylko rzucić teraz to najważniejsze pytanie. Jerzy wolał uczynić to bez świadków. Pod pretekstem, że nie chce zablądzić, poprosił starego górala, by go odprowadził do samochodu.

Szli razem po miękkiej, „rzemieennej” drodze, oddychając powietrzem przesyconym zapachem łąk. W pewnym momencie Jerzy przystanął:

— Powiedzcie mi szczerze, Gospodarzu, gdybyście mieli taką sposobność, że wasze głosy byłyby sprawiedliwie policzone i że waszymi głosami stanowilibyście o swoim losie, o porządku jaki tu ma być. Czy wy głosowalibyście za porządkiem, który tu był przed wojną, czy za porządkiem, który tu jest dziś?

Stanisław Sieczka przystanął. Zdjął kapelusz. Przeżegnał się szerokim gestem.

— Jak na świętej spowiedzi wam powiem, bo przecież wiem, że właśnie potoście tu przyjechali aż z tej Hameryki, żeby się prawdy dowiedzieć. To wam powiem: Żeby mi się nawet z nawrotem starego porządku miała moja młodość powrócić, to i tak głosowałbym za porządkiem, co jest tu teraz. Nie wszystko jest jeszcze tak, jak powinno być, ale naszym dzieciom będzie lepiej, niż było nam. A to jest najważniejsze.

Poprzez niedomyte szyby restauracji „Warszawianka” Jerzy spoglądał na zalany słońcem prostokąt rynku. Miasteczko Płońsk nie wiele się zmieniło od ostatniej bytności Jerzego w 1938 roku. Przynajmniej nie widać było żadnych zmian w rynku. Na peryferiach miasta przybyło parę nowych domów, przy warszawskiej szosie wybudowano nową szkołę, na zachodnich krańcach miasta budowano właśnie nowy szpital — ale tych rzeczy nie widziało się z rynku. Rynek pozostał bez zmian.

Zbyszek był jednym z zatrudnionych przy budowie szpitala architektów i to na jego usilne nalegania, Jerzy podjął wycieczkę do Płońska.

— Nie możesz — dowodził Zbyszek — wrócić do Kanady nie poznawszy życia polskiej prowincji. Sam wiesz, że po Londynie nie można sądzić Anglii, ani po Paryżu Francji. Ty też nie powinienesz wyrabiać sobie opinii o Polsce na podstawie obser-

wacji warszawskiego życia. Musisz koniecznie poznać prowincję.

W następstwie tej rozmowy Jerzy siedział w restauracji „Warszawianka” obserwując pustawy rynek i oczekując na Zbyszka, który miał parę spraw do załatwienia w Radzie Powiatowej. Siedział, palił fajkę i obserwował sennie życie sennego miasteczka.

Od roku 1938, gdy po przymusowym lądowaniu, oczekując na pomoc techniczną, spędzić musiał w Płońsku cały dzień, nie wiele się tu zmieniło. Wojna, okupacja, rewolucja — przyszły i przeszły — nie pozostawiając na rynku Płńska żadnego prawie śladu. Miasteczko trwało w swym nieprzebudzonym śnie.

W pewnym momencie, przez mózg Jerzego przemknęła myśl od której przeszył go zimny dreszcz. Drgnął z przerażenia, że ta przelotna myśl mogłaby stać się jawą, że to co pomyślał, mogłoby stać się naprawdę. Że przecież mogłoby się tak zdarzyć, że właśnie on, Jerzy, musiałby całe swe życie spędzić w takim małym, sennym miasteczku.

Pomyśleć — zaniepokoił się Jerzy — że przecież mógłbym pracować w którymś z tutejszych warsztatów czy biur. Codziennie spieszyłbym na ósmą do pracy. Codziennie odwalalibyśmy te swoje osiem czy dziewięć godzin, kończył o piątej po południu — i co?

Raz na tydzień chodziłbym do kina, raz na miesiąc byłaby jakaś akademicka ku czci tego czy owego. Zapewne dwa, może trzy razy do roku przyjeżdżałby jakiś prowincjonalny teatr. Raz na rok wyjeżdżałbym na „wczasy”. I to wszystko. A na co dzień?

Spacer po „deptaku”, lub wysiadanie w „Warszawiance”? Chyba oni mają tu jakiś klub? Muszę zapytać Zbyszka.

W parę godzin później, już w mieszkaniu Zbyszka, Jerzy poruszył temat życia w małym miasteczku. Ku zdumieniu Jerzego, Zbyszek patrzył na to życie pod zupełnie innym kątem.

— Powiedz mi, Jerzy, jak się nazywa Twój ławnik?

— A czort go wie — nigdy go nie poznałem.

— A Twój lekarz dzielnicowy? Komisarz policji? Naczelnik poczty?

— Jak wyżej. Dlaczego pytasz o tych ludzi?

— Zobaczysz. A jak się nazywają Twój najbliżsi sąsiedzi? Właściciel sklepu gdzie robisz zakupy czy właściciel restauracji, gdzie jadasz?

— Nie znam tych ludzi. Po co? Wystarcza mi, że ich biura czy ich *business* figuruje w książce telefonicznej. Gdy mam do nich jakiś interes po prostu nakręcam odpowiedni numer i załatwiam sprawę telefonicznie. Nie widzę żadnej potrzeby znania ich.

— Właśnie. Oni dla Ciebie są numerami w telefonicznej książce, a Ty dla nich jesteś numerem sprawy czy numerem otwartego rachunku. Wy, mieszkańcy wielkich miast zatracacie zupełnie swe ludzkie, indywidualne cechy. Stajecie się po prostu numerami. Gdy któregoś z was, co nie daj Boże, przejedzie samochód, to na ulicy leży nie człowiek, lecz numer ze statystyki wypadków. Mijają go obojętnie przechodnie, takie same chodzące numery. Przejechany czeka, aż nadjedzie odpowiedni numer karetki pogotowia i umieści go w odpowiednim numerze szpitalnego pokoju. Nic ludzkiego — same numerki.

— A tu?

— Ja mieszkam w Płońsku już czternaście lat. Połowa nowych domów powstała według zatwierdzonych przeze mnie planów. Znam z imienia i nazwiska wszystkich właścicieli tych nowozbudowanych domów. Oni też znają mnie. Nie twierdzę, że ze wszystkimi się przyjaźnię, ale wszystkich dobrze znam. Znam prawie wszystkich ludzi, którzy zajmują tu jakieś społecznie ważniejsze stanowiska. Każdą ważniejszą sprawę my tutaj wspólnie omawiamy. Mamy wspólne smutki i wspólne radości. Niech się komuś stanie coś złego, wszyscy spieszymy z pomocą. Na szczęście jeszcze nie staliśmy się dla siebie numerami, wciąż jeszcze jesteśmy ludźmi.

— Tak przyznał Jerzy — nie myślałem nigdy o tym aspekcie prowincjonalnego życia. Zapewne masz rację, mówiąc, że więcej jest miejsca dla indywidualizmu w Płońsku niż w Warszawie. Jednak chyba wy musicie tu odczuwać brak kulturalnego życia. Powinniście założyć jakiś klub, jakieś miejsce spotkań, gdzie można by wymieniać poglądy, zabawić się, lub chociażby zagrać w pokierka.

— Klub, mówisz? Owszem, mieliśmy tu swój klub. Prawdę mówiąc, to nawet ja byłem jego założycielem i pierwszym prezesem. Ale obecnie klub zmienił swoje oblicze i nikt z inteligencji już tam teraz nie chodzi.

— Czemu?

— Wyparto nas po prostu z klubu. Ponieważ historia naszego klubu może być dla Ciebie bardzo pouczającym przyczynkiem do zrozumienia naszych prowincjonalnych stosunków, opowiem Ci ją.

— Posłucham z największą uwagą.

— Parę lat temu, ktoś rzucił projekt wyszukania jakiegoś pokoju na nasze karciane wieczory. Zony krzywiły się, że siedzimy zbyt długo w noc i rujnujemy ustalony w każdej szanującej się rodzinie tryb życia. Zamiast więc grać coraz to w innym domu i wysłuchiwać złośliwych uwag od coraz to innej pani domu —

postanowiono zdobyć własny lokal. Mnie powierzono tę misję, która, przy braku mieszkań i przy ogólnym stłoczeniu, wcale łatwa nie była.

— Pamiętałem jeszcze dość żywo te miłe wieczory spędzone w różnych klubach w Anglii — i postanowiłem, że jeśli mam coś zorganizować, to będzie właśnie na taki angielski wzór. Oczywiście przy zachowaniu odpowiednich proporcji. Zacząłem opowiadać o klubowym życiu, zwerbowałem pierwszych członków. Wyzaczyliśmy udziały i udało mi się namówić kilku inżynierów, urzędników, doktora i nauczycieli na wybulenie potrzebnej na założenie klubu gotówki.

— Od tego jestem tym architektem, by potrafić „zorganizować” odpowiedni lokal. Zdobyłem umeblowanie, a co ważniejsze, zdobyłem też odpowiedni personel, co w naszych warunkach jest trudniejsze niż zdobycie lokalu i mebli. Na kierownika klubu wyszukałem sobie inwalidę, który kiedyś był *barman*’em na S/S Sobieski i znał swój fach.

— Przez dobre dwa miesiące biegałem po Płońsku jak przyśłowiaowy kot z pęcherzem. Ale otwarcie klubu było naprawdę sukcesem. Nie twierdzę, że mój klub mógłby być brany za przykład w Londynie. Ale w takim Blackpoolu czy Glasgowie na pewno by uszedł w tłoku.

— Początkowo trochę sarkano na obowiązek przebiegania się, na zakaz wchodzenia do klubu w codziennych, roboczych ubraniach. Ale twardo stałem na stanowisku, że do klubu należy przychodzić w ubraniu wyjściowym.

Jerzy uśmiechnął się:

— Wpływ Anglii, co? Zresztą zupełnie się z Tobą, zgadzam.

— Anglii mniej. Raczej Afryki. Pamiętasz, jak za naszych afrykańskich czasów nauczyliśmy się od razu rozpoznawać lotniska, czy placówki obsadzone przez Anglików? Pamiętam, że zanim jeszcze podbiegająca do samolotu ziemna obsługa zdążyła wypowiedzieć jedno choćby słowo, już się wiedziało, czy ma się do czynienia z Anglikami, czy z Francuzami lub innymi aliantami. Angolicy zawsze ogoleni, ich tropikalne koszulki zawsze świeżo wyprane i wyprasowane, buty oczyszczone. Do obiadu, jeśli nie mieli się w co przebrać, to przynajmniej wkładali krawaty i opuszczali rękawy koszul. Jakaż przepaść dzieliła ich od Francuzów czy Belgów, którzy zawsze wyglądali jak podkomendni samego Ali-Baby. Właśnie tam, pomiędzy Dakarem, Accrą a Kairem miałem sposobność porównania systemu francuskiego i angielskiego — i dokonania wyboru. Raz go dokonawszy, nie tylko sam staram się dbać o dyscyplinę zewnętrznego wyglądu, ale wszędzie gdzie tylko mogę nakłaniam do tego i moje otoczenie. Więc i

członków naszego klubu. Zresztą nie napotkałem na silne sprzeciwy.

— Mówię Ci, Jerzy, dobrała się naprawdę miła, sympatyczna paczka. Z czasem zżyliśmy się i stanowiliśmy zgrany, dobrany zespół. Wieczory brydżowe, czasem zmieniające się w bardziej hazardową zabawę, pótanicówki, turnieje, konkursy — jednym słowem prawdziwie miły i pożyteczny ośrodek towarzyskiego życia. Pamiętasz, jak w naszej messie zawsze obchodziliśmy imieniny każdego z oficerów? Otóż ten sam zwyczaj wprowadziłem do naszego klubu. Klub urządził każdemu ze swych członków huczne imieniny. Mieliśmy nawet własny zespół sceniczny i wystawiliśmy parę jednoaktówek.

— Ale to wszystko było zbyt dobre, by mogło długo trwać. Jakiś warszawski dygnitarz, zapewne nudząc się przy swym ministerialnym biurku, wykoncypował okólnik, wzywający partyjny aktyw do „rzutowania partyjnego nastawienia na kulturalne życie swych środowisk”.

— Na nasze wielkie nieszczęście, okólnik ten trafił do rąk, a co gorsze, do gustu, jednemu z Płońskich kacyków, towarzyszu Ciołkowi.

Towarzysz Ciołek, dyrektor ze społecznego awansu, jest poza tym zupełnie nieszkodliwym, nawet dobrym człowiekiem. Prawie nigdy nie stara się zabierać głosu w sprawach, o których nie ma pojęcia i na ogół nie bruździ i nie przeszkadza swym fachowym podwładnym. Inżynierowie raczej go chwala i uważają, że współpraca z nim jest możliwa i nie wymaga zbyt wielkiej dyplomacji. Ale niestety, przy wszystkich tych zaletach, towarzysz Ciołek ma jedną wadę: jest niezmiernie wrażliwy na punkcie konieczności propagandy obowiązujących w systemie prądów. Nie można mu nawet brać tego za złe. Za dawnych, „sanacyjnych” czasów towarzysz Ciołek był pomocnikiem stolarskim. System wyniósł go na stanowisko dyrektora. Czyż można się dziwić, że jest gorliwym wyznawcą systemu?

— Otóż towarzysz Ciołek przeczytał okólnik o „rzutowaniu ideowego podłoża na poczynania kulturalne prowincjonalnych ośrodków” i zwrócił się do mnie z prośbą o wprowadzenie go do naszego klubu. Nie miałem żadnych podstaw do odmówienia tej prośbie. Przyjeliśmy więc towarzysza Ciołka, nawet nie puszczając, że wprowadzamy trojańskiego konia.

Towarzysz Ciołek wysłał do odpowiedniego ministerstwa w Warszawie odpowiednie pismo, w którym zobowiązywał się do podwojenia w ciągu roku ilości członków naszego klubu. Wszystko to w „ramach szeroko zakrojonej akcji kulturalno-propagandowej”. Podwoił, może nawet potroił. Teraz klub był pełen ro-

botników. Zapanował taki język, że nasze panie musiały przestać przychodzić. Zaczęły się pijatyki i bitki. Mordobicia były na porządku dziennym, łamanie mebli w programie tygodniowym. Przestaliśmy przychodzić do klubu. Bo i po co?

Towarzysz Ciołek został wybrany prezesem i dobrał sobie odpowiedni zarząd spośród robotników. Z czasem awantury zaczęły przybierać takie rozmiary, że milicja nie mogła dłużej przymykać oczu, musiała wkroczyć i opieczetować lokal. Klub przestał istnieć.

W parę tygodni później towarzysz Ciołek otrzymał od samego ministra pismo z podziękowaniem za potrojenie ilości członków klubu i za rozwinięcie „kulturalnej akcji ogarniającej szerokie masy”.

Nie przypuszczam, by towarzysz Ciołek odpowiadając ministrowi na ten miły list pochwalił się zamknięciem klubu przez milicję. Przypuszczam że raczej przemilczał ten fakt.

Tak, oto potoczyła się sprawa klubowego życia w Płońsku. Jerzy wyjął z ust swą nieodłączną fajkę.

— A nie możecie założyć nowego klubu?

— Po co? Żeby jakiś inny Ciołek czy Byk miał pole do „rozszerzania rzutowania społecznych idei w szerokie warstwy”?



Jerzy spojrzął na wskaźnik paliwa, stał w połowie skali. Podjechał do pompy. U nas — myślał — od Bostonu po Los Angeles i od Miami po Nome, na dźwięk podejżdżającego do pompy samochodu wyskakuje obsługujący pompę mechanik, napełnia bak, sprawdza poziom oliwy, wodę w chłodnicy, elektrolit w baterii, wyciera przednią szybę i z uśmiechem podaje rachunek. Jeśli jestem w towarzystwie kobiety, to najczęściej dostaje od firmy upominek w postaci kwiatu. Jeśli w samochodzie jest dziecko, to firma ofiarowuje mu balonik z firmowym znakiem. Wszystko dla wygody i zadowolenia klienta — wszystko, żeby go zjednać, żeby za następnym razem również zaszczycił swym zamówieniem firmową stację obsługi.

Tu jakoś nikt nie kwapił się z podejściem do samochodu. Jerzy przypomniał sobie przypowieść o Mahomecie i górze, wysiadł z samochodu i wszedł do wnętrza budynku w poszukiwaniu obsługującego stację.

Za małym stołem, nad rozłożoną gazetą siedział młody mężczyzna. Nie mógł nie słyszeć kroków Jerzego na skrzypiącej podłodze, ale wolał udawać zaczytanego. Jerzy rozpoczął grzecznie:

— Dzień dobry. Proszę o benzynę.

Mężczyzna podniósł głowę znad gazety.

— A ile litrów?

— Nie wiem — wyznał Jerzy — proszę mi napełnić zbiornik. Zapewne około dziesięciu litrów.

— Nie ma żadnego około. Kwit muszę wystawić dokładnie co do litra.

— Proszę mi najpierw napełnić, to zobaczymy na ile wystawić trzeba będzie kwit. — Sugerował Jerzy.

— Ja nikomu nie napełniam. Ja obywatelowi wystawię kwit na tyle litrów ile obywatel zażąda — pouczał obsługujący stację — potem obywatel sam sobie napompuje tyle, za ile zapłacił.

— Ja mam pompować benzynę? — zdziwił się szczerze Jerzy.

— A niby kto? Książd? — zadrwił młodzieniec.

— Przepraszam, że przerwałem lekturę — warknął Jerzy, odwrócił się i wyszedł z budynku.

Kilka minut jazdy wśród oddychającego ciszą krajobrazu uspokoiło go.

Właściwie — myślał — to ten zaczytany facet ze stacji benzynowej ma pełną rację. Dlaczego ma dbać o moją wygodę, obsługiwać mnie, nalewać mi benzyny, sprawdzać olej, wodę i wycierać szyby? On przecież nic z tego nie ma. U nas, jeśli za parę dolarów kupuję benzynę, obsługujący ma też z tego zysk, jest zainteresowany sprzedażą. Dbą się o klienta, gdyż chce się, by klient powracał. A tutaj, co go to obchodzi? On zresztą na pewno nie uważa się za mechanika, lecz za urzędnika. On po prostu urzęduje na stacji benzynowej, wystawia kwity, odbiera pieniądze, pilnuje, by nikt nie wziął więcej benzyny niż wskazana na kwicie cyfra. Nic dziwnego że się obraził za samo przypuszczenie, że to on ma pompować. On jest na stałej pensji. Jak to Janek powiedział:

Czy się stoi, czy się leży.

Dwa tysiące się należy.

Następna stacja benzynowa mieściła się już w samym Łowiczu. Stało przed nią parę samochodów i Jerzy ustawiwszy się w kolejce, bacznie podglądał procedurę pobierania benzyny. Wyglądało to tak:

Przy okienku płaciło się z góry za żadaną ilość benzyny, tu też płaciło się za oliwę. Siedzący za okienkiem urzędnik wydawał pokwitowanie, które, z niezrozumiałych dla Jerzego powodów, wystawiał aż w trzech kopiach. Jedną otrzymywał klient, drugą szła do książki a trzecią chowano do szuflady. Potem pod czujnym okiem urzędnika, kupujący napełniał zbiornik. Większość samochodów były to małe Syreny, do których należało wlewać

benzynę zmieszaną z oliwą. Każdy kupujący musiał w tym celu posiadać jakieś własne wiaderko, w którym wykonywał czynność mieszania.

To jasne — myślał Jerzy — że każdy musi sam się trudzić i walać ręce.

— Państwo jest zbyt wielkim przedsiębiorcą, by raczyło dbać o wygodę swoich klientów. Zresztą nie istnieje konkurencja, więc po co ma dbać. Jak się ma monopol, można sobie pozwolić na bimbanie klientów.

Podpatrzywszy uważnie całą procedurę, gdy przyszła nareszcie kolej na niego, Jerzy zachowywał się tak poprawnie, jakby już od lat pobierał benzynę w państwowych punktach zaopatrzenia. Miał przy tym to szczęście, że w Łowiczu pompa była elektryczna i mógł sobie zaoszczędzić machania korbką. Tym niemniej, trzymanie zatłuszczonego, brudnego węża pozostawiło ślady na jego rękach.

— Czy mogę tu gdzieś umyć ręce? — zapytał benzynowego urzędnika.

Gdyby poprosił o porcję księżycy, przyjmujący pieniądze urzędnik nie mógłby się więcej zdziwić. Jerzy mimowoli pomyślał o czyściutkich toaletach znajdujących się przy każdej amerykańskiej stacji benzynowej.

Urzędnik tymczasem wciąż zastanawiał się nad problemem brudnych rąk klienta. Wreszcie znalazł rozwiązanie.

— Tuż za regim jest stołówka. Znajdzie obywatel tam i mydło i ręcznik. Można tam też dobrze zjeść. Polecam.

Nie pozostawało nic innego jak skorzystać z życzliwej rady. Jerzy podziękował i podjechał do wskazanego domu.

Choć zieleń obić była mocno wypłowiała, a lustra pokryte matowymi liszajami plam, Jerzy od razu poznał, że obecna stołówka numer jeden, mieści się w lokalu sławnej ongiś restauracji. Nie pamiętał już jej nazwy, ale pamiętał, że kilka razy przyjeżdżał tu z przyjaciółmi na dobre jedzenie i jeszcze lepsze picie.

Lokal miał atmosferę ludową. Ani śladu dawnej wspaniałości.

Właściwie — myślał Jerzy — stało się raczej sprawiedliwie, że zamiast drogiej, dostępnej tylko dla nielicznej uprzywilejowanej garstki, restauracji, obecnie znajduje się tu, dostępna dla wszystkich stołówka. To zaliczam systemowi na plus. Założenie słuszne. Wykonanie oczywiście będzie pod zdechłym psem, gdyż na pewno ani kierownik ani kelnerzy nie są zainteresowani powodzeniem stołówki i po prostu „odwalają” robotę. Czy wyjdę zadowolony, czy będę klął — to im jest idealnie obojętne. Mniej klientów — mniej roboty. A dwa tysiące i tak się należy. Ot,

stoi taki kelnerski ananas oparty o ścianę i ani mu się śni pofatygować do stolika, odebrać zamówienie.

Jerzy głośno kaszlnął. „Ananas” spojrzał karcąco w jego stronę, ale się nie ruszał. W końcu Jerzy nie wytrzymał.

— Czy pan tu usługuje? Nie mam zbyt wiele czasu.

— To „pan” musiało podziałać, gdyż kelner podszedł do stolika.

— To rejon kolegi, ale jeśli obywatel się śpieszy, to mogę obsłużyć w zastępstwie. Obywatel życzy?

Jedzenie było nadspodziewanie smaczne. Widocznie kucharz kochał swój fach, lub będąc jeszcze nowicjuszem w zawodzie nie zdążył przesiąknąć tą wspaniałą obojętnością dla swojej pracy, jaką okazywali klientom obaj kelnerzy.



Ta dzielnica Poznania, u wylotu ulicy Dąbrowskiego była Jerzemu dobrze znana. Tedy jechało się na Ławicę. Przed wojną ciągnęły się tu działkowe ogródki i pola. Teraz, gdzie spojrzeć: nowe domy.

Jerzy odnalazł ulicę Roześmianą i numer 34. Nowy dom z jasnej, czerwonej cegły. Tylko parter wykończony. Okna pierwszego piętra zabite na glucho deskami. Całość rozwesela pomarańczowy dach. Na drzwiach mosiężna tabliczka: Rudolf Strenk mechanik.

W parę godzin później, Jerzy i Rudolf przeszli do ogrodu odpocząć po dobrym obiedzie i nabrać sił na oczekujący ich podwieczorek. Pani Strenkowa wierzyła, że w Ameryce ludzie żywią się wyłącznie konserwami i uważała za swój święty obowiązek zapoznać Jerzego z możliwie największą ilością polskich przysmaków.

Jerzy wodził oczyma po nieukończonym pierwszym piętrze.

— Słuchaj, Rudy, ja prawdopodobnie będę miał wkrótce tu, w kraju, trochę pieniędzy. Nie mam wielkiej nadziei, by pozwolili mi je wywieźć legalnie.

— Masz zgryz — przerwał Rudolf — wywieziesz nielegalnie. Chyba Ciebie nie trzeba uczyć jak się to robi? — Rudolf roześmiał się.

— Nie. Uczyć nie trzeba. Potrafiłbym, gdybym chciał. Ale władz MOJEGO kraju nie będę oszukiwał. Tamte sposoby były dobre wobec Francuzów, Anglików czy Amerykanów, wobec Egipcjan lub Włochów, co do których nie miałem żadnego obowiązku lojalności.

Tamto uważałem za sport, za grę. Ale ja po prostu wstydił-

bym się oszukiwać celnika, który ma na czapce POLSKIEGO orzełka, chociażby nawet bez korony. Na pewno potrafiłbym ich okpić — ale byłoby mi potem wstyd.

Są zresztą inne względy, dla których te pieniądze powinny zostać w kraju. Zostały wypracowane polskim trudem — ich miejsce w kraju. Ale ja z innego powodu zacząłem o nich mówić. Patrzę na ten twój niewykończony dom i tak sobie pomyślałem, że pożyczę ci, ile potrzebujesz na wykończenie budowy.

Strenk wyciągnął do Jerzego mocną, pokrytą bliznami rękę.

— Dziękuję ci, Jerzy. To jednak prawda, że piasek Libii łączy mocniej niż najlepszy cement. Dziękuję ci, ale ja mam dość pieniędzy na wykończenie domu.

— Czemu więc nie kończysz? Chyba nie myślisz, że tak jest ładniej?

— Ładniej nie, ale wygodniej i spokojniej.

— Dlaczego, wygodniej?

— Widzisz, tak jak jest teraz to w tym niewykończonym domu jest jak raz tyle przestrzeni co na naszą rodzinę. Mieszkamy sami i mamy święty spokój. A jeśli bym wykończył pierwsze piętro zaraz by mi wsadzili lokatora i stracilibyśmy cały spokój i *privacy*.

— *Well*, każda rzecz ma dwie strony, dodatnią i ujemną. Cechą dodatnią lokatora jest to, że co pierwszego płaci czynsz — stwierdził filozoficznie Jerzy.

— Czynsz — roześmiał się Rudolf. — Czynsz za takie mieszkanie równa się tu cenie stu papierosów. To już wolę nie mieć lokatora i palić miesięcznie o sto papierosów mniej.

— Żarty stroisz, Rudy?

— Chcesz, podjedziemy na następną ulicę do mego kolegi. Sprawdzisz sam, jeśli mi nie wierzysz. Wykończył, frajer, pierwsze piętro i wsadzili mu lokatora. Czynsz określili na sześćdziesiąt pięć złotych czyli jak raz sto papierosów. Tak określają u nas wartość czynszu. Potem się durnie martwią, że nikt nie chce budować domów, że brak mieszkań. A kto będzie budował, gdy taki wyznaczają czynsz?

Przez chwilę palili w milczeniu. W dali szumiało miasto, w sadzie brzęczały pszczoły, od pobliskiego lotniska w Ławicy niósł się warkot lotniczych motorów.

— Słuchaj, Rudy, co ty właściwie w tym Aeroklubie robisz — przerwał ciszę Jerzy — za szefa mechaników jesteś?

— Za szefa! — głos Rudolfa był pełen ironii. — Dobrze by było, bracie.

— A no, pracuję jako pomocnik brygadzysty.

Jerzy aż się poderwał z leżaka:

— Ty? Pomocnik brygadzysty? Kpiny. Czarodziej motorów pomocnikiem brygadzysty! Jak się to stało? Dlaczego nie jesteś szefem mechaników w liniach lotniczych?

— Dlaczego? Dużo by gadać. Nie jestem i już.

— Nie chciałeś?

Ja to chciałem, nawet bardzo chciałem. To oni nie chcieli mnie. Po prostu nie mają do takich jak ja zaufania.

— Nie rozumiem — wyznał Jerzy. — Mogą nie mieć zaufania do mnie. Nieraz to odczuwam w rozmowach. Ale ja jestem synem dziedzica. Prawdę mówiąc, to majątek ojca już w 1918 roku pozostał za granicznym kordonem a ja przez całe życie szedłem własną pracą. No, ale pozostało to piętno szlacheckiego pochodzenia, więc nie mam nawet pretensji, że do mnie nie mają zaufania. Ale ty? Syn robotnika, mechanik — jeśli do ciebie nie mają zaufania, komuż mają ufać? Powinni.

— Może i powinni mi ufać, ale mi nie ufają. To że służyłem w polskim lotnictwie od 1918 roku do 1945 to się nie liczy. Ale pamiętają mi dobrze, że od 1916 do 1918 służyłem, z poboru w niemieckiej, cesarskiej armii. Mam typowo pomorskie nazwisko, koło Starogardu wszędzie znajdziesz Strenków, ale dla nich to ma niemieckie brzmienie. No i ten arcyksiążę też mi słabo pomaga?

— Co za arcyksiążę?

— Gdy moja matka była jeszcze panną, jakiś tam arcyksiążę popełnił samobójstwo razem ze swą ukochaną. Podobno cesarz nie chciał się zgodzić na ich ślub. Jakaś szalenie romantyczna historia. Wszystkie panny w Starogardzie zasikiwały się rzewnymi łzami czytając tę romantyczną bujdę. Więc gdy potem matka wyszła za męża, pierwszy jej syn, to niby ja, musiał mieć imię tego romantycznego bęcwała. Tak i zostałem Rudolfem. Mój młodszy brat był szczęśliwszy. Gdy się rodził, wszystkie kobiety czytały „Krzyżaków”, więc został Zbyszkciem.

Ale wracam do mojej sprawy. Sumuję — Rudolf Strenk. Służył w niemieckiej armii. Służył (jak się tu mówi) u faszystów Andersa. Do partii nie wstąpił. Powołuje się na rozstrzelanych pułkownika Scibiora i majora Michowskiego. I jak mieć zaufanie do takiego? A to, że znam swój fach, to dziś nikogo tu nie obchodzi. Co urzędnika personalnego obchodzi znajomość fachu? On swoje dwa tysiące i tak co pierwszego zaportkuje, a jeśli o co dba, to żeby się przypochlebić tym, co dziś decydują kto i gdzie i za ile ma pracować. Jerzy: Pamiętasz Ty czasy BBWR, gdy o wszystkim decydowali „pułkownicy”. Wierz mi, nic się, oprócz nazwy nie zmieniło. Często nawet są ci sami

ludzie, tyle, że już nie śpiewają „My pierwsza Brygada”, ale inną, niezupełnie polską melodię.

— Jednym słowem, Rudy, system nawala na całego?

— Nie, bracie. System nic z tym wspólnego nie ma. Ludzie nawalają.

To, że państwo ma w swym ręku środki produkcji, to wcale nie jest złe. W Anglii w czas wojny tak samo było — i było dobrze. Tylko w Anglii pytali: co umiesz? A potem sprawdzali czy masz charakter. A u nas pytają: kto cię proteguje? A jeśli sprawdzają, to chyba to, czy chodzisz pilnie na partyjne zebrania. Ludzie nawalają. A tak sobie często myślę, Jerzy, że to i wy, coście nie chcieli tu wracać, też trochę winni jesteście.

— My? — zdziwił się serdecznie Jerzy.

— Tak, Stary. Trzeba było wracać, zajmować stanowiska, pracować. Brać udział w organizacji i w budowie. Wolałeś zostać w Kanadzie. Twoja rzecz — ale się nie dziw, że do organizowania polskiej rzeczywistości wzięły się łobuzy — no i zorganizowały raj dla łobuzów. Może byłoby inaczej, gdybyście też wrócili.

— Tyle, Rudy, byłoby różnicy, że nie osiemnastu lotników by rozstrzelali, by potem ich rehabilitować, ale osiemnaście setek. Co by komu przyszło z tego, że najpierw by mnie rozstrzelali, a potem powiedzieli *sorry*, pomyłka. Do ciebie nie mają zaufania, a do mnie mieliby mieć? Zostawmy dawne dzieje. Lepiej powiedz mi, jak ty myślisz, będzie coś z tej całej „rzeczywistości”?

— Jak zmienią zasadę „od każdego żądamy według jego zdolności — każdemu dajemy według jego potrzeb” to może i pójdzie. Jak zechcą realizować tę piękną, ale nie życiową zasadę, mogą źle skończyć.

Zasada piękna, w teorii. Ale jak ją stosować w praktyce? Że ja mam być pomocnikiem brygadzysty, że tylko tyle można „żądać ode mnie stosownie do moich zdolności” zadecydował jakiś partyjny cwaniak, który miejsce szefa mechaników, jako lepiej płatne, postanowił zarezerwować dla kogoś ze swoich kumotrów. A co do zasady „każdemu według jego potrzeb”, to tu znów jeśli przyjść do praktyki, to stopę moich potrzeb określa pijaczyna, który uważa, że jak mam na wódkę i norę w suterynie to i potrzeby są zaspokojone.

Zasada piękna w teorii, wprowadzana w życie przez nieuczciwych lub ciemnych urzędników, zawodzi. Gorzej, odstręcza od uczciwej pracy. Hasło można by zmodyfikować tak:

Od każdego żądamy według jego zdolności, każdemu dajemy w zależności od wykonanej pracy. I już by inaczej poszło. Więcej robisz, więcej masz. Ale jak tego nie rozumieją, to z całą

swą piękną teorią do żadnych wyników nie dojdą i przy pierwszej próbie, mogą się szpetnie rozłożyć.

— Żałowałbyś? — rzucił Jerzy.

— A wiesz, Jerzy, tak jak codziennie klnę w żywy kamień tę naszą zawszoną rzeczywistość, to przecież bym jej żałował, gdyby się biedaczce zmarło nagłą a gwałtowną śmiercią.

— Czegobyś żałował, Rudy? Stanowiska pomocnika brygadzysty?

— Żałowałbym tych wszystkich plusów, które jednak wniosła w nasze polskie życie: powszechnego, bezpłatnego nauczania, wczasów dla ludzi pracy, bezpłatnej opieki lekarskiej, bibliotek i świetlic i wielu innych bezspornie dobrych rzeczy.

— Rudy, powiedz mi więc, jak to się dzieje, że przy tylu dobrych rzeczach, które system bezwzględnie wprowadził do polskiego życia — w sumie, to życie jest wciąż szare, biedne i złe?

Rudolf roześmiał się.

— Toś po to został po wojnie tym inżynierem, żeby do mnie, prostego mechanika przychodzić ze sprawami nad których rozwiązaniem głowią się najlepsze polskie mózgi?

— Właśnie do mechanika. Mechanik musi być mądrym człowiekiem. Widziałeś kiedyś głupiego dobrego mechanika? A wiesz, Rudy, jak Żydzi nazywają Mojżesza?

— Wiem, że naszą czystą wyborową nazywają „pejsachówką”, ale jak nazywają Mojżesza, nie wiem.

— „Genialny mechanik duszy ludzkiej”, uważam, że to jest świetne określenie człowieka, który zmontował psychikę swego narodu, pozostawił swój ślad naprawdę na tysiąclecia.

— Od słowa tysiąclecie, to Adolfek też zamierzał zmontować swój Reich na tysiąclecie, ale mu się nie zupełnie udało. Zresztą budował na niewłaściwej zasadzie. Więc i nie wyszło.

— Tak to, ono, Bracie i jest. Jeśli chcesz żeby budowla stała, musisz jej dać zdrowy fundament. A co na gnoju wyrasta, słabe zapuszcza korzenie.

Drzwi wiodące do ogrodu otworzyły się, przepuszczając wysoką, pięknie zbudowaną kobietę.

— Rudi, proszę pana Jerzego na podwieczorek!

— Chodź, Jerzy. My już za starzy żeby przebudować Polskę. A o sprawiedliwe i lepsze życie to niech się moi synowie martwią. Jestem pewien, że potrafią zbudować sprawiedliwą Polskę. Jerzy, nie dlatego, że mówię o synach, nie, mówię ogólnie. To pokolenie które teraz podrasta to dobry, zdrowy siew.

— Dziś stawia Franek, stwierdził dyrektor Socha, wiem, że w waszej fabryce, przyznano wczoraj dość poważne premie dla kierowników.

Franek skrzywił się, jak po gorzkim lekarstwie.

— Przyznano. Prawda. Wczoraj pokwitowałem odbiór czterech i pół tysięcy złotych. Ale na pokwitowaniu się i skończyło. Gotówki mi nawet nie pokazano. Gotówka przyznana nam jako premie, całe pięćdziesiąt tysięcy złotych, pojechała w Lubelskie, gdzie zostanie zamieniona na kilkanaście tłustych prosiaków. W tej postaci pojedzie do Wrocławia.

Jerzy spojrzał pytająco na Franka. Któż może coś z tej gadaniny zrozumieć? Franek pospieszył z wyjaśnieniem.

— Bardzo prosta sprawa. Sami rozumiecie, że dla nas, dla kierowników fabryki samochodów, najważniejszą sprawą jest utrzymanie produkcji na przewidzianym przez plan poziomie. Wykonać plan — to najważniejsze zagadnienie. Tak długo zajmujemy nasze kierownicze stanowiska, jak długo potrafimy wykonać plan. Ani chwili dłużej. Pan rozumie to?

— Oczywiście, to zupełnie jasne, gdyby fabryka, w której pan jest jednym z kierowników należała do prywatnego kapitalisty, czy też do spółki akcjonariuszy, pańskie zadanie byłoby dokładnie takie samo. Tylko u nas nie mówi się o wypełnianiu planu, lecz po prostu o dochodowości danej fabryki. Wychodzi właściwie na to samo, gdyż bez pełnej produkcji trudno mówić o dochodowości.

— Posłuchaj pan dalej, a wtedy pan zrozumie, że to jednak nie zupełnie na to samo wychodzi. Otóż my, do naszej produkcji potrzebujemy lakieru. Nie możemy wypuścić samochodu nie pomalowanego. Jedynym producentem lakieru jest pewna wytwórnia, oczywiście również państwowa, znajdująca się we Wrocławiu. Otóż ta wrocławska wytwórnia, od której produkcji jesteśmy zależni, posiada, jak i każda większa fabryka, swoją robotniczą stołówkę. Kierownictwo tej fabryki ma olbrzymie trudności w zdobyciu dla stołówki potrzebnych produktów, a zwłaszcza mięsa. A wiadomo, że gdy stołówka źle karmi, wśród robotników od razu wzrasta niezadowolenie, zwiększa się ilość nieobecnych w pracy, produkcja spada. Więc kierownik wrocławskiej fabryki wpadł na pomysł. Oświadczył, że każda fabryka, która chce otrzymywać lakier musi dostarczyć odpowiedni kontygent mięsa. Nie ma mięsa, nie ma lakieru. Bardzo proste rozwiązanie. Lakier jest tylko dla tych fabryk, które dostarczą „kwotę” mięsna.

Wobec takiej sytuacji, nasz dyrektor, chcąc wykonać plan produkcji samochodów, wypracował następujący schemat: przy-

znaje nam, kierownikom poszczególnych działów dość wysokie premie. My tych premii nigdy nie otrzymujemy, chociaż je przepisowo kwitujemy. Uzyskane w ten sposób pieniądze idą, jak już wspomniałem, na zakup prosiaków, prosiaki jadą do wrocławskiej stołówki — robotnicy są lepiej karmieni i wobec tego chętnie pracują — i regularnie co miesiąc, nasza fabryka otrzymuje potrzebny nam lakier i wywiązujemy się z przewidzianej planem produkcji na sto procent. Zapewniam pana, że ani jeden grosz z tych premiowych pieniędzy nie trafia ani do kieszeni dyrektora, ani do żadnego z nas. Przyznane nam premie w całości idą na zakup prosiaków. Korzystają wyłącznie robotnicy fabryki lakierów, gdyż za normalną cenę obiadu, otrzymują dobre i posilne jedzenie, czego niestety o innych stołówkach powiedzieć nie można.

— No, tak — z wahaniem podjął Jerzy — ale przecież to jest typowy przykład łapownictwa. Proszę mi, inżynierze, wybaczyć, jeśli nie określam tej sprawy delikatniej.

— Ależ nie mam zamiaru się gniewać! Z waszego, zachodniego, punktu widzenia, to może być określone jako łapownictwo ale w warunkach polskiej rzeczywistości, to jest po prostu konieczność.

— Konieczność? — zastanawiał się na głos Jerzy. A co by się stało, gdyby pan i jego koledzy po prostu odmówili pokwitowania premii, których nie dostajecie? Co by było?

— Prosta rzecz. Robotnicy wrocławskiej wytwórni zaczęliby się opuszczać w pracy. Produkcja lakieru spadłaby i my nie byłibyśmy w stanie malować naszych samochodów. A więc i my opuścilibyśmy się w wykonywaniu planowej produkcji. Zamiast dostarczyć ministerstwu opieki społecznej osiem samochodów, dostarczylibyśmy tylko pięć. Gdzieś w jakiejś zapadłej wsi podkarpackiej, czy mazurskiej, jakiś doktor nie dojechałby na czas do choroego, lub może jakiś wykładowca musiałby, z powodu braku transportu, odwołać wykład. Łańcuch przyczyn i skutków można by ciągnąć w nieskończoność. Być może, że nawet nasz drogi zagraniczny gość nie mógłby korzystać z taksówki — zakończył wesoło Franek.

— Zaimponował mi pan, inżynierze — przyznał Jerzy — pierwszy raz słyszę o konkretnym wypadku, że jedna państwowa instytucja daje drugiej państwowej instytucji — łapówkę. To nadzwyczajne!

Urzędnik celny był grzeczny, ale stanowczy:

Ćło WYWOZOWE za te wyroby z Cepeli wynosi 832 złote. Dziękuję. Służę pokwitowaniem.

To WYWOZOWE ćło, to była pożegnalna zagadka „systemu”.

Pod miarowy jednostajny szum motorów Jerzy rozmyślał. Narzekają, że im brak zagranicznych dewiz na zakup maszyn. Przyjeżdżam jako turysta, kupuję kilka kawałków drzewa i gliny, których jedyną wartością jest praca twórcza, którą w to drzewo i glinę włożył polski artysta-rzemieślnik. Gdy inne kraje dają zagranicznym turystom specjalne premie, ciesząc się, że dzięki zakupom turystów zwiększa się eksport, że przybywa więcej dolarów; nasz „system” czyni na odwrót. Za to, że zostawiłem w kraju kilkadziesiąt dobrych, kanadyjskich dolarów, „system” nakłada na mnie karę w postaci WYWOZOWEGO ćła. O co się oni boją? Że w Polsce zabraknie tego drzewa i tej kieleckiej glinki? Czy może polscy rzemieślnicy-artyci są tak przeciążeni pracą, że trzeba ich dzieła ochraniać nakładaniem wywozowych ceł?

Fajka zaczynała nabierać gorzkiego posmaku.

Bolesław POMIAN

NOTA BIOGRAFICZNA

Bolesław POMIAN-PIĄTKOWSKI, rodem z Podola. W roku 1924 ukończył Korpus Kadetów w Modlinie i wstąpił do Oficerskiej Szkoły Marynarki Wojennej. Następnie przeniósł się do Oficerskiej Szkoły Lotnictwa, którą ukończył w roku 1927. Służył w Morskim Dywizjonie Lotniczym.

W czasie wojny latał w angielskim dywizjonie foto-rozpoznania. Po ukończeniu tury lotów operacyjnych został przydzielony do trans-atlantycznej „ferry”, której zadaniem było dowozić samoloty z Ameryki do Anglii, Afryki, Indii i Chin.

Debiut pisarski w „Wiadomościach” w 1941 roku. W 1944 ukazała się książka „Ku Najjaśniejszej z Gwiazd”, która w roku następnym została przetłumaczona i wydana w języku angielskim. W 1947 ukazało się drugie wydanie „Ku Najjaśniejszej”, a w 1958 jej trzecie wydanie (MON, Warszawa). W 1959 ukazała się książka „Krzyż Południa” (MON). W 1963 ukazały się „Sosny i Palmy” (MON) oraz „Krzyż Południa” w języku czeskim (Wyd. „Prace”) w Pradze Czeskiej.

Od roku 1946 stale zamieszkuje w Montrealu.

Wiersze

ZUZANNA CZYLI POEZJA

*Moi panowie,
Kąpię się tylko dla siebie,
Nurkuję prosto jak ptak Brancusiego,
Z dna się odbijam w niebieską górę,
Oszkloną windą na wieży Eiffla
Płynę przez własną skórę.*

*Nie uda wam się podglądać nic
Z rozwarcia moich piersi i ramion,
Mój ręcznik więcej wie niż wasza rozpusta,
Blizsza miłości moja koszula
Niż wasze tłuste
Brodawe usta.*

*Piękno samo dla siebie,
Miłość sama dla siebie,
I dopiero gdy mnie przewrotność wasza omota,
Czuję że nagość moja,
Skóra, piersi i ręcznik
To święta cnota.*

R Z E C Z O W N I K

Podmiot i przedmiot
 Ciężar i kolor
 Sens pracowity
 Jak plaster miodu
 W zamkniętym kręgu
 Ulepić komory
 Miód fabrykować
 Rzeczownik pszczoły

Kiedyś mówiono
 Miód dobry na serce
 Na sen i na spokój
 Rzeczownik matka

Potem wstawiono
 Ul szklany w okno
 Dla obserwacji
 Rzeczownik wiedza

Wszystko zbadano
 Za dnia i w nocy
 Zimą i latem
 Rzeczownik przyroda

I ekonomia
 I rozwój pszczelnictwa
 I bilans handlowy
 Rzeczownik dolar

A ja wciąż myślę
 Co tu ludzkiego
 Co najważniejsze
 W tym wielkim kręgu

I z całej mowy
 Wybieram jeden
 Rzeczownik matka
 Jak pszczoły królowę.

N I E M A T A K I E J R Z E C Z Y

There is no such thing as was
 Faulkner

Nie ma nic takiego co było
 Jest tylko taka rzecz jak jest
 Zaczęta wczoraj ciągnie się w jutro
 Przez czasy przeszłe i przyszłe
 W nieregularnej koniugacji
 Człowieka i świata

Ale najważniejszą rzeczą jest wszystko
 Największa jedność nie do podziału
 Jedyna wspólność rozdarowana
 Uzasadnienie bytu
 Nieogarnięte w smutku jak nigdy
 Ciepłe od nadziei jak zawsze.

R.I.P. 6.VII. 1962.

E P I T A P H I U M

Poległych na wojnie polewa się wapnem,
 Tym samym wapnem co latrynę,
 Leżą jak mimy z mączną twarzą,
 Już nie ruszają się, nie straszą,
 Skończyli pantominę.

Leżą pod mokrym prześcieradłem,
 Pod maską lepką i pośmiertną,
 Potem ich wszystkich razem rzucą,
 Pół czaszki, nogę, jedno płuco,
 Na wóz wysoką stertą.

Powiezie furgon białe oczy,
 Dziurki od nosa, zęby w ustach,
 I ziemia się rozeschnie pusta,
 Połknie ich wszystkich,
 Zatruje się wapnem.

Zabijajcie się dalej.
 Umarli — ponad tym.

P I K N I K

*Atom w słowniku: niedziątka.
Jak idyllicznie. Prawie niedziela.*

*Grzyby rosą pod niebo
Za naciśnięciem guzika
Na zawołanie
Muchomory giganty
Pod biegunami
Na Pacyfiku
Wielkie niedziele
Wielkie niedziatki
Grzybobranie
Zgiełk na pikniku
Jajka na twardo
I ulęgalki
Diabelskie
W koszyku.*

Z E G A R S Ł O N E C Z N Y

*Wszystko śpi. Gniew i miłość,
Namietności, złudzenia,
Tylko przed domem
Stup nieruchomy
Popycha wskazówkę
Wieczoru i cienia.*

*Stup kamienny,
Żywot uśpiony,
Czas apatyczny,
Mikroskopijny.*

*Ale zapadnie noc,
Zegar działać przestanie:
Zbudźcie się ludzkie ćmy,
Noco owoco branie,
Żyjmy.*

D O M Ę D R C A

*Ta wieża tam się kończy,
Pod zaćmionym obłokiem,
Ale właściwie tam się zaczyna
Inna, jeszcze wyższa wieża,
I trudno się tego doliczyć
I wszelka rachuba się myli.
Dlaczego?*

*Jeśli ty wiesz,
Czemu się gniewasz,
Mój wszechwiedzący.
Odpowiedz otwarcie:
Ponieważ...*

S U K A

*Herbert z metafizyczną kukułką,
Różewicz z realnymi widmami
I nawet mozaikowe, rozbite
Bizancjum archimandryty
Mirona,
Piaski-sylaby ruszają wargami
I ziemia pluszowym językiem rzek
Pluszcze uszczęśliwiona.*

*Tatarak pachnie i muł,
Na wodzie kładka z nitki niebieskiej
I cień jej czarny na srebrze.
Jedno słowo na plecach ma złoty wór,
Drugie wypłuwa piółunne pestki
A trzecie żebrze.*

*Wszystko w upalny dzień
Pod łukiem nieugaszonych płomieni
Na dziś, na jutro, na zbiegowisko stuleci,
A tu przy nodze bezdomna, szczenna suka
Dołku ze sianem skomląc szuka
Dla swoich dzieci.*

ROZMOWA Z KSIĘDZEM

Księżu, zgódźmy się,
 Niebo nie jest w modzie,
 Ludzie uciekają z tamtych sfer,
 Płyną jak szczury z okrętu
 Po gołej wodzie
 Na same dno
 Zamętu
 Po żer.

Mówisz, że to epoka winna
 Wszystkiemu złu?
 Ale epoka to my,
 Na szczęście (nasze ostatnie) bezsilni,
 Niewtajemniczeni, zniewoleni,
 Z rękami w pętach
 Tylko przelotem
 Tu.

Ja jestem zgodny.
 Podaj mi twoją wieczność
 Bez alegorii i symbolu:
 Nie chcę się dłużej wygłupiać
 W sophisticated wykrętach
 Ludzkiego entomologa
 Nad ludzką mrówką w polu.

Tylko że mrówczy kwas i pot człowieczy
 To wspólne kadzidło, chwata władzy,
 I przemoc którą w ślad się wlecze
 Epoka po epoce.
 Czemu więc męczę się nad słowem,
 Nad jakimś życiem innym i nowym
 W te beznadziejne noce.

Czemu się staram o ten świat
 Gdy trzeba wybrać się na drugi.
 Uwierzcie mi,
 Tu kłamią wszystkie słowa
 I ludzki czas też kłamie:
 Księżu, po co ta cała rozmowa,
 Podaj mi uncję wieczności,
 Do diabła z epokami.

ŚWIĘTO TRWANIA

8-go kwietnia urodziny Buddhy,
 Japonia idzie z gałązką wiśni,
 Niesie kwitnącą świecę
 Ze zmiennej ciemności życia
 W niezmienną jasność
 Jedynego trwania:
 W doskonałość
 Niebytu.

Naprzeciw Bóg Ojciec z naszej figury
 Idzie z gałązką wierzby,
 Niesie kwitnącą świecę
 Ze zmiennej ciemności życia
 W niezmienną jasność
 I trwałość istnienia
 Nieprzerwanego
 Na wieki wieków.

Przechodzi wiosna koło wiosny,
 Mija się gałąź z gałęzią
 I rozstaje się niebyt z istnieniem:
 Odmiennie zbawienia z dwu stron
 Do swoich się śpieszą jasności,
 Do dwojga zamkniętych drzwi,

Pod które jak żebrak ścigany
 Przez policję w luksusowym uzdrowisku
 Podpełza ostatnim wysiłkiem
 Na czworakach
 Doczesny
 Wyznawca.

PANTEON

Drzewa stojące
 Na szczytach
 Na popekanych kamieniach
 Bite piorunami
 Podgryzane erozją
 Ustawione pod wiatr

*Drzewa z pustki pnące się wyżej
Z braku wilgoci w suchy żar
Z trudnego życia w trudną śmierć
Wierne losowi
Przeciwnie losowi
Lasy waleczne
Nawet w powietrzu*

*Drzewa tysiącletniej próby
Panteon stoicki.*

PRZERAŻONY

*Przerażony do czego zdolny jest człowiek,
Zachwycony jak piękna jest ziemia i świat
Sub tegmine fagi,
Jedną wargą podnoszę bunt,
Drugą wyznaję miłość
Dla rozpaczliwej
Równowagi.*

*Nie złamię zła,
Nie podołam,
Nic nie zmienię
Ani w ludzkiej zagładzie
Ani w ziemskiej urodzie,
Ale dla czegoś co jest silniejsze niż ja
I sto razy więcej ode mnie znaczący,
Trwam przy mojej zaciętej niezgodzie,
Podnoszę bunt,
Podnoszę miłość,
Podnoszę wszelkie żywe istnienie
Przeciwno rozpaczy.*

Kazimierz WIERZYŃSKI

Archiwum polityczne

Prawdzie w oczy

Wszyscy uprawiamy *wishful thinking*. „Pobożne życzenia” ułatwiają przetrwanie ciężkich okresów. Można by napisać obszernie studium o roli jaką odegrał w naszej historii irracjonalny optymizm. Gdybyśmy nie mieli poetów romantycznych — gdybyśmy nie mieli Sienkiewicza i Żeromskiego — może nie byłoby drużyn strzeleckich i legionów Piłsudskiego.

Lecz są chwile kiedy dobrze jest spojrzeć nagiej prawdzie w oczy. Jest to tym bardziej konieczne dziś, gdy żyjemy w epoce, w której interpretacja rzeczywistości liczy się często więcej niż rzeczywiste fakty.

150 lat temu goście w Soplicowie musieli czekać na kwestara, by dowiedzieć się szczegółów o wojnie, która trzęsła Europą. W sensie komunikacji ludzie ówczesni żyli w niewiarygodnym oddaleniu i izolacji. Lecz interpretacja procesu historycznego była wszystkim wspólna, bo mimo oddalenia i izolacji Europejczycy byli sobie bliżsi niż dziś. Europa była w całości chrześcijańska, monarchiczna, jednolita.

Odległość między Paryżem a Moskwą — która dla napoleońskiej wielkiej armii wydawać się musiała niezmierną — zmalała do kilku godzin godzin lotu. Lecz środki komunikacyjne zbliżyły ludzi tylko w sensie geograficznym — nie w sensie kulturalnym. Dystans pomiędzy Moskwą i Paryżem zmalał do kilku godzin podróży nowoczesnym samolotem, lecz w płaszczyźnie kulturalno-cywilizacyjnej dalej jest dziś z Paryża do Moskwy, niż za czasów Napoleona.

Niebywały rozwój środków telekomunikacyjnych w wielu wypadkach nie tylko nie zbliżył ludzi do siebie, lecz przeciwnie skonstrastował różnice jakie ich dzieli. Telekomunikacja daje z jednej strony możliwości stworzenia internacjonalnej kultury — z drugiej jednak dynamizuje poczucie narodowe. Gen. de Gaulle bez radia i telewizji nie mógłby ponad głowami partii i polityków zwrócić się bezpośrednio do narodu owym jednym niez-

wodnym słowem: Francuzi! Owo słowo nabrało nowego blasku i siły — dzięki temu, że równocześnie słyszą go nie tysiące ludzi, lecz miliony. W konsekwencji rozwoju środków telekomunikacyjnych mobilizacja poczucia narodowego jest dziś łatwiej osiągalna niż była dawniej.

Energia nuklearna, statki kosmiczne, międzykontynentalne pociski balistyczne, samoloty supersoniczne, telewizja poprzez satelity krążące wokół ziemi — wszystko to w porównaniu z epoką przedwojenną stwarza poczucie całkowitej historycznej odrębności. Wydaje się nam, że okres międzywojenny to dosłownie dzieje starożytne. Człowiek współczesny, patrząc na zdumiewającą panoramę postępu technologicznego, ma pełną świadomość, że znaleźliśmy się w *border-line situation*. Oscylujemy między wizją nowego wspaniałego świata bez wojen a natomiast z samochodami dla wszystkich — a kosmarem zagłady atomowej, która położyłaby kres niespokojnym dziejom naszej planety.

Podświadomie wierzymy, że zmiany, których jesteśmy świadkami, są tak olbrzymie, że wszystko jest możliwe. Koegzystencja z Sowietami, wojna rosyjsko-chińska, przemiana Niemiec w bastion wolności i demokracji — ba, zaczynamy nawet ufać w możliwość zeuropeizowania Anglików, mimo że jeszcze wczoraj w Calais zaczęli się Murzyni.

Zmian i przemian jest tak wiele i większość z nich jest o tak gigantycznej doniosłości, że łatwo jest przeoczyć te elementy, które *przemianie nie uległy*. Skłonny jestem przypuszczać, że elementy, które przemianie nie uległy odgrywają nadal decydującą rolę.

Zyjemy w potencjalnym ustawicznym niebezpieczeństwie. *Deterrent* amerykański jest w możności zniszczyć Rosję, ale nie zapewnia bezpośrednio bezpieczeństwa Stanom Zjednoczonym. W niedawnej epoce przed-atomowej siły zbrojne zapewniały mocarstwu bezpieczeństwo dosłownie i bezpośrednio. Lecz dziś bezpieczeństwo Amerykanów jest w rękach prem. Chruszczowa, a bezpieczeństwo „ludów radzieckich” w rękach prez. Kennedy'ego. *Deterrent* jest bronią odwetową, ale nie jest w stanie przeszkodzić atakowi.

Owo permanentne zagrożenie — na które nie ma odpowiedzi poza permanentną gotowością do odwetu — wytwarza sytuację bez historycznego precedensu. Przejawami tej sytuacji są ruchy pacyfistyczne, „anty-bombowe”, projekty jednostronnego rozbrojenia itp.

Wielu myślicieli politycznych głosi, że niezwykła sytuacja współczesna wymaga niezwykłych rozwiązań. Jednym z owych niewątpliwie niezwykłych rozwiązań jest koncepcja koegzystencji.

Komuniści reprezentują pogląd, że jeszcze przed pierwszą wojną światową było oczywiste, że zachodnia cywilizacja w jej kapitalistyczno-burżuazyjnej formie — nie jest w możności rozwiązać swych wewnętrznych konfliktów. Warto może przy tej

okazji podkreślić, że w Polsce Ludowej nie brak pisarzy, którzy — jak Jerzy Adamski w swej nienawistnej krytyce Zachodu — identyfikują Hitlera z Europą. Adamski pisze dosłownie: „owa maska została zdarta przez hitleryzm, który pokazał Europie jej prawdziwe oblicze”. Innymi słowy my, zachodni Europejczycy, jesteśmy zamaskowanymi hitlerowcami tylko nie mamy tyle odwagi co Hitler, by okazać nasze prawdziwe oblicze.

Komuniści głoszą, że ów kryzys, który był widoczny już przed pierwszą wojną światową stale się pogłębia. Początkowo sądzono, że kapitalizm runie na skutek wewnętrznych sprzeczności gospodarczo-społecznych. Komuniści przepowiadali również wojny imperialistyczne jako nieuchronną konsekwencję tego procesu. Ponieważ jednak w Europie zachodniej obserwujemy rozwój gospodarczy, a nie kryzys — teorię „sądnego dnia” przeniesiono na cywilizację i kulturę. Marksisci twierdzą, że zasada „sukces dla sukcesu” prowadzi świat zachodni do upadku humanizmu, etyki, moralności — co wyraża się frustracją, załamaniem, pesymizmem, nihilizmem.

Tak czy inaczej, skazani jesteście na zagładę. Komuniści to są ci, „którzy posiadają ziemię” — to są ci, którzy przyjdą po nas. Bez tej przesłanki koncepcja koegzystencji nie byłaby możliwa. Można koegzystować z śmiertelnym wrogiem nie popadając w sprzeczności ideologiczno-doktrynalne jeżeli przyjmuje się za pewnik, że likwidacja owego wroga bez wojny jest tylko kwestią czasu. To jest punkt ważny, ponieważ ewolucja komunizmu musi się zacząć od podstawowej rewizji dialektycznej koncepcji koegzystencji.

Zachodnia teoria koegzystencji sprowadza się do utrzymania *status quo*. Na Zachodzie przeważa pogląd, że jeżeli przez najbliższe 10 czy 20 lat zdołamy zagrozić drogę dalszej ekspansji komunizmu — w bloku wschodnim zarysują się samoczynnie przemiany w kierunku liberalizacji i demokratyzacji.

Nie podzielam tego poglądu. Komunizm z całą pewnością ulegnie głębokim przeobrażeniom w konfrontacji z nową sytuacją. Lecz tę nową sytuację zbudować musi Zachód.

W sferze odkryć naukowych i postępu technologicznego ostatnie półwiecze było bogatsze i historycznie bardziej doniosłe niż uprzednie dwa stulecia. Wszystko wokół nas jest pod znakiem rewolucji albo reformy. W porównaniu z zasięgiem i głębią przemian cały spadek naszej tradycji wydaje się anachronizmem. Jest jednak dziedzina w której właściwie nic się nie zmieniło. Tą dziedziną jest polityka. Podstawą polityki, tak dziś jak i 2000 lat temu, jest siła. Pojawienie się broni atomowej mogło zrewolucjonizować politykę. W rzeczywistości jednak broń atomowa zrewolucjonizowała tylko strategię. Rząd Stanów Zjednoczonych w okresie kiedy był monopolistą atomowym, mógł być może, podjąć próbę narzucenia światu hegemonii, która z czasem przybrałaby (być może) formę rządu światowego. Wówczas — ale tylko wówczas — polityka jaką znamy od zarania cywilizacji po dzień dzisiejszy dobiegłaby kresu.

Obiektywna, beznamiętna obserwacja sceny międzynarodowej poucza nas, że obie strony przygotowują się do wojny w najbardziej klasycznym tych słów znaczeniu. Nikt nie przygotowuje się do „końca świata”. Obie strony w sporze zbroją się konwencjonalnie i tradycyjnie — między innymi i w bronie niekonwencjonalne. I nie może być inaczej. Nie może być inaczej, bo energia atomowa zrewolucjonizowała strategię, ale nie zrewolucjonizowała polityki. Dopóki uprawiamy politykę siły, mocarstwa światowe nie mogą rezygnować z żadnego potencjału energii, który może mieć zastosowanie militarne.

Jako prywatny i nic nie znaczący człowiek uważam, że wojny atomowej nie można traktować za „politykę prowadzoną innymi metodami”. Lecz mężowie stanu w przeciwieństwie do publicystów reprezentują nie tylko swoje osobiste poglądy i cięży nad nimi innego rodzaju odpowiedzialność.

Tradycyjna, odwieczna polityka siły obejmuje zbrojenia, przygotowanie do wojny i samą wojnę. W epoce atomowej ten typ polityki, który bez większych zmian przetrwał od tysiącleci — jest anachronizmem. Lecz anachronizm odrzuca się tylko wówczas gdy można go zastąpić nowoczesną metodą. Polityka siły jest anachronizmem — *lecz gdzie jest inna polityka?* Innej polityki nie ma. Można albo uprawiać anachronistyczną politykę siły z wszystkimi jej implikacjami, albo można zrezygnować z polityki w ogóle.

Pacyfiści, zwolennicy jednostronnego rozbrojenia atomowego itp. — nie rozumieją, że nową nie-konwencjonalną politykę można zbudować tylko konwencjonalną polityką. Einstein swoich epokowych odkryć dokonał w oparciu o fizykę klasyczną posługując się konwencjonalną metodą naukową. Gdyby odrzucił całą konwencjonalną fizykę i matematykę — do niczego by nie doszło.

Obecny system międzynarodowy oparty na równowadze terroru jest niewątpliwie najbardziej prymitywnym i barbarzyńskim systemem notowanym w dziejach. Lecz zmiany systemu międzynarodowego nie można dokonać w drodze rewolucyjnej. Rewolucja w skali światowej jest utopią. Jednostronne rozbrojenie atomowe byłoby niewątpliwie krokiem rewolucyjnym, lecz nie prowadziłoby do nowego systemu a tylko do zastąpienia jednego starego systemu drugim starym systemem, reprezentowanym przez Sowiety. W konsekwencji nie byłaby to rewolucja, ale kapitulacja. Nowy system międzynarodowy może być zbudowany tylko konwencjonalnymi metodami, a więc w oparciu o konwencjonalną, tradycyjną politykę siły. Brzmi to reakcyjnie, ale obiektywna prawda, nawet gdy brzmi reakcyjnie, nie przestaje być prawdą.

Największymi tradycjonalistami w polityce są Rosjanie. Konsekwentnie uprawiają tradycyjną politykę siły i uparcie dążą do celu, który i nam powinien przyświecać. Związek Sowiecki dąży do przekształcenia obecnego systemu chwiejnej równowagi w system oparty o przewagę bloku państw komunistycznych. Próba

zmontowania baz raketowych na Kubie służyć miała m.in. temu celowi.

Tylko ustalenie zdecydowanej przewagi nad blokiem sowieckim przyniosłoby stabilizację sytuacji międzynarodowej i zapoczątkowało okres zasadniczych ewolucyjnych przemian w świecie komunistycznym. Dopóki komunizm odnosi sukcesy, dopóty dogmatycy będą zawsze górą. Dopóki komunizm odnosi sukcesy dopóty nie ma nadziei, by utracił swój mesjanistyczny charakter. Ci, którzy liczą na rozłam w świecie komunistycznym — co pozwoliłoby Zachodowi bez wysiłku ugruntować swoją przewagę — w znacznej mierze oddają się pobożnym życzeniom. Rozłąmy bywają owocem klęsk i niepowodzeń — nie sukcesów.

Chińska inwazja w Indiach obaliła mit tzw. „trzeciego świata”. Nehru sądził, że polityka niezaangażowana stanowi najlepszą bazę do ugruntowania przywództwa Indii w Azji. Niezaangażowanie pozwalało również prem. Nehru pośredniczyć między Wschodem i Zachodem dzięki czemu jego osobisty autorytet międzynarodowy rósł dysproporcjonalnie szybciej niż potencjał gospodarczo-militarny Indii.

Rosja popierała politykę niezaangażowania — liczyła bowiem że nurt antykolonializmu i antyamerykanizmu ułatwi pokojową penetrację Indii i ugruntowanie wpływów komunistycznych.

Chińczycy skompromitowali sowiecką politykę w Indiach. Wykazali Hindusom czarno na białym, że w gruncie rzeczy nie ma „trzeciego, niezaangażowanego świata” i trzeba wybierać pomiędzy dwoma obozami. Hindusi przekonali się również, że ich niezaangażowanie było możliwe tylko dzięki potędze Stanów Zjednoczonych. To samo dotyczy Jugosławii. Niezależność Jugosławii jest możliwa dopóki istnieje potężna Ameryka. Gdyby w Europie nastąpiło wyraźne zachwianie obecnej równowagi sił na niekorzyść Ameryki — niezależność Jugosławii znalazłaby się natychmiast pod znakiem zapytania.

Obiektywnie należy stwierdzić, że państwa niezaangażowane istnieją dzięki potencjalnej ochronie Ameryki. Sowiety bowiem uznają niezaangażowanie tylko tam, gdzie nie mają geopolitycznych możliwości osadzenia rządów satelickich.

Pewni publicyści wysuwają zwykle w tym punkcie klasyczny przykład Finlandii. Lecz w gruncie rzeczy i Finlandia zawdzięcza swą skromną niezależność Stanom Zjednoczonym. Gdyby Rosjanie wcielili Finlandię do Związku Sowieckiego, w przeciągu tygodnia mieliby bazy amerykańskie w Szwecji. Finlandię asekuje Szwecja — a Finlandię i Szwecję asekuje Ameryka. Sowiety godzą się na specjalny status Finlandii, bo nie mają innego wyjścia. Niestety Polska nie ma swojej Szwecji i dlatego nie korzysta z fińskiego statusu.

Bez względu na to czy prem. Nehru zechce się do tego otwarcie przyznać polityka niezaangażowania leży w gruzach. W okresie kryzysu kubańskiego blok państw niezaangażowanych nie odegrał żadnej roli. Jak słusznie zauważył „The Spectator” —

upadła również koncepcja Hammarskjölda oparcia dyplomacji sekretariatu generalnego ONZ na bloku *uncommitted powers*.

Zarysowuje się nowa sytuacja, którą Stany Zjednoczone winny w pełni wykorzystać.

W ubiegłym roku, w Puerto Rico, prof. Arnold Toynbee wygłosił cykl wykładów. Obecnie wykłady powyższe ukazały się w książce pt. „America and the World Revolution”. Toynbee stoi na stanowisku, że struktura społeczno-gospodarcza w Ameryce Łacińskiej musi ulec szybciej i rewolucyjnej przebudowie. Wiele zależeć będzie od tego czy owa rewolucja będzie miała charakter pro-amerykański czy antyamerykański.

Kardynalną wadą antykomunizmu w Ameryce Łacińskiej, w Europie, w Azji i w ogóle wszędzie — jest ponury, reakcyjny podźwięk towarzyszący temu słowu. Faktem jest, że najkrzykliwsi antykomuniści w każdym społeczeństwie wolnego świata są reakcjonści, rasiści, faszyci, wyzyskiwacze i przeciwnicy postępu. Najwięksi grafomani, którzy niczego nie rozumieją i nigdy niczego nie rozumieli, w antykomunizmie dostrzegli swoją jedyną życiową szansę. Ci gentlemani zaludniają tłumnie wszystkie antykomunistyczne propagandowe agencje świata. Ludzie wczorajsi, którzy chcieliby odwrócić bieg historii — są antykomunistami identyfikując antykomunizm z wstecznictwem. Obrońcy *status quo*, który zapewnia im dochody i bezkarny wyzysk — są antykomunistami gdyż wierzą, że antykomunizm jest przeciwko wszelkim reformom i poprawie.

Jeżeli nie jest się emigrantem ze wschodniej Europy, trzeba wielkiej cywilnej odwagi, by wbrew wszystkiemu solidaryzować się z antykomunizmem.

W krajach dojrzałych do rewolucji i reform — antykomunizm winien reprezentować nowoczesną drogę rozwoju i postępu a nie to, co w kapitalizmie jest wsteczne, reakcyjne i skazane na zagładę.

Kuba, jeżeli chodzi o Amerykę Łacińską mogłaby się stać wzorem antykomunistycznej, postępowej alternatywy. Celem winno być nie obalenie rewolucji, lecz jej zdemokratyzowanie.

Organizacja Państw Amerykańskich na wniosek Stanów Zjednoczonych winna powziąć uchwałę, domagającą się przeprowadzenia referendum na Kubie. Referendum dotyczyłoby odpowiedzi tylko na jedno pytanie: kto jest za Fidel Castro a kto przeciw? Cała operacja odbyłaby się pod ścisłą kontrolą międzynarodowej komisji, w której skład wchodziłoby przedstawiciele Organizacji Państw Amerykańskich oraz delegaci zaproszeni przez generalnego sekretarza ONZ.

W żadnym z krajów satelickich w Europie wschodniej tego typu referendum nie można by zorganizować. Lecz niewątpliwie leży w granicach możliwości Stanów Zjednoczonych narzucenie Kubie tego rodzaju rozwiązania.

Nie ulega wątpliwości, że za Fidel Castro padłaby dziś minimalna ilość głosów. Castro zostałby skompromitowany nie tylko na Kubie, ale w oczach całej Ameryki Łacińskiej. Referendum

byłoby również obiektywnym, niezbitym dowodem, że wszędzie tam gdzie ludność ma możliwość wypowiedzenia się — wyowiada się przeciwko dyktaturze komunistycznej.

Referendum stanowiłoby wstęp do re-demokratyzacji rewolucji kubańskiej. Pod kontrolą komisji Organizacji Państw Amerykańskich należałoby dać ludności kubańskiej możliwość swobodnego wypowiedzenia się w sprawie reform i przyszłego ustroju. Jestem przekonany, że Kubańczycy wypowiedzieliby się za utrzymaniem wielu reform wprowadzonych przez rewolucję z reformą rolną i upaństwowieniem wielkich koncernów włącznie.

Na Kubie nie może zwyciężyć kontr-rewolucja, bo byłoby to wbrew woli ludności i stanowiłoby klęskę Stanów Zjednoczonych w skali światowej. Nie należy również zbyt ufać emigrantom, którzy w 90 wypadkach na 100 przez „wyzwolenie” rozumieją kontr-rewolucję, a przez kontr-rewolucję przywrócenie *ancien régime* i własnych wpływów.

Zarówno referendum jak i proces re-demokratyzacji rewolucji kubańskiej — byłby pilnie obserwowany nie tylko przez Amerykę Łacińską ale i przez cały blok wschodni. Edmund Osmańczyk w jednym ze swoich „Listów z Południowej Ameryki” („Przeгляд Kulturalny”, nr 45, 1962) — pisze m.in.:

„Katastrofalne dla polityki USA w Ameryce Łacińskiej równanie ułożyło się następująco: antykomunizm — kontrrewolucja — rządy „goryli” — podległość USA — wstecznictwo, zacofanie, wyzysk korupcja”.

Trzeba obiektywnie stwierdzić, że to jest opinia nie tylko Osmańczyka, ale wielu ludzi w południowej Ameryce. Miałoby więc olbrzymie wręcz znaczenie, gdyby na przykładzie Kuby Amerykanie zademonstrowali światu, co rozumieją przez wyzwolenie spod dyktatury komunistycznej? Kuba byłaby pierwszym krajem uwolnionym, a ustrój jej służyłby za model re-demokratyzacji rewolucji. Akcent spoczywa na słowie „rewolucja”. Jeżeli bowiem wyzwolenie miałoby oznaczać powrót do wielce niesławnego „modelu” sprzed rewolucji to lepiej ograniczyć się w stosunku do Kuby do akcji czysto policyjnej. Wówczas bowiem prasa komunistyczna i „fellow-travellerska” całego świata stwierdziłaby z radością, że przewidywania Osmańczyków były słuszne, że wróciły wielkie koncerny, wyzysk i korupcja. Idea wyzwolenia pojęcia jako re-demokratyzacja rewolucji — byłaby doszczętnie skompromitowana.

Długofalowym celem polityki amerykańskiej w skali globalnej musi być zastąpienie obecnej równowagi — przewagą. Owa przewaga jest do zdobycia na drodze pokojowej poprzez rozbudowę sojuszów.

Lekcja chińska winna otworzyć oczy Europejczykom. Zachodnia Europa jest w gorszej sytuacji niż Indie, bo nie mamy Himalajów. Obserwując rozwój sytuacji na kontynencie europejskim musi się dojść do wniosku, że znaczny odłam zachodnich Europejczyków pragnie zbankrutowany mit suwerenności prze-

nieść o szczybel wyżej i urzeczywistnić go w przyszłej federacji. Zachodnia Europa jest ojczyzną narodowych klęsk, ojczyzną pobitych narodów. Była teatrem Monachium i Dunkierki. Odsiecz przysłała spoza kontynentu. Europejczycy wierzą, że zjednoczenie gospodarcze, a w następnej fazie unia polityczna pozwoli narodowi kontynentu odzyskać suwerenność jeśli nie indywidualną to zbiorową. W perspektywie tej wizji unia europejska byłaby trzecim mocarstwem świata niezależnym zarówno od Moskwy jak i od Waszyngtonu.

Osobiście jestem nie tylko sympatykiem, lecz entuzjastą unii europejskiej. Niemniej, spojrzawszy prawdzie w oczy, należy stwierdzić, że unia europejska nie zdołałaby samodzielnie odeprzeć agresji sowieckiej. *Suwerenność zaczyna się i kończy na zdolności do samoobrony.* Państwo, czy związek państw, który nie jest zdolny obronić się przed agresją — de facto nie jest suwerennym.

Ani przebudowa obecnej równowagi w system zdecydowanej przewagi nad Rosją, ani pełna, stu-procentowa obrona zachodniej Europy — nie są do pogodzenia z suwerenną unią zachodnio-europejską niezależną od Waszyngtonu.

Europa, która kończy się na berlińskiej Bramie Brandenburskiej nie może stanowić samoistnej siły. Musi być ważnym partnerem, ale tylko partnerem albo Rosji albo Ameryki. Promowanie Brukseli do rangi Waszyngtonu lub Moskwy jest naiwnym nieporozumieniem.

Nie możemy sobie pozwolić na jeszcze jedną inwazję i na jeszcze jedno wyzwolenie. Gdyby jutro wybuchła wojna, to jest los który by nas oczekiwał. Kto ma na ten temat jakiegokolwiek wątpliwości niech przestudiuje materiały dotyczące „Fallex 62”.

Nawet jeżeli przyjąć, że połączone potencjały gospodarcze i technologiczne mogłyby stać się bazą przyszłej europejskiej atomowej potęgi militarnej — to trzeba stwierdzić, że braknie nam zasadniczego „surowca” to jest czasu.

Powtarzam jeszcze raz. Bronie nuklearne zrewolucjonizowały myśl strategiczną, ale w niczym nie zmieniły podstawowych założeń polityki. Dźwignią polityki tak dawniej jak i dziś jest siła. W konflikcie Wschód-Zachód nie ten zwycięży, kto będzie miał „rację” i nie ten kto będzie reprezentował taką czy inną ideologię — ale zwycięży ten, kto będzie silniejszy. Historia — podobnie jak Pan Bóg — jest zawsze po stronie mocniejszego. To jest żelazne prawo polityki, którego na jotę nie zmienił ani Marks ani Einstein ani Lenin ani nikt i nic.

Europejczycy często popełniają błąd stawiając znak równości pomiędzy bogactwem a siłą. Zachodnia Europa jest zamożna, ale w porównaniu ze Związkiem Sowieckim jest militarnie słaba. Rosja — jeżeli bogactwo mierzyć stopą życiową — w porównaniu z Francją czy z Belgią jest uboga, lecz militarnie jest bardzo potężna.

W naszym rozdartym świecie nie ma miejsca na izolacjonistyczną kadłubową Europę, żyjącą spokojnie pod amerykańskim

parasolem atomowym. W moim przekonaniu, w najbliższych dekadach czeka nas seria lokalnych wojen „konwencjonalnych” w różnych punktach globu. Zarówno Amerykanie jak i Rosjanie będą bardzo ostrożni z wprowadzaniem do akcji broni atomowych. Wielki *deterrent* chroni w znacznym stopniu Amerykanów przed sowiecką bombą atomową, ale ten sam *deterrent* chroni nas niewspółmiernie słabiej przed sowieckim konwencjonalnym atakiem. Rosjanie wiedzą, że jeżeli zaatakują miasta amerykańskie, w ciągu godziny Moskwa i Leningrad zamienią się w radioaktywne rumowisko. Lecz jeżeli kilkanaście sowieckich dywizji w szeregu punktach przekroczy granicę Niemieckiej Federalnej Republiki — amerykańskie bomby atomowe nie spadną ani na Leningrad ani na Moskwę. Chruszczow i Kennedy byliby w takiej sytuacji bombardowani depeszami, apelami orędziami z całego świata, by powstrzymali się od wojny nuklearnej. Chruszczow oświadczyłby przez radio — podobnie jak w okresie kryzysu kubańskiego — że „dopóki nie padają bomby atomowe sytuacja jest do uratowania”. Równocześnie sowieckie zagony pancerne posuwałyby się żwawo naprzód, a milionowe rzesze uchodźców blokowałyby wszystkie drogi, powodując nieopisany chaos. W poważnej prasie brytyjskiej i francuskiej ukazałyby się artykuły piętnujące skandaliczne nieprzygotowanie NATO do wojny konwencjonalnej. Ambasadorowie sowieccy urzędowaliby nadal spokojnie w Paryżu, w Londynie i w Waszyngtonie, a po kilku tygodniach zamętu i niepewności dowiedzieliśmy się z orędzia radiowego, że w zjednoczonych Niemczech „lud objął władzę”. Narody świata odetchnęłyby z ulgą a Lord Russell wystąpiłby depeszę do Chruszczowa dziękując mu w imieniu własnym i całej ludzkości za uratowanie świata od zagłady atomowej.

Bezpieczeństwo Europy zachodniej zapewnić może tylko związek atlantycki zorganizowany w najbliższym czasie, a nie w chwili kryzysu. Dziś Europa zachodnia miałaby historyczną szansę przystąpienia do unii atlantyckiej jako partner i współbudowniczy. Na tej drodze Europa zdobyć by mogła udział w decyzji dotyczącej wielkiego *deterrent*. Amerykanie zgodziliby się być może na stworzenie związkowego atlantyckiego naczelnego dowództwa, w którym zachodnia Europa byłaby reprezentowana na równych prawach. Unia atlantycka — łącząc największe przemysły i spajając najbardziej uzdolnione narody świata — miałaby w przyszłości możliwość położenia fundamentów pod rząd światowy. Tylko poprzez unię atlantycką byłoby rzeczą osiągalną zbudować łączny potencjał siły, który przewyższałby zdecydowanie i bezspornie potencjał bloku wschodniego. Zwycięstwa nad komunizmem nie można inaczej osiągnąć. Wspólny Rynek i polityczna integracja Europy powinny być etapem

wchodzącym do takiej szerszej Unii — a nie jedynie celem samym w sobie.

Można by przyjąć inną koncepcję koegzystencji — bez zwycięzców i bez zwyciężonych. Lecz komuniści odrzucają taką koncepcję i będą ją odrzucali dopóki nie stracą nadziei zwycięstwa.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Sobór Watykański II

8-go grudnia 1962 zakończyła swe obrady pierwsza sesja II-go Soboru Watykańskiego, rozpoczętego 11-go października. Przerwa, w czasie której zbierać się będą tylko komisje, będzie trwać blisko rok, do 8-go września 1963 roku, gdy wznowione zostaną posiedzenia plenarne drugiej i trzeciej sesji łącznie, tak, aby zamknięcie Soboru mogło nastąpić — jeżeli nic bardzo ważnego nie stanie temu na przeszkodzie — na Boże Narodzenie 1963 roku. W chwili więc zakończenia pierwszego etapu prac Soboru, można już zapewne spróbować scharakteryzować jego dorobek i wyciągnąć wnioski z jego przebiegu.

Zanim jednak zajmiemy się świeżo zakończonymi obradami, warto przypomnieć po krótko jego antecedeny historyczne.



Historia soborów powszechnych sięga początków naszej ery, a konkretnie r. 49 po Chrystusie, gdy w Jerozolimie zebrali się, pod przewodnictwem św. Piotra Apostoła, starsi gminy antiocheńskiej, ażeby rozwiązać problem pogan przyjmujących chrześcijaństwo. Ponieważ jednak sobór ten, zwany Jerozolimskim, albo Apostolskim, nie został uznany przez historyków Kościoła za „powszechny”, ze względu na swój partykularny charakter, pierwszeństwo przypadło Soborowi Nicejskiemu, odbytemu za panowania papieża św. Sylwestra, w Nicei (Bitynia w Azji Mniejszej), w r. 325, przy współudziale 300 biskupów różnej narodowości. Po nim zwoływano sobory powszechne w różnych odstępach czasu, ilekroć zachodziły jakieś szczególnie ważne powody, jak np. potrzeba zajęcia stanowiska w stosunku do rozprzestrzeniającej się herezji, ogłoszenie nowego dogmatu czy przedsięwzięcie zasadniczych reform w Kościele. Spośród najgłośniejszych, trzeba wymienić Sobór Konstantynopolski IV (869), który złożył z urzędu Focjusza, od czego potem zaczęła się Wielka Schizma wschodnia; Sobór Konstancjeński (1414-1418), na któ-

rym potępiono Jana Husa oraz, dzięki wystąpieniu Włódkowica, krzyżackie metody nawracania; wreszcie Sobór Trydencki (1546-1564), ustalający ostatecznie błędy protestantów i wprowadzający niezbędne reformy dyscyplinarne w Kościele. Po nim, po przeszło 300 lat trwającej przerwie, zwołany został przez Piusa IX-go Sobór Watykański I-szy (1869-1870), który, obok potępienia błędów „modernistów”, uchwalił po długich i burzliwych dyskusjach, ogromną jednak w końcu większością głosów, dogmat o „nieomyślności papieża w rzeczach wiary i moralności”.

Orędzie papieskie i przyczyny zwołania Soboru

Pierwszy dzień II-go Soboru Watykańskiego a 21-go, jeśli chodzi o kolejność wszystkich soborów powszechnych, 11-go października 1962 r., poświęcony był wyłącznie uroczystościom religijnym. W majestatycznej, półtora godziny trwającej procesji, z Pałacu Watykańskiego, przez Spiżową Bramę i plac św. Piotra, do Bazyliki, około 2500 ojców ojców soborowych (kardynałów, patriarchów, biskupów i przełożonych zakonów), reprezentujących wszystkie rasy i narodowości, poprzedzało niesionego na *sedia gestatoria* Jana XXIII-go, który inaugurował to szczytowe, przedsięwzięcie swojego życia. W Bazylice, po nabożeństwie, Papież wygłosił orędzie, w którym m.in. powiedział:

„W codziennym sprawowaniu naszego pasterskiego urzędu dochodzą niekiedy do naszych uszu pewne insynuacje, pochodzące od ludzi, na pewno pałających gorliwością, ale pozbawionych szerokiego rozeznania, dyskrekcji i umiaru. W czasach współczesnych, ludzie ci nic nie widzą poza odstępstwem i upadkiem; twierdzą, że nasz świat znacznie się popsuł w porównaniu z tym co było dawniej; zachowują się tak, jakby niczego nie nauczyli się od historii, która jest przecież mistrzynią życia, i jak gdyby w czasach poprzednich soborów myśl i życie chrześcijańskie, a także sprawiedliwa wolność religijna, w pełni triumfowały. Wydaje nam się też niezbędnym powiedzieć, że nie zgadzamy się z tymi prorokami nieszczęśliwymi, którzy stale zapowiadają katastrofy, omalże zbliżający się koniec świata...”.

Nieco dalej zaś Papież oświadczył:

„Widzimy, jak na przestrzeni wieków następują po sobie różne poglądy, jak się wzajemnie wykluczają, a błędy, często zaledwie wyrażone, zanikają, jak mgła przed słońcem. Kościół zawsze przeciwstawiał się tym błędom, często potępiał je nawet z największą surowością; dzisiaj jednak woli jako remedium używać raczej miłosierdzia, aniżeli surowości; woli odpowiadać potrzebom dzisiejszych czasów, wykazując raczej wartość swojej nauki, aniżeli ponawiając potępienia...”.

W tym samym przemówieniu Papież oświadczył, że myśl zwołania soboru pojawiła się u niego, „po raz pierwszy i niespodziewanie”, w styczniu 1959 r. Wiemy skądinąd, że 16-go tego miesiąca zwierza się z niej kardynałowi Tisserant, 19-go — kardynałowi Tardiniemu, a 25-go — ogłasza ją publicznie na konsysto-

rze w Bazylice św. Pawła za Murami, zaskakując cały świat tą niezwykłą inicjatywą.

Co się jednak łożyło na powstanie jej w umyśle Jana XXIII, jakie były naprawdę najistotniejsze przyczyny zwołania soboru powszechnego? Wydaje się, że było ich trzy: 1) konieczność autorytatywnego wyjaśnienia szeregu nierozstrzygniętych dotąd należycie problemów doktrynalnych, jak np.: drogi którymi dociera do nas Objawienie: Pismo św. i Tradycja, prawdziwa natura Kościoła, istota godności biskupiej i związanych z nią prerogatyw itp.; 2) wyczuwana, od dłuższego już czasu, potrzeba przeprowadzenia w Kościele reform liturgicznych i dyscyplinarno-obyczajowych narzucających się zwłaszcza w związku z dokonanymi ostatnio w świecie przemianami cywilizacyjno-politycznymi oraz postępowaniem technicznym; i wreszcie, 3) chęć nowego skonfrontowania, istniejących między katolicyzmem a innymi chrześcijańskimi wyznaniem różnic, w nadziei, że przy dokładniejszym ich zestawieniu, okażą się one mniej zasadnicze, niż się to dotąd wydawało.

Wszystko to razem stanowi zadanie tak doniosłe, że pomimo ogromnego zasięgu władzy papieża, Jan XXIII-ci uznał, iż rozstrzygnąć te sprawy winna najwyższa instancja Kościoła, tj. sobór powszechny, którym jest zebranie wszystkich biskupów pod przewodnictwem papieża.

Reakcje na ogłoszenie zwołania Soboru

Można chyba powiedzieć, że idea soboru wlała jakby nową energię w ogół katolików. Biskupi całego świata redagowali i nadsyłali do Rzymu swoje wnioski, których wpłynęło w przepisany terminie do komisji przygotowawczych w Watykanie ponad 2 tysiące. Potworzyły się w wielu krajach komitety przed-soborowe, złożone ze specjalistów świeckich i duchownych, pojawiło się mnóstwo opracowań książkowych i artykułów, zainicjowano nowe ruchy zbliżenia z „braćmi odłączonymi” — jak Kościół nazywa wyznawców innych religii chrześcijańskich.

Tak jak żadna społeczność religijno-wyznaniowa nie jest monolityczna, tak w większej może jeszcze mierze niż inne, nie jest nią, około pół miliarda wyznawców liczący, Kościół katolicki. Pomijając różnorodność oficjalnie uznanych 6 głównych obrzędów, nie mówiąc już o szczątkowych, jak ambrozjański czy lyoński, ze wszystkimi ich partykularizmami i ambicjami, istnieje szereg różnych szkół czy typów katolicyzmu, urabianych od stuleci przez zakony: dominikanów, jezuitów, franciszkanów i inne; pewne różnice wyrobiły się też pod wpływem tendencji i naleciałości narodowych takich starych państw katolickich, jak Hiszpania, Francja, Włochy, Irlandia, Polska; wreszcie zawsze istnieli wielcy teologowie i filozofowie jak np. w dzisiejszej epoce Maritain, Guardini, Jungmann, de Lubac, czy Rahner, modułujący katolicyzm według własnych koncepcji, a wpływami

konkurujący często z najpotężniejszymi zakonami. Otóż w całym tym specjalnym amalgamacie, tworzącym jedną całość, ale bardzo zróżnicowanym i wewnętrznie złożonym, z chwilą ogłoszenia zwołania soboru zawrzało.

Optymiści i fanatycy łączą z nim często przesadne nadzieje; wielu obiecuje sobie, że spełni on wszystkie ich najśmielsze oczekiwania. Powoduje to czasem dość nieoczekiwane reakcje: opowiadają np., że włoski jezuita O. Lombardi, znany ze swoich ultra nowoczesnych idei, w odpowiedzi na posłaną kardynałowi Ottavianiemu, przywódcy grupy integrystów, książkę swą o proponowanych reformach w Kościele, otrzymał od niego list, pełen najwyższych komplementów; kardynał był zupełnie spokojny, że tak krafcowe i nierealne propozycje w niczym mu na pewno nie zaszkodzą. Nie ulega też wątpliwości, że zapewne wielu przeżyje poważne rozczarowania — było to ryzyko automatycznie zawarte w idei zwołania soboru. Z drugiej jednak strony, otworzyła ona przed Kościołem szereg nowych, całkowicie realnych perspektyw rozwojowych na przyszłość. Wśród nich, na pierwszym miejscu trzeba wymienić: tendencję w kierunku decentralizacji zarządu Kościołem, nowe koncepcje działalności misyjnej w niepodległych krajach afrykańskich, powołanie zorganizowanego apostołatu świeckich, dostosowanie liturgii do kultury lokalnej, a może nawet, rozwiązanie problemu egzystencji Kościoła w krajach o rządach komunistycznych (nie w rozumieniu jednak pogodzenia się z ich ustrojem, co dla Kościoła jest ze względów zasadniczych niemożliwe, a jedynie w sensie jakiegoś zawieszenia broni, przy zachowaniu nadal w pełni postawy negatywnej, co najwyżej wyrażonej perswazją i argumentami rzeczowymi w miejsce dotychczasowego potępienia).

Na ogół pozytywnie odniosły się do II-go Soboru Watykańskiego międzynarodowe koła polityczne, społeczne i naukowe, a szereg organizacji międzypaństwowych, z ONZ i UNESCO na czele, przysłało swoich obserwatorów.

Rządy komunistyczne, po dłuższym okresie wrogiego nastawienia lub chęci zignorowania Soboru (co znalazło wyraz w zdecydowanie negatywnym z początku stanowisku patriarchy prawosławnego Moskwy), śledzą obecnie jego obrady ze wzrastającym zainteresowaniem, a ostatnio, nie szczędzą nawet Janowi XXIII-mu komplementów za „pokojowość”.

Innego typu wyrachowania łączą z Soborem zwolennicy zjednoczenia Europy Zachodniej oraz wzmocnienia frontu antykomunistycznego. Wydaje się, że są oni zainteresowani — pomimo często osobistego indyferentyzmu — w popieraniu katolicyzmu typu konserwatywno-paternalistycznego oraz w największym zbliżeniu między wszystkimi wyznaniem chrześcijańskimi, ażeby i od tej strony integracja europejska była jak najkompletniejsza. Tego rodzaju aspiracje „europejczyków” mogą jednak zostać pokrzyżowane przez silną tendencję większości Soboru do niezrażania do Rzymu prawosławnych z Rosją włącznie, jak również przed narastające w wielu episkopatami uprzedzenia do konser-

watywno-liberalnych koncepcji społecznych, tak silnie związanych z ideą Wspólnoty Zachodniej.

Stosunki z „braćmi odłączonymi”

Bardzo charakterystyczne stanowisko zajęły w stosunku do Soboru najróżniejsze sekty i kościoły chrześcijańskie.

Z obserwatorami protestanckimi i anglikańskimi zostało wszystko załatwione sprawnie i bez trudności. Niektóre z ich zrzeczeń, jak np. sławna protestancka wspólnota zakonna w Taizé, we Francji, już jest, jak się zdaje, na najlepszej drodze do zjednoczenia z katolikami. Ogólnie, protestanci i anglikanie odnieśli się do Soboru pozytywniej aniżeli prawosławni.

Wyjątkowo dziwne perypetie przechodziły w tym przedsoborowym okresie stosunki Watykanu z patriarchatem moskiewskim. Został on, jako jeden z pierwszych, powiadomiony przez Sekretariat dla Jedności Chrześcijan o Soborze i zaproszony do wysłania na niego swych obserwatorów. Patriarcha Aleksy jednak, nie tylko nie przyjął tego zaproszenia, ale wybrał się wkrótce potem z wizytami do szeregu krajów prawosławnych, wszędzie żywo odradzając wysłania przedstawicieli na Sobór. Ulegając tym radom oraz przestrzegając zasady solidarności, uchwalonej na zjeździe w Rhodos w 1961 r., wszystkie patriarchaty prawosławne, z Konstantynopolem i Atenami na czele, przysłały z nieukrywanym zresztą żalem, odpowiedź odmowną. Przewodniczący jednak watykańskiego Sekretariatu dla Jedności Chrześcijan, kardynał Bea, nie kapitulował. Na dwa miesiące przed rozpoczęciem Soboru, wysłał do Paryża swojego bliskiego współpracownika, prąta Willebrandsa, który spotkał się tam, na sesji Powszechnej Rady Kościołów, z archimandrytą Nikodemem z Moskwy. Ten zachęcił go do złożenia w Moskwie wizyty, gdzie w końcu września został jak najserdeczniej przyjęty, jako reprezentant „Patriarchy Rzymu”. Po udzieleniu pewnych wyjaśnień, ks. Willebrands uzyskał zapewnienie, że zaproszenie będzie przyjęte. W konsekwencji, dwóch oficjalnych obserwatorów Cerkwi rosyjskiej na Sobór, archimandryta Kotliarow i archijerej Borowoj pojawiło się 12 października w Rzymie. Prawdziwa konsternacja natomiast nastąpiła w Konstantynopolu i Atenach, gdzie tamtejsi patriarchowie poczuli się żywo dotknięci samowolną, sprzeczną z uchwałami w Rhodos, decyzją moskiewską. Według kursujących w Rzymie pogłosek, które powtarzamy z wszelkimi zastrzeżeniami, ks. Willebrands wynegocjował w Moskwie i Zagorsku przyjęcie zaproszenia przez tamtejszy patriarchat pod warunkiem, że na Soborze nie będzie żadnych uchwał ani manifestacji antysowieckich. Dodatkowo nieporozumienie wynikło, gdy po załatwieniu sprawy obserwatorów Cerkwi rosyjskiej, wysłano z Watykanu 12 października nowe zapytania w tej sprawie, do pozostałych kościołów prawosławnych: okazało się mianowicie, że np. patriarchat serbski w ogóle nigdy nie otrzymał

zaproszenia. Natychmiast je oczywiście wysłano. Nastąpiły więc nowe przeprosiny, nalegania i nadzieje, że na przyszlą sesję wszyscy dopiszą.

Ogółem uczestniczy w Soborze około 50 obserwatorów różnych wyznań chrześcijańskich. Wyrażają się oni z dużym uznaniem o dotychczasowym przebiegu obrad, a zwłaszcza o swobodzie z jaką wypowiadają się wszyscy ojcowie soborowi.

Zagadnienie przywrócenia jedności całego Chrześcijaństwa jest od dawna jedną z naczelných trosk Kościoła. Znajdowało się ono także na porządku dziennym 1-go Soboru Watykańskiego. Niestety, trudno było wówczas posunąć sprawę naprzód: ani jeden, z zaproszonych kościołów wschodnich czy protestanckich, nie przysłał na Sobór swego obserwatora. W tej dopiero perspektywie ocenić można sukces odniesiony przez organizatorów obecnego Soboru. Rolę czynnika zbliżającego dziś do siebie te różne wyznania odegrał w dużym stopniu moment zagrożenia ich przez różnorodne prądy materialistyczne (bez względu na ich zabarwienie polityczne) oraz postępy ateizmu. Zdając sobie sprawę, że zjednoczenie nie jest ani na dziś, ani może nawet na jutro, obie zainteresowane strony rozpoczęły natomiast — i to w sposób bardzo realny — przygotowywać dla niego klimat. Katolicy robią w tym kierunku wyraźne wysiłki, gdy np. w obecności obserwatorów — swoich oponentów — Sobór odsyła do zmodyfikowanej komisji propozycję definicji źródeł Objawienia, aby niezbyt jasnymi określeniami nie utrudniło sobie kiedyś dyskusji z interlokutorami protestanckimi. I obserwatorzy „obserwatorów” są zgodni, że tego rodzaju rozważa jest dobrze oceniana. O ile więc zjednoczenie jest jeszcze z pewnością kwestią przyszłości, o tyle zbliżenie dokonywuje się już dziś, na naszych nieomalże oczach. Ostateczne zaś rezultaty będą zależały od dobrej woli i wytrwałości wszystkich partnerów.

Przebieg pierwszej sesji Soboru.

Chociaż „sobór — to ogół biskupów plus papież”, Jan XXIII bierze w nim osobiście udział jedynie przy okazji wyjątkowych uroczystości. Codzienne zaś obrady śledzi w swoim gabinecie z pomocą specjalnego urządzenia radio-telewizyjnego. Bezpośrednio Papież wpływa na Sobór dwójako: poprzez nominacje członków władz soborowych oraz poprzez decyzje — raczej wyjątkowe — komunikowane soborowym ojcom za pośrednictwem komisji prezydialnej, złożonej z 10 kardynałów-legatów, którzy w imieniu Papieża kolejno przewodniczą zebraniom plenarnym. Biskupi więc praktycznie obradują sami, w obecności jedynie wspomnianych już obserwatorów innych wyznań chrześcijańskich i obok nich zasiadającego, za specjalnym zezwoleniem Papieża — Jean Guitton'a, znakomitego francuskiego pisarza katolickiego, który z tego powodu twierdzi, że „został podniesiony do godności heretyka”.

Komisji roboczych jest 10, liczących każda 24 członków, z których 2/3 wybierają spośród siebie ojcowie soborowi (1). Jest to szczególnie ważny. Kuria bowiem dostarczyła zebrany na pierwszym posiedzeniu plenarnym gotowe projekty list kandydatów do wszystkich komisji z propozycją ich zatwierdzenia *en bloc*. Zorientowawszy się, że zawierają one przygniatającą większość nazwisk biskupów kurialnych, przewodniczący episkopatów Francji i Niemiec Zachodnich, kardynałowie Lienart i Frings, z punktu zgłosili swój sprzeciw, żądając normalnego przedstawienia kandydatów na posiedzeniu i przeprowadzenia wyborów metodami demokratycznymi. Cała prawie aula poparła ten wniosek. Od pierwszego dnia od razu się okazało, w jakim kierunku idą tendencje ogromnej większości uczestników. Podobne wydarzenia powtórzyły się szereg razy, kiedy ta sama większość zdecydowanie demonstrowała, bądź to przeciwko uzurpowaniu sobie przez dostojników Kurii prawa przemawiania ponad czas przewidziany dla wszystkich, bądź też — w sprawach już merytorycznych — nie godząc się na projekty Komisji Doktrynalnej (zbyt widocznie noszące cechy tradycyjnieszolastycznych teorii Uniwersytetu Laterańskiego, pozostającego w wojnie z konkurującym z nim, bardziej nowoczesnie kierowanym, rzymskim Instytutem Biblijnym). Charakteryzuje to ogólną atmosferę obrad Soboru i tendencję większości do nowoczesnych rozwiązań, oczywiście przy zachowaniu zasadniczych prawd i dogmatów Kościoła. Tendencję tę reprezentowali przede wszystkim ojcowie soborowi francuscy, niemieccy, holenderscy i belgijscy. Popierali ich zaś czarni biskupi Afryki, skłaniający się do czegoś w rodzaju syntezy socjalizmu i spirytualizmu (propagowanej od lat już przez prezydenta Senegalu, Senghora, a na Soborze — przez gwinejskiego arcybiskupa Tchidimbo z Conakry, który oświadczył się za „afrykańskim socjalizmem, który będzie miał Boga w środku”). Za najbardziej konserwatywny uchodzi episkopat hiszpański oraz w znacznej mierze, włoski i Stanów Zjednoczonych.

Poza aulą soborową w Bazylice i salami komisji — biskupi poszczególnych narodowości lub kontynentów gromadzili się na co-tygodniowych zebraniach poszczególnych episkopatów (niektóre z nich zorganizowały się dopiero w Rzymie, jak np. afrykański, który wyłonił własny sekretariat generalny, kierowany przez pierwszego czarnego kardynała Rugambwa z Tanganyiki). Na zebraniach tych biskupi przygotowują wspólne swoje stanowiska, desygnują mówców i ustalają kontakty z innymi ojcami Soboru. Organizowanie się tych episkopatów jest zjawiskiem dość

(1) Pozostała 1/3, plus przewodniczących, mianuje papież. Komisje są następujące: Doktrynalna; dla wiary i obyczajów; Biskupów i zarządu diecezjami; Dyscypliny duchowieństwa i wiernych; Zakonów; Seminariów, studiów i szkół katolickich; Misji; Kościołów Wschodnich; Liturgiczna; Apostolstwa świeckich, prasy i widowisk. Ponadto uprawnienia Komisji otrzymał Sekretariat dla Jedności Chrześcijan.

charakterystycznym, które może odegrać dużą rolę w projektowanej decentralizacji Kościoła. Istnieje tendencja aby II-gi Sobór Watykański uczynił dla episkopatów to, co „I-szy Sobór Watykański zrobił dla papieża, tzn. zdefiniował ich rolę i władzę” — jak się wyraził pewien wybitny teolog.

Pod względem merytorycznym, 1-sza sesja Soboru rozpoczęła swe debaty nad problemami liturgicznymi, aby przejść następnie do kwestii teologicznych, dotyczących Objawienia oraz Kościoła. Poza tym rozpoczęto dyskusję nad szeregiem innych schematów (tj. propozycji poszczególnych komisji), których ogólna liczba przewidziana na Sobór wynosiła 72, ale następnie dla względów praktycznych została zredukowana (wykorzystując pokrewieństwo tematyczne) do 20-u. Jedną z najciekawszych dyskusji zakończonej sesji dotyczyła możliwości stosowania języka narodowego w mszy św. i przy innych obrzędach liturgicznych. Zdania były podzielone, ale przeważała tendencja większego dopuszczenia języków żywych kosztem łaciny. Reprezentował ją najgoręcej patriarcha grecko-melchicki Maximos IV Saigh, zdecydowany wróg języków martwych („Chrystus przemawiał językiem żywym”). Jest on jedynym ojcem na Soborze, który nie „splamił się” ani jednym słowem po łacinie, będącej językiem obrad i przemawiał stale po francusku.

Sobór oczywiście polityką się nie zajmuje, ale „na marginesie” tego, tak wyjątkowego zjazdu ze wszystkich części świata, dokonywuje się mnóstwo spotkań, sondowań i różnego typu *demarche'ów*. Miał więc miejsce protest przeciwko obecności obserwatorów patriarchatu moskiewskiego, złożony przez 15-tu grecko-katolickich emigracyjnych biskupów ukraińskich (którzy 20 października też demonstrowali przez nie powstanie w czasie czytania Odezwy Soboru do świata, niezadowoleni z powodu braku w niej jakiegokolwiek wzmianki o prześladowaniach Kościoła za żelazną kurtyną). Był też list 71 biskupów różnych narodowości w sprawie potępienia broni masowej zagłady i poparcia zakazu doświadczeń nuklearnych. Na konferencji prasowej było oświadczenie szefa protokołu Sekretariatu Stanu, prąta Cardinale na temat ewentualności nawiązania stosunków dyplomatycznych między Stolicą Apostolską a ZSSR („gdy ZSSR da gwarancje, że Kościół będzie mógł na jego terytorium wykonywać swobodnie swoje posłannictwo”). Ostatniego dnia pierwszej sesji było demonstracyjne, szybko zauważone przez komentatorów radiowych, przywitanie się reprezentantów patriarchatu moskiewskiego z Prymasem Polski, którzy ucałowali jego biskupi pierścien, co w spotkaniach przedstawicieli różnych wyznań zdarza się wyjątkowo. Była wreszcie interwencja ambasadora NRF w Sekretariacie Stanu w związku z przemówieniem Papieża do polskich biskupów. Ale przede wszystkim miały miejsce bardzo liczne spotkania ojców soborowych z różnymi episkopatami i te kontakty mogą się okazać specjalnie cenne w przyszłości, nie tylko dla interesów Kościoła, ale także dla ogólnego zbliżenia między narodami.

Polska na Soborze

Stopniowo, w czterech partiach (z powodu trudności paszportowych), ale w końcu znalazło się 27 ojców Soboru z Polski: ks. kardynał Wyszyński, 24 arcybiskupów i biskupów oraz 2 przełożonych zakonów: opat Cystersów i generał Paulinów. Z innych krajów socjalistycznych przybyło po kilku biskupów, nawet z Litwy przyjechał 1 biskup i 2 prałatów.

Prymas Wyszyński wchodzi z nominacji Papieża wraz z 7 innymi kardynałami, do Sekretariatu dla Spraw Nadzwyczajnych, 5 innych członków naszego episkopatu — do 4 różnych komisji roboczych a 1 — do Trybunału soborowego. Jest to procentowo dobry udział w pracach Soboru. Uczestniczą w nim ponadto arcybiskup Gawlina, rezydujący stale w Rzymie, oraz z ramienia innych episkopatów 10 biskupów polskiego pochodzenia: 7 ze Stanów Zjednoczonych (wśród których arcybiskup Król z Filadelfii), 2 z Brazylii i 1 (arcybiskup Kozłowiecki) z Rodezji.

Jan XXIII-ci przyjął biskupów polskich dwukrotnie, na drugi dzień po ich przybyciu do Rzymu oraz z okazji swojej 82 rocznicy urodzin. Głośną stała się zwłaszcza pierwsza audyencja, z powodu przemówienia, które Papież na niej wygłosił. Jest ono wzruszające swą szczerą sympatią do naszego kraju („który jak magnes od najmłodszych lat nas pociągał”), a zarazem ważne, z powodu zawartego w nim, de facto, uznania przez Papieża obecnych granic („jak miało miejsce na ziemiach zachodnich, po wiekach odzyskanych, we Wrocławiu” oraz: „Później, już na stanowiskach dyplomatycznych śledziłem zmagania waszego narodu walczącego o wolność, o nietykalność granic. Przeżywalismy szczerze wszystkie te hobaterskie zmagania, którymi naród wasz wywalczał swoją niepodległość”). Tekst przemówienia został rozpowszechniony staraniem sekretariatu Prymasa Polski, którym kieruje ks. Goździewicz, i rozszedł się szeroko po Rzymie. Spowodowało to interwencję ambasadora NRF przy Stolicy Apostolskiej w watykańskim Sekretariacie Stanu, który, ani nie zdementował treści przemówienia, ani też jej nie potwierdził, zasłaniając się ściśle prywatnym charakterem audyencji udzielonej polskim biskupom. Że natomiast „niedyskrecja”, dokonana przez sekretariat Prymasa nie była przeciwna intencjom Jana XXIII-go świadczy szereg faktów, które bezpośrednio potem miały miejsce: wyróżnienie kardynała Wyszyńskiego mianowaniem go do b. ważnego — mają się w nim znaleźć w końcu wszystkie najtrudniejsze sprawy sporne — Sekretariatu dla Spraw Nadzwyczajnych; niespodziewana wizyta Papieża i nowe serdeczne przemówienie na polskim nabożeństwie ku czci św. Stanisława Kostki, w kościele św. Andrzeja na Kwirynale; przyjęcie przez Jana XXIII-go episkopatu polskiego z okazji swych urodzin; wreszcie prywatna audyencja udzielona członkowi koła posłów katolickich „Znak”, Zawieyskiemu, przy-

byłemu, aby w imieniu społeczeństwa katolickiego w kraju podziękować Papieżowi za jego życzliwość do Polski.

Równocześnie, biskupi z diecezji znajdujących się na ziemiach zachodnich interweniowali skutecznie w Sekretariacie Stanu odnośnie zmiany błędnej dotychczas nomenklatury tych diecezji w Annuario Pontificio. Wszystko to razem stanowi niewątpliwie duży sukces polityczny episkopatu polskiego, osiągnięty na marginesie Soboru. Mówi się nawet o możliwości nawiązania stosunków dyplomatycznych między Stolicą Apostolską a Polską. Jeśli by to naprawdę nastąpiło, dodałoby to nowego znaczenia Warszawie, jako jedynej w grupie państw socjalistycznych — zapewne przez długi jeszcze okres czasu — siedzibie reprezentacji watykańskiej. Dalszy rozwój sytuacji będzie oczywiście zależał od inteligencji i wzajemnej lojalności obydwu stron. Ważny tu wydaje się precedens kubański: utrzymywanie przez Watykan stosunków z krajem katolickim, rządzonym przez komunistów; precedens, bardzo często i dość demonstracyjnie podkreślany ostatnio przez dyplomację watykańską. Przychylnie głosy prasy polskiej krajowej — nawet komunistycznej — na temat Soboru, a zwłaszcza Jana XXIII-go, wydają się dodawać wagi tego rodzaju hipotezom.



Mimo słabego ostatnio zdrowia, Papież nie tylko przybył na uroczyste zamknięcie pierwszej sesji II-go Soboru Watykańskiego, ale wygłosił na nim dłuższe przemówienie, w którym omówił jej znaczenie. Równocześnie powołał na czas przerwy między sesjami Komisję Specjalną z kardynałem Sekretarzem Stanu, Cicognanim na czele, która będzie czuwać nad pracami komisji roboczych. Pomimo więc zawieszenia posiedzeń plenarnych, których odbyło 37, Sobór trwa i pracuje.

St. K.

Kronika angielska

ZDROWIE — TO ZDROWY ROZSADEK

W Anglii można przeżyć spokojnie 70 lat nie znając ani jednej ustawy. Jeżeli ktoś żyje według norm zdrowego rozsądku może przyjąć za pewne, że nie popadnie w kolizję z prawem. W ustroju komunistycznym zdrowy rozsądek nie gwarantuje nikomu uniknięcia kolizji z prawem.

Niedawno jeden z wybitnych pisarzy krajowych wystąpił z tezą, że pod względem ustawodawczym Polska Ludowa pobiła wszystkie rekordy. Pod rządami komunistów wydano więcej ustaw, przepisów i okólników niż przez 1000 lat istnienia państwa polskiego. Dlaczego? Mówi się w kółko o biurokracji, o papierowej robocie, o przerostach w planowaniu itd. Lecz to są wszystkie skutki, a nie przyczyny. Przyczyny owej powodzi ustaw i przepisów — w których dawno już się nikt nie wyznaje — szukać należy w samej istocie doktryny komunistycznej. Komunizm tak daleko odbiega od norm zdrowego rozsądku, że życie człowieka od kolebki do grobu musi być ujęte w ramy ustaw i przepisów. Władze nie mogą ufać zdrowemu rozsądkowi obywateli ponieważ zdrowy rozsądek w wielu wypadkach przeciwstawia się normom doktryny komunistycznej.

W zapędzie planowania powołano swego czasu „Biuro Planowania Kolejek Linowych” z siedzibą w Zakopanem. Cóż się okazuje? Panowie z cytowanego biura przez ubiegłe lata opracowali z wszystkimi szczegółami plany kolejek linowych na wszystkie szczyty tatrzańskie po polskiej stronie. Ponieważ tych szczytów nie jest tak wiele, a biuro do planowania musi coś planować — przystąpiono do projektowania podoblocznych stacji węzłowych, na których można by się przesiadać z kolejki na Giewont na — powiedzmy — kolejkę na Łomnicę.

To jest nie tylko oczywisty idiotyzm, ale i ponura tragedia. Jest oczywiste, że zakopiańskich planistów nie interesował nigdy tzw. zdrowy rozsądek. Pomijając fakt, że podrutowanie całych Tatr siecią kolejek linowych byłoby nonsensem — Polska Ludowa ma znacznie pilniejsze i bardziej przyziemne potrzeby do zaspokojenia.

W żadnym kraju na całym świecie, z wyjątkiem Bloku Wschodniego, nie mogłoby istnieć biuro planowania kolejek linowych, które nigdy nie zostaną zbudowane. Dlaczego? Ponieważ fikcja nie przynosi żadnego zysku. Jest moim głębokim przekonaniem — choć zabrzmi to „reakcyjnie”, że gdy raz gospodarkę oderwie się od motywu zysku, ekonomiści i planiści tracą twarde gruntu pod nogami. Zmienia się wówczas wszystko — stosunek do pieniądza, do pracy, do własności — i to zarówno prywatnej jak i państwowej.

Komuniści stawiają znak równania pomiędzy zyskiem a wyzyskiem. W praktyce okazuje się jednak, że daleko łatwiej zlikwidować zysk niż wyzysk.

Wszyscy Polacy którzy odwiedzają kraj stwierdzają jednogłośnie, że w Polsce nikt nie pracuje tak ciężko i wydajnie jak na Zachodzie. Ludzie miewają po trzy posady. Lecz jest oczywiste, że jak ktoś ma trzy stanowiska na żadnym z nich nie może pracować wydajnie.

Polscy przedsiębiorcy, którzy sprowadzają z kraju nasze narodowe specjalności jak kiełbasy, szprotki, parówki — pełni są żalu i goryczy. Zamówi się byczki w pomidorach — przysyłają pierniczki, zamówi się pierniczki — lądują skrzynie z kapustą faszerowaną. Nikt nie jest po stronie polskiej bezpośrednio zainteresowany w tym, by sprzedać i zarobić. Mówię to na podstawie własnych doświadczeń, bo zaopatruję się w sklepach polskich i słucham narzekań i skarg.

Skoro oderwie się ekonomię od motywu godziwego zysku wszystko staje się płynne jak abstrakcyjne malarstwo. W działalności gospodarczej zdrowy rozsądek zastępuje teoria. Tam gdzie nie ma własności prywatnej — własność państwowa nie może liczyć na szacunek. Tam gdzie nie ma dobrze

zorganizowanych i zyskowych przedsiębiorstw prywatnych — przedsiębiorstwa państwowe prowadzone są niedołężnie i nie rentownie. To jest ludzkie i zrozumiałe. Poszanowania dla własności państwowej można uczyć ludzi tylko poprzez szacunek dla własności prywatnej. Jedyną szkołą dla kierowników przedsiębiorstw państwowych są rentowne przedsiębiorstwa prywatne.

W ustroju w którym prywatna własność jest ograniczona i tolerowana jako stan przejściowy — własność państwowa jest poniewierana. Jak się raz zejdzie z drogi zdrowego rozsądku nie można oczekiwać od ludzi rozsądnych reakcji.

Jeżeli dany ustrój nie mieści się w ramach zdrowego rozsądku — stosunek obywatela do władz oparty jest na zakłamaniu. Owo zakłamanie jest powszechnie przyjętą społeczną konwencją.

Najtypowszą formą komizmu — jak wiemy — bywają niespodziewane wylamania się ze społecznego konwencjonalizmu. Człowiek, który by przysłowiowy barszcz w restauracji zaczął jeść widelcem — wyglądałby komicznie gdyż konwencjonalnie spożywamy barszcz łyżką.

Konwencja ogólnego zakłamania zakłada, że Polska Ludowa jest państwem niepodległym. W Warszawie — jak wiemy — istnieje Aleja Niepodległości. Jerzy Putrament w jednym ze swych felietonów uskarżając się na liche oświetlenie tej alei napisał w zakończeniu: „ciemna jest ta nasza Niepodległość!”.

Jak sam Putrament szczegółowo opisuje — ludzie zdanie to poczytali za doskonały i złośliwy dowcip. Wszyscy doskonale wiedzą, że Polska nie jest niepodległa więc powiedzenie prawdy wbrew obowiązującej konwencji — robi wrażenie demonstracyjnego dowcipu.

Przed wojną gdyby ktoś napisał w związku ze złym oświetleniem Alei Niepodległości — „ciemna jest ta nasza Niepodległość” — nikt by na to nie zwrócił najmniejszej uwagi. Nikt bowiem nie wątpił w oczywiste dla wszystkich fakt, że byliśmy państwem niepodległym i w dowcipie na ten temat w owych czasach nie byłoby żadnej pointy.

Andrzej Kijowski w jednym ze swych ostatnich artykułów w „Przeglądzie Kulturalnym” wyraził opinię, że takiej martwoty w literaturze polskiej jaka panuje obecnie, jeszcze chyba nigdy nie było. W jednym z dawniejszych artykułów ten sam krytyk pisał o różnorodności, która nie jest bogactwem ani żywotnością i o zasadzie niekonfrontacji, która nie wypływa z tolerancji. „Innymi słowy, uważam” — cytuję Kijowskiego — „iż postawy, poglądy, tendencje artystyczne spotykane obecnie w Polsce nie sumują się, nie mają żadnego mianownika wspólnego, nie wykazują żadnego dążenia kulturalnego”. Tyle Andrzej Kijowski.

Czy zawsze tak było? Weźmy dla przykładu okres zaborów, kiedy nasza niepodległość przedstawiała się chyba jeszcze ciemniej niż dzisiaj. Gdy w niewolnej Warszawie Prus pisał swoją „Lalkę” — Wokulscy zakładali polskie przedsiębiorstwa i realizowali ten sam program co Prus — pozytywizmu i pracy organicznej. W tej epoce praca pisarza i praca przemysłowca należały do tego samego pasma historycznego i zmierzały do tego samego celu.

Kultura w najszerszym tego słowa znaczeniu jest — jak uczy nas marksizm — nadbudową organicznie związaną z bazą. A co to jest baza? Baza to jest produkcja przemysłowa i rolna, usługi, służby społeczne,

działalność zawodowa. Baza to jest praca i wytwórczość ludzka, które nie odbywają się w próżni tylko w ramach danego ustroju. Kultura, a więc nadbudowa, odzwierciadla zawsze stan bazy — tak jak łan pszenicy daje świadectwo o uprawie ziemi. Jaka uprawa, takie zboże.

Kijowski mówi, że tendencje i postawy artystyczne nie sumują się, nie wykazują żadnego dążenia i kierunku kulturalnego. Zdrowe społeczeństwo stanowi jeden żywy organizm a baza i nadbudowa winny nie tylko sumować się, lecz wykazywać to samo dążenie i kierunek kulturalny.

Przyczyn zaburzeń rozwojowych trzeba zawsze szukać u podstaw, u korzeni. Nie dlatego nie ma Wokulskich, że nie mamy Prusa — ale odwrotnie, nie ma Prusa, bo nie ma Wokulskich. A Wokulskich nie ma, bo komunizm produkuje aparatczyków i biurokratów nie zaś przedsiębiorczych przemysłowców.

Kijowski mówi o zasadzie niekonfrontacji. Konfrontacji literackiej nie ma — bo konfrontacja w obecnym układzie w Polsce nie jest możliwa. Literatura musiałaby albo wbrew społeczeństwu uznać komunizm za wielką i godną sprawę — albo w zgodzie ze społeczeństwem podjąć nieublaganą krytykę komunizmu. Żadne z tych rozwiązań nie jest ani możliwe ani realne. Literaturze nie pozostaje nic innego jak tworzyć owo „trzęsienie królestwa”, oderwane zarówno od społeczeństwa jak i od ustroju. Innymi słowy pisarz nie może powiedzieć ani tego czego oczekuje od niego partia, ani tego czego oczekuje od niego społeczeństwo.

ZACHÓD SZUKA IDEOLOGII?

Pod powyższym tytułem Mieczysław Rakowski, redaktor „Polityki” — wydał dziełko, w którym nieco cennego miejsca poświęcił „Kulturze” i niżej podpisanemu.

Rakowski jest zdania, że słowa Ewangelii „szukajcie a znajdziecie”... — nie odnoszą się do Zachodu. My, nieszczęśliwi, nie możemy niczego znaleźć ponieważ w systemie kapitalistycznym nie ma nic do znalezienia. Autor cytowanej pracy uważa, że nasza, tj. „Kultury” krytyka kapitalizmu której poświęciliśmy wiele artykułów — jest trzeźwa i wnikliwa, ale na tym kropka. Terapia nie jest możliwa ponieważ kapitalizmu nie można uzdrowić. Kapitalizmu nie można uzdrowić, ponieważ uzdrowiony kapitalizm przestałby być kapitalizmem.

Rakowski przyznaje, że lepiej „wyczuwamy” w „Kulturze” komunizm niż publicyści i specjaliści amerykańscy. Pochlebiam sobie, że po tylu latach spędzonych na Zachodzie wyczuwamy również lepiej kapitalizm niż p. Rakowski.

Był czas, że oceniałem z wielkim pesymizmem perspektywy przeżycia systemu kapitalistycznego. Lecz dziś — zachowując pełną rezerwę do obu konkurencyjnych systemów, którym do ideału jest niezmiernie daleko — należy bezstronnie stwierdzić, że na przestrzeni ostatnich lat 15 kapitalizm wykazał znacznie większy dynamizm i zdolność do adaptacji niż komunizm. W rezultacie kapitalizm w znacznie większym stopniu dopasował się do komunizmu — niż komunizm do kapitalizmu.

Pewien procent współczesnych socjologów podpisuje się ochoczo pod teorią syntezy społecznej. Pisał na ten temat stosunkowo niedawno Bro-

nisław Minc w „Polityce”. Entuzjastą tej teorii jest Stefan Kisielewski. „Teoria syntezy głosi” — cytuję Kisielewskiego — „że podobne formy masowej produkcji i dystrybucji zacierają w konkretnym 'komórkowym' przekroju społecznym różnice między przeciwstawnymi ustrojami”.

Teoria syntezy jak większość teorii opiera się na słówku „gdyby”. Gdyby... w Związku Sowieckim był identyczny zalew dóbr konsumpcyjnych jak w Ameryce, gdyby... skale zarobków w obu super-mocarstwach były wyrównane, gdyby... innymi słowy Rosja w pełni gospodarce dogoniła Amerykę — to pomiędzy urzędnikiem 12-tej rangi w Moskwie a urzędnikiem 12-tej rangi w Nowym Jorku nie byłoby istotnie wielkiej różnicy. Wówczas w przekroju „komórkowym”, tj. w przekroju życia przeciętnego obywatela, różnice pomiędzy przeciwstawnymi ustrojami uległyby niemal zatarciu.

Komunizm w pewnych prymitywnych warunkach zdał egzamin jako metoda startu gospodarczego. Lecz komunizm zawodzi jako system ekonomiczny w krajach wysoko uprzemysłowionych. Można zaryzykować pogląd, że im Rosja staje się bardziej uprzemysłowiona tym ma większe kłopoty z komunizmem. Powódź reform — co miesiąc nowych — świadczy wymownie, że Chruszczow nie może się uporać z administracją przemysłów, które rosną i rozwijają się nie dzięki komunizmowi tylko wbrew komunizmowi. Z każdym miesiącem poszerza się przepaść pomiędzy doktryną a praktyką i choć zabrzmi to paradoksalnie — komunizm przede wszystkim przegrywa w Sowietach, a nie we Włoszech czy we Francji. Komuniści włoscy mogą bawić się w ideologię bo „włoski cud gospodarczy” nie stanowi ich administracyjnej odpowiedzialności.

To nie Zachód szuka nowej ideologii, to Wschód traci swoją ideologię. Osobiście jestem również zwolennikiem teorii syntezy — tylko teorię tę wyobrażam sobie nieco inaczej niż moi krajowi koledzy. Powiedzenie Chruszczowa, że komuniści mają wiele rzeczy do nauczenia się od kapitalistów — należy brać dosłownie. Można już dziś przyjąć za pewnik, że komunizm jako system gospodarczy nie wygra wyścigu produkcyjnego, zbrojeniowego i kosmicznego ze Stanami Zjednoczonymi. Nie chodzi o ideologię, ani o aspekt społeczny — chodzi wyłącznie i jedynie o *efficiency*, o stopień sprawności. W systemie gospodarczym nie decydują hasła, które mogą być szczytne i wzniosłe, ani teorie społeczne, które mogą być sprawiedliwe i postępowe. Wyścig nie dotyczy haseł i ideologii — wyścig dotyczy wyłącznie produkcyjnej sprawności. Pod kątem widzenia czystej ekonomiki — praca niewolnicza jest zła nie dlatego, że jest niemoralna — tylko dlatego, że jest niewydajna. System komunistyczny jest zły nie dlatego, że odrzucił motyw zysku i gospodarkę rynkową — ale jest zły dlatego, że jest mało wydajny. Gospodarka neo-kapitalistyczna, której klasycznym przykładem są Stany Zjednoczone — góruje nad systemem komunistycznym nie dlatego, że jest bardziej humanitarna czy bardziej postępową. System amerykański góruje nad komunizmem dlatego, że jest bardziej wydajny.

W perspektywie czysto ekonomicznej nie jest istotne czy motyw zysku jest moralny czy niemoralny. Istotny jest tylko fakt, że w systemach opartych na motywie zysku ludzie pracują ciężiej i wydajniej niż w systemach gospodarczych, w których motyw zysku został obalony. Komunizmowi niemal po pół wieku doświadczeń nie powiodło się wynaleźć *motywu zastępczego*, który nakłaniałby ludzi do cięższej i bardziej wydajnej pracy. I to jest

podstawowy problem komunizmu. Przymus administracyjny nie spełnia tej roli.

Po drogach amerykańskich krąży około 80 milionów samochodów nie dlatego, że Amerykanie są burżujami i kapitalistami, ale dlatego, że Amerykanie pracują ciężiej i wydajniej niż narody Związku Sowieckiego. Wydajniej znaczy zawsze ciężiej — co do tego nie należy mieć złudzeń. Praca wydajna wymaga skupienia, uwagi i maksymalnego wysiłku.

W ostatecznej analizie wszystko sprowadza się do problemu jak nakłonić ludzi, by pracowali wydajniej. Komunizm nie znalazł odpowiedzi na to pytanie.

KONWENCJONALNA FASADA

Co się kryje za konwencjonalną fasadą okładek miesięcznika „Kultura”? Dla większości naszych Czytelników za ową fasadą kryje się biuro Redakcji i Administracji miesięcznika i na tym koniec. Ci z naszych Czytelników, którzy opłacają prenumeratę poprzez przedstawicielstwa nie mają w ogóle żadnego kontaktu z centralą w Maisons-Laffitte.

„Kultura” w swoich barwnych okładkach robi wrażenie starannie i trochę staroświecko wydawanego pisma. Jej szata graficzna jest niezmiernie spokojna i konwencjonalna. Trudno się domyśleć, że za tą konwencjonalną fasadą kryje się jakże nie konwencjonalna działalność.

W serii „Dokumenty” wydaliśmy tom II pt. „6 lat temu” — o czym wspominałem w poprzedniej kronice. Zdobyć tego typu materiałów wymaga zachodów, starań, często całych „strategicznych operacji” i funduszy. Nie wszystko można załatwić listownie.

Nie prowadzimy nigdzie żadnej wyrotowej roboty, ale staramy się utrzymywać możliwie szerokie kontakty z krajami Europy środkowo-wschodniej. Gdybyśmy owych kontaktów nie mieli, „Kultura” nie byłaby tym czym jest (za jedne trzy funty rocznie).

Nie spiskujemy ani nie bawimy się w żadne podziemne organizacje — lecz rozbudowujemy stale naszą własną sieć informacyjną. Obiektywny Czytelnik musi przyznać, że od czasu do czasu podajemy informacje i naświetlenia, które są oryginalne i nie publikowane. „Kultura” jest uważnie czytana przez specjalistów od spraw Europy środkowo-wschodniej i wiele informacji przez nas zdobytych ukazało się w czołowych pismach francuskich, brytyjskich i amerykańskich.

O owej zakulisowej i niekonwencjonalnej działalności jest bardzo trudno pisać, a jeszcze trudniej podać jakieś szczegóły. Natomiast stwierdzić należy dwie rzeczy. Owa zakulisowa polityczna działalność decyduje nie tylko o jakości, ale i o roli pisma. I punkt drugi: owa polityczna działalność wymaga pieniędzy.

Pieniądze na te cele muszą być wolne od jakichkolwiek politycznych powiązań czy serwitutów. Dlatego apeluję do naszych Czytelników jak najgoręcej: wpłacajcie choćby drobne kwoty na Fundusz „Kultury”.

Prenumerata naszego miesięcznika jest stosunkowo tania. Mamy w Londynie tygodniki, których prenumerata kosztuje dokładnie dwa razy więcej niż abonament „Kultury”. Idealnym rozwiązaniem byłoby gdyby przy-

najmniej część naszych prenumeratorów opodatkowała się stale na rzecz Funduszu „Kultury”.

Mamy w Maisons-Laffitte około 30.000 książek, które do tej pory nie wszystkie są skatalogowane. Mamy na emigracji jedno z największych archiwum prasy i druków emigracyjnych. Katalogowanie, oprawa, indeksowanie — na to wszystko trzeba pieniędzy.

Wreszcie temat, o którym najtrudniej jest pisać, ale którego niesposób przemilczeć. Przez 15 lat istnienia „Kultury” nawiązaliśmy kontakty i przyjaźnie z ludźmi pióra, rozsianymi dosłownie po całym świecie. Wielu z tych ludzi potrzebuje pomocy — potrzebuje lekarstw — pieniędzy na leczenie.

Twój grosz dodany do prenumeraty będzie — Drogi Czytelniku — użyty nie na mgliste cele ale na konkretne potrzeby konkretnych ludzi.

RYSZARD PIESTRZYŃSKI

Byliśmy w jednej kompanii — kwaterowaliśmy w jednym namiocie. Pracowaliśmy razem w Redakcji brygadowej „Ku Wolnej Polsce”, a później w Redakcji „Orla Białego”. W wojsku nie było pomiędzy nami żadnych różnic politycznych. Różnice zarysowały się po wojnie. Nie byliśmy nigdy przyjaciółmi w potocznym tego słowa znaczeniu. Lecz wiązał nas do końca sentyment towarzyszy broni — co jest może czymś więcej. Przyjaźń byłaby nie sprostała poważnym różnicom politycznym, jakie nas dzieliły. Lecz Ryszard w chwilach kryzysu był zawsze dla mnie nie przeciwnikiem, ale współlokatorem karpackiego namiotu w Sidi-Bishr. W takich chwilach wymienialiśmy ze sobą listy, o których nikt nie wiedział.

Publicystyka Piestrzyńskiego chłodna i zrównoważona, w gruncie rzeczy służyła romantycznej wizji. Ryszard należał do pokolenia, które od żołnierza Józefa Piłsudskiego przejęło Polskę „skazaną na wielkość”. Tej wizji pozostał wierny do końca.

W Brygadzie z kategorią zdrowia „D”, w stopniu strzelca — w trudnych warunkach klimatycznych pełnił swą służbę z dumą i z humorem. Mielśmy nadmiar oficerów i dlatego każdy strzelec choćby z kategorią „D” był cenny. Z drugiej strony perspektywy awansu były wręcz znikome. Zostaliśmy oficerami dopiero pod sam koniec wojny. Lecz Ryszard nie skarżył się nigdy na trudy i niewygody nieodłączne od „statusu” szeregowca. Cierpiał na okresowe straszliwe migreny, które starał się ukryć przed otoczeniem.

Gdy wyładowaliśmy w Bagdadzie powiedziano nam, że nasza kompania „Ku Wolnej Polsce” ulega likwidacji, a my „Ramzesi” z krwi i kości zostajemy przydzieleni do redakcji „Orla Białego”. Była to epoka niebywałego szarogęsienia się rotmistrza Klimkowskiego. Ten ostatni stanowił kombinację junackiej dynamiki bez inteligencji i wybujałej ambicji bez cienia odpowiedzialności.

Nasza sytuacja była bardzo trudna, bo byliśmy starszymi strzelcami. Co może w wojsku zrobić starszy strzelec? Zameldować się i odmeldować się — to wszystko.

St. Strzelec Piestrzyński nie tylko przetrwał Klimkowskiego i całą galerię szarych eminencji, ale z czasem narzucił „Orłowi” swoją politykę.

Jeżeli można mówić o „ideologii” Drugiego Korpusu, to nie stworzyli jej byli łagiernicy tylko Karpatczycy.

Piestrzyński był nie tylko publicystą, ale i politykiem. Dobiwszy się pozycji redaktora „Orla Białego” spokojnie zlikwidował dwa prądy, które wyraźnie zarysowały się w Bagdadzie. Mam na myśli anty-sanacyjny rewizjonizm i nacjonalizm typu endeckiego. Śmierć gen. Sikorskiego i objęcie naczelnego dowództwa przez gen. Sosnkowskiego skonsolidowały sytuację. Piestrzyński jako redaktor „Orla Białego” wywarł decydujący wpływ na ukształtowanie się politycznego oblicza 2 Korpusu.

Należał do tragicznego pokolenia Piłsudczyków. Niczego nie zawdzięczał „legionowemu awansowi” bo w legionach nie był i być nie mógł. To kim był i do czego doszedł zawdzięczał pracy i bardzo solidnemu wykształceniu. Jego pokolenie — gdyby miało szansę historyczną — mogło nadać idei Piłsudskiego nowoczesny kształt polityczny. Lecz opuściwszy kraj młodzi piłsudczycy zostali wchłonięci przez obóz sanacyjno-legionowy i nie doczekali się „zmiany warty”.

LONDYŃCZYK

Nowości

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM LXXXI

WITOLD GOMBROWICZ

DZIENNIK

T. II

Cena egz. 15 NF (22/6; dol. 3,25)



TOM LXXXII

MIŁOWAN DŻILAS

ROZMOWY ZE STALINEN

w przekładzie Adama Ciołkosza

Cena egz. 9 NF (13/6; dol. 2)

Kraj

Szachownica

Raz jeszcze świat znalazł się o krok od wojny. Bliżej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich kilkunastu lat. Wojny uniknięto dzięki stanowczej i konsekwentnej tym razem polityce rządu Stanów Zjednoczonych. Ale także — trzeba to przyznać — i dzięki poczuciu umiaru Chruszczowa.

Stąd powstaje pytanie co by było gdyby na Kremlu rządził ktoś inny, czy w razie odejścia czy śmierci Chruszczowa istnieją szanse utrzymania pokoju.

Konflikt kubański przedstawiany jest często jako rodzaj gigantycznej partii pokera między Kennedym a Chruszczowem — w rzeczywistości partnerów jest więcej. I stawką nie jest bynajmniej tutaj Kuba, czy Kuba i Berlin.

Rozgrywka toczy się na tle najważniejszego dzisiaj problemu: jaki kierunek przyjmie ewolucja obozu komunistycznego. Czy stojący w tej rozgrywce za plecami Chruszczowa Mao nie wyrwie mu kart z ręki. Czy utrzymają się przy władzy w ZSSR i krajach satelickich zwolennicy pokojowej koegzystencji.

Wojna w górach

Można parafrazować w różny sposób zdanie Clausewitza o tym, że wojna jest polityką prowadzoną innymi środkami, w każdym razie teraz igranie potencjałem wojennym jest elementem rozgrywki politycznej w skali światowej.

Kuba jest nie tylko najdalej na zachód wysuniętą rosyjską bazą strategiczną lecz także pozycją świata komunistycznego w walce o komunikację świata.

Ten ostateczny cel walki jest niezmienny, wspólny dla wszystkich komunistów. Tylko metody dojścia są różne. Gdy zaś za

Powyższy artykuł otrzymaliśmy z kraju w pierwszych dniach grudnia. Pochodzi on z tych samych kół co artykuł zamieszczony w nrze 176-ym.
(Red.)

każdą z metod stoi wielkie mocarstwo, którego możliwa prze-waga nad drugim wiąże się z przyjęciem i zwycięstwem danej metody — źródło komplikacji gotowe.

Polityka Mao w stosunku do Rosji jest jasna. Podobna do tej którą Stalin prowadził przed 1939 rokiem: niech się kłóć, niech wojują — my na tym zyskamy. Przekazane ze źródeł jugo-słowiańskich zdanie, przypisywane Mao, że „nie wiadomo wielu po wojnie atomowej zostanie Amerykanów i Rosjan, ale nas, Chińczyków, przynajmniej 300.000.000” — stanowi tło wielkiej gry.

Komunizm chiński był zawsze odrębny od komunizmu rosyjskiego. Zawierał szereg odstępstw od ortodoksji. Był mniej celem samym w sobie, co etapem dla realizacji wielkich zamierzeń czysto chińskich.

To że Mao broni teraz stalinizmu — jest sprawą przypadku. Kiedy po XX zjeździe Chruszczow, jakby przestraszony własnymi rewelacjami, sterował ku dogmatyzmowi — Mao ogłaszał teorię „Stu Kwiatów”. Kiedy Chruszczow pod wpływem wydarzeń zmuszony został do przeciwstawienia się dogmatykom u siebie — Mao wziął ich w obronę.

Konflikt narasta pewno od 1954 roku, to jest od czasu kiedy okazało się, że Rosja chce regulować ruch w Azji i gdzie indziej na świecie ponad głową Chin. Stało się to jasne przy okazji regulowania problemu Indochin.

Zajęcie pozycji dogmatycznej przynosi Mao ujemne skutki w kraju i dodatnie na świecie, tj. wszędzie tam gdzie lokalni komuniści dążą do akcji czynnej czy wojny. Polityka ta stwarza możliwości nacisku na Rosję ze strony Chin. Ale największe perspektywy leżą w trójkącie układu stosunków Rosja — Chiny — Indie.

Ułożenie sobie stosunków z Indiami było największym sukcesem Rosji w „trzecim świecie”. Równocześnie jednak to, że Rosja znajdowała pieniądze, ludzi i środki techniczne dla pomagania Indiom, odmawiając im w coraz większym stopniu Chinom, nie mogło nie drażnić władców Pekinu. Chińczycy wygrwali okoliczność tę na forum konwentykli z innymi partiami komunistycznymi wykazując brak „braterskiego podejścia” Rosjan.

Wszędzie partie podzieliły się na pro-rosyjską i pro-chińską, to jest partię „koegzystencji” i partię wojny.

Wybór momentu ataku chińskiego na Indie nie jest przypadkowy. Chodziło o zmuszenie Chruszczowa do wyboru między utratą autorytetu w świecie komunistycznym (jeżeli wypowie się za Indiami i „zdradzi” jedność świata komunistycznego), a zniszczeniem tego pewnego prestiżu wśród neutralów, jaki zdobył on sobie przez politykę popierania tak zwanych „narodowych burżuazji” (w wypadku wypowiedzenia się za Chinami).

Wstępne „ostrzeliwanie pozycji” Chruszczowa rozpoczęli, jak zwykle, Albańczycy. W połowie października „Zeri i Populit” zaatakował już osobiście Chruszczowa jako rewizjonistę, grożąc rozłamem obozu komunistycznego.

Widmo rozłamu

Ewentualność rozłamu w obozie komunistycznym jest zapewne obecnie problemem numer 1 przed którym stoją przywódcy sowieccy. Nie potrzeba chyba przypominać do jakiego stopnia była wykorzystywana „jedność marszu” i jak dalece przez całe lata partie komunistyczne na świecie były agenturami imperializmu rosyjskiego.

Było to jednak możliwe w okresie „socjalizmu w jednym kraju”, czy także wtedy kiedy pod władzę Rosji dostały się małe państwa Europy Środkowo-Wschodniej. Prymat Sowietów jednak nie był nigdy w pełni uznawany przez Chiny.

Do tego sprzeczne interesy w Azji. No, i bliskość przeludnionych Chin i rzadko zaludnionej a bogatej Syberii.

Próby godzenia (podjęte między innymi w czerwcu 1961 roku przez Gomułkę w Bukareszcie) nie udają się. Stosunki pogarszają się ale zewnętrzne pozory, choć z coraz większym trudem, były zachowywane.

Równocześnie świadomość tego konfliktu doszła do szerokiej publiczności. Stroną atakującą są teraz Chińczycy. W partiach wszystkich krajów istnieją odcienie „chiński” i „sowiecki”. Równocześnie z drugiej strony, od „zarażonej” rewizjonizmem partii włoskiej wychodzą sugestie policentryzmu.

Vendetty bałkańskie

Bałkany stały się ośrodkiem, w którym o miedzę sąsiadują: rewizjonizm jugosłowiański i dogmatyzm chińsko-albański. Tym ważniejszą jest pozycja Bułgarii. Partia bułgarska niechętnie odnosiła się do Chruszczowa choć oficjalnie trzymała się jego linii. Z Sofii pochodziły złośliwości na temat „ukrainizacji” góry partyjno rządowej w Sowietach za rządów Chruszczowa.

W 1958 roku Żywkow odbył pielgrzymkę do Chin i wrócił zachwycony „wielkim skokiem”. Próbował on realizować wzmożone tempo rozwoju przemysłu i rolnictwa w Bułgarii z rezultatem ujemnym.

Polscy komuniści odwiedzający Bułgarię w ostatnich czasach opowiadali o arogancji z jaką Bułgarzy występowali jako stróże słusznej drogi, wobec uważanych po 1956 r. niemal za zdrajców przedstawicieli partii polskiej.

Po XX zjeździe KPZR w Bułgarii mało się zmieniło. Warna przestała się nazywać Stalinin i stała się znowu Warną. Odszedł na plan dalszy Czerwenkow. Władzę podzielili Żywkow — jako pierwszy sekretarz i Jugow — jako premier. Obydwaj reprezentowali poglądy jak najbardziej „dogmatyczne”. Przez szereg lat, a zwłaszcza po polskich i węgierskich wydarzeniach 1956 roku, kierownictwo partii bułgarskiej występowało niezmiennie prze-

ciwko „prawicowym oportunistom” i „rewizjonistom”. Wprawdzie jeszcze przedtem, bo w czasie tzw. „kwietniowego Plenum” 1956 r. potępiony został oficjalnie kult jednostki i zrehabilitowany był pośmiertnie Kostow, ale później, przy wszystkich okazjach, przywódcy partii bułgarskiej widzieli nadal największą groźbę w rewizjonizmie.

Nieśmiałe żądania liberalizacji (wysuwane m.in. przez grupę Terpeszowa i Panowa) skończyły się jak najgorzej dla postulujących. W trzymaniu się „twardej” linii partia bułgarska znalazła się tuż obok albańskiej i wschodnio-niemieckiej.

Nastąpiła później seria załamań gospodarczych, zwłaszcza nie dopisały wielkie plany szybkiego rozwoju rolnictwa. Nie wystarczyłoby to jednak dla wstrząśnięcia podstawami partii. Po XX zjeździe Żywkow zaczął próbować odcinać się energiczniej od kultu jednostki, przebąkując o wadach „sekiarskiego” podejścia do zjawisk politycznych i gospodarczych.

Nic jednak nie wróżyło tego co się stało ostatnio na VIII zjeździe partii, to jest brutalnej dymisji Jugowa i szeregu innych z dawnej „wierchuszki” partyjno-rządowej. W sprawach zasadniczych, w stosunku do takich problemów jak dogmatyzm czy rewizjonizm, pomiędzy Żywkowem a Jugowem nie było, przynajmniej na zewnątrz, żadnych różnic. Czynnikiem Jugowa wyjątkowo odpowiedzialnym za śmierć Kostowa nie wygląda przekonywująco, bo Jugow został premierem właśnie w 1956 roku kiedy zrehabilitowano Kostowa i kiedy potępiono kult jednostki.

A więc?

Wygląda na to, że wchodziły tu w grę inne motywy. Dymisja Jugowa była przeprowadzona na rozkaz Kremla, w pośpiechu, bez uprzedniego przygotowania. Przyczyn można się tylko domyślać. Najprawdopodobniej wchodzi tu w grę jakieś ciche konszachty części aparatu bułgarskiego (przede wszystkim dawnego aparatu Bezpieczeństwa) z Albańczykami, a poprzez nich z Chińczykami. Jest rzeczą możliwą także, że w Bułgarii znaleźli oparcie, a i możliwość komunikowania się z Chinami, przedstawiciele „grupy antypartyjnej” samego Związku Radzieckiego. (Jugow jako zięć Szołochowa miał stosunki w Rosji, które pozwalały mu sięgać do różnych kół).

Prócz tego właśnie w tych kołach mogły istnieć większe niż gdzie indziej opory przeciwko polityce poprawy stosunków z Jugosławią. Niezrozumienie Rosji dla aspiracji bułgarskich, zwłaszcza w sprawie macedońskiej, sięga jeszcze czasów „wielkiego” Dymitrowa. Stąd jego kłopoty, o których nie zapomniał chyba jego istniejący jeszcze klan rodzinny z Czerwenkowem na czele. Wykluczenie z partii Czerwenkowa na świeżo zakończonym zjeździe było dla partii bułgarskiej nie mniejszym szokiem jak dymisja Jugowa.

Tak czy inaczej VIII zjazd partii bułgarskiej dowiódł jednego bez żadnej wątpliwości: że dla Chruszczowa było sprawą pilną i ważną, żeby mieć sytuację w Bułgarii dobrze w rękach.

Dowiódł także — jeśli trzeba było jeszcze tego dowodzić — że w razie potrzeby kierownictwo partii rosyjskiej mało liczy się z poglądami partii w krajach satelickich. Partia bułgarska została przywołana ostro do porządku, a postępowanie Żywkowa na tym zjeździe było po prostu wiernym wykonaniem rozkazów. Spośród pierwszych sekretarzy w krajach satelickich Żywkow uważany jest za najgłupszego i najprymitywniejszego. Wierność rozkazom Moskwy staje się teraz głównym, i jedynym chyba, jego atutem. Przypadła mu trudna rola — jemu dogmatykowi i staliniście — przeprowadzenie destalinizacji na terenie Bułgarii. Można się spodziewać jak będzie to wyglądać...

Jest rzeczą charakterystyczną, że KPZR na zjeździe w Sofii reprezentował Susłow, uważany za najbardziej dogmatycznego z obecnych przywódców sowieckich. Czy został wysłany właśnie po to, by jemu przypadło w udziale polemizować z Wu-Hsiu-Chuanem „ideologiem” chińskim? Znając przemyślność taktyki komunistycznej w podobnych wypadkach nie należy uważać tego za wykluczone. Chodziło widać o to, by i on miał za sobą mosty spalone. A może wysłano go do Sofii bo gwiazda jego podobno blednie, a więc wyznaczono mu tę rolę jako „drugiemu garniturowi”?

Niemniej ciekawe jest wydelegowanie na zjazd sofijski ze strony PZPR Romana Zambrowskiego. Przecięcie mu drogi do Chin? Zambrowski nolens volens zbliżył się raczej do kół antydogmatycznych w Polsce. Drugi garnitur? W ciągu ostatnich miesięcy Zambrowski zrobił wszystko możliwe w kraju i zagranicą (łącznie z inspirowaniem prasy burżuazyjnej na Zachodzie a nawet pewnych ośrodków emigracyjnych) by dowieść, że jest jak najbardziej „pierwszym garniturem” i że atakom „partyzantów” nie da się.

Młodzi złośliwcy partyjni z PZPR twierdzą, że Zambrowski został wysłany do Sofii, by móc powtórzyć Cyrankiewiczowi na zasadzie przykładu Jugowa, jak łatwo można być „zdjętym” ze stanowiska premiera. A podobno on najlepiej potrafi to powtórzyć...

Nad Dunajem

Zjazd partii węgierskiej zapowiadał się w zasadzie znacznie mniej sensacyjnie od zjazdu bułgarskiego. Kadar już od szeregu lat jest jak najbardziej „na linii” Chruszczowa. Wystąpienie jego na zjeździe nie przyniosło pod tym względem niespodzianek.

Stary Kuusinen był dla podróżującego ze zjazdu na zjazd Wu-Hsiu-Chuana słabszym przeciwnikiem. Lecz starcie rosyjsko-chińskie było w Budapeszcie nie słabsze niż w Sofii. Więcej: ostrość starcia dowodziła, że nic nie zostało wyrównane ani załagodzone. Starcie w Sofii można było uważać jeszcze za wyjątek. Powtórzenie polemiki w Budapeszcie uczyniło z niej regułę.

Punkty ataku chińskiego były podobne: niewłaściwe załatwienie przez Chruszczowa sprawy kubańskiej, dwuznaczne zachowanie w sprawie sporu chińsko-indyjskiego. Węgrom dostało się od Chińczyków za „niesłuszne ataki” na Albanę. Niezapomniany został w Filipie chińskiej oczywiście i zdrajca oraz sługa imperialistów — Tito.

W wystąpieniach Kuusinen a także Ochaba (który w Budapeszcie reprezentował PZPR) Albańczyków określono jako „dysydentów”. Przymiotnik ten godny jest uwagi. Oznacza, że teraz idzie rzecz o wyłączenie partii albańskiej ze społeczności partii komunistycznych. Nie byli oni zaproszeni ani do Sofii ani do Budapesztu. Określenie Albańczyków jako „dysydentów” niesie zarazem w sobie groźbę uznania tych, którzy za nimi stoją, za odszczepieńców od prawdziwej linii komunizmu, to jest — linii rosyjskiej. W ten sposób partie wierne Chruszczowowi zajmują jakby pozycje wyjściowe do ustalenia z czyjej winy nastąpił rozłam — jeśliby dojdź miało do rozłamu.

Czy rozłam?

Polemika chińsko-rosyjska na zjazdach partii satelickich jest już właściwie dowodem rozłamu. Chińczycy nie są bynajmniej odosobnieni. Razem z Albańczykami stoją za nimi: potężna partia Indonezji, partia burmańska, koreańska, a także wahająca się do niedawna partia wietnamska.

Jednym słowem cała komunistyczna Azja południowo-wschodnia.

Chińczycy uderzyli zarówno w Sofii jak i w Budapeszcie w ton, który nie mógł pozostać bez echa. Wystąpili oni jako rzecznicy swobody poszczególnych partii w regulowaniu swych własnych spraw. Kto pamięta jak w Polsce, w październiku 1956 r., cytowano poparcie Chin jako argument w sporze z Rosją ten nie może nie docenić znaczenia siły przyciągającej argumentacji chińskiej dla partii satelickich, zbyt silnie odczuwających opiekę „wielkiego brata” z Moskwy.

W ten sposób dzięki splutowi sprzecznych interesów dogmatycy chińscy w pewnej mierze stają się rzecznikami „policentryzmu” tak jak zarażona rewizjonizmem partia włoska, a partie polska i węgierska, które w 1956 r. buntowały się przeciwko ciężkiej łapie rosyjskiej, zadowolone z „liberalizmu” Chruszczowa idą z nim krok w krok!

Obraz stosunków międzypartyjnych staje się więc coraz bardziej skomplikowaną szachownicą. Walka coraz ostrzejsza. Trudno przedstawić sobie by miało tak trwać długo. Ale nikt nie będzie chciał wziąć na siebie odium rozłamu w światowym ruchu komunistycznym. Toteż laufry i wieże na tej szachownicy przesuwane będą ostrożnie. Chodzi o zmuszenie przeciwnika do decydujących posunięć, do utraty cierpliwości. Tymczasem „dysydentem” jest tylko partia albańska...

Ostatni pomnik Stalina

Jeśli zjazd partii bułgarskiej był prologiem w otwartej już rundzie starć między Rosją a Chinami, a zjazd partii węgierskiej tylko rodzajem intermezza, to zjazd partii czeskosłowackiej zapowiada się bardzo interesująco (1).

W zasadzie Novotnemu miałyby przypaść rola podobna do roli Żywkowa: stalinowca przeprowadzającego destalinizację. Jednakże w jego wypadku sprawa nie wygląda prosto.

Ostatnio Novotny zaczął robić wysiłki dla uratowania swej sytuacji. Wbrew pierwotnemu założeniu, że dopiero zjazd partii zdecydował o zniesieniu monstrualnego pomnika Stalina w Pradze — przed kilku tygodniami zaczęto go na gwałt rozbierać.

Czy Chruszczow zaakceptuje jednak tę spóźnioną gorliwość? Czy przejdzie do porządku dziennego nad metodą postępowania wobec Baraka, przypominającą najlepsze czasy „beriowszczyzny”?

Przypadek Jugowa wykazał jak się usuwa premierów. Czy w Pradze zostanie zdjęty pierwszy sekretarz? „Anton” Novotny liczy na swoich popleczników. Czy nie zawiodą w razie jeśli stanąć mieliby twarzą w twarz z gniewem Chruszczowa?

Czechosłowacja odgrywa ważną rolę jako arsenał bloku państw układu Warszawskiego, a także jako punkt oparcia dla akcji misyjnej w krajach nierozwiniętych, gdzie coraz silniej ścierają się interesy rosyjskie z chińskimi. Czy może więc pozostać w niepewnych rękach?...

Sprytniej od Novotnego urządził się Ulbricht, który już dostatecznie wcześniej, bo na dwa miesiące przed zjazdem swej partii (który ma się odbyć w styczniu 1963 r.), wywinął całkowitego koziołka jako jeszcze jeden kandydat na „destalinizatora”. Przedtem jeszcze (chyba już w swej nowej roli) fetował Gomułkę. A co będzie z Harichem i tymi innymi, którzy parę lat temu zapatrzili się na „polski październik” (ten z 1956 r.)?

A w samej Rosji?

Jeżeli starcia chińsko-rosyjskie na zjazdach partii satelickich przybrały tak ostrą formę to i w samej Rosji echo ostatnich wydarzeń musiało być niemałe.

Sprawa kubańska początkowo nie przyniosła uszczerbku Chruszczowowi w opinii rosyjskiej. Przeciwnie — wyszedł na „anioła pokoju”. Nikt w gruncie rzeczy nie chciał ryzykować wojny atomowej o Fidela Castro (dobry opis nastrojów w Moskwie zawiera artykuł „What Ivan knows about Cuba”, *Newsweek* z 12 listopada 1962).

Co innego jednak teraz — po atakach chińskich.

(1) Artykuł był pisany przed ukończeniem Zjazdu partii czeskosłowackiej. (Red.).

W tych warunkach ogłoszenie przez „Nowy Mir” „Dziennika Iwana Demisowicza” nie jest przypadkiem. Raz jeszcze przez opór dogmatyków Chruszczow został zmuszony do zrobienia dalszego kroku w walce ze stalinizmem. Ogłoszenie tego dziennika przyszło po wierszu przeciwko „Następcom Stalina”, a w tym samym czasie co rewelacje Sergieja Pawłowa, na plenum KC PZPR, że Stalin chciał z komsomołu zrobić organizację szpiegowską (charakterystyczne jest „złagodzenie” tego ustępu w prasie warszawskiej).

Nie wystarczyły więc akty XXII zjazdu KPZR. Trzeba było dalszych rewelacji. Wszyscy na całym świecie o tym wiedzieli. W Rosji też. Ale żeby tak pisać czarno na białym! Chruszczow widać znowu musi walczyć o swoją głowę.

Kłopoty z Chinami i dogmatykami nie są jedynymi jego trudnościami.

Są sprawy gospodarcze, które idą źle. Nieskończone próby reform są tego dowodem. Wygląda na to, że po prostu nie może sobie dać rady z administracją gospodarczą. Stąd dziwny pomysł zrobienia z partii organu bezpośredniego zarządzenia przemysłem i rolnictwem poprzez nadanie jej dwudzielnej struktury.

Czy taka struktura partii pomoże w przewycięzeniu trudności gospodarczych? Na początku wzmoże tylko bałagan.

Rosja, jako państwo w znacznym już stopniu przemysłowe, o licznej już klasie robotniczej, mającej swoje wymagania, o wielkich wydatkach zbrojeniowych i licznych zobowiązaniach politycznych jest po prostu zbyt skomplikowaną maszyną dla prymitywnych aparatczyków czy to z administracji państwowej czy z partii. Całe lata złego szkolenia kadr mszczą się teraz straszliwie.

Prawdopodobnie więc i ta jeszcze jedna reforma Chruszczowa nie wiele pomoże.

A pozostaje nierozwiązalny problem rolnictwa. Coraz głośniej się mówi w Warszawie że rolniczy „model polski” staje się natchnieniem, nawet jeśli idzie o indywidualną gospodarke chłopską.

Na swojską nutę

Wśród tylu wydarzeń w świecie komunistycznym o Polsce jakoś ucichło, po licznych rewelacjach, którymi rozbrzmiewała prasa zachodnia w okresie letnim.

Cisza ta nie dowodzi bynajmniej, że nic się tam nie dzieje. Przeciwnie doszło do dalszego zaostrzenia walk klikowych, dla których wydarzenia o miedzę stanowią obfitą pożywkę.

Trzy czy czterokrotnie odkładane plenum KC PZPR nie odbyło się (1). Widać kierownictwo partii nie jest pewne jaki miałoby przebieg.

(1) Zostało zwołane 17 grudnia 1962 r.

Rola Gomułki wśród „bratnich partii” wzrosła ostatnio, gdyż z inicjatywy polskiej zajęto się sprawą usprawnienia podziału pracy w ramach RPWG. Jednakże przy bałaganie jaki w zakresie spraw gospodarczych istnieje w poszczególnych krajach bloku socjalistycznego, a także i w samej Rosji, trudno spodziewać się, że RPWG mogło dobrze działać.

Wszędzie przerabiane są plany produkcyjne, znowu koniec bieżącej pięciolatki i następna pięciolatka stanowią nową siedmiolatkę. Reklamowane swego czasu tak szumnie długoterminowe umowy handlowe między krajami socjalistycznymi są niedotrzymywane i przerabiane. Ubytek dostaw chińskich odbija się poważnie na gospodarce takiej np. Czechosłowacji.

Krytyki z jakimi we wszystkich krajach RPWG spotyka się system centralnego planowania rozbrzmiewają i w Polsce. Jędrychowski i jego sztab najwyraźniej nie dają sobie rady z planowaniem. Można by wysunąć brzmiące paradoksalnie twierdzenie, że rozwój gospodarczy Polski był stosunkowo szybszy od rozwoju umysłowego aparatu planującego, co jeszcze wiele nie oznacza, gdyż, jak wiadomo, polscy planiści są jedynie dobrzy do robienia zamieszania w głowach rozmaitych mętnych typów z krajów mniej rozwiniętych, których pouczają.

Hasło „lepiej planować” spotyka się z odpowiedzią, że nie planowanie winno a rozluźnienie dyscypliny. Chodzi o dyscyplinę pracy o niewykonywanie planów, lecz także o kradzieże. A więc więcej kontroli, więcej dyscypliny. Hasło to przyświeca kandydatom do roli „zamordystów”. W tym charakterze występują przede wszystkim „partyzanci”, chociaż ze strony „starych bolszewików” dają do rozumienia, że dawne autorytety także dałyby sobie radę. Tkwi w tym zapewne błąd, gdyż dawna kategoria „właścicieli Polski” jest powszechnie znieawidzona.

Wydarzenia zewnętrzne są w gruncie rzeczy nie na rękę Gomułce. Liberalizm Chruszczowa utrudnia mu manewrowanie w Polsce. Jeżeli w Rosji wolno pisać jest o życiu w łagrach — dlaczego nie w Polsce. I znowu rysuje się wielki cień sprawy katyńskiej i niepotrzebnych kłamstw Gomułki na ten temat zaledwie sprzed roku.

Wobec tego co dzieje się w Polsce coraz trudniej przychodzić będzie Gomułce obstawanie przy poglądzie, że destalinizacja w Polsce skończyła się w roku 1956.

Atmosfera przypomina trochę sytuację z przełomu 1955 i 1956 roku, kiedy wyraźnie już były błędy planu sześcioletniego.

Rozwiązanie „à la Gomułka” byłoby jakąś formą zamordyzmu. W Warszawie twierdzą, że wielkim żalem Gomułki po wizycie w Berlinie u Ulbrichta jest to, że nie wie gdzie mogłby wybudować taki mur, jaki jego berliński kolega sobie zafundował.

„Partyzanci” podniesieni na duchu utworzeniem w Rosji aparatu kontroli pod władzą Szełjepina widzą w tym wzór i dla Polski. Inni domagają się „zbadania przyczyn dzięki którym

doszło do kultu jednostki", co pośrednio uderzać ma w aparat kontroli i bezpieczeństwa.

Przebąkiwania o przyśpieszeniu daty IV Zjazdu, który i tak powinien się w przyszłym roku odbyć, stwarzają atmosferę płynności i niepewności.

Przeciętnego obywatela mało obchodzi kto przeciągnie linię na swą stronę: Kliszko i Strzelecki czy Zambrowski. Widzi on nieudolność i korupcję czynników partyjnych, bałagan, którego źródło tkwi w samym aparacie KC. Niczego dobrego się też nie spodziewa. I tak Gomułka, który mógłby wygrać na tym co się dzieje na szachownicy komunistycznej — nie wygrywa. Z uporem godnym lepszej sprawy próbuje wciąż płynąć pod prąd.

Sąsiedzi

TOM LXXXIII

BIBLIOTEKI « KULTURY »

SERIA „DOKUMENTY” NR 11

6 LAT TEMU...

(KULISY POLSKIEGO PAŹDZIERNIKA)

„Jest to zbiór dokumentów dotychczas niepublikowanych, dotyczących okresu 1956/57. Trzeba było wielu lat nieustannych wysiłków i zachodów, by zdobyć te materiały. Wśród tych dokumentów Czytelnik znajdzie nieznanne „białe kruki”, jak na przykład słynny artykuł Stefana Kurowskiego pt. „Apatia — czyli w poszukiwaniu celu”, który ukazał się w skonfiskowanym w całości przez cenzurę ostatnim numerze „Po Prostu” z dnia 7 września 1957 r.”.

Stron 200

Cena egz. 10 NF (15/-; \$ 2,25)

Sytuacja na Ukrainie sowieckiej

Trudno powiedzieć coś dokładniejszego o obecnej sytuacji na Ukrainie sowieckiej nie poświęciwszy przedtem nieco uwagi okresowi od zakończenia drugiej wojny światowej do śmierci Stalina. Trudno byłoby w innym wypadku zrozumieć jak było to możliwe, że mimo terroru stalinowskiego, mimo skoncentrowanego ataku na kulturę ukraińską dziś każdy Ukraińiec może z dumą patrzeć na to, co się dzieje na Ukrainie.

W artykule tym musimy zrezygnować z zajmowania się szczegółami i oświetlania szeregu wydarzeń specjalnie na odcinku gospodarczym. To ostatnie odczuwa autor tych słów szczególnie boleśnie, jako że długoletnie studium życia w Sowietach przekonało go, że właśnie na odcinku życia gospodarczego powstają impulsy prowadzące do uzdrowienia stosunków w ZSSR i do „demokratyzacji” systemu. Gospodarka Ukrainy sowieckiej odegra tu niewątpliwie wielką rolę.

Na Zachodzie jeszcze dziś ma się fałszywe wyobrażenia o Ukrainie. Zapewne i obecnie jest ona krajem falujących łądów pszenicznych i malowniczych wiosek, ale co innego decyduje o charakterze tego kraju. Ukraina należy do najbardziej uprzemysłowionych części Związku Sowieckiego, co czwarta wyprodukowana w Sowietach maszyna pochodzi z fabryk ukraińskich. Ludność Ukrainy wynosi dziś 43 miliony, w tym 32,1 milionów Ukraińców (w całym Związku Sowieckim jest ich 37,2 milionów). Według danych ostatniego spisu ludności z roku 1959 liczba wysoko i średnio wykwalifikowanych specjalistów narodowości ukraińskiej w gospodarce sowieckiej wynosi z górą 1,3 miliona zaś fachowców z wyższym wykształceniem jest ponad pół mi-

liona. Według oficjalnych danych z roku 1961 udział Ukrainy w ogólnosowieckiej produkcji wynosił:

węgiel	— 33,6%	wyr. walcowane	41,8%
surówka żelaza	51,8%	traktory	36,4%
stal	— 39,7%	cukier	60,7%

Na 9,6 milionów członków i kandydatów partii komunistycznej w Sowietach liczba członków i kandydatów KP Ukrainy wynosi 1,4 milionów. 1.412.200 członków i kandydatów KP Związku Sowieckiego podało swoją przynależność narodową jako „ukraińską” (stan z I. VII. 1961 r.).

W następujących rozważaniach ograniczymy się do scharakteryzowania politycznej sytuacji na Ukrainie. Jak już wspomnieliśmy nie da się przy tym pominąć omówienia pokrótce wydarzeń z lat 1945-53.

Rola „klanu partyzanckiego” do roku 1953

Po zakończeniu wojny Stalin rozpiął we wszystkich prawie republikach sowieckich dziki terror na odcinku kadr partyjnych i ideologicznym. W okresie tym zrodził się osławiony termin „żdanowszczyzna”. Słowo to utworzone zostało z nazwiska Żdanowa, który był wówczas sekretarzem KC i jednym z najbliższych współpracowników Stalina. On był *spiritus movens* przy dociskaniu śruby na odcinku ideologicznym i kulturalnym. Choć wydarzenia te są w całym świecie znane, wiele źródeł zachodnich oświetla w niewłaściwy sposób przyczyny powstania żdanowszczyzny.

Zdaniem różnych sowietologów właściwym tłem wydarzeń powojennych w Sowietach była walka o władzę między Malenkowem a Żdanowem. Dziś istnieje dość dowodów na to, żeby uznać to przypuszczenie za absurd. Przyczyny żdanowszczyzny były znacznie prostsze. Dokumenty ogłoszone po śmierci Stalina należy traktować z zastrzeżeniem, jednak wyjaśnienie umieszczone w ostatnio wydanej „Historii KPZS” wydaje się przekonujące: chorobliwie nieufny Stalin przeceniał znaczenie wpływu propagandy hitlerowskiej na ludność sowiecką. Stalina przestrażył fakt, że podczas wojny tysiące żołnierzy, jeńców wojennych i robotników przez dłuższy czas przebywało poza granicami Związku i zakosztowało zachodniego stylu życia. Ponieważ w ówczesnym kierownictwie partyjnym Żdanow był jedynym prawdziwym teoretykiem, przeznaczono go do roli chirurga, który przy pomocy lancetu miał przeprowadzić „wzmocnienie kręgosłupa” ludności sowieckiej.

Żdanowszczyzna uderzała w intelektualistów i pisarzy w całym Sowietach; jej celem stała się jednak głównie Ukraina, choćby dlatego, że terytorium tej republiki było podczas ostatniej wojny całkowicie okupowane przez Niemców. Stalin upatry-

wał więc w Ukrainie największe niebezpieczeństwo. Mniejsze narody, jak Czeceńcy, Inguszowie i Tatarzy krymscy zostali przez Stalina po prostu w całości deportowane, łącznie ze starcami, dziećmi i członkami partii. Na XX zjeździe partyjnym Chruszczow powiedział: „Ukraińcy uniknęli tego losu tylko dlatego, że byli zbyt liczni i nie było miejsca, dokąd można by było ich deportować. Gdyby nie to, i ich deportowano by bez wątpienia”...

Niemniej ważne były uderzenia Stalina w kadry partyjne. Nastąpiły one wówczas w Moskwie, Leningradzie, Gruzji i w innych republikach. „Sprawa leningradzka”, w której utraciło życie wiele dziesiątków komunistów wraz z rodzinami (pośród nich znany teoretyk gospodarczy, Wozniesienskij) stała się dziś pojęciem równie znanym jak sprawa „krymska”, połączona z likwidacją żydowskiej elity kulturalnej lub sprawa „mingrelicka”, która przyczyniła się do śmierci wielu komunistów gruzińskich. Trzeba tu jeszcze wspomnieć o dwóch falach terroru w Armenii połączonych z masowymi aresztowaniami i likwidacją tamtejszych kadr partyjnych.

Powstaje uzasadnione pytanie dlaczego nic podobnego nie zaszło na Ukrainie sowieckiej, dlaczego nie udało się Stalinowi przeprowadzić poważniejszych procesów przeciw komunistom ukraińskim ani zdzięsiętkować (jak było planowane) tamtejszej inteligencji. Szereg faktów wskazuje na to, że Stalin zmierzał konsekwentnie do zrealizowania tego planu. W marcu 1947 roku Kaganowicz został, na miejsce Chruszczowa, I sekretarzem KP Ukrainy. Kaganowicz skonstruował tezę, że czołowi przedstawiciele kultury ukraińskiej, jak Rylskij, Sosjura i wielu innych, są „nacjonalistami”. Osobiście przygotowywał przeciwko nim proces pokazowy i żądał zwołania nadzwyczajnego plenum KC kompartii ukraińskiej, które miało się zająć problemem „nacjonalizmu” na Ukrainie. Mimo to nie doszło do planowanej „drugiej jeżowszczyzny”. Dlaczego tak się stało?

W oparciu o znane dziś materiały można, jak sądzę, łatwo i ze sporą dozą prawdopodobieństwa odpowiedzieć na to pytanie. Przyczyn należy szukać w dość skomplikowanych wydarzeniach z czasu drugiej wojny światowej. Stalin i cała „wierchuszka” partyjna byli pewni, że Niemcy utworzą na Ukrainie państwo satelickie, podobnie jak to uczynili w Serbii i Kroacji. W przypuszczeniach tych utwierdzał ich fakt, że radykalne skrzydło nacjonalistów ukraińskich orientowało się (przynajmniej do roku 1941) na „nową Europę” i nie wykluczało powstania w tej konstelacji „wolnej Ukrainy”. Nawet gdy później przywódcy nacjonalistów ukraińskich znaleźli się w niemieckich kacetach, Stalin i jego zwolennicy nie wykluczali możliwości zmiany polityki niemieckiej na odcinku ukraińskim. I dlatego ukraińska polityka Sowietów w czasie II wojny światowej odznaczała się pewnym „liberalizmem”. Wyraziło się to np. w fakcie, że organizując na Ukrainie komunistyczną partyzantkę postawiono na jej czele głównie Ukraińców, którzy posługiwali się hasłami o zabarwieniu

nacjonalistycznym. W owym czasie powstał ów ważny w historii Ukrainy fenomen socjologiczny, tzw. „klan partyzancki”. Należeli do niego m.in. D.S. Korotczenko, W.A. Begma, W.M. Drużynin, S.A. Kowpak, M.I. Naumow, I.S. Popudrenko, S.W. Rudnew, O.M. Saburow, T.A. Strokacz i O.F. Fedorow. W trudnym okresie walki z Niemcami i z jednostkami nacjonalistycznej UPA-y rozwinęło się w tym klanie poczucie solidarności, powstała wspólnota ludzi, których przyjaźń ugruntowywała się w ciężkich warunkach walk partyzanckich. Po wojnie przedstawiciele klanu partyzanckiego znaleźli się na wszystkich ważniejszych stanowiskach partyjnych i państwowych na Ukrainie. Zbliżoną do klanu partyzanckiego była grupa ukraińskich funkcjonariuszy sowiektów wojskowych, które często operowały na zapleczu wroga, w pobliżu linii frontu. Pojawiają się tu takie nazwiska, jak: L.I. Brezniew, M.O. Burmistenko, A.I. Gajewoj, G.J. Hryszko, I.S. Hruszeczyk, A.A. Jepiszew, A.P. Kirylenko, L.R. Kornijec, P.M. Lubawin, S.T. Serdiuk i in.

Ukraina była jedyną republiką sowiecką, w której na skutek wymienionych okoliczności *solidarność biurokracji partyjnej i państwowej stała się czynnikiem o wadze historycznej*. Fakt ten sformułował najlepiej pisarz Andryj Malyszko na kijowskim zebraniu literatów, w lipcu 1957 roku, gdy inteligencja ukraińska wyrażała zadowolenie z ostatecznego odsunięcia w cień Kaganowicza: „Być może widzieliście kiedy lot żurawi. Gdy jednego z ptaków zawadzą siły — inne pomagają mu w dalszym locie. Także i my, choć nie żurawie, ale zahartowani leninisci, nie wydamy żadnego z naszych towarzyszy na pastwę wroga!”.

Solidarność biurokracji partyjnej nie była oczywiście wyrazem opozycji politycznej ale w pierwszym rządzie podyktował ją instykt samozachowawczy. Solidarności tej zawdzięczają jednak Ukraińcy udaremnienie planów Stalina. Aparat stalinowski dopiero w roku 1953 przygotowywał wielkie uderzenie przeciw Ukrainie, ale udaremniła je śmierć dyktatora, 5 marca tegoż roku.

Szybka emancypacja KP Ukrainy

W przeciwieństwie do innych organizacji partyjnych, kierownictwo KP Ukrainy, już od pierwszych dni po śmierci dyktatora popierało Chruszczowa. Fakt, że postawiono od razu na właściwą kartę przyniósł kierownictwu ukraińskiemu niezwykle korzyści, aczkolwiek ściśle trzymanie się linii Chruszczowa nie zawsze odpowiadało podstawowym interesom republiki ukraińskiej. Wzrosło ogromnie znaczenie KP Ukrainy w skali ogólnosowieckiej, stała się ona rodzajem rezerwuaru kadr na stanowiska kierownicze w Moskwie. Na czołowe stanowiska w hierarchii sowieckiej zaawansowali po śmierci Stalina następujący ukraińscy przywódcy partyzanccy: L.I. Brezniew — Przewodniczący

prezydium Rady Najwyższej ZSSR. G.W. Jeniutin — przewodniczący komisji kontroli państwowej przy radzie ministrów ZSSR, A.A. Jepiszew — kierownik głównego zarządu politycznego armii i floty; A.P. Kirylenko — członek prezydium KC KPZS i pierwszy wiceprzewodniczący biura KC KPZS w rosyjskiej republice federalnej (RSFSR); L.R. Kornijec — pierwszy wiceprzewodniczący państwowego komitetu skupu przy radzie ministrów ZSSR; M.A. Leseczko — przewodniczący dla spraw handlu zagranicznego przy radzie ministrów ZSSR; D.S. Poljansky — przewodniczący rady ministrów republiki rosyjskiej (RSFSR); R.A. Rudenko — prokurator generalny ZSSR; S.T. Serdiuk — pierwszy wiceprzewodniczący komisji kontroli partyjnej przy KC KPZS; S.A. Skaczkow — przewodniczący państwowego komitetu współpracy gospodarczej z zagranicą przy radzie ministrów ZSSR, oraz szereg innych.

W następnych latach naród ukraiński zaawansował do roli „drugiego” co do ważności narodu w Sowietach. Nowy kurs Moskwy wyraził się w „podarowaniu” Krymu republice ukraińskiej. Szereg tendencji ogólnosowieckich, jak „powrót do praworządności socjalistycznej”, kurs na decentralizację i rozszerzenie uprawnień republik na odcinku gospodarczym, przyczyniły się do wzmocnienia procesu emancypacji ukraińskiej biurokracji partyjnej.

Głównym znamieniem tego okresu jest jednak *walka o rehabilitację ofiar stalinowskich na Ukrainie sowieckiej*. Odróżniała się ona zasadniczo od podobnych dążeń w kierownictwie KPZS na płaszczyźnie ogólnosowieckiej. Historia KPZS nie zna ani jednego wypadku czystki z powodu „szowinizmu wielkoruskiego”, natomiast wszystkie akcje niszczyielskie na Ukrainie przeprowadzane były pod hasłem „walki z mieszczańskim nacjonalizmem ukraińskim”. Na płaszczyźnie ogólnosowieckiej przeprowadzano rehabilitacje czołowych komunistów w partii i armii powołując się na przesłanki etyczne i na „powrót do prawdy dziejowej”. Akcje rehabilitacyjne na Ukrainie miały natomiast przysłużyć się kulturze narodowej. W roku 1956 pojawił się *ruch „przeciw ubożeniu ukraińskiej literatury i kultury”*. Dążenia rehabilitacyjne szły głównie w trzech kierunkach i dotyczyły: 1. przedstawicieli życia kulturalnego, prześladowanych lub zlikwidowanych w latach dwudziestych i trzydziestych oraz w okresie żdanowszczyzny; 2. zlikwidowanych ukraińskich przywódców komunistycznych; 3. przedstawicieli życia politycznego i kulturalnego, którzy nie stali się wprawdzie ofiarami Stalina, ale którzy znaleźli się na czarnej liście jako „burżuazyjni nacjonałisci” i „formaliści” i zostali wymazani z literatury i historii sowieckiej Ukrainy.

W społeczeństwie ukraińskim pojawiły się siły, które poszły znacznie dalej niż sobie życzyła partia. Potępione przez Stalina prądy, jak „borot’bizm” czy „ukapizm” próbowano analizować i przedstawić z dużą dozą naukowego obiektywizmu. W roku 1956

podjęto pierwsze starania rehabilitacji Skrypnyka i domagano się w ogóle pełnej rehabilitacji ofiar lat dwudziestych i trzydziestych. Na odcinku kulturalnym najłatwiej poszła rehabilitacja prześladowanych przez Żdanowa pisarzy i artystów. Natomiast pojawiły się trudności gdy chodziło o honorowy powrót do literatury ofiar z lat przedwojennych. Sprawa znanego pisarza, Mykoły Kulisza oraz założyciela teatru ukraińskiego, O.S. Kurbasa doprowadziła do gwałtownych starć, a nawet czystki w redakcji czasopisma literackiego „Witczyzna” (kwiecień 1958), z zadziwiającą konsekwencją rehabilitowano jednak pośmiertnie coraz to nowych pisarzy. Także próby przywrócenia literaturze ukraińskiej twórczości przynajmniej części pisarzy rodzimych, głównie z okresu przedrewolucyjnego, zasługują na podkreślenie. Wydano w międzyczasie nie tylko liryki O. Olesja i B. Lepkyja, ale także prace B. Hrynczenki. Najwięcej wagi przywiązujemy do sprawiedliwej oceny Michajły Drahomanowa, uczonego i polityka o poglądach liberalnych.

Wydarzenia te świadczą, że w omawianym okresie ich rozwój wymknął się w pewnym stopniu spod kontroli partyjnej. Ukraiński KC i aparat partyjny próbowali wielokrotnie proces ten przyhamowywać. Czołowi funkcjonariusze partyjni wypowiedzieli się przeciw rehabilitacji niektórych osób. Przykładem może tu być walka o rehabilitację Skrypnyka, którą KP Ukrainy zastopowała w roku 1958 stwierdzeniem, że popełniał on przecież „poważne błędy nacjonalistyczne”. Pełna rehabilitacja nastąpiła dopiero w kilka miesięcy po XXII zjeździe KPZS.

Specjalny rozdział w tym okresie czasu tworzą następstwa „polskiego października” i powstania węgierskiego w roku 1956. Już z przyczyn czysto geograficznych nacisk śruby partyjnej KPZS i jej filii ukraińskiej w dziedzinie ideologicznej stał się uderzająco silny. Jedynym dramatycznym wydarzeniem z czerwca 1957 przypisać należy, że ten nowy ostry kurs nie został konsekwentnie przeforsowany. KP Ukrainy przyłączyła się wówczas gorliwie do akcji zwalczania grupy „antypartyjnej”. „Rejestr grzechów” tej grupy ułożono jednak na Ukrainie w odwrotnym porządku niż w centrali moskiewskiej. Oświadczono, że „wrogowie partii” byli przeciwnikami „leninowskiej polityki narodowościowej”, że sprzeciwiali się rozszerzeniu uprawnień republik związkowych i prześladowali kulturę ukraińską zarówno na terenie Sowietów jak i zagranicą. Tę akcję partyjną poparli natychmiast ukraińscy pisarze i intelektualiści. Ten właśnie fakt przyczynił się do dalszego złagodzenia nacisku na odcinku ideologicznym i kulturalnym.

Nowa faza stosunków między Kijowem a Moskwą

Najnowszy rozwój wypadków, które nastąpiły po ogłoszeniu planu siedmioletniego, możemy omówić tylko w wielkim skrócie.

Na stosunki między Kijowem a Moskwą wpływa fakt pewnej stabilizacji kierownictwa partyjnego w Sowietach oraz sformułowanie zadań polityki gospodarczej na ostatnich dwóch zjazdach KPZS. Dziś Chruszczow nie potrzebuje już KP Ukrainy jako swej głównej osobistej podpory, inne kryteria są dziś stosowane przy ocenianiu wartości poszczególnych partii komunistycznych. Najlepiej określa to powiedzenie Chruszczowa: „przyjaźń przyjaźnią, a służba służbą”. W tym krótkim okresie wiele rzeczy na Ukrainie zmieniło się.

„Klan partyzancki”, będący w dwóch pierwszych okresach powojennych tak ważnym czynnikiem, należy dziś do przeszłości. Byli przywódcy partyzancy, którzy aż do śmierci Stalina zdawali próbę jako dobrzy organizatorzy, a później wiernie do trzymywali kroku Chruszczowowi, zniknęli powoli z kierowniczych stanowisk w partii i państwie. Ich umiejętności i zdolności okazały się niewystarczające w nowych warunkach. Tylko najbardziej wybitniejsi spośród nich zdołali się utrzymać. Średni garnitur funkcjonariuszy, w których rękę było niemal całe życie politycznej i administracja Ukrainy został zastąpiony przez innych ludzi. Ten brak stabilizacji symbolizowali w latach 1953-59 „trzej panowie K”: Kirycczenko, jako szef partii aż do przeniesienia go w roku 1957 do Moskwy; Korotcczenko, jako przewodniczący prezydium Rady Najwyższej Ukraińskiej SSR i Kalczenko, jako premier rządu ukraińskiego. Kirycczenko został obalony w roku 1960, Kalczenkę złożono z urzędu w początku 1961 r., zaś Korotcczenko utrzymał się do dziś, lecz tylko jako figurant. Stary druh Chruszczowa, M.S. Hreczucha, został usunięty ze wszystkich urzędów partyjnych i państwowych.

Stosunki między kierownictwem ukraińskiej kompartii a centralą moskiewską, szczególnie zaś między Podgórnym a Chruszczowem są bardzo napięte. Na styczniowym plenum KC KPZS w roku 1961 zarzucił Chruszczow Podgórnemu oszustwo. Obalonym w międzyczasie Kirycczenko i Kalczenko zarzucił Chruszczow dyktantyzm w sprawach rolnych. Na rozszerzonym plenum ukraińskiego KC (styczeń 1961) Chruszczow rozszerzył swe zarzuty już na całe kierownictwo partyjne.

Ukraina była w roku 1961 jedyną republiką sowiecką, która poszczycić się mogła pomyślnymi zbiorami. W porównaniu z poprzedzającym rokiem 1960 skup zboża w całych Sowietach wzrósł o 5,4 milionów t. natomiast w samej republice ukraińskiej wzrost ten wyniósł 7 milionów t. a więc znacznie więcej niż w skali ogólnopaństwowej. Sukces ten wzmocnił wprawdzie pozycję ukraińskiej kompartii w Sowietach, nie usunął jednak napięcia między Kijowem i Moskwą. Na konferencji funkcjonariuszy agrarnych Ukrainy w grudniu 1961 roku Chruszczow próbował w różny sposób podkopywać autorytet Podgórnego i demonstrował nadal swe niezadowolenie z sytuacji na Ukrainie. Kilku zachodnich korespondentów podkreśliło słusznie, że właśnie ta grudniowa konferencja potwierdziła pewien spadek auto-

rytetu Chruszczowa na Ukrainie. Przyczyniły się do tego ataki Chruszczowa na przewodniczącego ukraińskiej Akademii Rolniczej, Własjuka i na innych zwolenników systemu „trawopolnego”, który Chruszczow niegdyś sam popierał w republice ukraińskiej (na XVI zjeździe partyjnym KP Ukrainy w styczniu 1949 roku).

Przyczyna nieporozumień jest dość prosta: Ukraina jest w rzeczywistości nieomal jedyną republiką sowiecką, której przemysł i rolnictwo funkcjonowały w roku 1961 raczej dobrze. Powołując się na te sukcesy Chruszczow ustala maksymalistyczne plany, szczególnie w odniesieniu do produkcji rolnej. Ukraińskie kierownictwo partyjne widzi zaś jasno, jakie niebezpieczeństwa są z tym związane. Obecny konflikt jest słabą zresztą próbą komunistów ukraińskich obrony w pewnym stopniu interesów gospodarczych republiki. Fakt ten wyjaśnia dlaczego sowieccy przywódcy komunistyczni dziś coraz otwarciej krytykują działalność sowieckiego GOS-planu, brak maszyn rolniczych, niesprawiedliwą dystrybucję wytworów przemysłu chemicznego, równocześnie zaś coraz nieustępliwiej naciskają na rozszerzenie gospodarczych republik związkowych. Najdalej idą w tym kierunku ukraińskie koła gospodarcze, które proponują przyznanie kierownictwu gospodarczemu nie tylko funkcji operatywnych (co i tak już zostało przeprowadzone przez utworzenie rady ekonomicznej republiki ukraińskiej), ale także przeniesienie do Kijowa całego planowania gospodarczego republiki związkowej.

Ścisła współpraca ukraińskiej kompartii z Chruszczowem przynosiła Ukrainie w pierwszym okresie wiele korzyści, ale przyniosła też i wiele szkód narodowi ukraińskiemu. Przypomnijmy tu dwie „akcje” sowieckie. W roku 1954 *Ukraina udzieliła głównego poparcia awanturniczemu planowi kolonizacji terenów nieuprawianych*. Ówczesna akcja Chruszczowa połączona była dla Ukrainy z wieloma ofiarami. Fabryki ukraińskie dostarczały na prawach priorytetu maszyny dla Kazachstanu w okresie, gdy rolnictwo ukraińskie samo ich pilnie potrzebowało. Na tereny przeznaczone do osiedlenia wysłano setki tysięcy agronomów i techników, co zahamowało i tak trudny proces uzdrowienia rolnictwa ukraińskiego. Jeszcze gorsze następstwa miała, zainicjowana przez Chruszczowa w roku 1959 *reforma szkolna*, którą komuniści ukraińscy narzucili opierającemu się narodowi. Odnośna ustawa pozwala na skasowanie nauczania obowiązkowego w języku rosyjskim lub języku narodowym danej republiki. Aż do roku 1958 język ukraiński był przedmiotem obowiązkowym nie tylko w szkołach o ukraińskim języku wykładowym, lecz także w szkołach, w którym nauczano w języku rosyjskim. Powstało teraz niebezpieczeństwo, że z tych ostatnich szkół język ukraiński zniknie zupełnie, że większość rodziców, czy to ze względu na przyszłą karierę dzieci, czy to pod wpływem przesłanek obiektywnego rozwoju w Sowietach zrezygnuje z nauki języka ukraińskiego dla swych dzieci. Rozwinęła się w tej sprawie na Ukrainie dyskusja, w której większość wypowiedziała się przeciw pro-

jektowi Chruszczowa. Nawet „Komunist Ukrainy” pisał wówczas, że oba języki powinny pozostać przedmiotem obowiązkowym. Głosów tych nie uwzględniono i reforma została przeprowadzona.

Solidarność ukraińskiej administracji i kadr kulturalnych sprawiła, że dotychczas trudno mówić o poważnym wypieraniu języka ukraińskiego ze szkół, liczne fakty wskazują jednak na to, że niebezpieczeństwo zamierzonej przez Chruszczowa rusyfikacji ukraińskiego szkolnictwa nadal jest aktualne.

Gdy chodzi o skomplikowaną sytuację dzisiejszej Ukrainy pouczająca jest *dyskusja o zasadach polityki narodowościowej po XXII zjeździe*. Problem narodowościowy nie został przez komunistów sowieckich rozwiązany w przeszłości, nie przestał on istnieć i po ostatnim zjeździe. W niewyraźnie sformułowanych punktach nowego programu mówi się wprawdzie o dalszym rozwoju kultur narodowych, równocześnie zaś o przyspieszonym „stopieniu się narodów”, stworzeniu „internacjonalnej kultury” w Związku Sowieckim itd. Aktualnie dyskutuje się w Sowietach gorąco te sprawy. Wykrystalizowują się przy tym dwie grupy poglądów. Do jednej należą obok Rosjan także liczni przedstawiciele innych grup narodowościowych, wśród nich „małorus” Krawcew. Żadają oni przyspieszenia rusyfikacji językowej i posuwają się nawet do tego, aby radzić autorom nie wielkoruskim pisanie w języku rosyjskim. Druga grupa — tzw. internacjonalistów — stoi na gruncie prawa narodów nierosyjskich do maksymalnego rozwoju ich kultury, uważa upodobnianie się narodów za długotrwały proces, który będzie ciągnął się stuleciami. Kierunek ten popierany jest przez ukraińskie kadry kulturalne i większość biurokracji partyjnej. Byłoby jednak niesłuszne pominąć milczeniem fakt, że także niektórzy Rosjanie (pośród nich moskiewski pisarz Sołouchin) *popierają te tendencje*. Wiele rzeczy w Sowietach jest ciągle nie ustalonych i nie rozstrzygniętych, należy do nich polityka narodowościowa, jednak rusyfikatorskie tendencje kierownictwa partyjnego w Moskwie są niezaprzeczone.

Rola Ukraińców w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej

Dopiero po latach będą historycy w stanie dać pełen obraz walki narodu ukraińskiego o swoje prawa. Nie będzie można przy tym pominąć wpływu, jaki na rozwój spraw ukraińskich wywiera polski sąsiad. Po krótko wskażmy na rolę, jaką w tej dziedzinie odgrywa mniejszość ukraińska w Polsce.

Emigrant polski może reżymowi Gomułki niejedno mieć do zarzucenia. Niech to nie będzie przyjęte za wyraz uznania pod adresem gomułkizmu, jeśli stwierdzimy, że rozwój sytuacji w Polsce pod rządami Gomułki *w szeregu wypadków wpłynął w sensie pozytywnym na rozwój stosunków ukraińskich*. Nie myślimy przy tym o przytaczanych na łamach „Kultury” faktach

współpracy polsko-ukraińskiej, o wpływie pisarzy i intelektualistów polskich na kolegów ukraińskich. Chodzi o coś znacznie więcej. Więź łącząca komunistów polskich z „Kompartią Zachodniej Ukrainy” była w swoim czasie bardzo silna, jedni i drudzy przeszli przez te same koleje losu. Brutalny terror stalinowski zniszczył w równym stopniu kadry KPP i KPZU. Tylko niewielu komunistów zachodnio-ukraińskich przeżyło ten terror, *większość z tych, którzy zdołali się uratować żyje dziś w Polsce*. Choć będzie to brzmiało paradoksalnie, jest faktem, że *komuniści ukraińscy mają też swą „emigrację polityczną”*. Ludziom tym zawdzięcza się główne impulsy do rehabilitacji KPZU i przyspieszenie ogólnych procesów rehabilitacyjnych na Ukrainie. Od roku 1958 odbył się w Warszawie szereg konferencji byłych członków KPZU, brało w nich udział nieraz ponad czterysta osób. W konferencjach tych uczestniczyli też wybitni komuniści polscy, należący przed wojną również do KPZU. W Zakładzie Historii Partii w Warszawie utworzono specjalny oddział zajmujący się zbiorem dokumentów o KPZU.

Nie mogę omówić tu szczegółowiej tych wydarzeń, pragnę jednak powołać się na kilka najnowszych, aby pokazać jakie stanowisko zajmują żyjący w Polsce komuniści ukraińscy wobec wielkich konfliktów wewnętrznych w Sowietach. Nie ograniczają się oni do czynnego popierania wszelkich prób rehabilitacji na Ukrainie, do demonstrowania radości z rehabilitacji takich ludzi jak Kulisz, Kurbas czy Skrypnik, ale odważnie włączają się do najbardziej drażliwych dyskusji na temat sowieckiej polityki narodowościowej. Ukazująca się w Warszawie „Nasza Kultura” (dodatek do organu Ukraińców w Polsce — „Nasze Słowo”) opublikowała szereg artykułów, wymierzonych przeciw sowiecko-ukraińskiemu ideologowi partyjnemu, Krawcewowi. W artykułach tych określa się próby rusyfikacji jako będące nie do pogodzenia z marksizmem-leninizmem. „Nasza Kultura” (nr 3/1962) w następujący sposób polemizuje z Krawcewem:

„13 kwietnia 1960 roku opublikował on (Krawcew) w 'Radjanskiej Ukrainie' artykuł pt. 'W.I. Lenin o języku rosyjskim i językach innych narodowości w naszym kraju'. Po zanalizowaniu sprawy używania języka rosyjskiego przez nie-Rosjan pisze on 'Jest to proces legalny, obiektywny i na wskroś postępowy'. Z tych słów Krawcewa wynika, że tylko rozpowszechnianie się języka rosyjskiego wśród nie-Rosjan jest zjawiskiem prawdziwie postępowym, natomiast rozpowszechnianie się innych języków jest zjawiskiem sprzecznym z postępowym i winno być zwalczane. Jego zdaniem postępowym człowiekiem jest ten, kto używa języka rosyjskiego miast ojczystego. Gdy więc w życiu codziennym używa się języka ojczystego — mamy do czynienia z procesem antypostępowym”.

„Nasza Kultura” atakuje także inny artykuł Krawcewa, który opublikował on 20 stycznia 1962 w „Prawdzie Ukrainy”. Warszawski organ Ukraińców próbuje wykazać, że artykuł jest sprzeczny nawet z nowym programem KPZS. Podczas gdy program mówi o tworzeniu się międzynarodowej kultury „Krawcew

widzi tę międzynarodową kulturę w kulturze rosyjskiej”. Warto przytoczyć tu czytelnikom oryginalny cytat z Krawcewa:

„Treść socjalistyczna nie zaś rosyjska kultura międzynarodalizuje różne formy kulturowe narodów sowieckich i wszystkich socjalistycznych narodów świata. Gdyby było inaczej cóż miałoby międzynarodalizować kulturę polską, chińską, czeską, bułgarską i inne kultury krajów socjalistycznych, położonych poza granicami Związku Sowieckiego? Wiemy przecież, że i one objęte są tym procesem międzynarodalizacyjnym”.

„Nasza Kultura” stwierdza: „Postawienie takiego właśnie pytania dowodzi, że twierdzenia I. Krawcewa są bezsensowne”.

„Nasza Kultura” chwytła się każdej antyszowinistycznej wypowiedzi prasy sowieckiej, nie są one niestety zbyt częste. Wymienione pismo przedrukowało prawie cały artykuł wspomnianego już poprzednio Sołouchina i zaopatrzyło go następującym komentarzem:

„...Pogmatwane teorie Agajewa i Krawcewa są tylko wodą na młyn tych, którzy piszą o rusyfikacji narodów nierosyjskich w Związku Sowieckim. Ich tezy są tylko pożywką takich stworów, jak nacjonalisci... Kto zatem chce zwalczać nacjonalistów wszelkich odcieni musi walczyć także z poglądami głoszonymi przez I. Krawcewa i A. Agajewa”.

Pod naciskiem opinii publicznej w Polsce a także na skutek poglądów tamtejszych komunistów ukraińskich wytworzyła się w kilku wypadkach specyficzna atmosfera, która nie pozostała bez wpływu na życie polityczne narodu ukraińskiego. Gdy czołowy pisarz ukraiński Maksym Rylskij odwiedził w maju br. Warszawę i przemawiał w sali katedry ukrainistyki uniwersytetu warszawskiego zapytano go, co sądzi o teorii według której istnieją języki „wyższej rangi” i „zacofane”. Odpowiedź Rylskiego może być uważana za odpowiedź całej inteligencji ukraińskiej: „Teoria o wyższości jednych języków nad drugimi prowadzi do faszyzmu”.

Uwagi końcowe

W przeglądzie tym nie mogłem niestety uwzględnić szeregu innych momentów obecnego rozwoju sytuacji na Ukrainie. Ograniczyłem się głównie do spraw politycznych, co jednak nie daje pełnego obrazu, jako że np. szereg wydarzeń na odcinku literatury ukraińskiej wiąże się ściśle z polityką. Nawet sumienni obserwatorzy i najwięksi optymiści byli zaskoczeni, gdy nieoczekiwanie wyrosła cała grupa młodych poetów i pisarzy ukraińskich, którzy nie dają się zamknąć w prymitywnych ramach socrealizmu i których czołowym żądaniem jest „powrót do prawdy” i „więcej wolności”. Najgoręcej polecam czytelnikowi polskiemu szereg artykułów syntetycznych o tych sprawach, wydru-

kowanych w niektórych ukraińskich pismach emigracyjnych (1).

Wszystkie dane, jakimi dysponuję, potwierdzają, że wielkie rozgrywki wewnętrzne światowego komunizmu odbijają się żywym echem na Ukrainie. Od roku 1956 datuje się uderzające ożywienie stosunków ukraińsko-chińskich. W owym czasie Ukraina przeżyła prawdziwą falę „chinomanii” podobnie zresztą jak i Polska. Na Ukrainie nie uległa ona jednak tak rychłemu przerwaniu jak w Polsce. Złożył się na to szereg przyczyn. W latach 1956-58 w prasie ukraińskiej ukazało się wiele korespondencji o rozwoju sytuacji w Chinach. Szczególnie wrażenie wywołał taki eksperyment Mao-Tse-Tunga, jak rezygnacja z walki klasowej na wsi, rezygnacja z likwidowania „wrogów klasowych” (wzorem Stalina) na rzecz reedukacji kułaków i burżuazji. Kiedy pewnego razu dziennikarze ukraińscy natknęli się w pekińskim ogrodzie botanicznym na ostatniego cesarza chińskiego, Pu-Ji, podkreślili demonstracyjnie w swych reportażach fakt, że nie został on przez komunistów zgładzony, lecz „reedukowany”, że pozwala mu się pracować, i że nie żałuje on wcale straty haremu z 360 żonami.

Było rzeczą uderzającą, gdy komuniści chińscy dali w kilku wypadkach poznać, że orientują się dobrze w sprawach ukraińskich. Być może temat ten powinien być kiedyś omówiony dokładniej. Zaznaczę tu tylko, że kierownictwo ukraińskiej kompartii popiera formalnie tezy Chruszczowa w wielkim sporze z Pekinem, jednak w Kijowie panują pośród inteligencji ukraińskiej inne nastroje. *Straszna spuścizna okresu stalinowskiego na Ukrainie sprawia, że inaczej patrzy się na Pekin z perspektywy Kijowa, inaczej zaś z perspektywy Moskwy.*

Niezwykle ważna i ciekawa sprawa stosunków między ukraińskim „krajem” i emigracją może być tu, niestety, potraktowana także tylko marginesowo. Dzięki większej swobodzie w dzisiejszych Sowietach, dzięki poważnemu ograniczeniu samowoli organów terroru, dzięki likwidacji chorobliwej „szpiegomanii” powiększyła się na Ukrainie grupa tych osób, które zajmują się problemem emigracji ukraińskiej. Dawniej sprawy te podlegały wyłącznej kompetencji policji bezpieczeństwa. Policja polityczna zajmuje się i dziś blisko tymi sprawami, podlega jej zwalczanie podziemia i działalności tych kół, które z podziemiem utrzymuje kontakty. Wydarzenia ostatnich miesięcy potwierdzają jak bardzo ubolewania godny jest ten odcinek działalności. Z opublikowanych nie dawno w Kijowie dokumentów wynika, że instrukcje przywódców emigracji ukraińskiej dla „ruchu podziemnego” na Ukrainie nie były w rzeczywistości niczym innym, jak wymianą korespondencji z... organami bezpieczeństwa sowieckiego.

Fakt ten jednak *nie jest typowy jeśli chodzi o stosunek Ukrainy do emigrantów*. Uderza na przykład, że czasopisma ki-

(1) Na przykład doskonale opracowanie B. Krawcewa w „Suczasnosti” Nr 2 (14) 1962, Monachium.

jowskie reagują z miejsca i do pewnego stopnia nawet rzeczowo na wszelkie poważniejsze publikacje emigracyjnych naukowców, pisarzy i intelektualistów. Usiłowania niektórych ukraińskich kół emigracyjnych zmierzające do nawiązania tolerancyjnych kontaktów z krajem pozostały naturalnie bez echa. Zmieniona sytuacja zobowiązuje jednak odpowiedzialne koła emigracji ukraińskiej do prawidłowej oceny położenia. Dziś są większe szanse na to, że kraj okaże więcej zrozumienia dla stanowiska emigracji, niż to było w przeszłości. Szanse te będą tym większe im mniej interesować się będzie tymi sprawami awanturnictwo i demagogia.

Borys LEWICKYJ

ADAM CIOŁKOSZ

LUDZIE P. P. S.

Wspomnienia: Ignacy Daszyński, Mieczysław Niedziałkowski, Kazimierz Czapiński, Zygmunt Piotrowski, Kazimierz Pużak, Tomasz Arciszewski.

Cena 7 sh., NF 5.00, \$ 1.00 — wraz z przesyłką

Do nabycia w Centralnym Komitecie Odbudowy P.P.S.

9, Balmuir Gardens, London, S.W. 15.

ADAM CIOŁKOSZ

OD MARKSA DO CHRUSZCZOWA

Cena 5 sh. 6 d., NF 3.50, \$ 0,75 — wraz z przesyłką

Do nabycia w spółce wydawniczej „GRYF”

171, Battersea Church Road, London, S.W. 11.

Rok 1863

W rocznicę Styczniową

W dniu 22 stycznia przypada 82 (1) rocznica powstania styczniowego.

Czy warto przypominać o niej wśród szalejącego rozgwaru największej w dziejach świata wojny, w obliczu katastrofy ludzkości całej, gdy zmagają się ze sobą od stóp do głów uzbrojone wielomilionowe armie największych narodów globu ziemskiego i giną miliony istnień ludzkich? Czy warto przypominać o wypadku, który w gruncie rzeczy był tragedią tylko jednego i to jednego z mniejszych liczebnie narodów, którego los, zdawało się jest już przedtem przypieczętowany? Czy godzi się mówić o walce zbrojnej, której kierownicy, w chwili jej największego natężenia zdołali wystawić na placu boju, na całym terenie działań, około piętnastu tysięcy, najwyżej może dwadzieścia tysięcy więcej niż licho uzbrojonych straceńców; z których poległo może pięć, może sześć tysięcy — o walce, którą śmiercią na szubienicy lub pod kulami plutonów egzekucyjnych przyplącało najwyżej pół tysiąca lub może trochę więcej ofiar, a za którą do kategorii, do więzień, na zesłanie lub wygnanie poszło może trzydzieści tysięcy, może (najwyżej) czterdzieści tysięcy zamieszanych w akcji czy organizacji powstańczej lub też tylko podejrzanych o to mężczyzn i kobiet różnego wieku, stanu i kondycji? I przy tym w rocznicę 82-gą, a więc nierównością swej liczby nawet zwyczajowo nie usprawiedliwiająca odwołania się do czujnej pamięci ogółu...

A jednak warto i trzeba.

Bo znaczenia wypadków dziejowych — nawet działań zbrojnych — zwłaszcza w sensie psychiczno-moralnym, nie zawsze i nie tylko mierzy się liczebną mocą armii i siłą bomb wybuchających, a zasługi zwycięstwem. Często istotna wielkość znajduje się w stosunku wprost do nich odwrotnym i posiada swój wymiarnik

(1) Artykuł ten opracował śp. prof. Kościalkowski w 1944 r. dla pisma „Polak w Iranie”. Był on jednak skonfiskowany przez cenzurę sowiecką.

w wielkiej idei, o którą się walczy w poświęceniu i ofiarności za nią... A na grobie zwyciężonego i przemocą materialną obalonego żołnierza wyrasta krzew niewiedzącej róży i rozlega się przytłumione przez czas, lecz niemilkące nigdy: „Gloria Victis”!

Tak jest ze sprawą powstania styczniowego z lat 1863-65, która na całej przestrzeni stuletnich dziejów naszych porozbiorowych była najbardziej krwawą, a jednocześnie najbardziej beznadziejną, ale wielką w swym bohaterskim poświęceniu walką narodu o wolność.

Godzi się tu uwydatnić i podkreślić *niektóre prawdy o powstaniu styczniowym*, z których może nieraz nie zdajemy sobie dostatecznej sprawy, o których często zapominamy.

Powstanie styczniowe było *walką narodową*, ale zarazem pragnęło rozwiązać pewne *zagadnienia społeczne*. Usiłowało mianowicie poza rządem carskiej Rosji, *rozwiązać ostatecznie sprawę włościańską*.

Jak wiadomo, poddaństwo chłopą, wraz z przytwierdzeniem jego do ziemi, zniósł już Kościuszko przed 150 laty. Uniwersał Kościuszki wszakże z upadkiem powstania straciły moc obowiązującą, prawną, a rządy: rosyjski i pruski w zasięgu swojej władzy niezwłocznie poddaństwo przywróciły. Tylko później nieco, na terenie Księstwa Warszawskiego zniknęło ono z chwilą utworzenia księstwa (1807 r.) i nie istniało w dalszym ciągu na terenie Królestwa Kongresowego.

Prusy i Austria załatwiły na swych terenach sprawę włościańską przeprowadzając uwłaszczenie: Prusy gospodarczo wcale dobrze w 1823 r., Austria zaś na ogół źle — w r. 1848. Natomiast na ogromnych obszarach zaboru rosyjskiego, poza Królestwem, poddaństwo istniało w całej pełni, aż do drugiej połowy 19 wieku, tak zresztą jak w całej Rosji, gdzie jeszcze było cięższe, jeszcze bardziej z rachowaniem majątku na dusze i ze „sprzedażą dusz” chłopskich — żywych czy „martwych” połączone.

Dopiero za Aleksandra II — z inicjatywy polskich zjazdów ziemiańsko-szlacheckich, w tzw. guberniach zachodnich Cesarstwa (co będzie ziemiaństwa tych guberni na zawsze chlubą) — przedsięwzięło reformy a manifest z 19 lutego 1861 zniósł poddaństwo włościan na całym obszarze państwa rosyjskiego, stwarzając kategorię tzw. „wremiennie obiazannych krestian” czyli włościan, czasowo (aż do uwłaszczenia) obowiązanych do robocizny. Uwłaszczenia natomiast, czyli nadania ziemi na własność, w obawie przed reakcyjną postawą „dworzaństwa” czyli szlachty rosyjskiej, nie przeprowadzono, aczkolwiek upominało się o nie kategorię Towarzystwo Rolnicze w Warszawie na swych zjazdach.

Chodziło tedy o to, kto postawi kropkę nad „I”, kto przeprowadzi uwłaszczenie: czy carski rząd rosyjski, czy też czynniki narodowe polskie — a tym samym, kto pozyska dusze ludu polskiego dla siebie, kto zjedna sobie chłopą, który „potęgą jest —

i basta". I oto dlatego *Rząd Narodowy* powstańczy, zaraz w pierwszej swej odezwie z dnia 22 stycznia, ogłasza powszechne, bezwarunkowe i bezzwłoczne *uwłaszczenie ludu wiejskiego*, jako postulat zasadniczy, o który walczy. I dlatego rząd carski użył całej militarnej potęgi olbrzymiego państwa żeby zgnieść powstanie, aby stłumić to wołanie o uwłaszczenie Rządu Powstańczego, oraz żeby fałszując prawdę dziejową i głosząc się dobroczyńcą ludu, przeprowadzić akcję uwłaszczeniową na własną rękę.

Jakoż tak się stało. Ale powstanie przyspieszyło tę akcję nie tylko w Polsce, lecz i w całej Rosji. Było tedy walką o pewne *zasady społeczne*, o czym nie chcą wiedzieć nieraz obcy, zapominają niekiedy swoi...

Zbrojne działania powstańcze roku 1863 miały zasięg terytorialny tak szeroki, jak żadne inne w porobiorowych walkach narodu polskiego, o wiele szerszy, niż w r. 1831. Władze powstańcze liczyły na poparcie działań zbrojnych przez Francję, a niebacznie wyrzeczone przez jednego z polityków francuskich słowa „niech krew polska wylana dla sprawy niepodległości, zaznaczy przyszłej niepodległej Polski granice”, zrozumiane dosłownie, wywołały walki, Zygmunta Sierakowskiego pod Birżami na granicy Kurlandzkiej i na Inflantach, gdzie Leon Plater (stracony później przez Murawiewa) kusił się o zdobycie twierdzy Dyneburskiej... Stanisław Sołtan tworzył organizację powstańczą w dalekiej Wileńszczyźnie, dzielny partyzant Topór-Zwierzdowski, sztabowiec rosyjski, walczył za Dnieprem, między Homlem a Mohylewem, inni znowu pod Owručem na Polesiu Wołyńskim, a Sołowijówka, wieś w Kijowszczyźnie, oglądała śmierć kilkunastu młodych zapaleńców, którzy zginęli tutaj z ręki tych, którym nieśli wolność. Poza tym lała się krew polska w setkach potyczek, staczanych na Żmudzi i na Wileńszczyźnie, pod Grodnem i Brześciem i na całym terenie Królestwa, nie wyłączając jego serca, najbliższych okolic Warszawy.

Zaprawdę wyraziście, czerwonym rubinem krwi, zaznaczyły się nigdy nie osiągnięte później, choć z dawna polskie — granice...

Nie mówimy już o tym, że wierząc w rewolucję rosyjską, którą jako bliską tak niedawno ogłaszał Herzen w swoim „Koło-kole” szli emisariusze polskiego Rządu Narodowego daleko w głąb Rosji, w stopy naddońskie i aż nad Wołgę, głosząc hasło walki z caratem „za naszą wolność i za waszą”! Hieronim Kieniewicz, wraz z kilku podobnymi wysłańcami, przywiezioną znad Wisły i z zapalem głoszoną przez siebie „złotą hramotę” do ludu rosyjskiego i tatarskiego przypłacił wyrokiem śmierci, który wykonano na nim i na towarzyszach jego aż w Kazaniu za Wołgą.

Powstanie styczniowe *trwało dłużej*, niż jakiegokolwiek inne poprzedzające je walki o niepodległość na ziemiach naszych. Insurekcja Kościuszkowska, powstanie listopadowe, nie przetrwały roku, usiłowania zbrojne w r. 1846 czy 1848 zamknęły się w granicach kilku miesięcy...

Powstanie styczniowe mimo najbardziej niesprzyjających wa-

runków do największego nasilenia doszło w r. 1863, lecz bynajmniej nie zakończyło się w jego ramach czasowych. Trwało przez cały rok 1864 — nie tylko do chwili stracenia Traugutta i członków Rządu Narodowego w dniu 5 sierpnia 1864, ale i później, sięgnęło poza rok nowy 1865 przybierając charakter rozpaczliwej „krwawej demonstracji”, której jedynym hasłem było: „byle przetrwać do wiosny, byle doczekać pomocy z zachodu”, bo w pomoc rewolucji rosyjskiej już wierzyć całkowicie przestano — ale i ta pomoc haniebnie zawiodła, zarówno orężna, jak dyplomatyczna. Powstanie wszakże trwało. Toć przeciw powstańczej oddziałość „Kryjaków” ks. Stanisława Brzózki uciałał się z Kozakami na Polesiu jeszcze w marcu 1865 r., zaś sam „Ksiądz Dowódca” stracony został w Sokołowie Podlaskim dopiero w kwietniu 1865 r. Nie wiedział zapewne że inny „kryjak” Telesfor Cholawo, szewc z zawodu, w dalekich lasach borysowskich kryjący się na czele ostatnich mohikanów powstańczych stron tamecznych, ujęty zginął na szubienicy pod Borówłanami 31 marca 1865 r. A ostatnia egzekucja niejakiego Antoniego Czerbulonisa odbyła się w Kownie już po zakończeniu krwawej kariery Murawiewa, dnia 2 czerwca 1865 r.

Spełnili wtedy powstańcy i „Koronni” i „litewscy” i „białoruscy” do ostatnich krańców możliwości lekkomyślne zalecenie czy radę ministra spraw zagranicznych Francji, do którego zwrócili się z zapytaniem co czynić, a który im odpowiedział tylko: *Durez — „Wytrwajcie”!*

A jakież bogactwo *indywidualności silnych*, niekiedy potężnych lub *charakterów niezłomnych*, nieugiętych, nieskazitelnych daje nam epoka przedpowstaniowa i powstaniowa!

Oto Wielopolski, bezwzględny, zienawidzony przez opinię publiczną, na błędnej drodze w granicach tylko Królestwa, ale chcący niewątpliwie szczerze służyć sprawie polskiej. Oto zacy „pan Andrzej” Zamoyski, przywódca „białych” zwolenników pracy organicznej, przez którą myślał on z czasem dojść do wolnej Ojczyzny... Mierosławski, ubóstwiany przez „czerwoną młodzież, może mniej wytrzymały, nazbyt ambitny, lecz jakimże ogniem patriotyzmu od wczesnej młodości płonący!

Oto najbardziej świetlana postać powstania: Romuald Traugutt, partyzant bohaterski, ostatni dyktator powstania, bezwzględny sługa raz wziętego na barki tragicznego obowiązku... Oto Sierakowski „Dołęga” najzdolniejszy z przywódców powstania. Oto porywczy, pełen poczucia honoru Padlewski, który mógł o sobie powiedzieć „Ja i Ojczyzna — to jedno”! Konstanty Kalinowski, prawdziwy „trybun ludowy”, który po aresztowaniu lub straceniu wszystkich członków Wydziału Wileńskiego, jeden musiał starczyć za wszystkich, a na chwilę przed straceniem w dn. 10 marca 1864 na placu Łukiskim w Wilnie, gdy w wyroku odczytano, że „szlachcic Kalinowski na śmierć skazany został”, zawołał: „U nas nie ma szlachty — wszyscyśmy równi!”. Uchodził za separatystę, ale w wydawanym przez siebie powstańczym

pisemku białoruskim „Mużyckaja prawda” pisał:... „My szto żywiemo na ziemi polskoj, szto jemo chleb polskij, my Polaki z wieków wiecznych...”.

A oto inny Kalinowski — Józef, nie krewny, lecz tylko z nazwiska imiennik Konstantego, naczelnik Wydziału wojennego w Rządzie Powstańczym wileńskim, który świętością życia przyprowadził o zabobonną trwogę nawet Murawiewa. Po powrocie z katorgi syberyjskiej wstąpił do Karmelitów Bosych w Wadowicach pod Krakowem pod imieniem „ojca Rafała” i umarł *in odore sanctitatis*... Oto Adam Chmielowski, artysta-malarz, który miał amputowaną podczas powstania nogę, a później był założycielem zakonu „brata Alberta” w Krakowie, roztaczając opiekę nad „najgorszymi i najniebezpieczniejszymi” wyrzutkami społeczeństwa i włóczęgami...

I można wymienić setki, tysiące takich, którzy bez zmużenia powiek patrzyli w lufy karabinów rozstrzeliwujących, bez drżenia szli na plac stracenia, z podniesionym czołem w poczuciu spełnionego świętego obowiązku dźwigali kajdany, szli do katorgi lub spożywali jakże gorzki chleb wygnania.

Godni, po stokroć godni ojcowie tych, którzy dzisiaj jako podziemni żołnierze, giną za Polskę w kraju, walczą za Nią na wszystkich frontach świata...

Uczcijmy wspomnieniem ich świętą pamięć!

Stanisław KOŚCIAŁKOWSKI

Nurt Wiernej Rzeki

Jeśli zważyć wielkość epopei roku 1863-go i rozmiary dramatu, to wydaje mi się, że nasza spuścizna artystyczna po tym okresie dziejów, nie była zbyt bogata.

Panorama powstania jest szara i zimna jak polskie niebo styczniowe.

Rozdziera ją raz jeden błyskawica talentu Żeromskiego, rzucają na nią silniejsze lub słabsze refleksy Orzeszkowa, Deotyma, a z bliższych nam czasem Rodziewiczówna, Strug, Wielopolska, Chojnowski i W. Przyborowski. Tu i tam zasrebrzy się jak iza, wiersz Konopnickiej. Jednym z niewielu powracających z uporem w rozmowach, przemówieniach i pismach do tych dni krwawych, jest Józef Piłsudski. W malarstwie, Grotger wprowadza nas do katakumb, na których wrotach wyryto napis: A.D. 1863.

Spowite mrokiem lasów tło wydarzeń, cień szubienic, padający na wały forteczne, przesłonięte zawieją śnieżną widma

kibitek, nie nakładały na paletę barw żywych, nie potrafiły porwać wyobraźni.

Czy można porównać rok 1863 do roześmianych wszystkimi kolorami i rozśpiewanych mazurkami czasów legionowych? Czy można go skojarzyć z wizją wystrojonych jak na paradę pułków Nocy Listopadowej?

Ulegam czasami wrażeniu, że pisarze i malarze nasi patrzyli na ten Rok przez okopcone szkiełko. Tak, jak się patrzy na zaćmienie słońca. Tematowi zabrakło kit szwoleżerskich, lanc, aksebantów, rabatów, efektownych szarż na wąwozy, bitew którymi miała być pisana historia.

Widz-czytelnik, kończy przегład panoramy z uczuciem grozy i przygnębienia.

Jakże niesłusznie!...

Na kilka dni przed opuszczeniem Anglii, otrzymałem w prezencie od przyjaciela rolnika, dwa kilkuset stronicowe tomy „Blackwood Magazine”. Wydanie: William Blackwood & Sons. Edinburgh. Rok: 1863. W tomach tych, m.in. znalazły się listy z Polski, napisane przez nieznanego korespondenta. List z lipca 1863 roku nosi tytuł: „Z Warszawy do Krakowa”, z grudnia: „Wizyta w obozie powstańców” oraz „24 godziny na Wołyniu”.

Obie książki znalazły się pośród rupieci, pozostawionych przez poprzedniego dzierżawcę farmy.

Podobno jestem człowiekiem opanowanym, ale w tym wypadku proszę o wybaczenie. Nie mogę się oprzeć porywającemu mnie entuzjazmowi. Te korespondencje są — wspaniałe!... To klasyczne reportaże, które się powinny znaleźć w podręcznikach szkół dziennikarskich.

Wszechstronność w ujęciu tematu, plastyka opisów, oszczędność słów z których każde ma bezcenną wartość, umiejętność wprowadzania jednym zdaniem do środowiska, odczucie polskiego krajobrazu, a przede wszystkim zrozumienie Polaków, jest zdumiewające. Nurt Wiernej Rzeki porwał tego cudzoziemca i poniósł przez kraj, o którym mógł tak pisać, tylko ten to go — pokochał.

Nieznany Brytyjczyk — bo tak z konieczności muszę go nazywać — zjawia się w Warszawie pod koniec lutego 1863 roku. Doskonale opanowanie francuskiego, który w Polsce jest „drugim językiem”, ułatwia mu nawiązanie pierwszych kontaktów. Należy się domyślać, że w ciągu długiej podróży studiował także podręczniki polskiego i rosyjskiego.

Zadanie jakie sobie postawił, to dokładne zbadanie sy-

tuacji na miejscu, zdobycie źródłowych informacji tak ze strony polskiej, jak rosyjskiej i poinformowanie Zachodu o wydarzeniach, o których wiadomości są bardzo skąpe i mętne.

Już pierwsze dni pobytu w Warszawie, przekonywują go, że powzięty zamiar jest — niewykonalny. W Polsce nie można być bezstronnym obserwatorem. Cudzoziemiec musi się wypowiedzieć wyraźnie i uczciwie za jedną ze stron walczących. W przeciwnym razie jest uznany za szpiega i drzwi domów pozostają głuche na jego pukanie.

W tych pierwszych dniach ma możliwość zetknięcia się z Margrabią Wielopolskim. „Margrabia Wielopolski” — pisze, przypomina mi równocześnie Chińczyka i Włocha. Z tego pierwszego wziął dumę i upór, a z drugiego finezję i błyskotliwą inteligencję. Sama postać narzuca porównanie z Yach'em i Cavourem"... Dalszy ustęp jest poświęcony analizie polityki Wielopolskiego, którą, jako realną, wydaje się aprobować. Nieco później notuje: „Widziałem dzisiaj Margrabiego. Jechał powozem otoczonym eskortą kozaków, którzy mają go zastaniać przed kulami rodaków. Niemiły widok i godny zastanowienia...”.

Chwila, w której się trzeba jasno zadeklarować po której stronie się stanie, zbliża się nieuchronnie.

25 kwietnia 1863 roku warszawski korespondent „Czasu” nadsyła do krakowskiego pisma taką notatkę: „Mam kilka dalszych wiadomości dotyczących przybyłego tutaj Anglika, który ostentacyjnie opowiada, że jest turystą i neutralnym obserwatorem. Mam podstawy do twierdzenia, że zadanie, z jakim tu przybył, dobrze jest znane Palmerstonowi. Nie trudno odkryć jak jest on nieprzyjaźnie ustosunkowany do Francji, sojusz z którą, nigdy — jego zdaniem — nie przyniósł Polsce korzyści. Mówi on o sympatiach, jakie dla nas mają w Zjednoczonym Królestwie W. Brytanii, ale to przypuszczalnie dla zamaskowania istotnych celów swojego pobytu”.

Notatkę powyższą „oskarżony” zamieszcza w swojej korespondencji, zaopatrując ją pogodnym komentarzem.

Pierwszy pobyt w Warszawie ma się ku końcowi. Przyniósł on obfite żniwa. Nasz Brytyjczyk zdecydował się po której stronie stanie.

Zapoznaje się z reformatorskimi pracami Towarzystwa Rolniczego, z organizacjami powołanymi do życia przez Rząd Narodowy, z działalnością Komitetu Centralnego. Powróci on niezadługo do stolicy, ale już wzbogacony wrażeniami z pola walki.

Aczkolwiek — ze względu na bezpieczeństwo powstańców — stara się on ukryć okolice kraju, do której się udaje, a czasami rozmyślnie wprowadzić w błąd czytelnika, co w stosunku do londyńczyków na pewno uwieńczone jest sukcesem, to trudno mu oszukać Polaka, w tym wypadku takiego który sześćdziesiąt lat później te same ścieżki przemierzał.

Nasz Brytyjczyk jedzie w Kieleckie. Jest w lasach Świętokrzyskich, kręci się w okolicach Włoszczowy, dociera do Miechowa, prawdopodobnie zagląda do Stopnicy. Za przewodnika zgodził mu się służyć poznany w Warszawie zamożny ziemianin.

Eszkorta pociągu udającego się z Warszawy na południe wynosi dwie rotę wojska. Każda mijana stacja obsadzona jest kozakami i piechotą. Pasażerów bardzo niewielu. Po przybyciu na miejsce, ziemianin — który od kilku tygodni przebywał w Warszawie — konstatuje, że nie będzie mógł cudzoziemcowi udzielić gościny. Dwór zimny jak lodownia, spiżarnia pusta. „Wszystkie poszły do lasu...” — wyjaśnia stary stróż — „i oficjalisty i cała służba... A mówiłem, że pan będzie się gniewał jak wróci...”. Ziemianin uśmiecha się. „Nie będę się gniewał...” — mówi. Udają się na nocleg do pobliskiego niewielkiego dworu. Oto kilka słów dosłownego tłumaczenia opisuującego tę wizytę: „Był już późny wieczór. Jechaliśmy spokojni, że nie spotkamy kozaków. Wolą oni trzymać się nocą w pobliżu swoich kwater. Noc należy bowiem do — powstańców. Przybyliśmy na miejsce kiedy gospodarze kładli się do łóżek. Kiedy się dowiedzieli, że jestem Anglikiem, zdumienie ich było widoczne. Wkrótce ustąpiło ono miejsca objawom jedynej chyba na świecie — gościnności. Mój nowy gospodarz był tym co nazywamy u nas *gentlemen-farmer*. Jego żona i córki stanowiły uosobienie uroku kobiet polskich. Entuzjazm dla Sprawy Narodowej, patriotyzm nie znający granic poświęcenia, odwaga, oto cechy tych istot, pełnych osobistego wdzięku. Uważają się za żołnierzy. Doniosłość pomocy kobiet polskich dla powstańców jest naprawdę wielką”.

Po północy, idąc na spoczynek do pobliskiej oficyny, słyszy śpiew.

Głosy zrazu ciche przybliżają się szybko. To oddział kawalerii — myśli.

W pobliskim miasteczku stoi cztery tysiące Moskali. Ale to nie oni śpiewają. Nasz gość, poznał już tę melodię. „Śpiewali piosenkę kawaleryjską — wyjaśnia fachowo — Jeszcze Polska nie zginęła!... Poznałem po głosach że oddział był nieliczny. Piosenka brzmiała jednak triumfalnie”.

Następnego dnia był w obozie.



Jak korespondent „Blackwood Magazine'u” mógł się dogadać z naszymi chłopami to już jest jego tajemnicą. Zewnętrznie chłopci nasi zrobili na nim jak najlepsze wrażenie. „Uczciwe twarze, spojrzenia inteligentne, ubiór staranny i czysty”. Stopień uświadomienia politycznego chłopów wprost przeraża autora. Jako ilustrację podaje historyjkę, którą mu opowiedziano w Warszawie.

Pewien chłop otrzymał od powstańców kwit na zarekwidowaną krowę. Kwit opiewał na Rząd Narodowy. Chłopek udał się do stolicy i począł rozpytywać o adres Rządu Narodowego. Nie mogąc się niczego dowiedzieć poszedł do Cyrkułu Politycznego. — „Nie wiemy... — powiedziano mu — ale jak ty się sam dowiesz, to nam powiedz, a nagrodę jeszcze dostaniesz!”.

Uparty kmiotek powędrował dalej, a spotkawszy stojących na skwerku pod kasztanem trzech poważnych panów, podszedł do nich i zapytał po raz setny o adres Rządu Narodowego. — „O co chodzi?” — zapytał jeden z panów. Chłopek wytłuszczył swoją sprawę. „Postaw tu bracie krzyżyk...” podsunął mu nieznaną jegomość pokwitowanie. — „a tu masz pieniądze...”. Chłop, pomny obiecanej nagrody wrócił do Cyrkułu. „Wiem gdzie Rząd Narodowy!” — oświadczył „Gadaj! Gdzie?” — rzucili się Moskale. „A dyc pod kaştanem...” z dumą obwieścił chłopek.

Wnioski z rozmów z chłopami, formuje nasz Brytyjczyk, mniej więcej w ten sposób:

Rozpowszechniony na Zachodzie pogląd, że masy chłopskie ustosunkowane są zdecydowanie wrogo do powstania jest — błędny. Prawda, istnieją okolice gdzie chłopci nie sympatyzują z powstańcami i pomagają Moskalom. Na ogół jednak masy są całkowicie bierne, nie wiedzą o co walka się toczy i co zwycięstwo której ze stron może przynieść. Wielu, lepiej uświadomionych chłopów, walczy w szeregach powstańców. W miastach jest inaczej. Prawie wszyscy ich mieszkańcy, wiedzą o co chodzi. Oto obrazek z miasta:

Dwóch młodzieńców powstańców otrzymuje rozkaz udania się do burmistrza pobliskiego miasteczka i odebrania mu Kasy Skarbowej.

Chowając pistolety pod czamarki, chyłkiem mijają ulice i wchodzą do gabinetu burmistrza. Za biurkiem siedzi starszy, pan z sumiastymi wąsami. W pierwszej chwili, jeden z powstańców bierze go za własnego stryja.

„Niech pan dobrodziej odda nam Kasę Skarbową...” — mówi cichutko pierwszy chłopiec. „Nie oddam!” — syczy przez zaciśnięte zęby, także dziwnie cicho, burmistrz. „Ha, to trudno...” — odpowiada powstaniec. Obaj zabierają się do wyjścia. Kiedy już są przy drzwiach, burmistrz płaczliwym głosem woła: „Kawalerowie, poczekajcie! Wedle prawa nie mogę wam oddać Kasy Skarbowej dotąd, dokąd mi nie przyłożycie pistoleta do głowy. Chyba macie pistolety do kaduka!!!”.

— „...Wyobrażałem sobie że pojedziemy do obozu powstańców ciemną nocą i że wyprawa nasza będzie okryta ścisłą tajemnicą.

Nic podobnego się nie stało. Jechaliśmy w samo południe przez gęsto zaludnioną wieś, jechaliśmy trzema wozami, wśród trzaskania batów i wesolego pokrzykiwania poważających. Poza moimi gospodarzami, na wozach znalazło się aż siedem pań z sąsiedztwa, a wszystkie wolne miejsca były wypełnione prowiantami dla powstańców. Czyż taka wyprawa byłaby możliwa gdyby to, co ludzie myślą na Zachodzie o polskich chłopach, było prawdą?... Przecie nie ujechalibyśmy mili, a zawiadomieni kozacy mieliby nas w swoich rękach.

Po przeszło półgodzinnej jeździe dotarliśmy na skraj lasu, do leśniczówki. Leśniczy który miał być naszym przewodnikiem oczekiwał nas już na drodze. On sam, i jego tęgą, jasnowłosa żona byli „kwatremistrzami” partii powstańczej. Oddali jej już dawno wszystkie posiadane zapasy, a obecnie zdobywali nowe w całej okolicy, niepomni na śmiertelne ryzyko takiej działalności. Zagłębiliśmy się w las świerkowy. Coraz trudniejsza droga stała się nie do przebycia. Ruszyliśmy pieśzo naprzód. Nagle, z gęstwiny leśnej, wyjechało na ścieżkę dwóch powstańców. Byli to młodzi, nie więcej niż osiemnaście lat liczący chłopcy. Obaj uzbrojeni w karabinki, szable i pistolety, dosiadali pięknych, znakomicie utrzymanych koni. Zamienili kilka słów z naszym przewodnikiem i zniknęli w głębi lasu. Nie minęło dziesięć minut kiedy nagle i niespodziewanie zostaliśmy otoczeni przez oddziałek złożony co najmniej z dwunastu powstańców. Manewrowali tak zgrabnie swoimi lancami, pomiędzy gałęziami drzew, wyglądali tak pięknie w swoich rogatywkach z kolorowymi kokardami, na ich twarzach malowało się tak radosne wzruszenie, że patrzałem na nich — sam wzruszony — jak na obraz żywcem przeniesiony z — bajki. Spojrzałem na moje towarzyszeki. Oczy miały pełne łez.

Jeśli sobie kto wyobraża, że obóz powstańców polskich, przypomina swoim wyglądem nasze obozy w Indiach czy Afryce, to jest w wielkim błędzie.

Mała polanka leśna, konie przywiązane do pni drzew, jeden wóz z prowiantem i amunicją, to wszystko co zastałem w tym obozie”.

Dowódca oddziału powstańczego, młodzieniec dwudziestoletni, rewizytuje nocą angielskiego gościa. Towarzyszy mu trzech powstańców. Wszyscy mówią płynnie po francusku. Podczas rozmowy, wytłuszcza on swoje poglądy na powstanie: Powodzenie jego zależeć będzie od Wodza, wyposażonego w pełnię władzy. Takiego człowieka nie ma w tej chwili. Nie należy tworzyć wielkich partii, atakować miast i silniejszych oddziałów nieprzyjacielskich. Działania powinny się oprzeć na setkach małych grup, lepiej uzbrojonych i zdyscyplinowanych. Oddziały kosynierów należy zlikwidować. Na okres zimy partie powinny być rozwiązywane, ludzie kierowani do większych miast albo za kordon, do Galicji, po to aby z wiosną zejść się na umówionych miejscach i podjąć działania na nowo. W ten sposób

powstanie przetrwać może lata i zmusić w końcu mocarstwa zachodnie do interwencji.

„Ostatecznie traktat z roku 1815, jest ciągle obowiązujący...” — konkluduje swoje wywody.



W ówczesnych czasach, „Blackwood Magazine” był bardzo poczytny.

Był on podobny do dzisiejszego „Time'u” (tygodnik amerykański), czytali go prawie wszyscy.

Omawiane na tym miejscu korespondencje, pojawiły się w chwili, kiedy przed wędrującym po całej Wielkiej Brytanii Władysławem Zamoyskim zatraskiwano drzwi, a wysłannicy Hotelu-Lambert na próżno błagali o pomoc dla powstania w stolicach Europy. Pojawiły się one bezpośrednio po odrzuceniu przez amerykańskiego Sekretarza Stanu, Williama S. Sevard'a, zaproszenia do wzięcia udziału w konferencji, mającej na celu zbiorowe wystąpienie mocarstw. Motywując swoją odmowę, W.S. Sevard napisał: „Na drodze do rozwoju ludzkości, Naród Amerykański musi się zadowolić zaleceniem przeczności, która powinna się stać podstawą siły własnego rządu, musi on unikać stale i w każdym wypadku przymierzy zagranicznych, interwencji i mieszania się w cudze sprawy...”

Innymi słowy: „Za wolność naszą i... naszą!”. Brak przeznaczenia i „mieszanie się w cudze sprawy” wynagrodzono pewnym naszym rodakom w Stanach Zjednoczonych — pomnikami. Walczyli i ginęli w celu umożliwienia W.S. Sevardowi usadowania się w fotelu Podsekretarza Stanu i dawania nauk Polakom jak powinien wyglądać rozwój ludzkości i jak przeznaczenie powinni unikać zerwania — kajdan.

W C i K. Austrii, powstanie miało więcej sympatyków aniżeli w ojczyźnie Lincolna i Washingtona. Niemniej myślę, że Mr. W.S. Sevard i podobni mu politycy, nie mieli spokojnego snu, po przeczytaniu lipcowego i grudniowego wydania „Blackwood Magazin'u” z roku 1863.

„Do tej chwili myślicie na Zachodzie” — pisze w swojej ostatniej korespondencji nieznanemu Brytyjczyk — „że w Polsce walczą bandy fanatycznych rewolucjonistów. Wiedźcie więc o tym, że w Polsce walczy Naród. Walczy o wolność, której się n i g d y nie wyrzeknie...”

Głos ten na świecie odbił się echem ledwie dosłyszalnym.

Tak, jak i echo strzałów z pól bitewnych powstania, Grochowisk, Małogoszczy, Miechowa, tak jak ostatecznie zawołanie, ginących nad brzegami Wiernej Rzeki.

Henryk PRZYBOROWSKI

Niektóre z cytat zamieszczonych w powyższym szkicu, nie są dosłownym tłumaczeniem. Niemniej, starałem się w nich oddać, styl autora. H.P.

Kronika kulturalna

Nagroda Literacka "Kultury" za r. 1962 — Zygmunt Haupt

Jury w osobach Jerzego Giedroycia, Pawła Hostowca i K.A. Jeleńskiego przyznało nagrodę Zygmunutowi Hauptowi, którego zbiór opowiadań ukaze się w najkrótszym czasie nakładem Instytutu Literackiego.



Zygmunt Haupt zwrócił na siebie uwagę jury samobytnością swego talentu. Pióro jego łączy sobie własną drogę, całkowicie obojętne dla teorii, szkół i manier literackich naszego czasu. Słowa jego zajączkują się o siebie w sposób tylko jemu właściwy i dla którego próżno byłoby szukać wzorów. Utwory Haupta nie mieszczą się w tradycyjnych formach i uchylają się od klasyfikacji. Jedyne rozmiarem przypominają opowiadania. Stosowniej być może nazwalibyśmy je obrazami.

Za takim określeniem przemawiałby ich charakter statyczny. Przedstawione w nich postacie i sytuacje nie poruszają się niemal wcale; trwają, pozostają sobą. Narzucają się czytelnikowi samą intensywnością swej egzystencji.

Haupt stroni od metafor i aluzji; nie nagina obserwowanych zjawisk do swych nastrojów i ocen. Każda rzecz zachowuje u niego swój kształt i swą nazwę.

Związki między literaturą i malarstwem — od Owidiusza i Boccaccia do naturalistów i abstrakcjonistów — są znane. Rzadko jednak wydają się równie bliskie jak w prozie Haupta. Mówi o tym zarówno jej statyczność jak jej mimesis, dokładne przyleganie do obserwowanej rzeczywistości.

Haupt posługuje się wyjątkowo bogatym materiałem obserwacyjnym. Obrazy jego są tylko w pewnym stopniu tworamami

wyobraźni, bo każdy ich szczegół autor był widział naprawdę. Ze swej bliższej ojczyzny — Galicji Wschodniej — wyniósł w pamięci rodzaj inwentarza rzeczowego kraju. Zdawałoby się, że w pustkowiach gór i lasów Galicji, w obejściach gospodarstw, w lamusach, monasterach i na targowiskach nie było ani jednego przedmiotu, którego autor nie umiałby nazwać i opisać. Zna wszystkie maście koni, wszystkie rodzaje uprzęży, wszystkie odmiany dzwonek i kołatek, jakie kiedykolwiek widziano na końskich jarmarkach. Aby wszystko to przed czytelnikiem ustawić, posługuje się często — jak Rabelais i Joyce — techniką wyliczenia. Każda z jego postaci wygląda na portret, o którym Vasari powiedziała: *come vivo*.

Ilością realiów i odpowiadających im słów Haupt przypomina chwilami naturalistów. Różni go jednak od nich postawa artystyczna. Dla utrzymania dystansu wobec obserwowanych zjawisk, naturaliści patrzyli na opisywane środowiska nieco z góry na dół, ze szczyptą melancholii, jak lekarze patrzają na felczerów (Madame Bovary) lub literaci na podoficerów zawodowych (Les Sous-offs). Postawa Haupta każe myśleć raczej o malarzu w plenerze, któremu sam proceder tłumaczenia widzianych zjawisk na mowę farb dostarcza potrzebnego dystansu. W obrazach jego nie ma błękitnego dymu oddalenia. Galicja Wschodnia ukazuje się w nich w pełnym słońcu, oświetlającym niespodziane szczególności.

Gdy weźmiemy pod uwagę, że obraz ten przedstawia przedmiot istniejący już tylko jako mneme w naszej pamięci, że z galicyjskiego świata ziemian, urzędników, cugowych koni, żebraków i odpustów pozostała jedynie jego szata słowna, konkretność wizji Haupta wyda się osiągnięciem niezwykłym, wartym bliższego poznania i refleksji.

P. H.

Nagroda Plastyczna "Kultury" za r. 1962 — Rafał Malczewski

Z nazwiskiem Jacka Malczewskiego kojarzy się od razu i niepodzielnie malarstwo. Ale z Rafałem jest inaczej, jego świetne felietony, nowele i ostatnio pisane wspomnienia, drukowane —

jak dotąd tylko we fragmentach — stanowią tak bogaty dorobek literacki, że niesposób go pominąć, gdy się chce skreślić sylwetkę Malczewskiego jako artysty. Nie jest to zresztą fenomen tak rzadki jakby się na pozór wydawało — w obecnym pokoleniu naszych plastyków reprezentują go także Józef Czap-ski, zbyt dobrze znany czytelnikom „Kultury”, żeby go na tym miejscu trzeba było przypominać, Zdzisław Czermański, publikujący swoje kapitalne wspomnienia w „Wiadomościach”. W przeciwieństwie jednak do Czapskiego, który pisze niemal wyłącznie o malarstwie, Rafał Malczewski jako publicysta i dziennikarz interesuje się najpierw taternictwem i sportem, później, jako kronikarz Zakopanego, szkicuje sylwetki artystów, zawsze jednak żywych ludzi a nie ich dorobku.

Za to w malarstwie Rafała nie ma nie z literatury. W przeciwieństwie do ojca, wielkiego Jacka Malczewskiego, niedość przez obecne pokolenie „zauważonego” — jak to wielokrotnie podkreślał Lechoń, pragnąc zorganizować, jeszcze przed wojną, zbiorową wystawę jego prac w Paryżu — w sztuce Rafała nie ma żadnych pierwiastków literackich, a tematyka tych płócien ponieważ jest to zawsze malarstwo poczęte z natury — jest ściśle regionalna. Mamy więc, na przestrzeni wielu lat jego bogatej twórczości, cykle tatrzańskie, śląskie, cykl przemysłowy C.O.P. (może najślabszy, bo zrobiony na zamówienie państwowe, a nie podjęty jako wizja malarzka), z tematów zaś niepolskich cykl z południa Francji i ostatni, w sensie chronologicznym, cykl z Kanady.

Nie ulega wątpliwości że najbogatszy i najbardziej różnorodny jest cykl zakopiański, jako że tam artysta najdłużej mieszkał i tak się niejako wrósł w teren i nasycił jego urodą, że w transpozycji pejzażu Podhala nie ma sobie równych.

Rafał był integralną częścią Zakopanego, jak to dobrze pamiętają ci, którzy go na tamtym terenie widywali lub przynajmniej czytali jego pamiętniki. Wszystkie, znane w sztuce okresu międzywojennego nazwiska — od największych do najmniejszych, od luminary do gazdów góralskich — w jakiś sposób się wiążą z Rafałem — Witkacy i Karol Szymanowski, Karol Stryjeński, Ferdynand Goetel i Kazimierz Wierzyński, to była zaledwie część jego przyjaciół.

Debiut malarski Rafała przypada na ostatnie lata dwudziestolecia. Nie potrafię sobie przypomnieć dokładnej daty jego pierwszej wystawy w galerii Garlińskiego w Warszawie, ani pierwszej wystawy w Instytucie Sztuk Plastycznych, która miała miejsce już chyba w 1930 lub 1931 roku. Był to debiut w pełnym znaczeniu tego słowa, świetny. Jeżeli nasuwa się tu porównanie z fenomenem powodzenia wystawy Praclewskiego, skromnego szewca ze Starego Miasta, którego olejne kompozycje na tematy z Szekspira i Mickiewicza miały coś z prymitywu perskiego — to jedynie przez podobieństwo ich podejścia do sztuki. I Praclewski i Malczewski, pierwszy jako autentyczny samouk, drugi jako że nie kończył żadnej akademii malarskiej, a jedyne wska-

zówki jakie otrzymał, zawdzięczał ojcu — wytworzyli bardzo osobisty i bardzo indywidualny styl malarski. Na tym jednak porównanie się kończy. Praclewski, o ile mi wiadomo, dalej się nie rozwinął i wkrótce słuch o nim przepadł. Bujny talent Malczewskiego wciąż się rozrastał i aż kipiał z nadmiaru dynamizmu, to znowu przycichał jakąś rzewną poezją, delikatnością odczucia, która cechuje go również jako człowieka.

Technika olejna, jako taka, nigdy Rafała nie interesowała. Nie naśladował żadnej mody, nie podciągał się pod żadną „szkołę”. O ile w akwareli, dzięki ogromnej praktyce, doszedł do pewnej wirtuozerii i czasami świadomie tej wirtuozerii nadużywał, o tyle jego malarstwo olejne cechowała, na początku zwłaszcza, świeżość nowicjusza i idealna prostota środków. Farba kładzona była gładko, „śliska jak cerata” (jak kiedyś powiedział Pankiewicz o Kislingu) operowanie kolorem lokalnym, bez nuansów, które potrafi być w innych tak nudne, w pejzażach Rafała nabierało jakiejś nowej, świeżej wymowy.

Wytrawni artyści, krytycy przyzwyczajeni do różnych fakturalnych sztuczek, kiwali głowami nad genialną prostotą tych zawalonych topniejącym śniegiem chałup, nagich badyli drzew, szarpanych halnym wiatrem, domków dróżnika, rozmokłych dróg pod łożanym niebem, wiodących do nikąd. Oszałamiająco kolorowe pejzaże z południa, ostre zielenie przecinane czerwoną dachówką zabudowań, szafirowa tafla morza, białe żagiel, osiołek ciągnący wózek — sprzedawały się natychmiast po otwarciu wystawy i nie było wtedy w Warszawie kulturalnego domu, który by nie szczył się posiadaniem co najmniej jednego obrazu Rafała. Każda następna wystawa była już potem oczekiwanym wydarzeniem artystycznym, o którym mówiło się, dyskutowało. Obrazy Malczewskiego znalazły się szybko w wielu zbiorach i galeriach prywatnych i państwowych, w kraju i poza krajem.



Patrząc na ostatnią fotografię Rafała i serce mi się ściska. Jakże bardzo się zmienił. Tak jak kiedyś beztrąsko dźwigał plecak, wdrapując się na Zamarłą Turnię lub zjeżdżając na nartach na Halę Gąsienicową, tak teraz na tych samych barkach, ale już wiekiem przygiętych, dźwiga przygniatający ciężar choroby, która go powaliła pięć lat temu. Ubywają mu siły fizyczne, osłabione komplikacjami paraliżu, i siły moralne, sterane tyłoma już latami ciągłej walki o byt, stałego borykania się z trudnościami, niepewności jutra.

Nie łudźmy się. Cierpienie niekoniecznie uszlachetnia i — pierwszym warunkiem do osiągnięcia świętości jest — jak to słusznie zauważa Kościół — dobre zdrowie. Głos Rafała słyszy się dziś rzadko. Przestał malować, nie może również pisać. Nawet mówić mu trudno. Ongiś pogodnie lub wręcz zabawne listy ustąpiły miejsca rzadkim, bardzo rzadkim, na maszynie wystukany, beładnie powiązanym już nie listom, a raczej skargom, gorzkim

i tragicznym, które usiłują przerwać otaczające go milczenie i poruszyć serca.

Przyjaciół ma wielu, zawsze ich miał, rozsianych po całym świecie, i którym los Rafała na pewno nie jest obojętny. Ale indywidualny gest mecenasa sztuki lub prosta serdeczność niespiesznego przechodnia nie są w stanie zapewnić Malczewskiemu stałego utrzymania i pokryć kosztów skomplikowanej i trudnej do leczenia choroby. I chyba jedynie połączone wysiłki kilku organizacji, zwłaszcza tych, które doceniają ogromny wkład Rafała do polskiej sztuki i kultury mogłyby tę bolesną, a tak nagłą sprawę w jakiś nie dorywczy, a stały sposób rozwiązać.

Oshkosh, Wis. USA.

Felicja KRANCOWA

O Brzozowskim

Niezrozumiały był przede wszystkim sam człowiek, traktujący sprawy intelektualne jakby to były sprawy życia i śmierci.
Cz. Miłosz

Renansans Brzozowskiego? Za wcześnie o tym mówić. Dopóki książki Brzozowskiego są białymi krukami, gdzie można mówić o renesansie? Czy na zapowiadane pełne wydanie jego dzieł w Polsce będziemy czekać równie długo jak na Norwida?

Po książce Stawara „O Brzozowskim” (1) mamy teraz „Człowieka wśród skorpionów” Miłosza (2). Stawar przemyślał Brzozowskiego pod kątem doktryny marksizmu. I wskutek tego niejedyn wątek jego myśli dostał z góry negatywnie oceniony. Zachwyt Brzozowskiego dla Proudhona *obok* czci dla Marksa, bezpośredni i długotrwały wpływ Sorela, to wszystko dla Stawara „głosy” indywidualisty „o słabym pojęciu warunków społecznego działania”; a cała religijna strona myśli Brzozowskiego może być tylko wyrazem chorobliwej depresji „patologicznego” nastrojowca, pokusą reakcyjną śmiertelnie chorego pisarza. „Epeopea myślicielska pełna śmiałych rzutów... miałyby się skończyć w drzwiach zakrystii?” — pisze Stawar.

„Człowiek wśród skorpionów” zdaje mi się pierwszą próbą ogarnięcia nieuprzedzoną myślą *całego* Brzozowskiego. Miłosz widząc w nim prekursora filozofii egzystencjalnej dociera głębiej

(1) Czytelnik, Wwa, 1961.

(2) Instytut Literacki, Paryż, 1962.

do wewnętrznej logiki rozwoju myśli tego wyznawcy Marksa i kardynała Newmana, myśli złożonej, wielokierunkowej, sobie samej nieraz przeczącej. Nikt chyba nie był bardziej powołany by taką książkę napisać, niejedno Miłosza z Brzozowskim łączy: te same pasje społeczne, ta sama pasja problemów intelektualnych i świadomość ich absolutnej powagi, ta sama rzetelność i wrażliwość na moralny aspekt zagadnień, podobne oscylacje i rozdarcia, których autor ani nie zamazuje ani ukrywa, ale przeciwnie próbuje się doszukać ich sensu.

Miłosza próbowano także z prawa i z lewa zaszczyć, tylko że na szczęście dla niego i dla nas on tu zwyciężył. Brzozowski mógłby (gdyby żył) mu powiedzieć:

„Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą
a ja doliną”.

Kontrast między zbieżnością niektórych wątków myślowych Brzozowskiego i Miłosza a rozbieżnością ich drogi życiowej jest frapujący.

„Człowiek wśród skorpionów” ukazał się w maju, szukam w „Kulturze” i innych pismach omówienia tej książki, która zdaje mi się tak ważka. Nic, poza łaskawym poklepaniem Miłosza po ramieniu przez Gombrowicza, który zresztą stwierdza, że Brzozowskiego nie czytał, co mu nie przeszkadza zając stanowisko za Sienkiewiczem i przeciw Brzozowskiemu (3) i nowego przyczynku śp. Pobóg-Malinowskiego do „Sprawy” Brzozowskiego, który znów żadnych pewników w tej sprawie nie daje i dać nie może.

Należałem sam do wyznawców Brzozowskiego, o których pisze Miłosz, że byli wyznawcami „uczuciowymi”, niezdolnymi najprościej ogarnąć myśli filozoficznej pisarza, należę do pokolenia, które nie spełniło wobec niego elementarnego obowiązku, który dziś za nas spełnił Miłosz. Zachęcony „Człowiekiem wśród skorpionów”, chciałem spróbować poprzez własne wspomnienia dotrzeć do istoty wpływu Brzozowskiego na młodzież początku XX wieku i paru zestawieniami tekstów i faktów podszyc to, co Miłosz napisał o stosunku Brzozowskiego do katolicyzmu.

„...Jakby to były sprawy życia i śmierci”

Pisząc na wstępie swej książki o pierwszych czytelnikach Brzozowskiego, Miłosz stwierdza, że „albo nie rozumieli go wcale, albo rozumieli co trzecie zdanie”, „kampanie Brzozowskiego... przysparzały mu entuzjastów wśród młodzieży, byli to jednak na ogół tylko uczuciowi sprzymierzeńcy”. Ocena zdaje mi się słuszna. Ale w czym tkwić mogła ta siła jego działania na „uczuciowych sprzymierzeńców”, magia, której sam uległem do tego

(3) Cenny artykuł Jerzego Fijasa „Brzozowski, Newman, katolicyzm” w „Tygodniku Powszechnym” z 5.8.62. jest polemiką z książką Stawara.

stopnia, że spotkanie z Brzozowskim do dziś uważam za jedną z najważniejszych dat mego życia. Gdybym był rzadkim wyjątkiem miałyby to znaczenie czysto osobiste, ale reakcja moja na jego pisma, spóźniona o 10 lat przynajmniej i przez to nie typowa, istniała za życia Brzozowskiego z różną, jeżeli nie większą gwałtownością, masowo w środowiskach młodzieży postępowej. Nie wiem czy Żeromski, Wyspiański i nawet Przybyszewski mieli przyjaciół, wyznawców równie fanatycznych.

„Legenda Młodej Polski” ukazuje się w dwóch wydaniach, 1910 i 1911 (4) u Połonieckiego we Lwowie. Około 4 tysięcy egzemplarzy tego 500-stronicowego filozoficznego tomu, pisanego językiem trudnym, nieraz mętnym i nawet nieprzyjemnie patetycznym, zostaje rozsprzedanych w Krakowie w parę dni!

Posądzenie Brzozowskiego o zdradę i donosicielstwo, „sprawa” Brzozowskiego, to jest walka oskarżycieli (wcale nie tylko skorpionów) z namiętnie wierzącymi Brzozowskiemu jego wyznawcami.

Wrażliwy czytelnik rozumiejąc go nawet „co trzecie zdanie” wyczuwał *ton* pisarza swoistą „démarche” jego myśli, to powiązanie słowa z intymnym doświadczeniem całej istoty a nie oderwanego, tylko „profesorskiego” intelektu, („co nie jest biografią — nie jest w ogóle”), powiązanie z odpowiedzialnością moralną, granice jakby zatarte między procesem wypowiedzi filozofa i artysty.

Miłosz pisze: „niezrozumiały był przede wszystkim sam człowiek traktujący sprawy intelektualne, jakby to były sprawy życia i śmierci”. Tu Miłosz się myli. *Ta* właśnie postawa zyskiwała mu wyznawców. Wszystkim, którym horyzont umysłowy Sienkiewicza zdawał się nie tylko ciasny, ale zafałszowany — Brzozowski wybijał okno na świat. Wyrывał również czytelnika z towarzyskich *nie obowiązujących* dysput, ze świata podfilipszczyzny. „Ton” jego pism zmuszał czytelnika do ustawienia siebie inaczej wobec życia, wszystko stawało się problemem sumienia, zobowiązywało wobec konkretnej *danej* rzeczywistości. Polsce „zdziecinniej”, „beztroskliwej”, „lekkomyślniej” i „próżniaczej”, z „widmem Rejtana strzeżącym progę każdej polskiej spiżarni”, polskiemu „Oberammergau” obchodów i frazesów Brzozowski przeciwstawiał inną wizję i polskiej historii i polskiego romantyzmu, Mochnackiego i Norwida, inne miejsce Polski we współczesnej Europie. Polska była dla niego jedynym medium, poprzez które mógł czytelnik nie tylko zdobyć swoje miejsce w świecie szerokim i najszerszym, ale być współtwórcą losów tego świata. Od tego zadania nikomu nie wolno było się uchylić.

„Życie nasze, ja nasze — to jest posterunek, gdy my go opuścimy utraci go cała ludzkość na zawsze”. Jakże te słowa wówczas brzmiały!

W tej walce o nowy stosunek do świata Brzozowski nie był sam, *należał* do Młodej Polski. Jeszcze w „Ideach” przyznaje się

(4) Daty podaję za Irzykowskim w wydaniu warszawskim „Legendy” z 1937 r.

do decydującego wpływu, jaki mieli na niego Przybyszewski, Żeromski, Wyspiański, Kasprówic, nawet tak przez niego zaatakowany Miriam, odkrywca Norwida, Irzykowski, jego współcześni, których to, czczył to krytyką swoją miażdżącą, oni stworzyli klimat, w którym pisma Brzozowskiego mogły zapalać. To było przebudzenie myśli i sztuki, wobec którego dorobek myślowy i artystyczny niepodległości może się wydać płaski i od nowa prowincjonalny.

Wspomnienia anachroniczne

Próbując dotrzeć do istoty „magii” Brzozowskiego na młodzież początku tego wieku, chcę wrócić do własnych wspomnień, jak już pisałem nietypowych, bo przesuniętych o kilkanaście lat w czasie, niemniej tak zbliżonych do reakcji młodzieży na pisma Brzozowskiego w latach 1905-1914.

Odkrycie Brzozowskiego nastąpiło u mnie dopiero w 1919 roku w Krakowie, po inkubacji Rosji. Już na szkolnej ławie w Petersburgu literatura rosyjska, rzeczywistość rosyjska były moimi pierwszymi przeżyciami intelektualnymi, które mnie naznaczyły. W Brzozowskim odkrywałem od pierwszej chwili podobną temperaturę myśli. W pismach swoich pisze on wielokrotnie ile zawdzięcza Rosji; według niego społeczna myśl rosyjska była głębsza i nawet widzenie Zachodu pełniejsze i nowocześniejsze niż w Polsce. (Mickiewicz pisał to samo o Rosji Mikołajewskiej w swoich listach do Odyńca).

Jeżeli gdzie wyczuwałem, że traktuje się sprawy intelektualne tak, jakby to były sprawy życia i śmierci, to właśnie w Rosji. Dla Rosjan liberalnych były one zawsze powiązane z zagadnieniami uniwersalnymi, z Zachodem; wobec nich patriotyzm sienkiewiczowski zdawał się zaściankowy i obrazkowy. W Rosji bywali może również Podfilipscy, choć zastępowali ich prawdopodobnie głusi na wszystko reakcyjniści. (*Il n'y a que la mitraille pour la canaille* — mówił były minister, sędziwy hrabia Pahlen, patrząc przez okno na wielką manifestację w 1905 roku). Ale ogrom rosyjskiego imperium, niezliczone nurty rewolucyjne, zamachy, cała literatura od Tołstoja wyklętego przez Synod, z jego fascynującą postawą moralną i śmiercią, od Dostojewskiego skazańca, reakcjonisty i proroka, z całą plejadą innych wielkich pisarzy unicestwiać musiał ten typ płaskiego „myślenia” towarzyskiego i nie obowiązującego. Tam również istniała „wieś biała w atłasie kwiatów”, ale tam „dęby wyrwane z ziemi”, „fale brudne przez mur cmentarza” bijące „trumny ciężkimi”, o których pisał Norwid były bezpośredniej, może brutalniej odczuwane przez ogół niż w Polsce — ponad 40 lat po powstaniu, po erze pracy organicznej, która rozgrzeszała przeróżne ugody.

Zjechałem po raz pierwszy do Krakowa w 1919, osiem lat po śmierci Brzozowskiego gdy jego „sprawa” należała do dalekiej, przedwojennej przeszłości. Od Krakowa Brzozowskiego dzieliła

mnie wojna — to był już Kraków Niepodległości. Przyjeżdżałem z Rosji, przeżyłem tam dwie rewolucje, pierwszą z nich, lutową w Petersburgu. Białe noce tego lata, w mieście pełnym zawrotnych nadziei i wstrząsów, gdzie nie było mleka i cukru, ale gdzie płace były aż do rana zapełnione tłumami ludzi wszystkich stanów, którzy godzinami, grupami, bez krzyków, w namiętym skupieniu dyskutowali o istnieniu i nieistnieniu Boga, o prawości i nieprawości wszelkiego posiadania, o braterstwie ludzi, zniszczeniu wszelkich granic, o nowej sprawiedliwości. W tymże Petersburgu-Piotrogradzie powstawał pierwszy Wszechrosyjski Sowiet Robotników i Żołnierzy, a prezes tego sovietu socjalista Ceretelli, tylko co wypuszczony z carskiego więzienia, ogłosił odezwę do żołnierzy wszystkich frontów, by broń złożyli, by się poprzez zwały trupów okropnej wojny wszyscy bratali. Strzęp gazety z tą odezwą miałem przez długie miesiące zawsze przy sobie. Dziś jest trudno zrozumieć jak wtedy brzmiały te słowa braterstwa rzucane na cały świat. Nowa nadzieja millenium? Tak się zdarzyło, że asystowałem jeszcze przed samą rewolucją październikową przy dwugodzinnym, dramatycznym opowiadaniu samego Ceretellego o rozpadzie wszelkiej władzy pod naciskiem partii bolszewickiej. Już wtedy los Rosji demokratycznej zdawał się przesądzony.

Potem jeszcze dwa razy wracałem za fałszywymi papierami do Piotrogradu, już po zwycięskiej rewolucji październikowej. Ale to już były dwie zimy terroru, rozstrzałów, przepędzonych więzień, głodu.

Kraków! Nikogo tam jeszcze nie znałem, moja ignorancja spraw polskich dziś mnie samemu zdaje się prawie niewiarygodna. Z pobytu wówczas w Krakowie nie zachowałem wspomnień ani Wawelu ani kopca Kościuszki ani Panny Marii, ale pamiętam dokładnie ciemny salonik-poczekalnię jakiegoś dentysty, gdzie na stole, pod brzydką secesyjną lampą, wśród brudnych, sto razy przegłądanych pism ilustrowanych odkryłem „Legendę Młodej Polski”. Otworzyłem ją w środku pierwszego rozdziału: „Nasze ja i historia”. Odczytuję ten rozdział dzisiaj. Cóż było w nim wówczas tak rewelacyjnego, że miałem wprost fizyczne wrażenie, że odkrywam coś dla mnie najważniejszego?

Zrozumiałem nagle całym sobą, już od pierwszych stron tej książki, że nie jestem sam, że jestem związany z całym światem, z historią, że nie ma samotności, że moje najtajniejsze myśli i przeżycia nie są moją tylko własnością, że mają odpowiedniki w świecie, bo nie są wytworem wyłącznie tylko mojej myśli, ale całego procesu historycznego, który moją świadomość wyźłobił (był określa świadomość?), że należą do historii, chcę tego czy nie chcę, że jestem nie tylko potrzebny, ale że nikt za mnie tego co zrobić muszę nie robi, i zrobić nie może.

Potem już, idąc w głąb tej książki odkrywałem z upojeniem to, czego nigdy Rosja dać mi nie mogła, że droga moja do idei ludzkości, która mnie na Wschodzie urzekła, prowadzi przez Polskę, że jej rozwoju nie tylko nie muszę, ale nie mam prawa

lekceważyć. Poprzez okrutny pamflet na Polskę dzieciinną, jedyną którą znałem dotychczas, odkrywałem inną Polskę. Mój kompleks niższości wobec wielkiej ojczyzny Tołstoja, Dostojewskiego i rewolucji przestał istnieć. Tołstoj był pierwszym mistrzem mojej młodości, ale Dostojewski, Nietzsche, Rozanow, poznani za mego ostatniego pobytu w Rosji dzięki Mereżkowskiemu i jego żonie, poetce Zinajdzie Gippius, z którymi spędziłem szereg wieczorów w nieopalanym, lodowatym ich mieszkaniu na Siergiejewskiej w Petersburgu, z Tołstoja mnie wyzwoliły, przygotowując mnie do Brzozowskiego, do jego wizji historii.

W „Legendzie”, w jednym z odnośników pisze Brzozowski o Jerzym Sorelu.

„...Dla każdego kto oswoi się ze stylem Sorela, przesyconym życiem myśli, na gorącym uczynku schwytanym — mdłym musi stać się wszelki inny sposób pisania. Sorel nie buduje architektonicznych całości literackich, ale buduje samą myśl, w głowie czytelnika, stwarza jakby nowe komórki i włókna mózgowe, rozbudza procesy myślowe, „tworzy powołania”, jak sam on się wyraża”.

Nie umiałbym lepiej wyrazić działania samego Brzozowskiego na mnie.

Od tego czasu Brzozowski towarzyszył mi wszędzie. Już żyłem w Polsce i Polską. Była znów wojna. W pociągu pancernym braci Małagowskich, potem w Pułku Krechowieckim, odkrywałem młodzież polską otwartą, entuzjastyczną, optymistyczną (wszyscy kochali Sienkiewicza dla iluż z nich walki 20 roku to był dalszy ciąg „Trylogii”), nie pamiętam bym spotkał brzozowszczyków. Ale w pociągu pancernym, piśsudczyka Małagowskiego, gdzie oficerami i szeregowymi była przeważnie młodzież akademicka, zetknęłem się z żeromsczykami i naturalnie z piśsudczycami. W poczekalni na stacji w Nowym Sączu, gdzie pociąg nasz remontowano, potem na froncie czytałem wieczorami Brzozowskiego i on mnie uczył Polski. Jego oczami na tę młodzież patrzałem. Nawet Mickiewicz, już nie mówiąc o Norwidzie, przyszedł do mnie przez Brzozowskiego. A Zachód, i te nazwiska, które przeważnie słyszałem po raz pierwszy, od Vica, Carlyla, Goetho, Bergsona i Sorela po Mereditha, Browninga, Blake’a, Wilfreda Pareto i Newmana, to były jakieś gwiazdy na nowym dla mnie niebie, które czciłem, bo wspominał o nich Brzozowski. Dopiero wśród oficerów legionowych spotkałem paru brzozowszczyków i znów dzięki Brzozowskiemu wspólny z nimi znalazłem język.



Ale od jesieni 1920 roku przyjęty do Akademii w Krakowie, wchodzę w świat całkiem nowy, o innym klimacie i innych reakcjach. Jakby ten język, to widzenie świata zostało starte przez nową, powojenną rzeczywistość. Koledzy, z którymi potem los swój wiąże, przyszli kapiści, to już ludzie tknięci formizmem (Gałka Muszkatułowa), majakowszczyzną (Bruno Jasieński), futuryzmem, kubizmem.

Wchodzę w ten świat moich nowych przyjaciół w zupełnie nową atmosferę intelektualną, beztróskiej pewności siebie, zwycięskiego optymizmu i zmysłowej radości życia.

Ta młodzież robi wszystko, żeby zapomnieć, że w teje Akademii byli jeszcze tak niedawno malarze o przydługich włosach i długich pelerynach. Jestem wówczas wśród moich kolegów dość dla nich zabawnie anachroniczny. Mam odruchy myślowe i uczuciowe inne niż oni. I ta radosna afirmacja życia jest u mnie trochę wymuszona — to nie mój świat. Czuję się coraz to śmieszonym pogrobowcem Młodej Polski, do której nigdy nie należałem. Mała scenka z tamtych czasów do dziś utkwiała mi w pamięci.

Na wiosnę 1921 roku (czy już 1922?) moi koledzy coraz to zwiewali z pracowni, żeby godzinami pławić się w Wiśle i opalać na plaży. Jeden z najzdolniejszych („najmniej pracuje i ciągle robi postępy” — wzdychał profesor ze zgorzaniem i uznaniem) mówi mi, leżąc nago na piasku, ze świadomością, że wypowiada głęboką nowoczesną myśl filozoficzną: „Nie wiem co jest ważniejsze, opalać się czy malować”.

Milczę, bo nagle w tej atmosferze błogiej rozkoszy, prawie że fizycznie odczuwam zatęchłą piwniczną atmosferę niewoli, krzywdy, tragedii, o której ci chłopcy nic nie wiedzą i wiedzieć nie chcą. Wypiański, tu w Krakowie, umierający na syfilis, suchoty i nędza Żeromskiego otoczonego zgorzaniem dobrze myślących, suchoty, nędza i haniebnym proces Brzozowskiego, jego śmierć we Florencji. Czuję wobec tamtych winę, zdradę? Że o nich milczę? Ale komu mam o nich mówić! Kolegom z Akademii? Młoda Polska, którą ja dopiero co odkryłem, jest dla nich marą na zawsze minionej przeszłości, a przede wszystkim literaturą nie do czytania. „Jak możesz czytać Żeromskiego, kiedy jest Balzak i Szekspir?” — mówi mi jeden z nich. Gdy czytam drugiemu „Wyzwolenie”, krzywi się, jak bym mu dał octu do wypicia. „Ci ludzie mieli 40 stopni gorączki”. Brzozowskiego nie znają i znać nie chcą. Jeszcze jakiś upiór przeszłości. Precz z upiorami!

W miarę lat, porwany własnym życiem, swoją pracą, zespołem artystów, z którymi los dzieł, Paryżem, do którego ruszam w 1924 roku, przestaję śledzić losy pism Brzozowskiego. Jeżeli natrafiam w prasie polskiej, którą czytam dorywczo, na artykuły o nim, to zawsze i jeszcze o „sprawie”. Był czy nie był zdrajcą?, szkalowany przez ideowych przeciwników, których nie szczędził, posądzony o to, że był konfidentem Ochrany. Duża część opinii polskiej wierzy bardziej „nawróconemu” agentowi Ochrany, który się sam przyznaje, że torturował więźniów, jak świadectwom samego Brzozowskiego i jego przyjaciół. Jeszcze w 1918 roku Żeromski propagując ideę stworzenia Akademii Literackiej (5) żądał przede wszystkim wyjaśnienia tego ciężącego na Brzozowskim zarzutu: *albo* zostanie on uniewinniony, *albo* wina jego zostanie ustalona, a pisarstwo jego wówczas ma być *skreślone*

z *roczników kultury polskiej*. To skrajne stanowisko wcale wówczas nie było w Polsce odosobnione. Spotkałem około 1925 roku we Francji wybitnego Esera I. Fondamińskiego. Skazany był na śmierć jeszcze przez rząd carski za udział w którymś z zamachów; wyrok zamieniono na dożywotnie zesłanie na Syberię. Uciekł stamtąd i osiadł w Paryżu w 1905 roku; wrócił do Rosji w 1917-ym i znów jako emigrant wylądował w Paryżu. W lewicy, antybolszewickiej emigracji ceniony przez wszystkich, był swego rodzaju postacią ewangeliczną, nie miał wrogów (umarł w obozie niemieckim podczas ostatniej wojny). Otóż zainteresowałem się on pisarstwem Brzozowskiego. Starałem się mu wyłożyć jego filozofię, w żadnej ówczesnej partii nie mieszczące się bogactwo jego myśli, opowiedziałem mu jego stosunek do spraw religii i jego śmierć. Słuchał z najwyższym zainteresowaniem. Dla niego, Rosjanina, z generacji Brzozowskiego, to była postać bliska, odnajdywał w nim te same punkty newralgiczne, które sam z równą siłą odczuwał. Zacząłem mu opowiadać o „sprawie” i tu od pierwszej chwili zauważyłem zniecierpliwienie i prawie irytację, aż wybuchł: „Po co mi pan to wszystko opowiada, co mnie to może obchodzić, *gdyby nawet tak było*, gdyby w pewnej chwili uległ ohydnemu szantażowi, jakie to może mieć znaczenie!”.

Cytuję te obie reakcje, charakterystyczne, gdy chodzi o ocenę pierwszeństwa: moralności pisarza czy dzieła jego myśli.

Sam szukałem gdzie mogłem obiektywnego potwierdzenia moich przekonań, mojej pewności, że cała ta „sprawa” była przez wrogów Brzozowskiego, „skorpiony”, zmontowana i oszczerza. Zetknąłem się wówczas w Paryżu z Rafałem Buberem przez jego syna, który tam studiował. Ten szlachetny wierny przyjaciel i obrońca pisarza na procesie, wielu konkretnymi faktami potwierdził mi moje intuicyjne wówczas przekonanie. Po przeczytaniu rozdziału Miłosza, gdzie zgrupowane zostały wszystkie dostępne mu dane wraz z oświadczeniem Brzozowskiego, „krzykiem tonącego” z 1908 roku, po śmierci świadków, obrońców i napastników, wszelkie powracanie do „sprawy” zdaje mi się tylko powiększaniem gąszcza dalszych w czasie i przez to coraz mniej ścisłych informacji i domysłów. Czy nie czas by „sprawę” zamknąć i zająć się nareszcie wyłącznie myślą Brzozowskiego, tak jak się nią zajęli i Stawar i Miłosz?

„Pamiętnik” Brzozowskiego

Nie przypominam sobie, bym w tamtych latach powracał głębiej do dzieł Brzozowskiego, poza jednym „Pamiętnikiem” — tymi już po śmierci wydanymi, gorączkowymi notatkami z ostatnich paru miesięcy jego życia. Ta książeczka, to jedyny, jaki znam, polski „journal intime”. Ile takich jest we Francji od Maine de Biran aż po Simone Weil. Bo czymże innymi są jej myśli wpiśwane na prędcie do szkolnych kajetów? „Pamiętnik” Brzozowskiego, to książka która zostanie w literaturze polskiej. Gdyby

choć to ostatnie słowo zaszczonego pisarza można było wydać na nowo. Sam styl tych notatek, czysty, ścisły aż drgający od temperatury wewnętrznej, wskazuje do czego się Brzozowski wewnętrznie dopracował. Tej książki nie można przeczytać tylko, trzeba z nią współżyć. Zginęła tu młodopolska patetyczność, młodzieńcze kaznodziejstwo, jest nieustanny rachunek nad sobą, bezwzględny, i śmiertelny wysiłek, by nic nie uronić z tego co jeszcze wyrazić chce czy musi. Szkalowany, wyrzucony jakby poza obręb społeczności polskiej, umierający w dalekiej Florencji, notuje: „Nie stoicka nietykalność, ale przezwyciężenie ran odczuty”, pisze o zdolności przebaczenia, które jest kryterium siły, o pustyni samotności wśród „głupoty i miękkiego wrzasku polskiego życia”. Błyskawicznymi rzutami naświetla całe dziedziny problemów i myśli, nie ma tam strony, która by nie zmuszała czytelnika do zastanowienia i do własnego rachunku sumienia. Pisze o literaturze, przeciwstawiając ją czystej polityce, literaturze uważanej za luksus, jako „jednej z najniezawodniejszych dróg prowadzących do wyzwolenia z brutalnie głupich i deprawujących zabobonów politycznych”. Marzy o tym, że gdyby miał czas jeszcze, zmieniłby „charakter polskiej literatury na całe pokolenia” i byłby szczęśliwy. Cztery miesiące przed śmiercią pisze: „Gdybym mógł, gdybym mógł kształcić się tylko przez rok, przez jeden rok”. Woła, krzyczy do przyjaciół o książki, na które czeka miesiącami, ma stać go na ich kupno, a potrzebne mu są więcej niż chleb.

Surowo ocenia swoich przyjaciół, młodych intelektualistów polskich dla których „życie powinno być przyjemne, przyjemne dla nich, i że gdy nie jest, ma to jakiegokolwiek znaczenie godne obiektywnego opracowania. Wnet wciąga się w dyskusję społeczeństwo, Polskę, byt, dlatego tylko, że tu w tej lub innej indywidualności nastąpiła przerwa 'w odczuwaniu przyjemności'”.

Ileż myśli i uwag, na ile tematów, które, gdyby żył, rozrosłyby się do całych rozpraw o wstecznych elementach każdej sztuki, bo „artyzm zależny jest od pierwiastków, które zmieniają się najwolniej”, o zakłamaniu oświaty ludowej, jeżeli jest oparta na „wierze w lud”, bez wiary w prawdę i troskę o nią. Nie ma strony, gdzie by czytelnik wczorajszy, dzisiejszy, jutrzejszy nie znajdował myśli jego samego tyczących, które go to wspierają to chłoszczą. Jakże niewielu ludzi w latach Niepodległości wczytywało się w tę książeczkę, a któż ją dziś czyta, jeżeli jej nigdzie dostać nie można? Każdy intelektualista znał „Journal” Gide'a czy „Voyage au bout de la nuit” Céline'a. Ale kto znał tę polską podróż do kresu nocy, kogo ona interesowała? Tak jak dziś Gombrowicz, tak wówczas Słonimski, zaznaczał swój wobec Brzozowskiego dystans. Brzozowski, którym — pisał wówczas Słonimski — „interesują się jedynie snobi i religianci”.

Sam wówczas nic dla Brzozowskiego nie zrobiłem, więc ponoszę tę samą co wszyscy odpowiedzialność. List mój wysłany w tej sprawie do „Wiadomości”, o którym wspomina Miłosz, był kiwaniem palcem w bucie. Pamiętam Fiłosofowa, który mi

wtedy powiedział: „Myślisz, że tak się broni pamięci pisarza? Napisałeś trzy słowa i wyjeżdżasz znów do Paryża? — Powiedziałam nie pozwalam i uciekł na Pragę. — Z takiej obrony żadnej korzyści być nie może”. I nie było.

„Zabobon o Bogu”

Jest jeden problem, który Brzozowskiemu nie daje spokoju od wczesnych lat, jemu, za młodu wojującemu materialistycznie. Porusza go już w „Filozofii Romantyzmu Polskiego” w sposób nieoczekiwany — jest to sprawa katolicyzmu. Pamiętajmy, że antykatolicyzm był wówczas dogmatem kół postępowych. Stosunek zaś Brzozowskiego do katolicyzmu nie wchodzi w te ramy. Stawar wykrywa tu pokusy reakcyjne, Bohdan Suchodolski konsekwentną drogę materialisty do katolicyzmu. Gustaw Herling-Grudziński we wstępie do „Filozofii Romantyzmu Polskiego”, wydanej na nowo w Rzymie w 1945 roku, stwierdza, że próba Suchodolskiego wypadła zupełnie nieprzekonywująco. Nie znam książki Suchodolskiego, mam zaufanie do oceny Grudzińskiego w jego bardzo ciekawym i czujnym wstępie. Stosunek Brzozowskiego do katolicyzmu należy rozpatrywać pod zupełnie innym aspektem niż Stawar i Suchodolski. Dziś, po Simone Weil, łatwiej byłoby przeżycia Brzozowskiego ująć i zrozumieć. „Krańcowe zwątpienie staje się nie wiedząc o tym organem wiary” — pisze Brzozowski. Mogłaby to napisać dosłownie Simone Weil w swoim „Atheisme purificateur” w „Pesenteur et la grâce”.

Już w „Legendzie” docieramy do wypowiedzi Brzozowskiego o katolicyzmie; są one pełne myślowych wahań. W rozdziale „Mity” Brzozowski pisze: „Z punktu widzenia dostatecznie rozległego cały dzisiejszy moment kulturalny może się rozpatrywać jako *rozkład katolicyzmu*”. Pod koniec tego samego tomu pisze: „Czasami wydaje mi się, że powinienem napisać *przeistoczenie*”. Widzi w katolicyzmie dzieło społeczne, najwyższe jakie świat stworzył. Gdy w „Legendzie” omawia Norwida, którego coraz to Sienkiewiczowi przeciwstawia, mówi o nim jak o „jednym z najbardziej i najgłębiej katolickich umysłów stulecia, najniezaprzeczalniej katolickim pośród wszystkich naszych poetów”. Jednocześnie nie przestaje atakować polskiego katolicyzmu oficjalnego i widzi w nim „czynnik izolacji kulturalnej a wcale nie łączności z procesami, które się rozwijają, rozrastają i pogłębiają na Zachodzie”. Nigdzie stosunek między katolicyzmem, głęboką dyscypliną moralną obejmującą całe życie, a katolicyzmem ludowym nie wydaje mu się tak demoralizujący jak w Polsce.

Gdy pisze o Beaudelaire, o jego heroicznym wprost prawości wewnętrznej, łączy ją z jego katolicyzmem, bo

„katolicyzm opiera się na przekonaniu, że życie każdego pojedynczego człowieka jest częścią nieustannej walki, jaką prowadzi odkupiona ludzkość przeciw szatanowi. Nic tu nie jest obojętne”.

„Katolicyzm łączy pojęcie najgłębiej pomyślanego uniwersalizmu z poczuciem nieskończonej wagi rzeczywistości każdej indywidualności, każdej pojedynczej duszy”.

Wraca znów do tego w „Duszy samotnej”.

„Katolicyzm jako uczucie polega na nieustannym obcowaniu z całością... nastroj męski, hartowny, a nie zimny, dźwigający a braterski — jedno z najdumniejszych dzieł człowieka, z najpełniejszych twórców jego historii”.

W rozdziale o Wyspiańskim rozwija jeszcze myśli o katolicyzmie atakując jednocześnie gwałtownie polskich katolików „narodowych”. A pod koniec książki znajdujemy to zdanie:

„Teraz, gdy odnajduję w sobie nieuchronny pociąg do rozpatrywania wszystkich spraw życia w taki uniwersalny i indywidualistyczny zarazem sposób, zadaję sobie mimowoli pytanie, czy to nie bezpośrednio żyjący pod powłoką świadomości ślad psychiczny katolicyzmu... Jeżeli nie istnieje w nas jako wiara, istnieje jako *kształt potrzeby*”.

A przecie pisząc to Brzozowski katolikiem nie jest i przy każdej sposobności to podkreśla. Stawar zauważa, że do końca swego życia wychowywał córkę w zasadach ateistycznych.

Bo właśnie katolicyzm *nie* istnieje w Brzozowskim jako wiara. Podziwia katolicyzm jako zjawisko, twór historyczny, ale weni nie wierzy.

„Pamiętnik”, ostatnie świadectwo myśli Brzozowskiego, daje nam jakby w błyskawicznym skrócie już nie miesięcy ale dni, ostatni i wciąż jeszcze pełen wahań stosunek Brzozowskiego do wiary i do katolicyzmu.

25 grudnia 1910 roku, więc cztery miesiące przed śmiercią, notuje Brzozowski:

„Bóg wszechobecny, każdy fakt życia najbardziej przelotny określa życie, jest nim raz na zawsze, więc jest utrwalony w tym co w zestawieniu z jednostką z chwilą jest trwaniem, pewnym sensem trwania i nie tylko czasem, ale źródłem samego czasu i samą potęgą życia ludzkiego, więc żyjąc musimy mieć tę prawdę przed oczyma”. „Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdyby można było — gdyby sam katolicyzm nie sprzeciwiał się takiemu zakresowi granic — traktować katolicyzm jako wyłącznie ludzkie dzieło, trzeba byłoby przyznać, że zawiera on sumę najgłębszych, najszerzych i najbogatszych prawd, że jest niezwalczony”.

„Nie może być porównania między nim jako filozofią, a jakkolwiek bądź inną”.

„Ale katolicyzm występuje nie jako filozofia, nie jako nauka nawet o nadprzyrodzonym, lecz jako *nadprzyrodzony, nadludzki fakt*”.

I zaraz dalej:

„Plemię papuzie! Do obrzydliwości powtarzane frazesy o nadczłowieku — *tu sto!* przed wami rzecz żywa i mówi w każdej chwili: jesteście czymś więcej niż tym co wy uważacie za człowieka, a nawet za nadczłowieka.”

Nie każe nam poprzestawać na teorii, ale *tworzy nadludzkie fakty*, bo wierzący Newman, Pascal, Bernard, setki tysięcy innych żyją i żyli w dziedzinie niemożliwości dla nich ziszczonych”.

Więc co? Brzozowski jest już katolikiem? *Ależ nie!* Notatki swoje z 12 stycznia rozpoczyna zdaniem: „Rozpacz jest łatwiejsza od spokoju...”. I po znowu entuzjastycznej ocenie katolicyzmu dodaje:

„A przecież, a przecież nie uda mi się ukryć, że poza tym wszystkim jest rozpacz. Nie jestem katolikiem, nic nie wiem, mam pewną sumę antypatii i sympatii, ale wiem że wszystkie one pozostawiają mnie w świecie ludzkim. Nic poza tym. Nic *prócz pewności*, że tak lub inaczej to nie wystarczy”.

Głód absolutu, głód Boga, który u Brzozowskiego stale zabiera się o tęsknotę za Kościołem nie opuszcza stron „Pamiętnika”. Już w pierwszych stronach notuje:

„Nie zrażać się, nie zrażać się, że nie ma żadnej perspektywy, sensu, pożytku przede mną, że działanie wydaje się tylko dziwactwem, manią. Nie zrażać się i starać się wyjść z tego stanu. — Módl się, módl się przez wzniesienie umysłu codziennie, choćby na chwilę, do dziedziny gdzie stają się widocznymi twoje zagadnienia”.

W liście do Ostapa Ortwina z 26 stycznia broni się przed zarzutem, że „skleszał”... „Zobaczycie, że nie skleszałem (słusznie pisze Miłosz, że antyklerykalizm był elementarnym obowiązkiem lewicowca), ale niestety „zabobon o Bogu” jest u mnie nieuleczalny”.

Opierając się na pismach Brzozowskiego, nie tylko nie był on katolikiem, ale nawet wiara jego w Boga była więcej głodem wiary, tęsknotą za wiarą. („Najważniejsze jest wiedzieć, że jest się głodnym” — pisze Simone Weil). U Brzozowskiego jest to również reakcja przeciw płyciznie polskiej bezreligijności.

„Bezreligijność myśli polskiej jest zdolna doprowadzić do rozpacz. Tu wypowiada się jakby instynktownie wyczuły brak wszelkiego związku z długotrwałymi, powszechnie dojrzewającymi sprawami życia gatunkowego. Nie chcemy mierzyć samych siebie wielką miarą”.

Tylko dwie strony „Pamiętnika”, z 2 lutego i z 5 kwietnia, więc w miesiącu jego śmierci, w których wyznaje swoją miłość dla Newmana, świadczą o tym, że Brzozowski dotyka łaski wiary. Na ostatnich kartkach notatek pisze:

„I *know*, I *know* Newmana nie jest dowolnym zwrotem literackim — zresztą u Newmana nie ma tego rodzaju dowolności, jego pisarstwo jest doskonałym, ścisłym wyrazem myśli. I *know*, I *know* jest sformulowaniem niezrównanym faktu trudnego do uchwycenia lecz niezaprzeczalnego, stanowiącego najgłębszą podstawę naszej istoty. Na dnie naszej duszy jest światło. Pozostaje ona w łączności ze słońcem niegasnącym i *wie* i o tym *wie*, że wie prawdę... Nie zapomnieć, nie utracić z oczu tego I *know*, I *know*.”

Każda wiara w zbawienie człowieka musi być uniwersalna. Katolicyzm jest nieuchronny.

Nieuchronnym, w samej idei człowieka zakorzenionym faktem jest kościół. Człowiek jest niezrozumiałą zagadką bez kościoła. Życie ludzkie jest sztyrdstwem i igraszką, jeżeli kościoła nie ma”.

Do tych paru wybranych stron wypowiedzi Brzozowskiego o religii i kościele chciałbym dodać osobiste wspomnienie.

Brzozowski poświęcił „Idee” Walentynie z Kolbergów i Edmundowi Szalitom. W roku 1920, późną jesienią, dowiedziałem się, że pp. Szalitowie mieszkają w Krakowie na Basztowej. Że byłem w poszukiwaniu wszelkich śladów po Brzozowskim, poszedłem do nich. Przyjęli mnie z pewnym zdziwieniem, może na początku nieufnie. I z tego co zachowałem w pamięci, niewiele się od nich o Brzozowskim-człowieku dowiedziałem. Był wieczór, zatrzymali mnie, zapraszając na herbatę. Mam wspomnienie skromnych powojennych warunków. Przy długim stole oprócz rodziny Szalitów siedziała starsza kobieta o bardzo czarnych oczach i czarnych, z lekka siwiejących włosach, milczała przez cały czas toczącej się naszej o Brzozowskim rozmowy, ale widziałem, że słucha bacznie. Nagle się odezwała, miała łzy w oczach: „Gdyby były wtedy pieniądze, Staś by żył dotychczas” (zachowałem w pamięci, że była *obecna* przy śmierci Brzozowskiego i że była jego ciotką). I wtedy opowiedziała o ostatnich chwilach jego życia, o których nigdy już ani przedtem ani potem nie słyszałem.

Brzozowski już konał. Jest zwyczaj we Włoszech, że do konających dopuszcza się dzieci, by się przy nich modliły. Brzozowski nagle poprosił o księdza. Wywołało to zamieszanie, żadnego księdza Brzozowscy nie znali. Wezwano księdza z sąsiedniego kościoła. Przyszedł Włoch staruszek, nigdy nie widział Brzozowskiego i nie wiedział kim jest Brzozowski.

Dzieci wyprowadzono do sąsiedniego pokoju, chory wypowiedział się i przyjął Sakramenty.

Gdy stary ksiądz wychodził — płakał i tylko powiedział dzieciom, które w sąsiednim pokoju klęczały: „wróćcie do pokoju umierającego, módlcie się, tam umiera święty”.

Z tej wizyty u Szalitów pamiętam tylko długi stół; wicherzy, nawet twarz gospodarzy, którzy mnie przyjęli tak gościnnie, nie zachowałem w pamięci, ale widzę twarz zażawioną, ciemne oczy tej starej kobiety, jej głos, słyszę jeszcze i gorczy, gdy mówiła, że „Staś żyłby jeszcze”, i ten opis lakoniczny śmierci Brzozowskiego, którego wymyślić nie mogła.

Może ktoś w Polsce, może córka Stanisława Brzozowskiego mogłaby mi powiedzieć kim była ta pani i czy była, jak wówczas zrozumiałem, przy śmierci Brzozowskiego.

Wystawy polskie w Londynie

W drugiej połowie ubiegłego roku nazwiska polskich malarzy, wystawiających w londyńskich galeriach, pojawiły się na plakatach i w gazetach jak grzyby — z nastaniem jesieni.

We wrześniu u Grabowskiego pokazał nam swoich dwadzieścia obrazów *Tadeusz Znicz-Muszyński*. Katalog jego wystawy podaje, że studiował on sztukę w Polsce, we Włoszech i w Anglii. Jedna ze szkół artystycznych w Londynie zdecydowała, że studia artystyczne Znicza zostały zakończone.

W tym czasie w Londynie rozszalało się malarstwo abstrakcyjne, którego młody malarz nie mógł nie zauważyć.

Pierwsze próby malarskie tego artysty posiadały dość silne powiązania z koncepcją sztuki percepcyjnej. Jego wystawa w Related Arts Gallery w roku 1956 była wynikiem tej wizji malarskiej. Po tej dacie Muszyński zainteresował się abstrakcją i wkrótce jego praca została uwieczniona ciekawymi i o pięknej koncepcji kolorystycznej obrazami abstrakcyjnymi. Formalne założenia tego malarstwa wydały mi się pokrewne sztuce Vieira da Silva.

Omawiana wystawa Znicza-Muszyńskiego wykazuje z kolei lekki zwrot od czystej abstrakcji na rzecz abstrakcyjnie potraktowanych fantastycznych pejzaży, sugerujących tajemnicze porty rybackie i jakieś zatopione miasta. Kompozycje te są tworem wyobraźni malarskiej artysty, a istotnym powodem zajęcia takiej postawy filozoficznej wydaje się po prostu chęć namalowania *jeszcze jednego* obrazu o przyjemnej ciepłej atmosferze z dużą dozą romantyzmu i tajemniczości wywołanej grą światła i kształtów.

Te obrazy Muszyński robi bardzo dobrze, ale dzieło sztuki, które nie wykracza poza zręczność czy umiejętność i może być wyjaśnione jakimś systemem, z wystarczającą precyzją stosowanym przez artystę i które w zasadzie może zadowolić oko wielu miłośników sztuki, nie dostarcza tych jedynych doznań, jakie przeżywamy choćby przez ułamek sekundy na widok dzieła, które nie mieści się w żadnym systemie i posiada owe odkrywcze elementy, jakie zostały powiedziane po raz pierwszy.

Technika malowania Znicza-Muszyńskiego wydała mi się ciekawa i bardzo zaawansowana. Widać, że materiał malarski jest dla tego artysty czymś żywym. Muszyński jest zafascynowany farbą i delectuje się jej technicznymi możliwościami, cieszy się fakturą i upaja płynnością oleju.

Te techniczne zdobycze Znicza wydają się w tym momencie jego rozwoju artystycznego czymś bardzo pozytywnym.

Połowa października i pierwszy tydzień listopada przypadły na wystawę *Marka Żuławskiego*. Tym razem dorobek artystyczny tego malarza zademonstrowała Drian Gallery.

Trzydzieści siedem dużych obrazów i chyba tuzin grafik i szkiców składało się na tę imprezę, niewątpliwie najpoważniejszą o ile chodzi o artystyczne osiągnięcia Marka, którego wystawę na londyńskim gruncie powtarzają się dość regularnie.

Sztuka Marka Żuławskiego wypływa z tradycji malarstwa figuratywnego, któremu artysta pozostał wierny nawet w momentach, kiedy wydawało się, że abstrakcja odnosi kompletne zwycięstwo. Kontynuacja tej tradycji dzisiaj wymaga od malarza wyjątkowego hartu i wiary w słuszność swoich poczynań.

Artysta, dla którego pracy punktem wyjścia jest natura, staje wcześniej czy później wobec zagadnienia, że namalowanie obiektu w sposób, który by oddawał wszystkie jego możliwe aspekty jest rzeczą niemożliwą, chociażby tylko z tego powodu, że istnieje nieskończona ilość obiektów koegzystujących.

W tym momencie artysta świadomie czy intuicyjnie musi uciec się do koncepcji malarskiej, która umożliwi mu realizację zadania. Koncepcję malarską można zapożyczyć od innych mistrzów, albo można pokusić się o stworzenie własnej koncepcji malarskiej. Ta ostatnia jest rzeczą ambitną, ale nie łatwą.

Marek Żuławski jest artystą, który dopracował się własnej koncepcji malarskiej. Jego malarstwo osiągnęło styl, który jest właściwy tylko jemu i byłoby rzeczą trudną zaklasyfikować sztukę Żuławskiego do jakiegś z istniejących dzisiaj szkół, a sam artysta nie związany żadnym programem pozostaje wspaniale niezależny.

Marek Żuławski skoncentrował swój wysiłek malarski, w ostatnich dwu latach, prawie wyłącznie na człowieku.

Ten humanistyczny element nadaje jego wystawie specyficzne piętno. Wypełnienie galerii Drian figuralnymi kompozycjami o silnym kolorycie i nieraz bardzo plastycznymi — robi swoje.

Skamieniałe, zamarłe w ruchu, samotnie ustawione figury ludzkie na tle niesamowitych, jak gdyby tylko co pożogą zniszczonych pejzaży, powtarzający się często temat Adama i Ewy i symboliczne pary kochanków, niesamowite w formie akty kobiece — wszystkie te obrazy wyposażone są w jakiś ładunek uczuciowy o nucie minorowej i fatalistycznej.

Ta ludzka zawartość kompozycji Żuławskiego posiada patos proroków oznajmiających na nowo dramat człowieczy, od którego uciekamy.

Obnażona nędza ludzkiego istnienia wyziera z kościstej postaci Adama o potężnych i ciężkich dłoniach, przyklepieni do siebie kochankowie z kwadratowymi głowami wydają się przeżeni, a ustawiona plecami naga postać kobieca posiada zmumifikowane ciało.

Temu dramatycznemu ładunkowi przeciwstawia Żuławski

obrazy o nastroju pogodnym i niefrasobliwym, jak ową piękną w kolorze prostą kompozycję dziewczyny z psem.

Deformacje formalne, których dopuszcza się Marek, zasługują na specjalną uwagę. Zauważcie proszę chociażby te głowy potworów ludzkich, tragiczne w wyrazie, o formach kulistych, graniastych, a nierzadko przybierające kształt naczyń, pucharów, czy dzbanów.

Te deformacje często bywają podkreślone jeszcze kolorem, którego zostawienia są wprost brutalne. Nie znaczy to bynajmniej, że Marek jest lichym kolorystą. Wprost przeciwnie, ta wystawa obfituje w obrazy o barwach tak szlachetnych, wyszukanych i najprzedniejszego gatunku na jakie stać tylko największych kolorystów.

Zupełną niespodzianką dla nas, a wielką zdobyczą Żuławskiego, jest obecnie jego malarska technika: zuchwała i wyzwolona. Jest ona pewnego rodzaju planowym i kontrolowanym *action painting*, którą Żuławski ma do zawdzięczenia poszukiwaniom czy wariacjom abstrakcjonistów. Ta nowa technika przyczyniła się wybitnie do realizacji owych monumentalnych kompozycji.



Równocześnie z wystawą Żuławskiego w galerii Roland Browne and Delbanco mieściła się wystawa *Józefa Hermana*.

Omawiając wystawy polskie w Londynie zawahałem się na moment czy na tym miejscu wypada mi pisać o malarstwie Hermana, a to dlatego, że Herman uważany jest przez Anglików co najmniej za swego bohatera narodowego i jego imprezy malarskie traktowane są jak rodzaj „mniejszego święta narodowego”.

Popularność jaką się cieszą obrazy tego malarza wśród Anglików tłumaczy się zapewne tematyką i podejściem Hermana do malarstwa. Jego wyprawy do Walii i obcowanie z walijskimi górnikami, powtarzane są jako legendy i urabiają bardzo koniunkturalny nastrój wokół osoby malarza i jego sztuki.

Tegoroczna wystawa obrazów Józefa Hermana, którego systematycznie co dwa lata eksploatuje galeria Roland Browne and Delbanco, potwierdza raz jeszcze stałe zainteresowanie malarza człowiekiem, czy to będą górnicy walijscy czy hiszpańscy chłopcy albo rybacy. Te typy ludzkie, grube i ciężkie, stanowią temat dla jego obrazów.

Obrazy Hermana są raczej proste; charakteryzuje je monumentalność kompozycji, w której zasadniczym elementem są postacie ludzkie o nieruchawych proporcjach, ustawionych ciężko jak skały w pejzażu. Raczej ciężki kolorystyczny nastrój i szarości nadają tym obrazom wagi i pewną solidność.

Te upodobania do ściemnionej palety i chłopsko robotniczej tematyki odziedziczył Herman od Permeke, u którego kiedyś studiował.

Już sam ten fakt, że Herman zachwycił się malarstwem Permeke w tym czasie kiedy większość jego rówieśników ciągle jeszcze entuzjasmowała się zdobycami impresjonizmu, świadczy o charakterze tego malarza, który postanowił działać na przekór opiniom i modzie.

Na korzyść Hermana trzeba zaliczyć jego ambicję, by język malarski swego mistrza zmodyfikować i przystosować do własnego temperamentu i własnych potrzeb.

Obecnie w obrazach Hermana widać lepiej niż kiedykolwiek przedtem wysiłek artysty do zaakcentowania własnego wkładu do wizji zapożyczonej od Permeke.

I tak kolorystyka jego obrazów staje się bardziej pozytywna i rozjaśniona. W jego obrazach odczuwamy teraz jakieś odprężenie, uroczyście nastrój ustępuje miejsca nucie bardziej frywolnej, a jego prostokątne postacie o olbrzymich ołowianych stopach zaczynają przypominać wreszcie autentycznych ludzi a nie kopki siana, jak to się zdarzało dawniej. Ta ostatnia metamorfoza nie może być bez znaczenia dla malarza, który ostatecznie zdecydował się na malowanie ludzi a nie abstrakcji.

Zygmunt TURKIEWICZ

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalszej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU” — Za \$ 6.00 rocznie przychodzić będzie do Ciebie dwa razy na tydzień — to największe pismo Polonii Kanadyjskiej.

Straty kultury polskiej

Władysław Pobóg-Malinowski

Instytut Jednego Człowieka zamknął swoje podwoje.

Odsuwając na bok uczucia osobiste i starając się zapanować nad bólem, ściskającym serce na myśl o odejściu w wieczność przyjaciela, nie mogę i nie mam prawa, jako jeden z ostatnich, pozostałych przy życiu uczestników wspólnego nam kiedyś warsztatu pracy, powstrzymać się przed dokonaniem zimnego obrachunku.

Śmierć Władysława Pobóg-Malinowskiego oznacza katastrofę polskiej nauki historycznej w zakresie badań nad najnowszymi dziejami Polski.

Zwracając w roku 1929 swą przenikliwą uwagę na młodego i nieznanego oficera o ascetycznym wyglądzie i powierzając mu prace badawcze nad życiem i działalnością Józefa Piłsudskiego, pobierał ówczesny szef Wojskowego Biura Historycznego, gen. Julian Stachiewicz, jedną z najbardziej ryzykownych decyzji w swoim życiu. Była ta decyzja wyzwaniem, rzuconym rutynie i konwenansom. Przechodziła do porządku ponad świetnością nazwisk, blaskiem tytułów naukowych, powagą nabytych praw i utrwalonych pozycji, a nawet ponad przynależnością klanową. Pobóg-Malinowski nie był legionistą. Po kilku latach służby w kilku prowincjonalnych garnizonach, uznawszy „wybór kariery wojskowej za życiową pomyłkę”, był w trakcie dokonywania pierwszych prób pisarskich, o charakterze literackim raczej, niż historycznym. Między innymi, napisał „książeczkę” o Marszałku Piłsudskim, o której powie kiedyś: „Gdybym miał ją w ręku dziś — po wielu latach pracy i studiów, po wydarciu zakurzonym archiwom i pożółkłym drukom niejednej tajemnicy — patrzyłbym na tę książeczkę z mieszaniną zażenowania i wyrozumiałości” (1). Generał Stachiewicz miał zwyczaj przeprowadzać przynajmniej jedną rozmowę z każdym z oficerów opracowujących

(1) „Nie szablą to piórem” — „Kultura”, nr 5/151, 1960.

kroniki pułkowe i przybywających z prowincjonalnych garnizonów do Wojskowego Biura Historycznego po wskazówki metodologiczne i w celu zapoznania się z materiałami archiwalnymi. Rozmowa z Pobóg-Malinowskim zapoczątkowała dłuższy dialog, który miał trwać przez szereg lat, przekształcić się w prawdziwą przyjaźń intelektualną i w intymną współpracę naukową o brzemiennej skutkach. To w czasie tych pierwszych rozmów odkrył generał Stachiewicz w młodym poruczniku artylerii dwa podstawowe elementy wielkiego talentu historycznego: fenomenalny i rzadko spotykany, nawet wśród uczonych, instykt badawczy oraz uczciwy i odważny stosunek do ujawnianych faktów historycznych, połączony z zupełnym brakiem kurtyzanctwa. Bardzo szybko wystąpi na światło dzienne trzeci z podstawowych elementów talentu Pobóg-Malinowskiego: umiłowanie tematu, poniesienie do utożsamienia z treścią życia osobistego i tłumaczące tajemnicę nieprawdopodobnej, nieludzkiej niemal pracowitości i uporu w pokonywaniu trudności. Na tych trzech elementach, skondensowanych w Pobogu-Malinowskim, oparł się jego olbrzymi dorobek pisarski, zapewniający mu pozycję w historiografii najnowszych dziejów Polski. Określając śmierć jego jako katastrofę, odmierzam z całym poczuciem odpowiedzialności wagę tego wyroku. Opieram go na przekonaniu, że na podobny wysiłek indywidualny, jaki jego cechował i na podobne wyrzeczenie się wszelkich powabów życia, do jakiego on był zdolny, zdobyć się mogą tylko osobistości wyjątkowe, a więc bardzo rzadkie. Zdaje mi się, że od czasów Lelewela nie znajdzie się drugiego, podobnego wypadku w dziejach polskiej historiografii. Aby nadal prowadzić dzieło Poboga, aby wypełnić rozdziały, otwarte wynikami jego przerwanego przez przedwczesną śmierć prac badawczych, potrzeba nie jednego, choćby wielkiego talentu, lecz całych zespołów ludzkich. Ale nawet zespoły nie zastąpią jego znajomości ludzi i atmosfery opisywanej epoki. Oczywiście, akademicki konserwatyzm lekceważy naukowość opracowań, poświęconych wydarzeniom, od których nie dzieli nas co najmniej dystans jednego pokolenia. Z tego źródła pochodzi główna przyczyna przemilczania Pobóg-Malinowskiego przez polską historiografię oficjalną, udrapowaną w profesorską togę. Ale, jak wszystkie nauki, historiografia przechodzi również proces unowocześniania i w tej dziedzinie Pobóg-Malinowski wniósł więcej, niż niejednen uznany autorytet. Przyszli historycy będą mu wdzięczni za jego metodę prowokowania relacji uczestników wydarzeń, relacji, jakże często wyjaśniających luki, powstałe na skutek braku dokumentów lub ich niedoskonałości. Wszyscy będą zdumieni jego „węchem” badawczym, zupełnie zaskakującym, gdy chodzi o domysł co do istnienia przekazu historycznego, wyświetlenie miejsca, gdzie on się znajduje i znalezienie sposobu wydobycia go, czy to, jako dokumentu, czy jako relacji.

Książkę o Bezdanych, pierwszą naprawdę naukową książkę Pobóg-Malinowskiego, można traktować jako rewelację jego

talentu badawczego. Spowodowała ona pierwsze starcia pomiędzy autorem a niektórymi uczestnikami wydarzeń, opierającymi się na pamięci osobistej, która, choćby była genialna, będzie często zawodna. W tych starciach zarysowała się również odwaga i niezależność charakteru młodego historyka, mająca mu odtań towarzyszyć do końca życia. Bez względu na pozycję i znaczenie, a nawet bez względu na zasługi ludzi, którzy w rozmaity sposób umieli dać wyraz swemu niezadowoleniu, Pobóg-Malinowski odrzucał wszelkie ustępstwa i kompromisy. Służył prawdzie tak, jak ją rozumiał, a rozumiał ją w sposób bardzo prosty, wykluczający możliwość jakichkolwiek odcieni.

Przystępując w latach trzydziestych do prac nad biografią Józefa Piłsudskiego, Pobóg-Malinowski wyobrażał sobie, że rozpoczyna najważniejsze dzieło swego życia. W miarę bowiem, jak zagłębiał się w źródłach, archiwalnych i relacyjnych, uległ, jak większość naszego pokolenia, złożonego z roczników, które weszły w wiek świadomego życia już w Polsce Niepodległej, zafascynowaniu postacią Pierwszego Marszałka Polski. Nasza admiracja, serdeczna, wierna i szczerą różniła się jednak od ślepego i bezkrytycznego uwielbienia większości legionistów, starszych od nas przeciętnie od 5 do 10 lat. Dla nas wielkość Józefa Piłsudskiego wynikała z oceny, dla nich z kultu. Myśmy pragnęli, a nawet musieli rozumieć, aby móc działać, im wystarczał dogmat nieomyślności. My pragnęliśmy znać człowieka żywego, o ludzkich cechach i namiętnościach, w tym rozpoznaniu poszukując motywów działania i decyzji, oni widzieli posąg ze spiżu. Przy całym zrozumieniu dla konieczności zmiany ustroju politycznego Polski, przewrót majowy wstrząsnął nami o wiele głębiej, niż nimi. Dzisiaj, z odległości blisko 40 lat, gdy patrzę na tamte czasy przez pryzmat innych przeżyć i gdy mi się zdaje, że lepiej, niż wtedy, rozumiem Józefa Piłsudskiego, jestem przekonany, że wraz z Pobóg-Malinowskim i tysiącami ludzi świadomych naszego pokolenia przeżyliśmy tamte dni prawie tak ciężko, jak On. Z tych różnic psychicznych wynikły dla Pobóg-Malinowskiego poważne trudności, mające go prześladować aż do śmierci. Walka z obskurantyzmem, nie umiejącym rozróżnić pomiędzy historią i dewocją, zaważyła w niemałym stopniu na odporności fizycznej osłabionego nadmierną pracą organizmu. Niestety, wojna przerwała dzieło, które autor zamierzył, jako ukoronowanie swej działalności pisarskiej. Doprowadzone do roku 1908, nie znajdzie już kontynuatora. Nawet w tych granicach pozostanie ono jednak pozycją podstawową do badań nad działalnością Józefa Piłsudskiego. Aby zaspokoić potrzebę społeczną, rozpoczął Pobóg-Malinowski, na zamówienie Komitetu Obchodu 25 Rocznicy śmierci Marszałka, opracowanie biografii skróconej, jednotomowej. Śmierć pisarza przerwała tę pracę, doprowadzoną, dzięki szczególnemu zbiegowi okoliczności, również do roku 1908 tylko. W tych skróconych rozmiarach znajdzie się ona wkrótce w rękach subskrybentów, jako wydanie pośmiertne.

Obok nieskończonej biografii za najważniejsze dzieło w okre-

sie krajowej twórczości Pobóg-Malinowskiego uznać należy jego pracę redaktorską w opracowaniu, przygotowaniu do druku i wydaniu wielotomowego zbioru „Pism, Mów i Rozkazów” Józefa Piłsudskiego. Rozmiary tego artykułu nie pozwalają mi na szczegółową analizę wysiłku, dokonanego w tym okresie, mogą jednak stwierdzić na podstawie obserwacji, jego ówczesnych zwierzeń oraz na podstawie opinii, które słyszałem od naszego wspólnego szefa przed jego jakże przedwczesną śmiercią, że gdyby nie instykt badawczy Pobóg-Malinowskiego, „Pisma, Mowy i Rozkazy” nie osiągnęłyby prawdopodobnie swej prawie całkowitej pełni.

W wyniku klęski wrześniowej i po krótkotrwałym epizodzie wojskowym na ziemi francuskiej spędza Pobóg-Malinowski okres okupacji niemieckiej w Grenoble i w okolicach tego miasta. Nie spędza go beczynnym. Zaprzysiężony przeze mnie, jako członek P.O.W.N., wypełnia szereg zadań o charakterze redakcyjnym, odpowiadających jego zawodowi. Uczestniczy w pracach grenoblańskiego ośrodka kulturalnego, skupiającego pod nieformalnym kierownictwem ambasadora Wacława Grzybowskiego szereg nazwisk niemałej miary, z których zapamiętałem, oprócz dwóch już wymienionych, nazwiska księdza Jakubisiaka, dr. Chowańca, Józefa Kożuchowskiego, Wincentego Jastrzębskiego, płk. dypl. Jaklicza, Ireny Gałęzowskiej, Jerzego Paczkowskiego, Czesława Bobrowskiego, Leopolda Binental, sędziego Walfisza, Damiana Wandycza, Emilii Fiszer, Witolda Kozłowskiego, Jana Głębockiego i wcześniej zmarłego Bolesława Micińskiego. W tym zespole nawiązywał do tradycji Towarzystwa Historyczno-Literackiego, jednego z wielkich dzieł emigracji polistopadowej. Z tego czasu pochodzą jego prace w licznych wydawnictwach, odbijanych na powielaczach, w niewielkiej, niestety, ilości egzemplarzy. Najbardziej ulubionym jednak jego zajęciem było notowanie ustnych relacji wybitniejszych uczestników i świadków wydarzeń historycznych. O ile wiem, przez konfesjonał jego przeszło co najmniej kilkadziesiąt osób. Mnie wypowiadał na takie okoliczności, jak powierzenie dowództwa nad armią polską we Francji gen. Sikorskiemu, moja działalność jako kierownika mobilizacji polskiej we Francji i jako szefa głównego P.O.W.N. Przygotowywał w ten sposób materiały do swego pamiętnika, którego wydać już nie zdążył.

Po uwolnieniu Francji i po naszej nieodwołalnej klęsce, po kilkumiesięcznym epizodzie w konsulacie generalnym w Paryżu, wziął udział w utworzeniu sekcji polskiej radia francuskiego. Zatrudniony następnie jako autor pogadanek historycznych, wygłaszanych zbyt rzadko, aby mogły zapewnić egzystencję materialną, czerpał z tego źródła pozorną osłonę dochodową dla swej właściwej pracy. Niezaradny życiowo, wstydził się swego nieęstwa w dziedzinie pieniężnej i tylko nielicznym było wiadomo, że główną podstawą materialnego bytu jego i rodziny były skromne dochody jego dzielnej żony, zarabiającej szcikiem. W tych warunkach ubóstwa materialnego, graniczącego chwilami z

nędzą, w ciasnocie małego mieszkania, dzielonego z żoną, teściową i synem, w zakopconym dymem papierosowym pokoju, przeładowanym książkami i aktami, wśród stert listów, nadchodzących z całego świata, ale z największym odsetkiem listów z Polski, przy stole, na którym stała maszyna do pisania, obok nieodłącznej filiżanki z herbatą, powstawało żmudnie, uporczywie, w pocie czoła i wśród częstych napadów grypowej temperatury kilka razy do roku przerywane dłuższą chorobą, w końcowej fazie wśród pierwszych krwotoków, największe tym razem dzieło jego życia, największe, na jakie historiografia polska w kraju i na emigracji dotąd się zdobyła: „Najnowsza Historia Polityczna Polski”. Resztkami sił, powalany co kilka miesięcy nowymi napadami choroby, od wiosny tego roku unieruchomiony leczeniem szpitalnym, walczył Pobóg-Malinowski z nadchodzącą śmiercią, wierząc, że potrafi dokończyć dzieła rozpoczęte. Miał na warsztacie uzupełnienia do drugiego wydania „Najnowszej Historii”, ostatnie rozdziały biografii Józefa Piłsudskiego, prace redakcyjne nad wydaniem pamiętników Sławka i ambasadora Grzybowskiego, różne opracowania dla „Kultury”. Miał w zamierzeniach książkę o stosunkach polsko-rosyjskich w ciągu dziejów, wydanie własnych pamiętników, współpracę nad redakcją „Słownika Biograficznego” pod kierownictwem dr. Lama i opracowanie skrótu „Najnowszej Historii” dla przekładu na język angielski. Nalegał na mnie o wspólne opracowanie przyczynków do historii Wojskowego Biura Historycznego w okresie, kiedy kierownictwo sprawował gen. Julian Stachewicz. Wymieniam ten bogaty program tylko dlatego, żeby dać świadectwo nieprawdopodobnej sile woli człowieka, który nie załamał się do końca.

Pisząc przeszło przed rokiem o Pobóg-Malinowskim, jako o instytucji, zdawałem sobie sprawy, że piszę o człowieku, który zbliża się do kresu ziemskiej wędrówki. Uważałem wówczas, że jest moim obowiązkiem wziąć w obronę człowieka chorego i u kresu sił przed atakami ludzi, którzy wkrótce, gdy jego nie stanie wstydzic się będą swej małości. Mam wrażenie, że rozmiar tej straty, jaką poniosła historiografia najnowszych dziejów Polski rysować się znacznie wyraźniej z dystansu, gdy się okaże, że nie ma komu wypełnić powstałej pustki. Jakże zbledną i zmaleją wówczas wszystkie zarzuty, słuszne i niesłuszne, które stawiano zmarłemu historykowi. Oczywiście, historiografia dziejów najnowszych należy do zawodów najniewdzięczniejszych, gdyż dotyczy ludzi, częściowo jeszcze żyjących, zagadnień spornych i namiętności niewygasłych. Z natury rzeczy każdy historyk czasów najnowszych staje się postacią sporną, zwłaszcza, gdy z temperamentu, jak Pobóg-Malinowski, jak kiedyś Mochnacki, Lelewel i tyłu innych jest sam człowiekiem walki. Nie ma dzieła ludzkiego, które byłoby doskonałe. Aby wymierzyć miejsce należne Pobóg-Malinowskiemu, najważświwiej będzie chyba uznać, że przejdzie on do historii kultury polskiej jako najwybitniejszy w latach 1929-1962 badacz najnowszych dziejów Polski i jako autor pierwszej syntezy tych dziejów. Obok zarzutów, usprawiedliwionych,

lub na złej opartych wierze, trzeba postawić długą kolumnę kilku tysięcy sprzedanych egzemplarzy i setki, jeżeli nie tysiące listów, nadeszłych z Polski i przynoszących wyrazy uznania. Pobóg-Malinowski wierzył, że na długą metę ocena o nim wypadnie dodatnio. Tworzył jednak nie kierując się żadnymi względami na własną karierę historyczną. On, rówieśnik Skamandrytów, żył stylem pisarskim i duchem twórczości Żeromskiego. Trzeba było, rozmawiając z nim, pewnego wysiłku, by się dostać, w drugiej połowie 20 wieku, do jego zaczarowanego świata. Tam, gdzie on żył, cyrkiel i waga, żeby już nie mówić o maszynie elektronicznej, nie istniały. Żył w błyskach szabel i furkocie lanc ułańskich, posuwających się pewnej wiosny piaszczystym szlakiem litewskim w kierunku Wilna, rozumiał grzechot armat pod Radzyminem i słyszał do ostatnich chwil echa zwycięskiej burzy, walącej tętentem koni i tupotem piechociarskich butów w forsownym pościgu znad Wieprza ku pruskiej granicy, a w ostatniej chwili przygrywał mu do śmierci tragiczny warkot werbli, głoszących (pamiętnego, pogrzebowego dnia), zmierzch Polski, opartej na tradycji stuleci.

Aleksander KAWAŁKOWSKI

◆

APEL DO CZYTELNIKÓW „KULTURY”
I „NAJNOWSZEJ HISTORII POLITYCZNEJ POLSKI”

Jest coś paradoksalnego w sytuacji, powstałej po śmierci śp. Władysława Pobóg-Malinowskiego. Z jednej strony niewątpliwe i powszechne uznanie w kraju i na emigracji, z drugiej — warunki skrajnego ubóstwa i zadłużenia, w jakich znalazła się pozostała po nim rodzina: żona, syn na studiach i teściowa, ta ostatnia w sędziwym wieku i niezdolna do pracy. Jednocześnie z setkami listów i depesz kondolencyjnych nadchodzących z całego świata, wdowa po zmarłym odbiera rachunki szpitalne i inne, w wysokości przekraczającej wielokrotnie rozmiary jej skromnych i niepewnych dochodów. Ta sytuacja wynika nie tylko z wyjątkowej niezaradności życiowej zmarłego historyka, z długotrwałej choroby i wysokich kosztów leczenia, częściowo tylko pokrytych przez ubezpieczalnię społeczną, ale także z warunków obiektywnych, z którymi borykać się musi pisarz emigracyjny. Zadłużenie zmarłego wynosi ponad 7.000 NF. Otwieramy listę składek na pokrycie tej sumy zbiorowym wysiłkiem. W razie, gdyby kwota zebrana przekroczyła wysokość zadłużenia, zużyjemy ewentualną nadwyżkę na ufundowanie nagrobka na mogile zmarłego pisarza na cmentarzu genewskim, na którym został pochowany.

Wierzymy gorąco, że apel nasz spotka się z zrozumieniem Czytelników naszego pisma, z którym zmarły historyk tak blisko

współpracował. Liczymy również na ofiarność ze strony czytelników „Najnowszej Historii Politycznej Polski” i wszystkich, którzy znali i cenili pracę pisarską Władysława Pobóg-Malinowskiego.

KULTURA

Na zapoczątkowanie Funduszu śp. Władysława Pobóg-Malinowskiego wpłacili:

Redakcja „Kultury”	100,00 NF
Aleksander Kawałkowski, Paryż	250,00 „
Tadeusz Święcicki, Paryż	100,00 „

**W STYCZNIU 1963 UKAŻE SIĘ
III-CI ZESZYT HISTORYCZNY
PROSIMY O ODNAWIENIE
PRENUMERATY NA R. 1963**

Książki

Nareszcie Norwid

Zbiór Cypriana Norwida „Vade-mecum”, opracowany przez Juliusza W. Gomulickiego, wyszedł z opaską: „Pierwsze osobne i pełne wydanie arcydzieła liryki polskiej”. Rozmija się to z prawdą. Dwukrotnie — we wstępie i w nocie edytorskiej — sam wydawca temu stwierdza, że pierwsza edycja „Vade-mecum” ukazała się w Anglii w r. 1953 nakładem Oficyny Poetów i Malarzy, że opracował ją Kazimierz Sowiński. Ale również Gomulicki nie dochowuje *fair play*, zasad sportowej przyzwoitości, wobec swego poprzednika. Nie mogąc przemilczeć tej pra-edycji, usiłuje ją zbagatelizować i pomniejszyć. Twierdzi, że ukazała się ona w „maleńkim nakładzie”. Czy 1.200 egzemplarzy można określić w taki sposób? Użala się, iż „znikomy odsetek (tego nakładu) dotarł do Polski”. Nie potrafię powiedzieć, ile egzemplarzy przemknęło się przez kordon cenzury pocztowej, ale chyba Gomulickiemu wiadomo, że to nie emigracja stworzyła ten kordon?

Licząc na nieświadomość czytelnika edytor krajowy usiłuje przekreślić trud i osiągnięcia wydawcy emigracyjnego. Ale cały ten manewr posługujący się otwartą nieprawdą i perfidną półprawdą nie zdoła zmienić bibliograficznego, historycznego faktu, że „Vade-mecum” wyszło po raz pierwszy w malutkim mieście Kentu, Tunbridge Wells, bezinteresownym staraniem poety-emigranta i nakładem prywatnej oficyny, że jest i pozostanie jednym z najbardziej wzruszających świadectw czynnego kultu Norwida. Ukazało się to wydanie wtedy, kiedy w kraju Norwid, wraz z takimi pisarzami jak Wyspiański i Krasiński, znajdował się na indeksie, kiedy nie było mowy o ogłaszaniu jego utworów, a jego nazwisko ścigał urzędowy nakaz przemilczania. Gomulicki, sam żarliwy i zasłużony norwidysta, przeżył ten czarny okres, powinien więc mieć inny stosunek do wysiłków, które przeciwstawiały się haniebnej banicji nałożonej na wielkiego poe-
te.

Cyprian Norwid: *Vade-mecum*. Wydał z autografu, uzupełnił i wstępem poprzedził Juliusz W. Gomulicki. Warszawa 1962. Stron 244.

„Vade-mecum” zajmuje miejsce ważne, jedno z najważniejszych w całej twórczości Norwida. Znaczy je ponadto piętno wyjątkowego tragizmu. Ukończone w r. 1865, w krytycznym punkcie naszego życia zbiorowego, miało być proklamacją nowej poetyki, otwarciem nowej drogi. Mimo usilnych starań, prawie rozpaczliwych zabiegów nie ujrzało ono światła dziennego za życia poety. Nie ukazało się też po jego śmierci. Miriam-Przesmycki trzymał rękopis pod korcem przez pół wieku, dwukrotnie zbierał się do jego wydania, a tymczasem rozsiał jego zawartość w kilku książkach i czasopismach w taki sposób, że nikt się nie domyślał, iż tworzy on całość związaną, przemyślaną we wszystkich szczegółach. Po ostatniej wojnie cudem ocalały kodeks wydał w fotokopii Waław Borowy (1947). Z tej fotokopii odczytał tekst „Vade-mecum” Sowiński; po 88 latach udostępnił je w takim kształcie jaki nadał mu twórca.

Zadałem sobie trud porównania fotokopii Borowego, pra-edycji typograficznej Sowińskiego i wydanej teraz drugiej edycji. Na przekór ogólnikowemu a dyskryminacyjnemu twierdzeniu Gomulickiego ilość błędów w owej pra-edycji jest znikoma, praktycznie się nie liczy (przykłady: w wierszu „Ogólniki” Sowiński czyta „nawalne”, Gomulicki „nawałne”; w wierszu „Klaskaniem mając” Sowiński „przyściu” — Gomulicki „przyściu”; Sowiński „marmurową” — Gomulicki „marmurowę”; Sowiński „głową” — Gomulicki „głowę”; Sowiński „wspomnisz” — Gomulicki „spomnisz”; dwie pomyłki, ale raczej rodzaju *lapsus calami* czy błędu korekty przemknęły się do tytułów dwóch ostatnich wierszy. W elegii „Na zgon śp. Józefa Z.” jest „uczestników” zamiast „naczelników”; w liście poetyckim „Do Walentego Z.” — „zawierając” zamiast „zwierając”).

Także postawiony Sowińskiemu zarzut tworzenia „tekstów hybrydalnych” tzn. łączących dwie różne redakcje lub pojedyncze elementy dwóch redakcji tego samego utworu, w praktyce niezbyt go obciąża. Sowiński dążył w miarę możliwości do uchwycenia ostatniej intencji Norwida, który po rozwianiu się nadziei druku, zamyślał „Vade-mecum” inaczej zagospodarować i w swoim dorobku, a pojedyncze jego utwory poprawiał lub przebrał często nieczytelnie, często niekonsekwentnie, zatrzymując się w połowie drogi. Wyniki wydawcy emigracyjnego nie są i nie mogły być ostateczne w warunkach oddalenia od manuskryptu (za „hybrydalne” można uznać zaproponowane przez niego odczytania trzech wierszy: „Addio”, „Ciemność”, „Powieść”). Nie są one też ostateczne w wydaniu Gomulickiego. Rękopis „Vade-mecum” należy do tych, które jeszcze długo, jeśli nie zawsze, będą budziły wątpliwości i pobudzały do sporu. W tym stanie rzeczy trzeba stwierdzić, że Sowiński dokonał bardzo wiele. Jego edycja przez 10 lat dobrze spełniała swoje zadanie; nie pomniejszała, ale powiększała Norwida, nie była grzechem przeciw jego twórczości, ale niewątpliwą wobec niej zasługą.

Gomulicki poszedł w swym wydaniu dalej niż Sowiński, czego było można i należało oczekiwać. Miał do rozporządzenia

rękopis tragicznego zbioru, a nie dosyć lichą fotokopię, wgląd w całą zachowaną spuściznę Norwida, wreszcie szeroko rozbudowany warsztat naukowy, zajmuje się bowiem tym poetą od dawna i od sześćciu lat jest desygnowanym, niestety po miriamowsku powolnym i głuchym na wezwania, wydawcą jego dzieł wszystkich. (Jest to głęboko rewoltujący paradoks, a nazywając rzeczy po imieniu, jeden z największych skandalów naszego życia kulturalnego w tym wieku, że nie ma dotąd — poza z wielu względów niewystarczającą edycją Piniego — żadnej, nawet roboczej, nawet popularnej, podręcznej edycji pism Norwida. Miriam dwukrotnie rozpędzał się do niej w tempie żółwia. Gomulicki mimo tego odstraszonego przykładu nie zdobył się w ciągu sześciu lat ani na jeden tom zapowiedzianego, z rzadko zdarzającą się niecierpliwością oczekiwanego wydania).

Mimo wyjątkowych udogodnień wyniki Gomulickiego ukazane w drugiej edycji „Vade-mecum” nie są bynajmniej niesporne. I on nie zdołał odczytać wszystkiego (np. wierszy dopisanych do „Źródła”). Niektóre jego lekcje są wątpliwe lub zgoła mylne (np. w wierszu „Sieroctwo” wersety są wydrukowane w odwrotnym porządku, w ostatnim Gomulicki czyta „trunki”, a stoi jak wół: „franki”; wątpliwości budzi też odczytanie „Saturnaliów”). Trudną, ryzykowną sprawę różnych redakcji tego samego wiersza Gomulicki ułatwił sobie w podwójny sposób. Po prostu drukuje obok siebie dwie redakcje z rękopisu, kiedy indziej umieszcza paralelnie obok kaligraficznej redakcji rękopisu brzmienie różne od tekstu czy tekstów rękopiśmiennych (często nosi ono już inny tytuł np. „Echa-czasu”, późniejsza wersja „Saturnaliów”).

Jest tu dużo materii do akademickiego sporu, ale ważne jest to, że dwaj dotychczasowi wydawcy „Vade-mecum” wyznaczyli sobie odmienne cele. Sowiński udostępnił zawartość manuskryptu „Vade-mecum” jaka doszła do naszych czasów i dzięki kopii Borowego mogła być odczytana w okolicach r. 1950, a nie 1960. Gomulicki usiłuje odtworzyć kształt idealny, jakiego bodaj nigdy nie było.

To dążenie do wyjścia poza ocalały rękopis znalazło wyraz również w próbie uzupełnienia jego wyszczerbień. Podczas wędrówek wśród wydawców a także wśród innych ludzi ze 102 utworów związanych w jedną architektoniczną całość przepadło w części lub w całości 14. Gomulicki próbuje odgadnąć co się mieściło w tych lukach i wstawić w nie utwory zachowane w innej postaci i gdzie indziej. W jednym i drugim przypadku nie budzi to wątpliwości, ale poza tym jest to tylko hipoteza filologiczna, która prawdopodobnie nie wyjdzie ze stanu wahań i nie stanie się pewnikiem (w r. 1947 Gomulicki proponował inne utwory, teraz wyznacza tę rolę innym; trzeba się liczyć, że w przyszłości wystąpi z nowymi propozycjami).

We wstępie Gomulicki starał się stworzyć bardziej solidną podstawę dla tej spekulacji. Przypisał Norwidowi „metodę klawer ideowo-tematycznych” w układzie zbioru. Jakoby każdy jego

wiersz „ma dwa tematy: pierwszy klamruje go z poprzednikiem, drugi z następnikiem” i — taki taniec idzie przez cały zbiór. Analiza pierwszych 20 wierszy przeprowadzona pod kątem tej scholastycznej zasady jest nieprzekonywująca, żeby nie powiedzieć odstrasżająca arbitralnością, dowolnością i prymitywizmem (np. „Socjalizm” jest spreparowany w taki sposób: „mitologia przeszłości — walka z czasem”; „W Weronie”: „harmonia rzeczy wyższych — antynomie doczesności”). Ale nawet gdyby Gomulicki przekonał nas do tej wszechzasady, bez dalszej arbitralności i dowolności nie może ona posłużyć do odpowiedzialnego wypełnienia szczerb w rękopisie „Vade-mecum”. Miejsce jednej z nich zajmowały trzy utwory, miejsce każdej z dwóch innych — po cztery. Jakże tu można odtworzyć owe brakujące „poprzedniki” i „następniki” ideowo-tematyczne?

Jeśli pominąć najbardziej wątpliwą sprawę, wstęp wychodzi w kilku szczegółach poza to, co dotąd pisano o „Vade-mecum” (m.in. ja sam w książce zbiorowej „Norwid żywy”). Gomulicki interesująco oświetla okoliczności zewnętrzne i wewnętrzne towarzyszące powstaniu zbioru, określa postawę poetycką, która doszła w nim do głosu, charakteryzuje jego nowatorstwo formalne. Najciekawsze z wszystkiego wydaje się związanie „Vade-mecum” z „Kwiatami zła” Baudelaire’a, przyjęcie, że te dwa zbiory tworzą „jakby filozoficzną tezę i antytezę najambitniejszej poezji połowy XIX w.”. Zdaniem Gomulickiego nasz poeta stworzył dzieło równoległe i przeciwstawne, świadomie wzorował się na zbiorze poety francuskiego i świadomie mu się przeciwstawiał. Na pewno Gomulicki ma słuszną, gdy pisze: „Dojrzałą poezję Norwida należy odczytywać jedynie w kontekście ówczesnej poezji europejskiej. Norwid bowiem dopiero na jej tle może ukazać czytelnikowi pełne nowatorstwo swojej arcyoryginalnej sztuki poetyckiej”. Ma słuszną (także przeciw sobie samemu w świetle jego stosunku do edycji emigracyjnej), gdy ocenia „Vade-mecum” jako „dzieło tak wysokiej rangi, że powinno się stać przedmiotem wielu rozmaitych wydań i wielu studiów specjalnych, a przy tym tak nowatorskie w skali europejskiej, że powinno być udostępnione w przekładzie literaturom obcym”.

Ogłoszona teraz w kraju, bez wątplenia druga, edycja „Vade-mecum” ma jeszcze dodatkowe znaczenie, wykraczające poza jej własny obręb. Jest to od sześciu lat, od zapowiedzi edycji zbiorowej pod redakcją Gomulickiego, pierwszy sygnał, pierwszy widomy znak tej całości, o którą wołano tyle razy bez żadnego echa i skutku. Swoje wydanie „Vade-mecum” nazywa Gomulicki „wydaniem krytycznym”, choć brak mu aparatu naukowego, choć daleko mu do wzoru, który świeżo stworzył Stanisław Pigoń w monumentalnych, 12-tomowych „Dzieliach wszystkich” Fredry. Obecną edycję arcyzbioru Norwida można by raczej nazwać edycją próbną. Może ze wszystkiego czego nam dotkliwie brak w tekstach Norwida nie była ona rzeczą najpilniejszą („małeńki nakład” emigracyjny, „znikoma ilość” egzemplarzy docierających do kraju dałoby się łatwo zwiększyć),

ale przerywa skandaliczny zastój wokół wydania zbiorowego. Wolelibyśmy, żeby pierwszy krok ku temu wydaniu mógł się być obyć bez pomniejszania cudzych wysiłków i rozpowszechniania o nich nieprawdy, ale tak i tak nie podobna wstrzymać okrzyku ulgi: Nareszcie Norwid!

Należałoby pragnąć, żeby nie był on okrzykiem złudnej nadziei. Należałoby Gomulickiego zachęcać, żeby możliwie prędko wydał możliwie dużo próbnych opracowań według tego wzoru. Potem mógłby resztę życia poświęcić pracy nad krytycznym, ultra-krytycznym wydaniem Norwida. Mógłby je nawet zostawić w spadku trzeciemu Miriamowi.

Tymon TERLECKI

Nowe wydawnictwa bibliograficzne

W ubiegłym roku ukazało się na anglosaskim terenie Diaspory szereg publikacji z zakresu bibliografii i historii prasy polskiej. Biblioteka Polska w Londynie opublikowała *Alphabetical list of periodicals Polish or relating to Poland*, oraz przyczynek pt. *Polska prasa podziemna (1939-1945) w zbiorach londyńskich*. Związek Dziennikarzy Polskich w Londynie wystąpił z okazji wystawy z broszurą pod nazwą *Directory of Polish newspapers and periodicals in the free world*, zaś Instytut Polski w Kanadzie wydał pod auspicjami Kongresu Polonii Kanadyjskiej, pierwszą regionalną historię polskiej prasy wychodźczej: *The Polish-language press in Canada*.

Tego rodzaju obfite żniwo wydawnictw poświęconych prasie jest w życiu kulturalnym wychodźstwa polskiego zjawiskiem wyjątkowym, toteż należy poświęcić mu nieco krytycznej uwagi.

Zacznijmy od katalogu „prasy polskiej i z Polską związanej”, wydanego na powielaczku przez Bibliotekę Polską w Londynie (1). Jest to starannie opracowana, alfabetycznie ułożona lista, obejmująca 1330 tytułów druków ciągłych, znajdujących się w zbiorach BP w Londynie. Z tej cyfry przypada na wydawnictwa krajowe około 875 tytułów, zaś na prasę wychodźczą około 425 tytułów. Drobny odsetek stanowią pisma obcojęzyczne, głównie

(1) *Alphabetical list of periodicals Polish or relating to Poland*. Supplement to „Books in Polish” 1961. The Polish Library. London, 1962. Str. 40.

historyczno-polityczne i slawistyczne, zajmujące się także polską tematyką.

Wymowa tego skromnego, lecz jakże cennego katalogu bibliotecznego, jest wysoce pouczająca. Katalog jest ilustracją rzeczowej, dalekowzrocznej polityki tej instytucji, która chce być przede wszystkim kompetentnym informatorem w rzeczach polskich dla anglosaskiego czytelnika, a zarazem kulturalnym łącznikiem między Polską, a światem anglosaskim, łącznie z polską emigracją. Nolens volens katalog naświetla sytuację w odniesieniu do stanu posiadania zbiorów własnej prasy emigracyjnej. Z moich kilkuletnich badań nad prasą polskiego wychodźstwa wynika, że w latach 1939-60 ukazywało się poza krajem około 2000 polskich druków periodycznych, z czego około trzy czwarte wychodziło na terenie Wielkiej Brytanii, Niemiec, Stanów Zjednoczonych, oraz Francji. W tym zestawieniu, cyfra przeszło czterystu periodyków, skatalogowanych przez Bibliotekę Polską w Londynie, przedstawia niepokojąco niski odsetek. Omawiany tu katalog spełni niewątpliwie pożyteczną rolę bibliotekarskiego podręcznika dla pracowników instytucji naukowych, gromadzących prasę polską. Okaże się on szczególnie przydatny przy ustalaniu czasokresu ukazowania się wydawnictw, i śledzeniu przeobrażeń, jakim tytuły tych pism w burzliwych latach ostatniego ćwierćwiecza ulegały.

Dość nieoczekiwany, jak na nasze stosunki wychodźcze, jest drugie wydawnictwo Biblioteki Polskiej, zatytułowane *Polska prasa podziemna (1939-1945) w zbiorach londyńskich*, a opracowane pieczołowicie przez Józefa Garlińskiego (2). Publikacja tej pracy stoi w związku z ukazaniem się w kraju *Katalogu polskiej prasy konspiracyjnej 1939-1945*, i przynosi zestawienie czasopism, i numerów polskiej prasy podziemnej, których wspomniany katalog nie zawiera, gdyż nie odnaleziono, czy też nie ujawniono, tych pism w kraju.

Autor bibliografii, wspomagany przez Marię Danilewicz, Halinę Czarnocką i Różę Matłachowską, przestudiował zbiory krajowej prasy podziemnej, znajdujące się w Bibliotece Polskiej, w zbiorach Studium Polski Podziemnej, oraz w Polish Research Centre, i uzupełnił katalog krajowy 33 nowymi pozycjami, oraz numerami 58 dalszych pism, krajowym autorom wprawdzie znanych, ale których nie dało się w Polsce odszukać.

Należy żywić nadzieje, że wydawcy krajowi wykorzystają ten naukowy przyczynek londyńskiego bibliografa, w następnych wydaniach swego katalogu. Na marginesie pracy Garlińskiego zjawia się natrętnie pytanie: „Czyż nie jest czas najwyższy na opracowanie analogicznej bibliografii polskiej prasy konspira-

(2) Józef Garliński: *Polska prasa podziemna (1939-1945) w zbiorach londyńskich*. Biblioteka Polska. Londyn, 1962. Str. 9.

cyjnej *poza krajem*, obejmującej wydawnictwa obozów jenieckich i koncentracyjnych, oraz pisma polskiego Ruchu Oporu we Francji i Belgii?”.

Z okazji wystawy prasy narodów ujarzmionych, która odbyła się w Londynie, Związek Dziennikarzy Polskich w Londynie wydał broszurę kieszonkowego formatu, zatytułowaną *Directory of Polish newspapers and periodicals in the free world* (3). Przewodnik ten, czy raczej książka adresowa, jest przedrukiem katalogu prasy emigracyjnej z zasłużonego „Rocznika Polonii”, redagowanego przez Bohdana O. Jeżewskiego. Przedruk zredagowano o tyle, że z dawnych spisów usunięto tytuły pism które przestały wychodzić, nie dodając wszakże tych, które zaczęły ukazywać się po r. 1958, sporo zapomniano w ogóle umieścić, zaś niektóre tytuły powtórzono. Przyznać trzeba, że starano się uwspółcześnić składy redakcji i administracji pozostałych pism. Wydawnictwa posegregowano według częstotliwości ukazywania się, nadając pojęciom „miesięcznik”, „kwartalnik” i „rocznik” bardzo płynne granice. Zdumiewa zupełnie brak zastosowania pojęcia wydawnictwa „nieregularnego”, pod które szereg wydawnictw emigracyjnych należy niestety podciągnąć.

Według tak pomyślanego i wykonanego przewodnika, prasa polska w wolnym świecie przedstawia się liczbowo następująco: istnieje 7 dzienników, 3 pisma wychodzące dwa lub trzy razy w tygodniu, 28 tygodników, 11 dwutygodników, 32 miesięczniki, 7 dwumiesięczników, 11 kwartalników, 1 pismo wychodzące co pół roku, 4 roczniki, wreszcie 4 periodyki wychodzące co dwa lata; w sumie 108 pism.

Geograficzny rozdzielnik jest następujący: Argentyna 2 pisma, Australia 2, Brazylia 3, Kanada 3, Chile 2, Francja 11, Niemcy, 2, Anglia 33, Włochy 2, Nowa Zelandia 1, i Stany Zjednoczone 47. Jeśli chodzi o tematykę, to pierwsze miejsce zajmują pisma o charakterze ogólnoinformacyjnym (51), drugie miejsce pisma religijne (25), zaczem idzie prasa polityczna, na ogół słusznie zredukowana do 11 tytułów.

Obraz ten nie odpowiada rzeczywistości, zarówno pod względem zasięgu geograficznego, jak i pod względem rachunkowej dokładności. Przewodnik opuszcza cztery kraje, w których prasa polska, albo dotąd się ukazuje, albo ukazywała się w latach 60-tych. Są nimi: *Austria* (pismo „Polonia”, założone przez Zbigniewa Waruszyńskiego w r. 1949, i kontynuowane przez K.F. Knapa). *Hiszpania* (pismo „Polonia” wydawane od szeregu lat w Madrycie przez J. Babeckiego), *Holandia* (gdzie niezmodo-

(3) *Directory of Polish newspapers and periodicals in the free world*. Edited by B.O. Jeżewski. „Taurus” under the auspices of „The Polish Union of Journalists”, London, 1962. Str. 40.

wany Bogusław Strenk do dziś dnia wydaje „Polskiego Kombatanta w Holandii”, będącego w prostej linii sukcesorem „Polaka w Holandii”), oraz *Kenya* w Afryce (pismo „Polonia”, założone w Nairobi przez ks. prof. Wargowskiego jeszcze w r. 1953).

Jeśli chodzi o rachunkową dokładność, stwierdzić trzeba, że Przewodnik pomija dziesiątki tytułów pism, de facto istniejących. Dziwne wydaje się również przeoczenie dosłownie wszystkich agencji prasowych, jakie na wychodźstwie działają, wydając swoje biuletyny. Z braku miejsca wymienimy tytuły tych jedynie periodyków, których pominięcie w Przewodniku, trudno naszym zdaniem usprawiedliwić, gdyż są to wydawnictwa albo stare, albo ważne, albo charakterystyczne, czy nawet w swoim zakresie reprezentacyjne. Oto ich tytuły podane w porządku alfabetycznym: „Jednodniówka-California News” (Bel Garden, Calif.), „Kazalnica” (New Castle, Pa.), „Ku Wolnej Polsce” (Londyn), „Kwartalnik Polskiego Związku Ziemi Zachodnich w Ameryce” (Chicago), „Medical and Dental Bulletin” (Chicago), „Orka” (Chicago), „Polish Arts Clubs Bulletin” (East Orange, N.J.), „Polish Review” (New York), „Polish Western Territories” (Los Angeles), „Przegląd Zrzeszenia Kół Pułkowych Kawalerii” (Londyn), „SPK w Kanadzie” (Toronto, Canada), „Tematy” (New York), „Wiadomości Polskie” (Sydney, Australia), i „Zeszyty Historyczne” (Paryż).

Na marginesie wydawnictw typu omawianej bibliografii handlowej warto zainicjować dyskusję, celem sprecyzowania pojęcia „polskiej prasy emigracyjnej”, czy też „polskiej prasy w wolnym świecie”. Czy jest nią prasa „polska” z „ducha”, z „języka”, z „koniunktury politycznej”, czy z „polonijnej tradycji”? Czy należy za prasę polską uważać polskojęzyczne periodyki organizacji w rodzaju „Komitetu Wolnej Europy” ACEN’u, ruchu federalistów, itp.? Jak klasyfikować polskojęzyczne wydawnictwa drukowane w Izraelu? Czy słuszne jest pomijanie w spisach polskiej prasy zagranicznej pism lewicowych czy wręcz komunistycznych, o długoletniej tradycji „polonijnej”, wychodzących np. w Kanadzie („Kronika Tygodniowa”) w Stanach Zjednoczonych („Głos Ludowy”, „Polish-American Journal”), czy w Szwecji („Nasz Znak”) ? Czy nie zubożamy się niepotrzebnie rezygnując z wydawnictw naukowych w rodzaju „Cahiers Pologne-Allemagne”? Czy nie jest szkodliwe przemilczanie w polskim stanie posiadania, obcojęzycznych wydawnictw, założonych i prowadzonych przez Polaków, jak to ma miejsce z włoską „Oltrecortina” i kanadyjskim kwartalnikiem „Etudes Slaves et Est-Européennes”, założonych i redagowanych przez prof. Domaradzkiego? Wreszcie: czy w naszych, jako tako ustabilizowanych warunkach emigracyjnych, za prasę ciągle jeszcze uważać należy pisma powielane, albo „roczniki”, które ukazują się co kilka lat?

Zanim nie ustalimy jednolitych wytycznych, opracowanie jakiegokolwiek bibliografii prasy polskiej na obczyźnie będzie szwankowało. Przewodnik takiej prasy jest palącą potrzebą. Musi to jednak być praca przemyślana, zsynchronizowana z poszczegół-

nymi środowiskami Diaspory, i wykonana przy ścisłej współpracy z ludźmi w terenie, którzy jej aktualny stan znają.

W grupie omawianych wydawnictw za pionierską należy uważać pracę dr. Wiktora Turka (4), będącą owocem długoletnich dociekań bibliograficznych w archiwach i księgozbiorach kanadyjskich, i terenowych poszukiwań w rozproszonych skupiskach polonijnych. Daje ona zarys dziejów prasy polskojęzycznej w Kanadzie, od czasów jej powstania w r. 1904, aż do jesieni 1961 r. Biografie poszczególnych wydawnictw i ich twórców nakreślone są obiektywnie i sugestywnie, i związane z tłem historycznym nie tylko kanadyjskiej, ale także amerykańskiej Polonii. Wykład jest precyzyjny i przystępny, obliczony na mentalność nie-polskiego czytelnika. Nacisk położono na „polonijność” prasy polskiej w Kanadzie, co uwidacznia się m.in. w obszernym potraktowaniu polskiej prasy komunistycznej w tym kraju, przy zdawkowym raczej ujęciu wydawnictw żołnierskich z okresu wojny („Odsiecz”, „My som tu”), i publikacji o charakterze politycznym, powstałych w środowisku emigracji wrześniowej.

Książka składa się z pięciu rozdziałów, z których pierwsze dwa omawiają znaczenie prasy etnicznej w Ameryce Północnej, i przedstawiają jej charakterystyczne cechy, oraz jej organizację. Rozdziały trzeci i czwarty odtwarzają dzieje 108 polskich pism w Kanadzie, przy czym zaznaczyć trzeba, że prasą, w rozumieniu autora, są także biuletyny organizacji społecznych i zawodowych, gazetki parafialne, pisemka młodzieżowe, oraz komunikaty jeniecko-kombatanckich ugrupowań. Wywody Autora uplastyczniają tabele, diagramy oraz kartograficzny szkic rozmieszczenia prasy w terenie. Ostatni rozdział przynosi listę tytułów wszystkich wydawnictw, wraz ze skróconym bibliograficznym opisem.

Książka dr. Turka jest pierwszym monograficznym, regionalnym opracowaniem dziejów polskiej prasy zagranicą, podjętym po Drugiej Wojnie Światowej przez naukowca polskiego żyjącego na emigracji. Z tego tytułu należy poświęcić jej kilka uwag natury zasadniczej. Okazuje się, że nieodzownymi warunkami zrealizowania regionalnego wydawnictwa w rodzaju „The Polish-language press in Canada” są: sprężysta, szczytowa organizacja polska działająca na danym terenie, oraz ofiarna jednostka o naukowych kwalifikacjach, która widzi co jest do zrobienia, i decyduje się na wykonanie zadania, wbrew przeciwnościom czy obojętności ze strony otoczenia.

Kombinacja taka jest niestety w Diasporze rzadka, i dlatego nie posiadamy do dziś dnia historii prasy, nawet tak starych i reprezentacyjnych środowisk emigracyjnych, jak Polonia niemiecka, amerykańska, francuska, czy brazylijsko-argentyńska.

(4) Victor Turka: *The Polish-language press in Canada. Its history and a bibliographical list.* Canadian Polish Congress. Polish Research Institute in Canada. Toronto — Canada, 1962. Str. 248.

Pozostanie zasługą wychodźstwa polskiego w Kanadzie, że doceniło wagę dokumentacji w zakresie prasy, i że wykonało oraz ogłosiło drukiem przykładową pracę w tym zakresie. Znaczenie dzieła podnosi fakt, że zostało opublikowane w języku angielskim, przez co udostępniono ją nie tylko gospodarzom kraju, ale również światowemu rynkowi. Wydawnictwa Instytutu Polskiego w Kanadzie, przyczyniają się w dużym stopniu do podniesienia znaczenia polskiej grupy etnicznej w tym kraju, pozostającej dotąd w tyle za grupą niemiecką czy ukraińską. Estetyczna, bardzo czytelna, do naukowych wymogów publikacyjnych dopasowana strona typograficzna książki, jest dalszym, propagandowego znaczenia nie pozbawionym sukcesem jej wydawców.

Za słabą stroną książki należy uznać brak bibliografii źródeł do historii prasy polskiej w Kanadzie. Bibliografii takiej nie zastępuje powierzchowny spis zużytkowanych źródeł (str. 211-216), łącznie z pozycjami potraconymi w petitowych, przeładowanych odsyłaczach, z reguły nieczytelnych, i mało atrakcyjnych. Owe dziesiątki artykułów biograficznych, napisanych z okazji inauguracji, z okazji jubileuszu, czy likwidacji wydawnictwa (jaki tuzin napisał autor zresztą sam) mają wartość źródłową, gdyż odzwierciedlają kulisy czy warunki polityki wydawniczej redaktorów i wydawców, są dziennikarskim, społeczno-narodowym „credo”, lub po prostu podsumowaniem dorobku.

Drugą słabą stroną wydawnictwa jest lista tytułów wydawnictw, i ich skrócony bibliograficzny opis, którego zawartość pozostawia nieraz do życzenia, zarówno pod względem dokładności szczegółów, jak i jednolitości ich ujęcia. Autor zdaje sobie zapewne sprawę z tych niedociągnięć, gdyż we wprowadzeniu zastrzega się, że czytelnik odniesie z niej korzyść, jedynie przez skonfrontowanie listy z historycznym tekstem książki. Rzecz w tym, że *bibliografie* są z zasady jednostkami automicznymi, z których korzystać można, i należy, bez potrzeby ponownego studiowania tekstu zasadniczego tematu. Bibliografia ma swoje, praktyczne zadania, natychmiastowego uprzywilejowania czytelnikowi zasadniczych: cyfrowych, imiennych, topograficznych, itp. danych, i w tym celu jest opracowywana. W szczegółowym zaś przypadku, nie możemy się powstrzymać od spóźnionej zresztą uwagi: czy nie można było pod opisem bibliograficznym wydawnictw, podać numery poszczególnych egzemplarzy będących w posiadaniu Instytutu, stwarzając w ten sposób za jednym zachodem, zarazem katalog jej zbiorów?

Zdarzają się też Autorowi lapsusy w rodzaju twierdzenia, że redaktorzy „Odsieczy” „są nieznanymi”, lub niedokładne opisy bibliograficzne, jak to ma miejsce z gazetką żołnierską pt. „My som tu”. Dokładniejsze przestudiowanie zawartości treści i ilustracji rocznika „Odsieczy”, oraz lektura londyńskiej „Polski Walczącej”, która przynosi faksymil wspomnianego wydawnictwa, mogłaby te niedociągnięcia usunąć.

„The Polish-language press in Canada” jest czwartą z rzędu publikacją naukową Instytutu Polskiego w Kanadzie, działającą

cego pod auspicjami Kongresu Polonii Kanadyjskiej. Poprzednio wydano biografię Kazimierza Gzowskiego, bibliografię „Polonica Canadiana”, i kolekcję szkiców historycznych pod tytułem „The Polish past in Canada”. Kongresowi Polonii, autorom i redaktorom tej serii należą się słowa uznania, za żmudny wysiłek, i za przykład jaki dają innym, starszym i bogatszym od siebie „Poloniom”. I jeszcze za jedno. Za mądre podejście do rzeczy, polegające na planowaniu. Za zaczynanie od skromnych, lecz niezbędnych przyczynków, studiów terenowych, regionalnych naświetleń, za zbieranie istniejącej literatury, i za przegląd prasy. Dopiero na tej podbudowie powstanie kiedyś dzieło zasadnicze: „Historia Wychodźstwa Polskiego w Kanadzie”.

Jan KOWALIK

Księga pamiątkowa ku czci Wacława Lednickiego

Grupa slawistów różnych narodowości wydała księgę zbiorową ku czci Wacława Lednickiego, z okazji siedemdziesięciolecia jego urodzin (1). Wstęp pióra holenderskiego profesora Corneliusa H. van Schoonevelde, informuje o drodze naukowej Lednickiego, od habilitacji na uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, w r. 1926, poprzez wykłady w Brukseli i katedrę literatury rosyjskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, po działalność pedagogiczną w Stanach Zjednoczonych, gdzie Lednicki wykładał kilka lat w Harvard i następnie otrzymał katedrę literatur słowiańskich na University of California. Bibliografia jego prac, otwierająca książkę, obejmuje 192 pozycje w różnych językach. Omówienie treści zamieszczonych w książce studiów wymagałoby osobnego artykułu, odnotujmy więc tylko nazwiska i tematy. Julian Krzyżanowski (Uniwersytet Warszawski) pisze o „Bogurodzicy”; John Mersereau Jr. (University of Michigan) o „Trenach” Kochanowskiego; Serge A. Zenkowsky (University of Colorado) zajmuje się dziejami moskiewskiego mnicha Epifaniasza spalonego na stosie w 1682 roku; Claude Backvis (Université de Bruxelles) traktuje o swoim ulubionym baroku, tym razem stawiając pytanie na ile barokowa jest poezja Dzierżawina; Ettore Lo Gato (Università di Roma) wziął za temat elementy liryczno-autobiograficzne w „Eugeniuszu Onieginie”; Joseph T. Shaw (Indiana University) zakończył „Damy Pikowej” Puszkina; Mieczysław Giergielewicz (University of Pennsylvania) pisze o dwóch poetach

(1) *Studies in Russian and Polish literature. In honor of Wacław Lednicki.* Edited by Zbigniew Folejewski, University of Wisconsin, Michael Karpowicz, Harvard University, Francis J. Whitfield, University of California, Alfred Kaspin, University of Wisconsin. Mouton and Co., The Hague, The Netherlands, 1962.

na dworze cesarskim; Puszkynie i Krasieńskim; Wiktor Weintraub (Harvard University) o „pojedynku improwizacji” pomiędzy Mickiewiczem i Słowackim; Zbigniew Folejewski (University of Wisconsin) rozważa motyw winy i kary w poezji Słowackiego; Donald Davie (Cambridge University) przedstawia wyniki badań nad pobytem Turgieniewa w Anglii; Alfred Kaspin (University of Wisconsin) poddaje analizie postać Torcowa u Ostrowskiego; Robert Jackson (Yale University) rolę narratora w „Zapiskach z domu umarłych” Dostojewskiego; wreszcie znajdujemy dwa szkice z nowszej literatury: Xenii Gąsiorowskiej (University of Wisconsin) o postaci Aksinji Astachowej w „Cichym Donie” Szolochowa oraz Gleba Struve (University of California) o mądrych i niemądrych ocenach „Doktora Żiwago” Pasternaka.

W sumie więc obfitość materiału składa się na piękny hołd i hołd trwały, gdyż jak wiadomo tego rodzaju księgi zbiorowe, w przeciwieństwie do przemówień na akademiach, mają długie życie.

S.

Nadesłane nowości wydawnicze

- LENERT (Pierre). *L'Eglise Catholique en Pologne*. Str. 172 i 2 nlb. (Edition du Centurion, Paris, 1962).
- MEKARSKI (Stefan). *Lwów*. Karta z dziejów Polski. Wydanie drugie. Str. 112 i 6 nlb. (Nakładem Koła Lwówian, Londyn, 1962).
- Dokumenty chwili*. Zeszyty informacyjno-polityczne pod redakcją Adama Ciołkosza. Zeszyt I.: jesień 1962: Zagadnienia międzynarodowego ruchu komunistycznego: *Chiny, Albania, Włochy, Jugosławia*. Str. 290 i 2 nlb. (Londyn, 1962, cena 22/-).
- GOLDSTEIN (Bernard). *Cinq années dans le Ghetto de Varsovie*. Traduit par E. Dal, revu par Viviane Clerck. Str. 238 i 2 nlb. Wyd. La Renaissance du Livre. Bruxelles, 1962).
- MACKIEWICZ (Józef). *Sprawa pułkownika Miasojedowa*. Powieść. Londyńska Biblioteka Literacka. T. XX. Str. 663 i 1 nlb. (Wyd. B. Świdzki, Londyn, 1962).
- FOLKIERSKI (Władysław) *Od Boskiej do Nieboskiej Komedii*. Szkice z zakresu europejskiej psychologii religijnej. Str. 355 i 12 nlb. (Nakł. Kat. Ośrodka Wyd. „Veritas”, Londyn, październik 1962).
- Beiträge zur deutschen Jahresring 62/63 Literatur und Kunst der Gegenwart*. Str. 407 i 3 nlb. 7 plasz kolorowych i 32 fotografie w tekście. (Nakładem Deutsche Verlag-Anstalt, Stuttgart, 1962).
- VINCENZ (de Stanisław). *Dante und die Volksmythe*. Str. 31. (Odbitka z Zeszytu 54 „Dortmunder Vorträge”).
- MACHNOWSKI (Feliks). *Wilki zedra łańcuchy a świnię sązione będą*. (Wernyhora I. pkt. 21-22). Str. 32. (Nakładem autora, Buenos Aires, 1962).
- 9, *Princes Gardens, S.W.7*. *Nowa siedziba polskich placówek naukowych w Londynie*. Str. 35 i 1 nlb. (Wyd. Polish University College Association, Ltd, Londyn, 1962).

Listy do Redakcji

New York, grudzień 1962 r.

Szanowny i drogi Panie Redaktorze!

Do ciekawego artykułu Wacława Soroki „Książka polska w Stanach Zjednoczonych” pragnę dodać w związku z uwagami o księgarzu Izraelu Perlsteinie, iż należałoby w pierwszym rzędzie wymienić dr. Aleksandra Hertza, wielkiego znawcę i miłośnika książki, obecnie jednego z najwybitniejszych księgarzy polskich w Stanach.

Dr Hertz jest też jak wiadomo świetnym pisarzem w dziedzinie socjologii, autorem między innymi „Amerykańskie Stronnictwa Polityczne” i „Żydzi w kulturze Polskiej”.

Z wyrazami prawdziwego szacunku.

Alfred BERLSTEIN

Bibliotekarz Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce, były długoletni bibliotekarz słowiański w New York Public Library.

Ottawa, dn. 29.XI.1962 r.

...Kilka słów o stosunkach polsko-niemieckich:

Kiedyś w połowie r. 1933 wezwał mnie Beck do siebie. Był wyraźnie zatroskany. Zaczął mówić jak zawsze krótko i jasno: „byłem, u Komendanta, to co będę mówić musi pozostać w ścisłej tajemnicy. Stosunki polsko-niemieckie są jak wiesz, napięte. Komendant jest dobrze zorientowany co do Niemiec, zarówno przez nas jak i przez O. II. Ale Komendant stoi wobec wielkich decyzji i chce niektóre rzeczy dziejące się w Niemczech — sprawdzić. Zostałem zapytany przez Komendanta czy mam w Niemczech inteligentnych i pewnych ludzi, którym można by powierzyć doniosłe zadanie natury wywiadowczej. Zadanie to wymaga znajomości Niemiec, terenu, inteligencji i ofiarności, by na skutek wpadnięcia, nie zdradzić zadań poruczonych, ani osoby, która takie zlecenie dała. Teraz ja ciebie z kolei zapytuję czy mamy takich ludzi w Niemczech i ilu. Odpowiedziałem, że do tego rodzaju zadań nie mogą być użyci Polacy ob. niemieccy, aby na wypadek wyspy nie ociążyć organizacji polskich zarzutem szpiegostwa. Mogą to być tylko urzędnicy, jeśli mogą być użyci urzędnicy niezależnie od ich stopnia i funkcji, to mogę liczyć na 15-20 osób, tj. co najmniej po jednym na każdą naszą placówkę (14 konsulatów plus ambasada). Minister uznał, że wystarczy po jednym na każdej placówce. Dalej minister powie-

dział mi abym w ciągu najbliższych dni porozmawiał z wybranymi urzędnikami. Każdy z nich po wyrażonej zgodzie i zapewnieniu absolutnej tajemnicy otrzyma po jednym egz. kwestionariusza, na który powinien po upływie miesiąca, odpowiedzieć. Kwestionariusz opracuje Komendant osobiście". Urzędników w Niemczech znalazłem dobrze z racji mego funkcji i szefa biura pers. i dyrektora depart. konsularnego. Imienne wzywianie poszczególnych urzędników do centrali nie mogło wzbudzić, z racji mych funkcji, żadnego podejrzenia. Między wzywianymi telegraficznie urzędnikami byli i konsulowie i nawet praktykanci, kierowałem się bowiem jedynie wymogami postawionymi przez zadanie jakie musieli spełnić.

Gdy od min. Becka otrzymałem 15 egz. kwestionariuszów, byłem zdumiony szerokim wachlarzem pytań. O ile pamiętam było około 30 pytań zarówno natury wojskowej (jak np. dyslokacja, uzbrojenie, nastroje wojsk itp.) jak i gospodarczej.

Poinstruowałem każdego wybranego urzędnika oddzielnie co do wagi i znaczenia państwowego, tego doraźnego wywiadu, jak również poinformowałem i prosiłem, by w razie „wsypy” w żadnym wypadku nie zasłaniał się rozkazami M.S.Z., przyrzekając natomiast wszelką pomoc i starania do wyciągnięcia z ewentualnego nieszczęścia. Nikt z przelożonych czy podwładnych nie może znać ani treści instrukcji, ani rozmowy z mną. Każdy musi znaleźć pretekst do wyjazdów w teren. Koszta rozjazdów, zamieszkania itp. pokryje MSZ. Po upływie miesiąca każdy z wybranych miał osobiście doręczyć mi odpowiedzi. „Operacja” ta odbyła się gładko bez wpadnięcia i bez złamania tajemnicy, tak dalece, że wydaje mi się, że ja pierwszy odstąpiam tę tajemnicę po 30 bez mała latach.

Komendant był, jak mi to mówił później minister Beck, bardzo z tych odpowiedzi zadowolony. Utwierdziło to Komendanta w daniu instrukcji amb. Lipskiemu by zapytał Niemców: pokój czy wojna. W styczniu 1934 podpisaliśmy z Niemcami pakt o nieagresji.

T. W. DRYMMER

London, 7 grudnia, 1962 r.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze!

P. Włodzimierz Popławski w nrze 12/182 „Kultury” wytyka mi niedokładność w sprawie agencji ATE, której red. nac. był przed wojną p. Klemens Dunin-Keplisz. W ogłoszonych w listopadzie 1962 przez „Kulturę” moich „Notatkach z czasów wojny” nazywam agencję ATE „agencją Keplisz”. Oczywiście, wiedziałem i wiem, że agencja ta nazywała się ATE, ale w kołach dziennikarzy polskich w Londynie nazywaliśmy często tę placówkę „agencją Keplisz”, albowiem Keplisz był nam lepiej znany jako dziennikarz i kolega aniżeli nowy twór, ATE. Za tę drobną niedokładność przeproszam czytelników „Kultury”.

Wątpię, ażeby czytelnicy Pańskiego pisma byli w tej sprawie (jak się obawia p. Popławski) zdezorientowani, albowiem moje notatki odnoszą się do czasów przedwojennych i wojennych, natomiast artykuł pt. „Od Keplicza do Jaszńskiego”, zamieszczony w tym samym zeszytce „Kultury” co moje wspomnienia, odnosi się do doby powojennej. Powojenna działalność Keplicza, która tak zdumiewa p. W. Popławskiego, nie zdziwiła nikogo, kto obserwował nieco pilniej stosunki w Europie wschodniej. Tego rodzaju przemiany były wcale częste (innym przykładem w prasie polskiej jest dr S. Li-tauer, który był wiernym urzędnikiem od Becka do Bieruta i dalej). Doskonali urzędnicy jednego régime'u potrafią być znakomitymi urzędnikami innego. Z tym bodaj zdołaliśmy się już oswoić.

P. Popławski korzysta jednak z okazji, ażeby wtrącić swoją insynuację pod adresem mojej osoby. Oto wylawia z moich notatek zdania odnoszące się do nagonki prowadzonej na Pruszyńskiego w Londynie przed jego wyjazdem do Polski. Mogę go zapewnić, że zanotowane tam uczucie obrzydzenia — z powodu podsuwania Pruszyńskiemu najniższych motywów w jego postanowieniu powrotu — było nie tylko moim udziałem. Spotykałem wówczas w Londynie ludzi, którzy myśleli podobnie. Pruszyński pozostał dla nas człowiekiem prawym, który w swojej decyzji nie miał na względzie robienia kariery.

P. Popławski idzie jednak dalej i wygrzebuje artykuł p. Józefa Kowalskiego z kwartalnika warszawskiego „Z pola walki” i cytuje słowa tegoż p. Kowalskiego, ongiś „pracownika kominternowskiej radiostacji im. T. Kościuszki”, a dzisiaj pono partyjnego dygnitarza, dla udowodnienia, że Pruszyński w czasie pobytu w Rosji odnosił się z sympatią do armii sowieckiej i wypowiadał się życzliwie o współpracy polsko-sowieckiej. Nie wiem co mówił Pruszyński w Kujbyszewie, ale wiem, że po swoim powrocie z Rosji do Londynu nie ukrywał opinii, że armia sowiecka dokona starcia potęgi lądowej Niemiec. Co do tego się nie pomylił. Był on niewątpliwie zwolennikiem współpracy polsko-sowieckiej, widząc w tym geopolityczną konieczność i skutek przyszłego zwycięstwa Rosji na Wschodzie Europy. Uważał on także — znowu słusznie — że Rosja będzie jedynym gwarantem nowych granic Polski na zachodzie.

P. Popławski chce rzucić cień na osobę Pruszyńskiego przytoczeniem zdań z artykułu p. Józefa Kowalskiego i stworzył swoimi insynuacjami jakiejś *tunctum* między owym p. Kowalskim a moją osobą. Otóż wybrał sobie fatalnie przykład: radiostacja im. T. Kościuszki atakowała kilkakrotnie w czasie wojny moją działalność publicystyczną; a poza tym moje uwagi o K. Pruszyńskim odnoszą się do całkowicie *innej* sprawy, a zatem jego powrotu do Polski. Z resztą insynuacji nie zamierzam polemizować: traktuję je z pogardą na jaką zasługują. Jedni używają metod polemiki uczciwej, inni potrafią posługiwać się tylko insynuacjami. Insynuacje i ataki p. Popławskiego nie są dla mnie niczym nowym. W r. 1947 zaatakował on na łamach londyńskiego „Dziennika Polskiego” pisarzy polskich w kraju za ich rzekomo służalczą postawę. Zareplikowałem pisząc, że „kultura polska stanowi naszą ostatnią linię obrony”. W r. 1956, kiedy pisarze polscy zjawili się wcale licznie w Londynie na kongresie PEN CLUBÓW, miałem sposobność skorygować moje powiedzenie na przyjęciu przez nich wydanym kultura polska okazała się „pierwszą linią obrony”. W prawdę tę wierzę dalej, podobnie jak w szlachetność motywów niejednego z tych, co wrócili do kraju. Do grona tych zaliczam pisarza z prawdziwego zdarzenia, przedwcześnie zmarłego, drogiego koleżę, człowieka prawnego, Ksawerego Pruszyńskiego.

Zbigniew GRABOWSKI

„Klaudiusz Hrabek
Warszawa
ul. Nabelaka 18 m. 7
Pan
Adam Polakiewicz
Sao Paulo

16 października, 1962 r.

Szanowny Panie!

Przeczytałem list Pański w „Kulturze” (nr 10/180) przesłany do Redakcji tego pisma, gdzie uznał Pan za stosowne — składając relację z

pobytu w Polsce — poświęcić jedną część listu mojej osobie. Jest Pan chyba przekonany o tym, że jest mi raczej obojętny sąd Pański o mnie, niemniej jednak — ponieważ powołuje się Pan na rozmowę ze mną i na tej podstawie wyraził Pan różne opinie i oceny dotyczące mnie, mojej postawy poglądów itd., uważam za konieczne przypomnieć, że spotkanie nasze, z mojej strony zupełnie przypadkowe, nastąpiło z Pańskiej inicjatywy, gdy zaczepiony przez Pana we Wrocławiu podczas tamtejszego Spotkania Polonii Zagr., oświadczył mi Pan, że Ojciec Pański przesyła mi pozdrowienia i polecił Panu o tym mnie zawiadomić. Nie taję, że byłem wzruszony pamięcią Ojca Pańskiego, którego zresztą w życiu moim osobiście nie znalazłem. Ponieważ jak sobie przypominam jechaliśmy wspólnie autobusem w obrębie miasta, rozmowa nasza trwała nie więcej jak 10-15 minut i posiadała charakter najzupełniej banalny i konwencjonalny, skorośmy się spotkali po raz pierwszy w życiu, a ja nie miałem żadnego powodu, aby z okazji tak dla mnie przypadkowego a krótkiego spotkania, wobec młodego i nieznanego mi przedtem człowieka rozłączać i wywnętrzać jakiegokolwiek poglądy. Zapytany przez Pana, jak pamiętam, oświadczyłem, że czuję się w Polsce bardzo dobrze i pomimo istniejących różnych trudności nie żałuję powrotu, ponieważ życie w Polsce jest ciekawe, wielokrotnie ciekawsze od trumiennej atmosfery wśród emigracji. Należę nie od dzisiaj do ludzi, którzy nigdy się nie obawiają ani nie obawiali własnego cienia i tym samym odznaczam się także obecnie w Polsce, zresztą nie jedyny, skoro wiadomo że wśród różnych cech obecnego okresu w kraju, jedna się wyróżnia dobitnie, a mianowicie nieopohamowana otwartość ludzka w wypowiedziach. Cokolwiek jednak na ten temat powiedzieć czy myśleć, ani ja nie potrafiłbym w ciągu kilkunastu minut wynurzyć się przed Panem ani Pan wyrobić sobie jakiegokolwiek zdanie o rozmówcy spotkanym po raz pierwszy. Stąd muszę z przykrością stwierdzić, że cała Pańska relacja o o mnie w liście do „Kultury” opiera się na wymysłach z Pańskiej strony potrzebnych Panu do tego, aby mnie w taki czy inny sposób zaczepić i przedstawić w ujemnym świetle.

Nie miałbym nic przeciwko takim intencjom Pańskim, bo jestem od 40 lat przyzwyczajony do tego rodzaju napaści na gładkiej drodze, podejmowanych przez różnych, często przygodnych moich przeciwników, ale nie mogę uchylić się od uwagi, że napaść tę podjął Pan po rozmowie ze mną, nie przeze mnie zainicjowanej, prowadzonej z mojej strony, jak zresztą także z Pańskiej w sposób odpowiadający zwyczajom wśród ludzi kulturalnych, a z mojej strony ponadto w sposób życzliwy dla Pana skoro podszedł Pan do mnie z dobrym słowem od Pańskiego Ojca. W tych okolicznościach — publiczna następnie napaść z powołaniem się na rozmowę ze mną i zmyślone przez Pana w niej moje rzekome wypowiedzi — oceniam muszę z największą przykrością, jako swoiste gangsterstwo towarzyskie sprzeczne z elementarnymi pojęciami o właściwym zachowaniu przyzwoitych ludzi. Mam nadzieję, że jest Pan w tej metodzie odosobniony wśród młodszego pokolenia polskiego wychowanego w cywilizowanych zasadach zachodnich społeczeństw, ale żałuję, że los zdarzył mi zetknąć się akuratnie z wyjątkiem, który muszę ocenić jako zjawisko zdziczenia obyczajów. Jeśli chciał mnie Pan napaść czy Panu z takich czy innych względów się nie podobam, przeciw czemu nie mam najmniejszych zastrzeżeń, nie należało mnie zaczepiać, ze mną rozmawiać choćby przez 10 minut. Metoda, jakiej Pan użył posiada znamiona swoistej prowokacji, a nie może się Pan dziwić, jeśli budzi ona u mnie zawsze wstręt.

Proszę wybaczyć moje uwagi, ale skoro nie nauczył się Pan elementarnych zasad na Zachodzie w stosunkach z ludźmi choćby sobie nieimiłymi, to sądzę, że jako człowiek starszy od Pana mam obowiązek zwrócić Panu uwagę chociażby to w tym wypadku było tylko z Warszawy.

Przy sposobności proszę przekazać Pańskiemu Ojcu ode mnie pozdrowienia i mam nadzieję że pokaże mu Pan także ten list, ponieważ jestem pewny, że Ojciec Pański zawstydzi się Pana. Byłoby to dla mnie całkowitą satysfakcją.

Łączę uścisk dłoni.

Klaudiusz HRABYK”

P.S.: Odpis listu przesyłam do Redakcji „Kultury”.



Sao Paulo, 24 listopada 1962 r.

*Stryjek zamienił siekierkę na kijek
potem miał żal do strony,
więc znów na siekierkę zamienił stryjek
ten kijek, lecz był rozżalony.*

(Gałczyński)

„Pan
Klaudiusz Hrabek
Warszawa

Szanowny Panie!

List Pański z dnia 16 października dopiero teraz do mnie doszedł. Przyznam się, że nie przypuszczałem iż ma Pan tak rozjątrzony kompleks niższości. I to wszystko przez ten powrót do kraju. Boże, Boże.

Nie mam zamiaru z nim (listem i kompleksem) polemizować, by nie zniżyć się do jego poziomu (listu i kompleksu). Chciałbym tylko parę punktów wyjaśnić.

Po pierwsze niezmiernie mi przykro, ale nie przyjechałem do Polski tylko by Pana poznać i nawiązać rozmowę. Miałem inne, trochę ważniejsze powody do odwiedzenia kraju.

Po drugie nie odpowiada prawdzie Pańskie stwierdzenie że zapytałem się Pana jak się Pan w Polsce czuje. Przepraszam, ale mnie to nie interesowało ani nie interesuje. Mogłem się zapytać jak się Panu powodzi, ale stanowi to zwrot grzecznościowy, tak samo jak „Szanowny Panie” w niniejszym liście, który nic nie oznacza i którego nikt na serio nie bierze. A że poziom rozmowy był bardzo niski to treść Pańskiego listu tylko potwierdza.

Co do wychowania „w cywilizowanych zasadach zachodnich” to chciałbym Panu zwrócić uwagę że właśnie na Zachodzie np. w Anglii lub w Stanach za list mógłbym Pana pociągnąć do odpowiedzialności sądowej za libel. Odszkodowanie jest wysokie chyba że zostaną uwzględnione okoliczności łagodzące np., że pradziadek oskarżonego był alkoholikiem lub że on sam, mając dwa tygodnie, wypadł z kołyski na głowę.

„Trumienna atmosfera wśród emigracji”. Hm. „Emigracja musi być utrzymywana bo wymaga tego dzisiejsze położenie międzynarodowe i sytuacja Polski. Nawoływanie emigracji do powrotu do kraju nie da dlatego większych rezultatów. Emigracja w tym celu pozostaje poza krajem, aby — zgodnie z powszechnym, choć nie ujawnionym nurtem kraju — uczynić wszystko co możliwe, w zakresie zrealizowania i przyspieszenia akcji wyzwolenia”.

Proszę mnie nie winić za tak silne podkreślenie tych faktów. Powyższe oświadczenie zostało zaczerpnięte z Pańskich artykułów zamieszczonych w „Kulturze” chyba za Pańską zgodą.

Zegniam z ubolewaniem.

Jan POLAKIEWICZ”

P.S.: Odpis listu przesyłam do Redakcji „Kultury”.

Londyn, 27.XI.1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł p. P. Kalinowskiego o polonii francuskiej (*Kultura* nr 4/174).

W dzisiejszej prasie unikatem jest czytać przekonujące wywody doświadczonego działacza polonijnego. Mają one tę wartość, że są głęboko wnikliwe, przemyślane i poparte logicznymi wnioskami. A także, że są sprzeczne z opisami i sugestiami przygodnych obserwatorów. Referat p. P. Kalinowskiego powinien być podstawą dla przyszłych poczynić.

Nawiasem poruszę stosunek konsula gen. Stanisława Kary do minionego „zachęcania do przyjmowania obywatelstwa francuskiego” o czym, wspomina p. P. Kalinowski. Czytelnik nie wdroyony w sprawy dawnej emigracji, mógłby zrozumieć, jakoby konsul gen. Kara, działał na własną rękę. Z ówczesnych moich prac na terenie Francji, szczególnie z wielokrotnego omawiania tego tematu w czasie tzw. akcji, i znacznie później z pułkownikiem Stan. Karą w Sztapie Naczelnego Wodza w Reginie i w Rubensie, oraz na podstawie notatek z jego konsulostwa, pozostawionych u mnie do zużytkowania mogę z całą pewnością stwierdzić, że sprawy asymilacji, akcji przeciwnej, obywatelstwa, opieki społecznej itp., były uprzednio omawiane i decydowane w Warszawie, a konsul gen. St. Kara był wykonawcą otrzymanych dyrektyw. Trzeba przypomnieć, że rok 1930, był szczególnie brzemienny w bezrobocie w Polsce i we Francji. Zmiana obywatelstwa miała wiele różnych celów, a także, zbadanie reakcji emigrantów i władz francuskich.

Przywiązanie polskich emigrantów we Francji nie tylko do polskości ale i Polski, było ogromne, ale, niezależnie od konsula gen. Kary, poszczególni ludzie a nawet całe rodziny, ubiegały się o pozyskanie obywatelstwa francuskiego, nieraz niepotrzebnie.

Sama akcja tzw. sugestii, wywołała burzliwą reakcję, o której słusznie wspomina p. P. Kalinowski. Ta reakcja, owo poczucie polskości, trwały przez dalsze lata, pieczętując licznym i ofiarnym udziałem rzesz polonii francuskiej, w oddziałach Armii Pol., Ruchu Oporu itd. 1939-45 — bez różnicy, paszportowej.

Łączę wyrazy należnego poważania.

Eugeniusz TURSKI

SPROSTOWANIE

W nrze 11/182 „Kultury” (listopad 1962) na str. 114 zamieściliśmy ogłoszenie książki DEATH IN THE FOREST, wydanej przez *University of Notre Dame Press*, Notre Dame, Indiana, U.S.A. W ogłoszeniu tym cena książki podana została omyłkowo jako £ 6,50. Właściwa cena książki wynosi \$ 6,50.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE,
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Directeur-gérant: Jerzy Giedroyc.

Dépôt légal: 1^{er} trimestre 1963



SOVIETICA

Monographs of the Institute of
East-European Studies,
University of Fribourg, Switzerland.
Edited by J. M. Bocheński

Z. A. JORDAN

Philosophy and Ideology

The Development of Philosophy and Marxism-Leninism in Poland since the Second World War

1963, XII + 600 pp., f 58.00 (\$ 16.25; 116s.)

D. Reidel Publishing Company

Dordrecht-Holland / Stuttgart-Germany

Review

Philosophy and Ideology attempts to accomplish a three-fold task. It provides an account of philosophy in Poland from the beginning of this century; it describes the encounter of the native philosophical tradition with Marxism-Leninism, which, owing to international political events, has assumed an important place in the intellectual life of contemporary Poland; and it critically examines some Marxist-Leninist views, in particular those concerning formal logic, epistemology, the theories of truth, of universals, and of history.

The development of contemporary Polish philosophy largely coincides with the growth of the Warsaw school. This school was the dominant intellectual force in the inter-war period owing to the number and excellence of its various achievements. Although the work of the logicians Chwistek, Leśniewski, Łukasiewicz, and Tarski, and the Warsaw school philosophers Ajdukiewicz, Czeżowski, Kotarbiński, and Zawirski, has been most significant and influential, other points of view and interests have also had important representatives in Poland. The ground covered in *Philosophy and Ideology* includes a general description of these other trends, that is, of phenomenology, philosophy of life, and Christian philosophy, and of the work accomplished by the philosophers of law, social scientists, Marxian scholars, and historians of philosophy.

The rise to prominence of Marxism-Leninism is a characteristic feature of the philosophical landscape in post-war Poland. Marxism-Leninism constitutes a new departure in contemporary Polish philosophy, which was bound to lead to sharp clashes of philosophical attitudes and opinions. For the Marxist-Leninist conception and method of philosophical inquiry represented a survival of the almost extinct brand of highly speculative and ambitiously metaphysical philosophy which was dominant in Poland prior to the change to the analytical approach accomplished by Kazimierz Twardowski towards the end of the last century. Twardowski, the eminent

Review

philosopher and teacher of philosophy and the originator of the analytic trend, played a role in Poland similar to that of Bertrand Russell and G. E. Moore in Great Britain. Moreover, Marxism-Leninism was not satisfied to remain one point of view among others. It took advantage of the powers at the disposal of the Communist state administration, and established the 'monopoly of a single school' in every sphere of intellectual life. The ensuing conflict between philosophy and ideology did not result, however, in the destruction of the former by the latter. It was ideology which slowly changed its initial position, reducing its claims, revising its point of view, modernising its outlook, and discovering the value of objectivity, logical consistency and free inquiry. The revision of the fundamental assumptions of Marxism-Leninism has been particularly apparent in the views on the relation of dialectics to formal logic, in the abandonment of the copy theory of perception, and in a sharp reassessment of the doctrine concerning the social determination of knowledge. These changes led to further reconstruction of the Marxist-Leninist doctrine epitomised by the abolition of the 'monopoly of a single school', the far-reaching revisions of the 'dual theory' of science and ideology, the relinquishing of hostility to the philosophy of language and to the applications of formal logic to philosophical inquiry, and the acceptance of empirical research methods in the social sciences.

A critical examination of the 'logic of contradiction', which used to be one of the fundamental principles of Marxism-Leninism, of its theory of knowledge, its doctrine concerning the 'partiality' and 'concreteness' of truth, its platonising theory of universals and its historicism, teeming with reified theoretical constructs, reveals the fact that all these theories were the result of misunderstandings, born of terminological and conceptual ambiguities, ignorance of matters of fact, logical errors, and self-contradictory claims. A logically-trained and scientifically-minded philosopher has no use for them. They had to be

Review

revised, for otherwise Marxism-Leninism could not survive as anything more than a fighting ideological creed of a political party decked out in philosophical terms. The transformation of Marxism-Leninism is not yet completed. On the other hand, a temporary backward swing of the pendulum is not to be excluded either. For Marxism-Leninism continues to be protected by the political power, and this involves an occasional relapse into the restrictive practices of the past. Present-day Marxism-Leninism in Poland is exposed to mutually exclusive pressures which push and pull its supporters in opposite directions. It also suffers from the dual and conflicting functions it is expected to perform. On the one hand, Marxism-Leninism is the official doctrine of the ruling Party; on the other, it is supposed to be a genuine and independent school of philosophical thought. A Marxist-Leninist is constantly subjected to the tension between political and philosophical ideas and must try to reconcile their irreconcilable or discrepant claims. All these factors must be reckoned with whenever the future of philosophy in Poland is envisaged.

When we look at the philosophical scene in Poland since the end of the Second World War, one fact of universal significance seems to stand out. It is no exaggeration to say that the outcome of the clash between philosophy and ideology might have been different, if Polish philosophy had not been steeled, for three generations, against any form of irrationalism by a systematic cultivation of logical and other scientific procedures and if it had not been able to draw upon these resources to maintain its steadfastness of purpose and its power of attraction. It provided universally valid standards of rationality and objectivity, which inspired confidence in the fruitfulness of critical discussion. Owing to the long-established tradition a sustained effort to maintain a certain kind of philosophical inquiry has been successful under extremely unfavourable conditions, and philosophy has continued to fulfil its function of liberating the mind from errors and prejudices.

Preface

PART I. PHILOSOPHY BETWEEN THE TWO WARS

Introduction

1. The Lwów School
2. The Warsaw School
3. Other Schools and Other Philosophers
4. Marxian Tradition
5. Sociology and Social Philosophy

Notes to Part I

PART II. THE PERIOD OF RECONSTRUCTION AND THE RISE OF MARXISM-LENINISM

Introduction

6. The Philosophical Revival
7. The Beginning of Marxist-Leninist Philosophy

Notes to Part II

PART III. THE YEARS OF MILITANCY

Introduction

8. The Road to Ascendancy
9. The Instrumentalist Conception of Philosophy
10. Criticism of the Warsaw School
11. Phenomenology from the Marxist-Leninist Standpoint
12. Criticism of Znaniecki's Sociology and the Decline of Social Inquiry

Notes to Part III

PART IV. FORMAL LOGIC AND DIALECTICS

Introduction

13. The Superiority of Dialectics
14. Change, Motion, and Contradiction
15. The Abandonment of the Logic of Contradiction

Notes to Part IV

PART V. THE MATERIALISTIC THEORY OF KNOWLEDGE, THEORIES OF TRUTH AND OF UNIVERSALS

Introduction

16. Engels' Representative Realism and Lenin's Theory of Perception
17. The Causal Theory of Knowledge
18. Anthropological Realism
19. The Materialist Conception of Truth
20. The Truths of Logic and Mathematics
21. Absolute and Relative Truth and the Relativity of Knowledge
22. The Doctrine of Partiality of Truths
23. The Doctrine of Concreteness of Truths
24. The Relevance of the Problem of Universals and the Rejection of the Three Classic Doctrines
25. The Marxist-Leninist Theory of Universals
26. The Danger of Platonism

Notes to Part V

PART VI. MARXIST-LENINIST HISTORICISM AND THE CONCEPT OF IDEOLOGY

Introduction

27. The Methodological Approach
28. The Nature of Historical Laws
29. The Technological Conception of History
30. The Empirical Meaning of Historical Materialism
31. Prediction in the Social Sciences
32. The Revision of the Theoretical Framework of Historical Materialism
33. Two Interpretations of the Role of Ideology
34. The Reappraisal of the Dual Theory of Ideology
35. The New Principles of the History of Philosophy and Their Revision

Notes to Part VI

Conclusions

BIBLIOGRAPHY

INDEX OF NAMES

Printed in The Netherlands

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	55 cent. (5 sh. 6 d.)	3,10 rand (31 sh.)	6 rand (60 sh.)
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	7 sh. (a)	£.A.2.0.0.	£.A.3.15.0
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315-20..	45 fr. b.	240 fr. b	450 fr. b
BRAZYLIA : Julia Barcinska, rua Maria Angelica 367, ap. 301 (Jardim Botânico), Rio de Janeiro; Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221, s. 1203, Cxa Post. 6335, Sao Paulo. J. Orciuch; Moveis Cimo S/A, Departamento de Vendas, Caixa Postal 13, Curitiba, Parana.		5 dol. am.	9 dol. am
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu.	3,50 NF	19 NF	37 NF
HOLANDIA : T. Szpilezynski, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta poczt. 13500 — t.b.v.S. 6538	3 fl. hol.	18 fl. hol.	34 fl. hol
IZRAEL : « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyz, Holon, Sokolow Nr. 40	3,85 NF	21 NF	41 NF
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél. : HU 9-0829; M. Król, 637 Kent Road, Winnipeg, Man.; « Zwiaskowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407.	1 dol.	5 dol.	9 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalaajara, Jal. Tél. 49855	1 dol.	5 dol.	9 dol.
NIEMCY : St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4.- DM	22 DM	40 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	3,50 fr. s.	22 fr. s.	40 fr. szw.
SZWECJA : Red Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV Stockholm	5 kor.	25 kor.	45 kor
U.S.A. : W. Bienkowski, 738 Hampton Avenue, Schenectady, N.Y.; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetynski, 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; S. Dziarczykowski, 2042 Cheremoya Ave., Hollywood 28, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal.; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; K. Trojanowski, 124 Hellstrom Rd. East Haven, Conn. R.J. Sas-Babczynski, 12932 Shackelford Lane, apt. 6, Garden Grove, Cal. Jan Wojcik, 24 Doris Street, New Britain, Conn., A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tél. TA-5-6740.	1 dol.	5 dol.	9 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
WLOCHY : Prosimy o przekazywanie prenumerat czekiem lub przekazem pocztowym.	500 lires	2.800 lires	5.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszt porta 2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 NF. Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowość

**PRZYPOMINAMY ŻE PRZEDPŁATA
NA PISMA JÓZEFA WITTLINA
pt.**

ORFEUSZ W PIEKLE XX WIEKU

TRWA TYLKO DO 31 STYCZNIA 1963 R. I WYNOŚI
23 NF (§ 5,00; 34 sh)



**Przedpłatę prosimy nadsyłać do
Instytutu Literackiego lub do
Przedstawicielstw.**

**PRZYPOMINAMY
O ODNOWIENIU
PRENUMERATY
NA ROK 1963**